
3 1761 04498 3153



STEFAN ŻEROMSKI

WALKA Z SZATANEM

WARSZAWA – MCMXVI – KRAKÓW

STEFAN ŻEROMSKI

NAWRACANIE JUDASZA

POWIEŚĆ

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE
MAZOWIECKA 12, STARE MIASTO 11, MARSZAŁKOWSKA 143.

№ 1556 ❊



Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Osobistość, której dnie i uczynki mają być w tem piśmie uwydatnione, a życiorys przytoczony, nosi imię Ryszard, nazwisko — Nienaski. Rodzina tych mianowicie Nienaskich, (bo są, jakoby, i inni), pochodzi z Litwy, a rodowód swój wyprowadza, jak to zwykle w tamtych stronach bywa, z jakowychś gedyminowskich kniaziów. Skoro jednak Ryszard Nienaski nie zagłębiał się sam w owe gedyminowskie ostępy, oczerety i mroki, — skoro nie wydobył stamtąd i nie przyczepił do swego nazwiska żadnego przydomka, ani nazwy herbu, (jak to znowu nagminnym sposobem praktykuje się w Koronie), to niema powodu rozkopywania owego kurhanu zamierzchłej Nienaskich władzy a sławy. Inne natomiast tradycye rodzinne, znacznie bliższe, ale daleko mniej olśniewające, które nie pozostały bez wpływu na ukształtowanie się usposobień i temperamentu tego »bohatera«, muszą być tutaj wzięte pod uwagę. Ryszard Nienaski nie widział nigdy na oczy dziada swego Mikołaja, dziedzica mitycznych Nienasyciszek — pól, lasów, pastwisk, błot, jezior — który onego czasu własnymi końmi rozstawnymi w świat »na Europę« jeździł, utrzymywał liczny dwór strzelców, dojeżdżaczów, leśnych, lokajów, kucharzów, — konie, sfory psów, a przede dworem niedźwiedzie i wilki na łańcuchach.

Tenże dziad, gdy przyszła pora, po stracie całego majątku do ostatniego szeląga, ruszył w brodiażce, na poły bosy, w wielką drogę, w odwrotną polską drogę, dzwoniąc żelazem, — z uśmiechem

równie jak dawniej wyniosłym, zarabiać na kawałek nędznego chleba dla wyżywienia rodziny, już to jako cieśla, już jako bednarz, w potrzebie mularz, lub dźwigacz ciężarów. Z uśmiechem w »świadych«, gedyminowskich oczach, z pogodą na starem obliczu, wytrwał aż do ostatniej chwili, wierząc, że »t a k i przyjdzie czas«... Rzucamy tu, oczywista, najogólniejszą kresę tego życia, nie wdając się bynajmniej w szczegóły. Notujemy tylko to, co z całego człowieka zostało w zamierzchłej klechdzie domowej, w gorzkim szepcie ponocnym, w pobieżnym wersecie o cierpieniu panów, co brodiażką i żelazem odkupili grzech rodowy i jaśni, jako aniołowie, stanęli twarzami ku przyszłości.

Ojca swego, Aleksandra, Ryszard Nienaski pamiętał doskonale, choć go niewiele zaznał. Ten to Aleksander był głównym sprawcą ruiny i kary całego rodu. Odpokutował. — Stanął na drewnianem podniesieniu i wyciągnął już był głowę, ażeby zobaczyć, jaki jest i jak się przedstawia świat poprzez nowoczesny okular polski. Na szczęście, dawne rozległe stosunki i pokrewieństwa, — stare, na poły wygasłe moce miłości i przyjaźni odwróciły i cofnęły tę głowę ku tej stronie świata. Poszedł, równie jak ojciec, podzwaniać w uszach barbarzyńców żelazem na wielkim gościńcu odkupienia.

Po upływie ośmiu lat cofnięty został z wygnania i otrzymał zezwolenie na pobyt najprzód w granicach Cesarstwa, później — nawet w Warszawie.

Początkowo obywał się niemal bez odzienia i zupełnie bez mieszkania. Ażeby uniknąć noclegu pod ławką ulicy, sypiał w pracowni współpowietników-litwinów, malarzy, — czyli, po prawdzie, — na rozległym strychu »z górnem oświetleniem«.

Ten przestwór miał w rzeczy samej niejakie światło, padające poprzez brudne szyby i zadymione śniegi, lecz nie był opalany, więc pan Oleś Nienaski musiał się rozgrzewać, jak umiał. Przyzwyczajony do mrozów nieladajakich, zawijał się szczelnie w draperye, w strzępy delij hetmańskich, w łachmany kontuszów i ornatów, w różne stylowe firanki, niezbędne (podówczas) do produkowania dzieł sztuki, nakrywał się staremi kiczami i z jakiemś regimentarskiem, generalskiem, tureckiem, czy ekonomskiem siodłem pod głową spał, jak

zabity. Gdy artyści ze swych legowisk nadciągali do wspólnego miejsca twórczości, długo nieraz i hałaśliwie musieli kołatać, nim pan Oleś zdecydował się na wybrnięcie z ornamentów przeszłej potęgi i drzwi otworzył.

Witał ich wtedy okrzykiem, radośniejszym, niż promień słońca i śmiechem, trzaskającym, jak mróz siarczysty:

— A co, braciaszkowie, zaspawszy?... Jakie słońce, co za poranek! Jakże piękne jest życie, ach, jak wesołe! I jak dobrze zrobili tamci, *voyons*, wtedy, że nie powiesili — a? Szczerze wam mówię... Ot, ja w Warszawce, ot, ja między wami — i jeszcze taki poranek!

Łatwiej jednak było podówczas w »Warszawce« o uczucie bezprzedmiotowej radości z racyi pobytu w obrębie jej rogatek, niż o znalezienie na tejże przestrzeni choćby najmniejszej kromeczki chleba. Gdyby nie współrodacy, zamazujący płótna podobiznami jarmarków, chłopów, koni i krów, — jasny zawsze pan Oleś, radując się weselem wielkiem, że oto godziny jego żywota upływają pod przyćmionem ojczystem niebem, nie byłby może zbyt wiele przeciągnął dni owej radości. Z czasem trafiło się jednak i zajęcie w żydowskim banczku, nie wielkie, »za rubli w miesiąc asygnacyjnych czterdzieście« — ale stałe. Pan Aleksander mógł wychynąć, powiedzmy, z łachmanów, odziać się po ludzku, zamieszkać. Wnet począł uczęszczać na *colloquia*, odbywające się to tu, to tam u byłych współwędrowców. Te agapy, zaiste wzniosłe w swej prostocie i skromności, zgromadzały ludzi doświadczonych, miarą ognia do cna cielesności i miarą lodu do rdzenia uczuć przez los spróbowanych. Spotykał się tam z postaciami twardemi i mocnemi, w których duchowości słowo nie miało wagi żadnej, uczucie zamieniło się w świadomość, a świadomość stała się jedynie umysłem. Byli to ludzie upartego i krótkiego zdania, zwartej i skończenie ostrożnej formuły, przebiegli, częstokroć doskonale mądrzy. Niektórzy z nich taili jeszcze w sobie, jako najgłębszy sekret, wulkan niewidzialny, zasypany zewnętrzną magmą — większość była na wskróś, na żużel, na kamień wystygła. Wśród nich przesuwał się żwawy »pan Oleś« Nienaski, szanowany i bardzo lubiany przez wszystkich. Ponieważ był najmłodszy i żywy jeszcze wśród nagrobków tego cmentarza,

trafił wkrótce oczyma na żywe oczy pewnej panny Cecylii. Romans, krótkotrwałe »konkury«, ślubny kobierzec, po roku syn, właśnie Ryszard. Takie imię nadano mu na życzenie nie tylko ojca, lecz i tamtych starych, — jako pamiątkę, a może zwiastowanie, siłacza Lwie Serce.

— Lwie Serce, — jako to jest może ten, co *exoriare nostris ex ossibus*... — i tak dalej.

Przyszły *ultor* był wesoły i pogodny, jak cały ród owych *ci-devant* kniaziów Nienaskich. Ani trochę nie martwiła go bieda, stale kwicząca w izdebkach ojczystych. Przeciwnie, — wywierał takie wrażenie, jakby go cieszyła, równie bez miary, jak wszystko, co tylko było na świecie. Coś niecoś z tego, co stanowiło istotę duszy tego rodu, — treść najistotniejsza, główna zawartość wieści domowej, — spadło, jak już było zaznaczone, i na tego Rysia. Widać to było czasu jego pobytu w szkołach, już wtedy, gdy pan Aleksander, tak powszechnie szanowany, zaorując się w robotach biurowych, nocnych, poobiednich, porankowych, — wyczerpał wraz z weselem i jego źródło, — zdrowie cielesne. Odszedł — wytworny, piękny, niepoziomy i niepowszedni, choć na tak nizki szczebel drabiny z wysokiego stanowiska strąciła go twarda dola. Na pogrzebie jego dużo było ludzi świadomych, dużo mglisto czujących i niemało szczerych łez. Nim spuszczono trumnę w głąb tej ziemi, powiedziane było pod wieloma osłonami, należycie sedno rzeczy kryjącemi, o pomoście drewnianym i o pracach »w dalekich stronach«, o czystości sumienia, o nieskazitelności życia, o jasności oczu, w których się, widać, spojrzenie Boga ongi zatrzymało. Osłony i przenośnie tak dobrze zakryły istotę samych faktów, że nawet rodak, stojący w pierwszym szeregu słuchaczów ze łzą w oku i notujący poprzez tę łzę każde słowo, dla wiadomego użytku, poprzekręcał subtelne metafory i sens relacyi spaczył. Skończył się wspaniały pogrzeb, świadectwo niezbite, dowód oczywisty, że umie się w Polsce przynajmniej jedno: — grzebać tęgich ludzi. — Pana Olesiowa wdowa, oraz dzieci, — Ryszard i mała trzylatek córeczka, — zostali sam na sam i oko w oko z ciężką swą dolą. Pomagano, jak to mówią, czem kto mógł. Wdowa udzielała lekcyi muzyki. Wkrótce zmarła jej córeczka Zosia na je-

dnę z chorób ubóstwa, grasującą po ubogich mieszkaniach. We dwa lata potem i sama wdowa osierociła jedynaka. Na szczęście dawał sobie już wtedy radę. Był w siódmej klasie gimnazyalnej.

Pozostawiony najzupełniej samemu sobie, spotkał się z olbrzymiemi, nieogarnionemi zjawiskami, — z życiem i światem. Obadwa te fenomeny witał tryumfującem wejrzeniem młodzieńczych oczu. Nie obawiał się ich wcale, gdyż miał w sobie głęboką niewiadomość o sile walki, a nadto, coś rozleglejszego, niż świat i bardziej wezbranego od potęgi, niż samo życie. Utrzymywał się z korepetycyi, a każda lekcya to było księstwo nowe, pełne nie tyle tajemnic, ile najweselszych i coraz nowszych »kawałów«. Zaledwie obejrzało się jeden, aliści nasuwał się drugi, jeszcze bardziej interesujący i stokroć ciekawszy. Każdy taki człon świata i zakres życia była to miara mniej lub więcej pełna facecyi, kpiarstw, albo ślepego wesela, ukrytego pod nudnymi smutkami. Ta miazga świata była w magiczny sposób zrośnięta z wewnętrzną wesołością duszy. Na świecie i w życiu było coś jednolitego z wnętrzem duchowem i tylko przypadek tę jednogatunkową materyę sztucznie rozdzielił. Dość było spojrzeć, wbić się w głąb rzeczy myślami, roześmiać się na cały głos, żeby tam kędyś odezwało się to własne, rodzone, dzwonne, miłe, swoje echo. Gdy Ryś Nienaski z jednego krańca Warszawy na wyślizganych podeszwach, niby na nartach, gnał w drugi koniec, jak drwili przyjaciele, z potęgą sześćdziesięciu Nienaskich parowych, — jakże to czarownie uśmiechały się doń kwitnące czereśnie, gdy je w przelocie mijał, — przechylone na parkany Powiśla! Ubogie i czcze pisarskie słowo nie jest w stanie wyrazić tego uśmiechu. A jakaż ludzka sztuka zdoła przypomnieć owoczesną, dla tegoż pana Rysia istniejącą, barwę nieba nad błękitem odległych lasów, — kolor zakrętu Wisły?... Wiosenne noce były wówczas pachnące. Światło księżyca, przesłonięte głuchymi obłokami, odbierało sen, ciągnęło z domu pomiędzy drzewa. Wilgoć deszczu rzeźwiła przygasłą siłę mocniej, niż pokarm. Świst wiatru był głosem, milszym niż muzyka, dla stęsknionego słuchu. Na tęgim mrozie było ciepło od chyżego chodu, gdyż po to był przyjaciel, siarczysty mróz, żeby pobudzać do biegu. Zapach kwiatów posiadał moc tworzenia z niczego ma-

rzeń subtelnych, niepotrzebnych, błędnych, które przecie bardziej były przydatne dla zdrowia duszy, niż buty dla ciała. Stopy tęskniły do ciepłego piasku i do błotnistych wybrzeży stawów, — ramiona do objęć zimnej, głębokiej i wieczyście młodej wody rzecznej. Niektóre drzewa w Ujazdowskich Alejach Ryś Nienaski znał i kochał nie tylko, jak najmilszych powierników, lecz jakby zagmatwane wyrazy i niejasne formy samego siebie. Te miłował za kształt, który był niejako figurą pewnych gwałtownych uniesień i burzliwych przeżyć, — inne za woń wiosenną, co na jego nozdrza zdawała się z lubością czekać i życzliwie czyhać w noce ciemne, parne, niememi błyskawicami w dalekości porozdzierane i wzruszone do głębi.

W tymże czasie młodzieniec ten począł ssać miody z marxowskiego badyla. Sekretne czytanie »czerwonych broszurek« zarówno nocami na stancyi, jak pod ławką w czasie wykładu, ogarnęło go, jak epidemiczna choroba, której już uległa znaczna liczba jego kolegów. Lecz kiedy inni czytali dla mody, ze stadowego nałogu, przez próżność, albo ambicyę, Nienaski począł w tych świstkach i zeszytach odnajdywać swoją własną duszę, odkrywać swą istotę, która nieznana mu spała aż dotąd. Należy to powiedzieć na jego pochwałę, że nowe dogmaty ekonomiczne nie uczyniły zeń drewna, ani partyjnego koczkodana, lecz że w nim właśnie dobro odnalazły i wykryły. Dla większości jego kolegów prawdy i paradoksy broszurkowe były nową dziedziną poznania, albo komunałami niezbędnymi do rozpraw flirciarskich z pannami, środkiem wybicia się na wierzch, — jego, bodaj jedynego z całej grupy, — te argumenty moralnie zahaczyły. Co inni czytali z wierzchu od strony wyrazów, albo sylogizmów, on ujrzał od środka, od samego uczuciowego wnętrza. Dawne domowe powieści, cierpienia, ujęte w słowa krótkie, zgasłe, pyłem biegu życia przysute, nagle zadrżały, ożyły i zrosły się z nowemi myślami. Ciesielski i bednarski żywot dziada, niegdy magnata, dzieło i pracowite wytrwanie ojca, samotna troska matki, — wszystko znalazło swe wytłomaczenie — i wszechlekarstwo. Nikt tego, co Ryś mówił na rozmaitych zbiegowiskach koleżeńskich, nie mógł zrozumieć, gdyż to, co mówił, było nieudol-

nym bełkotem niemowy o najistotniejszej wiedzy wewnętrznej. To też nie w słowach wylewało się zrozumienie tych rzeczy, lecz w czynach. Ryś nie był ani mówcą, ani pisarzem. Jeżeli zbudował jakieś wypracowanie na umówioną godzinę zebrania, było to ukute, wymęczone, skompilowane i niezdarne. Nadto, do wywodów pościąganych ze źródeł doczepiał zawsze coś swego, co pasowało, jak osioł do karocy. Podobnie było z improwizowanemi mowami, a nawet w dysputach. To też po upływie pewnego czasu Nienaski począł działać raczej, niż pisać. Wszystkie te przeżycia miały swe przyczyny w końskiem zaiste zdrowiu. »Rysiek« nigdy nie chorował. Przez cały ciąg pobytu w gimnazyum nie zapadł nawet na katar. Nie opuścił też ani jednej lekcyi z powodu niezdrowia. Dwie kilkodniowe noty w dzienniku, świadczące o nieobecności w szkole, wynikły wskutek zgonu ojca, — później matki. Ryś źle jadał i bardzo niewygodne miał posłanie. Ale im mniej jadł, tem większy, oczywiście, miał apetyt, a nędza siennika i kołdry wpływała na coraz tęższy sen i coraz czerstwiejsze zdrowie. Bieda nie zdzierała go wcale, lecz raczej szła na dobre. Gdy w podeszwach butów powycierały się najbardziej prawidłowe elipsoidy, a doskonale okrągłe kule śniegowe podczas korepetycyjnych przemarszów wbijały się pomiędzy dwie warstwy rzemienia, nie mając czasu na ekstyrpacyę tych intruzów, szedł nad poziomem, jakby na gwoździach wyniosłości. Siedział na lekcyi w mokrych skarpetkach, lecz szkody na zdrowiu nie ponosił. Zawsze w rozpiętej szyneli, karygodnie powiewając połami munduru, z oczyma błyszczącemi, jak gwiazdy, z uśmiechem na wargach i rumieńcem na policzku obnosił w tłumie miasta radosne świadectwo swej siły.

Już na parę lat przed wystąpieniem Ryszarda na arenie, gdzie się ścierały gimnazyalne »światopoglądy« i »przekonania« — istniało w Warszawie pewnego rodzaju towarzystwo, a raczej spisek, którego jednem z najgłówniejszych zadań było urabianie młodzieży, kończącej studya szkolne. Założycielem, a przynajmniej jednym z głównych inicyatorów tej społeczności był, powiedzmy, pewien młody lekarz. Nazywał się Bronisław Ustański, w skróceniu, od początkowych liter imienia i nazwiska powszechnie zwany B r u-

sem. Był to człowiek o dużej kulturze i niezwykłem bogactwie intelektu. Pracował usilnie w swym zawodzie, nie tylko dla zarobku, lecz i naukowo, — a nadto często wyjeżdżał do Anglii, Francyi, Niemiec, Szwajcaryi i Szwecyi, ażeby brać udział w kongresach pedagogicznych. Zawiązywał stosunki z ludźmi i instytucyami, badał postępy w dziedzinie samokształcenia i pedagogiki, uczył się sam i przywoził do ciemnej »Warszawki« istne zarodzie pomysłów i czynów. Do społeczności wtajemniczonych należeli chłopcy zdolni i szlachetni, których łączyła przyjaźń wzajemna. Oprócz tego głównego węzła spajała ich w jedno idea walki z rozpustą, łajdaczeniem się, onanizmem, piciem alkoholu, paleniem tytoniu, karciarstwem, próżniactwem, czytaniem i oglądaniem pornografii. Wspólna podnieta zapalała ich do pracy w kierunku intensywnego pomagania sobie i naokół w zdobywaniu wiedzy. Ci młodzi ludzie z najrozmaitszych szkół, nawet z ławy uniwersyteckiej i z poza szkoły, mieli kilka zaledwie wspólnych myśli, czy haseł. Czcić człowieka przytłoczonego niedolą, — wrogów przeistaczać na apostołów swej wiary, — nie prześladować, — nie potępiać, — nie nienawidzić, — i tym podobne. Jedni ze stowarzyszonych byli skrajnie radykalni, inni umiarkowani, jedni religijni, inni wolnomyślni, ci wykwintni, a tamci prości w obejściu i życiu. Całość była poniekąd zawiązkiem, logarytmem, polskim cieniem, a zarazem potrzebą, przeczuciem — skauta.

W mieszkaniu młodego lekarza »Brusa» był pokoik poza gabinetem przyjęć, tak zwana rozmównica. Ilekroć Brus był w domu, zawsze tam ktoś z młodych na niego w rozmównicy czekał. Lekarz znikał na chwilę i wówczas słychać było szepty, spory, dysputy, przekonywanie, narady i tyrady. Młodzi spiskowcy odnajdywali zdolnych chłopców po norach stróżowskich i robotniczych poddaszach, dawali bezpłatne lekcye biedakom, brali z kałuży jednostki zepsute i szerzyli swe sieci aż na gimnazya prowincyonalne. Nienaski trafił przypadkowo na tę młodocianą organizacyę, kilkakroć był na posiedzeniu w rozmównicy doktorskiej i wtedy dopiero znalazł się we właściwym żywiole. Mało upłynęło czasu, aliści wyszedł niemal na herszta całej imprezy.

Jaki był jego stosunek do tej sprawy, najlepiej wytłomaczy przykład. Pewien inżynier, znajomy doktora Brusa, jechał kolejką podmiejską i z nudów począł rozmawiać z chałatowym wyrostkiem, siedzącym naprzeciwko. Żydek jechał do cudotwórcy, rabina w Kalwaryi. Inżynier rozpytywał go o rozmaite szczegóły, tyczące się wielkiego cadyka, i dowiedział się od swego przypadkowego towarzysza drogi, że ten gorąco pragnie uczyć się rozmaitych mądrości, że nawet w tym celu jedzie po wskazówki i rady do wiekiego rabina. Ale uczyć się nie ma za co, bo rodzice jego są to biedacy, straganiarze za Żelazną Bramą. Od słowa do słowa zwierzenia zeszły na taki poziom, że inżynier wypisał na swym bilecie adres doktora Ustańskiego i polecił aspirantowi udać się do rozmównicy. Ów żydek, Hersz Pipeles, poszedł w kilka dni później i zadzwonił pod wskazanym adresem. Przyjęto go tam, jak każdego innego, przychylnie i dobrotliwie. Gdy wyłuszczył swoje marzenia, że chciałby zostać doktorem albo inżynierem, uśmiechano się, gdyż Herszek liczył już sobie pod dziewiętnaście wiosen, a niewiele umiał. Jednakże nie odtrącano go bezwzględnie. Kilku ze stowarzyszenia podjęło się uczyć tego »Pipka«. Jeden wykładał mu język polski, inny arytmetykę, ten geometryę, a tamten języki. Między innymi Ryszard podjął się nauczania matematyki tego aspiranta do wysokich godności. Nauka poszła dość gładko i w przyspieszonem tempie, gdyż uczeń forsownie pracował. Nadto wytworzyło się oryginalne współżycie i niejako przyjaźń między takiemi dwiema postaciami, jak Nienaski i Pipeles. Mówili do siebie — »ty« — i nie mieli dla siebie tajemnic. Hersz wyznawał Ryszardowi wszystko, gdyż tego wymagała reguła, i w ten tylko sposób ostatni mógł jedynie pojąć nowego przyjaciela, oraz niejako prześwietlić wszystkiem, co miał w sobie uznanego za dobre i godne »apostolstwa«. Ale nie była to sprawa łatwa. Pipek miał naturę twardą, jak krzemień, nieustępliwą i nieufną. Mówił prawdę, ale tylko dla tego, że owej prawdy wymagał interes. Nie rozumiał tych wszystkich ludzi, z którymi los go zetknął, i nie mógł ze siebie wydobyć wiary w ich szczerość.

Głupstwem, — poprostu głupstwem, — wydawało mu się

być ich bezpłatne poświęcenie jednych dla drugich, nauczanie dla nauki, szerzenie ideałów, w szczególności zaś dążność upowszechnienia oświaty. Sam uczył się u tych komicznych poczciwców, ponieważ czynili to bardzo dobrze, skwapliwie i tanio. Nie chciał brać od nich za darmo pracy. Wypłacał się za nią, czem mógł, śmiesznie małemi sumkami, które dostawał od rodziców i krewnych, — ale koniecznie składał co miesiąc owo mikroskopijne wynagrodzenie. Pobierano je, żeby go nie zrażać (z przeznaczeniem na cele ogólne). Nie przemawiały do Pipelesa ideały Ryszarda i jego kolegów. Pozostał sobą, twardym chałatowym chasydem, religiantem. Gdy się zjawiał w izdebce Nienaskiego, a ten poczęstował go, przypuśćmy, pomarańczą, Hersz przyjmował poczęstunek, ponieważ mógł był spożyć koszerną zawartość po obłupaniu zewnętrznej skóry owocu. Nakładał czapkę i, odwrócony twarzą do kąta, zajadał. Wielokrotnie usiłował przekonać swego mentora, że rozśmieszająca go do żywego pasya spiskowców do powszechności oświaty powinnaby się zamienić na dobrze prosperujący interes, który właśnie należałoby, dla dobra niewielu jednostek, zacieśnić i mocno ograniczyć. Ponieważ jednak to wywoływało tylko długie, namiętne i nużące go wywody, poprzestawał na biegu rzeczy, jaki zastał, gdyż sam bardzo dobrze na tem wychodził. Pozwalał przyjaciołom trwać w nieszkodliwym dlań i zabawnym błędzie. Nienaski zapoznał się z rodzicami Herszka i zawiązał z nimi przyjacielski stosunek. Ideje otrzymane, wyczytane z książek i zaczerpnięte wśród dysput u doktora Brusa stały się rodzajem wewnętrznego światła, ni to owe latarnie pewnych rodzajów stworzeń w ciemnościach dna oceanu. Ryś nosił je po plugawych zaułkach, oświetlając sobie nimi najczarniejsze nory życia. W miarę tych wędrówek, natura jego stawała się coraz bardziej ciekawą świata i łakomą poznania natury ludzkiej. Weseliło go to do głębi duszy, gdy mógł kłaść się niejako przed ludźmi, rozpętywać przez swe poświęcenie dobre instynkty swoje i cudze, doszukiwać się w sobie i bliźnich istoty najgłębszej, poznawać nie zewnętrzne, ordynarne, mocne bydlę, lecz słabego wewnętrznego anioła. Wszystkie te młodociane piękności i wiry dusz nazywały się technicznie »nawracaniem Judasza«.

Wszystko to jednakowoż trwało zbyt długo. Spisek miał czas na to, żeby wyhodować swego własnego Devadattę. Znalazł się taki wśród pupilów doktora Brusa, wynaleziony w jakiejś suterynie, cierpliwie i pracowicie odchuchany z nędzy i skostnienia, odhodowany na sercu, nauczony niejednej mądrości i przygarnięty do tajemnic.

Około Wielkiejnocy ostatniego roku pobytu Ryszarda w gimnazyum odbył się zjazd kilkunastu delegatów wszystkich ognisk z gimnazyów prowincyonalnych. Delegaci zjechali się z zachowaniem wszelkich ostrożności, zgromadzili się już nie w ciasnej rozmównicy, lecz w salonie doktora, — zostali, — oczywiście, wydani przez Devadattę komu należy, — jak to mówią, nakryci. Doktora Brusa, Nienaskiego i kilku starszych prowodyrów poproszono, żeby troszeczkę posiedzieli dla odpoczynku po bieganinie w dziewictwie pól ideału. Odpoczynek trwał dosyć długo. Ryszard z poprawną wytrzymałością spełnił, co do niego należało: milczał, zaprzeczał, jak się patrzy, brał na siebie, — i tak dalej. Gdy wyszedł na świat, dowiedział się, że z matury nic nie będzie, że zamiast niej musi się zadowolnić czemś znacznie skromniejszem, a mianowicie tak zwanym »wilczym biletem«.

— —

Nie stracił poczciwiec rezonu. Przeciwnie, — jeszcze więcej obserwacyi zmieściło się pod jego zwichrzoną czupryną. Stał się teraz czemś, figurą, niemal symbolem. Kiedy koledzy wymawiali teraz słowo »Nienaski«, to już coś specyalnego oznaczało. Mówiono to szeptem, zcicha, nieraz z namaszczeniem, a zawsze z szacunkiem. Coś, jakgdyby sławą, — czcza zresztą, jak każda inna, — oświetliła i zapachem kadzidła owionęła tego wypędka. Zajmowali się nim już nie tylko związkowcy i przyjaciele. Na agapach starych peregrynantów mówiono o nim, jako o »dobrej krwi«. Ale kiwano głowami, marszczono groźnie czoła i pocierano łysiny na wspomnienie tych przewrotności, które on nie tylko wyznawał, lecz z ganannem zuchwalstwem głosił wobec starych cierpiętników, oraz z honorem reprezentował wobec tych, co za takie reprezen-

tacye »nie gładzą po czuprynce«. Ten i ów z ojców zgrzytnął nawet podczas zebrania, gdy Ryszard był wezwany dla wyjaśnień o stanie rzeczy. Ktoś wspomniał mu dziada i ojca, a najgorętszy zagroził, że ojciec w grobie się może przewraca, jeśli słyszy, co to on gada o tym »proletaryacie«, o »klasach społecznych« i o jakiejś »walce klas«. Gdzie tu są jakie »klasy«, kto tu gdzie dostrzeże ich »walkę«, gdzie tu jest ów »proletaryat«? Są to wymysły pruskie, podszczuwanie agentów i t. d. Ryś w odpowiedzi perorował, perorował aż do wystrzępienia języka, bezładnie, chaotycznie, a nadewszystko z uniesieniem, zaciemniającem rzecz do reszty. Staruszkowie martwili się do żywego tem, co słyszeli z ust tego chłopca, lecz zdecydowali pomiędzy sobą, że tak, czy owak należy mu przyjść z pomocą. Przedewszystkiem uradzili, że trzeba go wysłać w głąb Cesarstwa, gdzie »wilczy bilet« tracił na sile, — dopomódz, żeby tam zdał egzamin, jako prywatysta, i pchał się na jakiś tamtejszy uniwersytet. Taka bowiem panowała podówczas metoda przeciwdziałania »nowinkom«: nie za granicę, nie do Krakowa, lub Lwowa, lecz w głąb Cesarstwa. Zebrano nawet niejaką sumkę, odgrzebano stosunki z pewnym poczciwym dyrektorem gimnazyum, — i Ryś puścił się w daleką drogę. Po roku uzyskał maturę i wstąpił w Moskwie na wydział medyczny. W tym czasie kołatał się po różnych Ufach, Samarach i Tułach, żył nędznie i doznał wielu przykrości życiowych. Był sam. Nie rozmawiał. Nie znaczy to wcale, żeby w nim dawne impulsy stępiały. Przeciwnie! W tych dalekich światach żył po dawnemu, tylko dusza jego poszła w głąb, w dalekie podglebne korzenie. Jeszcze szerzej roztwierał oczy i jeszcze ciekawiej wpatrywał się w bytowanie nieznanego ludzkiego ogromu. Z kimże się to teraz nie stykał ten badacz świata! Los zdarzył, że w jednej kamienicy zamieszkał obok dziadowiny »staroksiężnika«, który go wtajemniczył w najgłębsze sekrety swej wiary. Głęboka i ścisła przyjaźń, zawarta z owym sekciarzem, dała Ryszardowi możność poznania prastarych druków i przejrzenia podstawowych zasad gmatwaniny tego wierzenia. Główna istota mniemań tych była następująca:

— Bóg stworzył świat. Wszystko, co jest, dobro i złe, jest od Boga. Poprawianie złego przez człowieka jest błędem, wynikającym

z podszeptów »Satany«. Owa Satana przebywa w Azyi. Zjawiła się po stworzeniu świata i zrodziła syna Antychrysta. Ona to wykopała kopytem z pod ziemi herbatę, kawę i »tawun« (tytoń). Żółci japończycy i chińczycy, siedzący w kraju herbaty, są podwładnymi Satany. Jedynym środkiem walki z szatanem jest wytwarzanie męczenników. Istota zbawienia polega na męczeństwie. Ludzie zbawieni przez swe zasługi sprawiają, że świat jeszcze istnieje, gdyż powinien już był zginąć w roku tysięcznym po Chrystusie. Męczennicy tworzą wieńce. Każdy listek ich wieńca o jeden dzień przedłuża istnienie świata. Ażeby przedłużyć istnienie świata, z miłości dla niego, prawdziwi chrześcijanie, czyli »starokniżniki«, chętnie podejmują śmierć, dają się setkami zakopywać w ziemię przez swych współwyznawców. Lecz grzechy ludzkie zbyt są wielkie i koniec świata jest nieunikniony. Tylko nieskończona miłość i bezgraniczna ofiara odkłada go z dnia na dzień. Choroba jest doświadczaniem człowieka przez Boga. Wszelkie leczenie chorób, cała medycyna i hygiena — są to podszepty szatana, ażeby człowieka z drogi bożej odwrócić. (Syn owego starca, chłopiec dziewięcioletni, zachorował na oczy. Nie leczono go, aż oślepł zupełnie. W ślepocie przepędził życie. Codziennie ojciec błogosławił Boga głośną modlitwą i pokłonami, — codziennie modlił się syn, dziękując Bogu, iż mu wzrok odjął, gdyż dziecko było piękne i świat mógł je skusić. Ślepiec zaś przeżył życie w zupełnej cnocie). Wszelkie poprawiania świata przez człowieka, a więc reformy Piotra Wielkiego, są owocem grzechu. Nauka jest wymysłem Satany, nawet nauka szkolna dzieci. Tyko księgi święte godne są czytania. W książkach szkolnych są bajki, zagadki, przypowieści, słowem zabawki. Tymczasem księgi służyć powinny do zbawienia duszy. Bezżeństwo obowiązuje wszystkich starowierców. Niema sakramentu małżeństwa, gdyż Bóg nie może udzielać błogosławieństwa na grzech. Z chwilą upadku, popełnienia grzechu z niewiastą, wierny wypędzony jest z gminy. Upadek swój może zgładzić przez niezmiernie srogą pokutę, przez post sześciotygodniowy z powstrzymaniem się od jadła i napoju. Nadto musi złożyć niezmierną ilość pokłonów ziemnych, które po nocy wybija i oblicza na »s z c z o t a c h«. Kobieta nigdy nie jest żoną mężczyzny. Jest

to tylko »gospodyni«. Cnotę prawdziwą stanowi celibat absolutny, od dzieciństwa do śmierci. Ci mężowie, którzy wytrwali w takim celibacie, są »ojcami świętymi«, czyli kapłanami. Najstarszy z nich wiekiem jest jakgdyby prawodawcą, sędzią, czy rabinem. Przyjaciel Ryszarda wstawał o pierwszej godzinie w nocy i trwał na modlitwie do rana. Modlitwa polegała na biciu pokłonów ziemnych i wzdychaniu: »Hospody pomiłuj!« Jadł raz na dzień i tylko zimne potrawy. Nigdy mięsa, nigdy alkoholu, nigdy herbaty, która jest najbardziej znienawidzoną. Dom, gdzie znajdował się samowar, poczytywany był za dom nieczysty. Samowar bowiem jest symbolem świata: z wierzchu woda, a w środku ogień... Za napój służył starcowi tylko kwas chlebowy. Jadło tylko koszerne i w małej ilości, każdy bowiem człowiek ma przeznaczoną od Boga pewną ilość pokarmów do spożycia. Im kto prędzej zje swoją porcyę, daną mu na życie, tem prędzej umrze. O ile się usilniej i twardziej pości, tem dłużej można żyć i pracować na świecie. Wszyscy starowiercy twardo i bardzo pracują. Praca i modlitwa jest istotą ich życia...

Przypadek zrządził, że Nienaski w trakcie swych gzygzakowatych defilad życiowych zetknął się znowu w tych odległych stronach z Herszem Pipelesem. Niedoszły inżynier zanim posiadł pożądane umiejętności, wzięty został do wojska i wysłany w głąb Cesarstwa do jednego z miast gubernialnych. Nieszczęście chciało, że Herszek nie nadawał się żadną miarą do wojska. W szeregu zawsze coś niepotrzebnie i karygodnie wystawił poza linię, — jeżeli nie brzuch, to kuper, jeśli nie głowę, to nogi. Nie umiał ani nosić broni, ani maszerować, ani stać, ani biegać. Był pośmiewiskiem rot i batalionów, — istnym składem kar, razów, szczutków i drwin. Odsunięty ze służby szeregowej, nie nadał się również na stanowisko ordynansa. Tkano go to tu, to tam, w sposób, który mu przysparzał sińców, ukłuć, przymusowych wyprostowań, cofnięć brzucha i rumieńców na policzkach. Pipeles nie dość, że blizki był rozpaczy, lecz przerzucony został poza jej granice najodleglejsze. Skądś dowiedział się o pobycie Ryszarda Nienaskiego w Moskwie, posiadł jego adres i napisał list. Ryś pojechał niezwłocznie. Niemało łez Pipek nalał Ryszardowi w kamizelkę, opowiadając swe dzieje.

Korektor nastawił upadłego ducha, włożył niezgrabiaszowi w głowę, w nerwy, w serce, co należy. Usiłował przysposobić nawet jego ciało do wymogów ćwiczeń wojskowych, — o ile to było w jego mocy.

Po odjeździe Nienaskiego zawakowała w pułku, do którego Hersz należał, posada wyjątkowa: stanowisko sklepikarza. Pułk posiadał w koszarach swój sklepik, rodzaj kooperatywy żołnierskiej, którą kierował jeden z oficerów. Spróbowano umieścić Pipelesa na nowem stanowisku, — i tu nadał się przedziwnie, — jak żaden. Odrósł, zakwitł i wyrósł na potęgę. Cały sklep uporządkował, rozłożył umiejętnie towary, sprowadził lepsze, tańsze, zaprowadził księgi i znakomicie wszystkich obsługiwał. Żołnierstwo było zachwycone doborową jakością i rzetelną ilością towaru. Aczkolwiek Pipeles naogół z oporem, a wielekroć wprost wrogo zachowywał się względem świata idei, działających w sferze przyciągania doktora Brusa, przecież sięgnęły one do jego świadomości i wewnętrznej istoty, jako zjawiska i fakty.

Hersz był kupcem uczciwym aż do przesady. Nic dla siebie i dla nikogo w szczególności, wszystko dla owej kooperatywy żołnierskiej. To znowu nie zupełnie przypadło do smaku opiekunowi, kierownikowi i, można to powiedzieć, dyspozytorowi tego sklepu. Był nim jeden ze starszych oficerów, Polak z pochodzenia, człowiek do szczętu zapity i zgrany w karty. Po polsku nie rozumiał ani słowa, nie był nigdy w kraju, nie stykał się nigdy z Polakami i nie wyrobił sobie o nich żadnego wyobrażenia. Z całej niegdyś przynależności jego rodziców do społeczeństwa polskiego zostało mu wyznanie katolickie, którego nie praktykował, i zmącona, niejako odświętna pycha z racyi szlacheckiego pochodzenia. Po pijanemu, wśród urd, zajść, w kłótni, w zwadach karciarskich, gdy brakło już wszelkich argumentów i zostało tylko łżenie się wzajemne, wołał, jak zza ostatniego szańca, że jest »polskij dworianin«. Drobiazgowa i do śmiesznej przesady posunięta uczciwość Pipelesa w sklepikarskich rachunkach, miarach i wagach, z jakichś powodów mocno była nie na rękę temu »dworzaninowi«. Chciał też coprędzej wysadzić z tego miejsca niewczesnego skrupulanta. Ale za Pipelesem ujęły się teraz

wszystkie roty pułku, które miały pewien głos w wyborze swego subjekta. Wbrew woli kierownika, Pipeles został. Ale wtedy zaczęły się już najbardziej ciężkie czasy. »Polski dworzanin« wołał go do siebie, do prywatnego mieszkania na poufne rozmówki o sprawach handlowych. Wychodząc po każdym z tych dyalogów, kupczyk miał policzki z obydwu stron mocno zaróżowione, głowę wyprostowaną, a czuprynkę sztorcem nastawioną do góry. Mimo to wszystko — trwał. Późno wieczorem w składziku towarów siedząc na ziemi, a na pace rozłożywszy papier, smarował o wszystkich swych przeżyciach sprawozdania do Nienaskiego. Pod wiadomym adresem otrzymywał niezwłocznie posłania, rady, nauki, zachęty, umocnienia, nakazy i prośby moralne. Pewnego dnia, podczas jednej z najbardziej ożywionych pogawędek o »komercyi«, gdy zwierzchnik, doprowadzony do furyi, ryczał i zionął przekleństwami, oraz występował czynnie, jako »polski dworzanin«, Hersz znagła również wystąpił.

— Wszystko — tak! Wszystko, co tylko chcieć — tak! Tylko co do tego — to już sza! To nie! »Polski« — »Polska«? — Nie! To całkiem co innego. Skąd? Polacy, Polska, — i Wasza dostojność? Co to jest? Za nic i na nic!

Oficer aż oniemiał, potem rzucił się na śmiałka i zagroził mu najsroższymi kułakami. Ale Pipeles stał się teraz, jak wybuchowa mina, jak groźny wulkan. W jego stłuczonej głowie, we wzroku, który nic nie widział, z poza gorzkich łez —garsteczka śmiesznych wyrostków, gronko idealistów, doktorek Brus i inni, których był widział, — stali się *pars pro toto,* — ogromem, ludem, narodem. W tamtej stronie, nad tamtemi polami świeciło jasne, dobrotliwe słońce. Tam był zapach i wesele. Tam byli ludzie — jakże inni! Ich śmiech, rozum, grzeczność! Ich jakoweś prawo, które nigdzie nie jest napisane, które mu się wydawało tak śmiesznem, jest mocniejsze, niż wszystkie inne prawo!... Oni to przecież uczyli tak postępować, jak on postępuje w sklepiku. To ich nauka, ich zakon. Bo czemu postępuje tak, a nie inaczej, jak byłoby wygodniej, korzystniej, z zyskiem?...

Oficer mimo wybuchów gniewu, wśród pogróżek, zżymając się i drwiąc, wysłuchał przecież długiej tyrady, którą wyrzuciło ściśnięte

od bólu gardło żyda. Począł go ironicznie, ot z pogardy i dla rozweselenia się kosztem głupoty, brać na spytki, indagować i pytać o szczegóły, jacy to tam są ci ludzie polscy.

— Tłomacz to, kapcanie, dokładnie! Nie łżyj, nie wykręcaj kota ogonem, nie rzucaj piaskiem w oczy — tylko dowiedź!

Hersz, pchnięty od wewnętrznego uwielbienia dla warszawskich przyjaciół, które w nim teraz wytrysło, gadał godzinę i dłużej. Zwierzchnik słuchał. Przerywał, wyśmiewał się z wyrażeń, ale coraz łagodniej. Wreszcie rozkazał miłościwie wynosić się do wszystkich dyabłów. Nazajutrz wezwał znowu. Oświadczył groźnie, że chce sam przekonać się, jak to jest z owymi Polakami, czy prawda, co tu poprzednio żydowską gębą naszczekał. Ale ponieważ sam nie umie po polsku, więc chce »wziąć się za język«, żeby pisać, czytać i samemu przekonać się nie z judaszowskich opinii i łgarstw, lecz dowodnie. Zakrzyknął wreszcie, czy Hersz może go nauczyć po polsku?

— Czemu nie. To można.

Miał Ryszard Nienaski niemało korowodów z wyszukaniem odpowiednich podręczników do nauki języka. Sklepikarz przedzierzgnął się w pedagoga. Był, jak przewodnik elektryczny, czy rynna, przez którą spływała polskość. Nazewnątrz wszystko było niby tak samo: sklepik, rozmówki na osobności... Śmiało się żołnierstwo z przechadzek Hersza do kwatery zwierzchnika, sądząc, że tam potężne bierze wały. Pipeles milczał, ironicznie przypatrując im się z pod oka.

Wszystko to zresztą niezbyt długo trwało. Kilka rot pułku wysłano do jednego z odleglejszych miast gubernii. Pipek musiał sklep porzucić i pociągnąć za swoją rotą. Znowu był pod karabinem, znowu w szeregu i znowu »cierpiał«. Nareszcie nie mogli go już znieść przełożeni. Przydatny był jedynie do otwierania drzwi w klubie oficerskim, do podawania i zdejmowania paltotów. Za każdą taką czynność otrzymywał miedzianą, a nieraz srebrną nagrodę. Herszka paliły w dłoń te monety. Skarżył się przed Nienaskim, który go znowu odwiedził, że nie może dać sobie rady z udręczeniem, jakiego mu przysparza ta okoliczność. Ryszard doradzał, żeby pieniądze przyjmować dla uniknięcia kar i przykrości, lecz przeznaczać

je na jakiś cel szlachetny. Pipek zaciekle milczał, lub śmiał się chichotliwie i przewracał oczami. Indagowany przez Ryszarda co do tej sprawy, wyjawił otwarcie, że te pieniądze palą go, jak rozżarzone węgle, że one nie mogą iść na żaden cel, że one mają w sobie zły, gryzący, zatruty jad, że to są monety przeklęte, niegodne, że otrułyby i zniweczyły każdy z celów, o których była mowa... To też on je codzień, po spełnieniu czynności, niesie zawarte w garści do kloaki i ciska tam, gdzie jest ich miejsce...

Taki objaw mściwej nienawiści nie mieścił się w sferze objęcia korepetytora duchowego. Widać było, że to jest afekt ślepy i niezwalczony, jak sztylet skrytobójczy. Postanowił tedy Ryszard, że trzeba wytrącić go afektem równym, bronią odpowiednią, a potem ten drugi oręż wetknąć w dłoń rozognionemu duchowi. Wyprowadził Pipelesa za miasto i tam narzucił się nań z faktami i cytatami. Oto, co mu rozpowiadał:

W roku minionym święta chrześcijańskie i święta żydowskie schodziły się i stykały swymi okresami w ten sposób, że dla żydowskich handlarzy zbożem przepadały dwa jarmarki wiosenne na zboże, co powodowało nieobliczalne dla nich straty. Handlarze ci wyjednali sobie wobec takiego stanu rzeczy od rabinów pozwolenie i prawo płacenia wieśniakom za zboże zarówno przed świętami, jak po świętach połowę ceny zwykłej, ażeby straty wyrównać. W całej południowej połaci Królestwa na ostatni jarmark przedświąteczny chłopi zwieźli żyto na sprzedaż do miasteczek, zamieszkanych wyłącznie niemal przez żydów, lecz zamiast sześciu rubli za korzec, dawano im zaledwie — trzy. Pomimo tedy nadchodzących świąt i żelaznej konieczności kupienia czegoś dla dzieci — wieśniacy wrócili do dom ze zbożem. Po świętach zarówno żydowskich, jak katolickich znowu na targ do tychże miasteczek przywieźli swe żyto. Lecz i tym razem dawali im żydzi-kupcy tylko po trzy ruble za korzec. Nie było wyjścia. Kilkakroć sto tysięcy korcy żyta sprzedano po trzy ruble, gdyż ani jeden handlarz, wskutek pozwolenia rabinów i powszechnej zmowy, nie dawał za zboże więcej.

— A więc — krzyczał Nienaski na Hersza, wygrażając mu pięściami, — chłop orze, wozi nawóz, bronuje, sieje, dogląda, żnie,

młóci, milion razy schyla się i dźwiga, moknie na deszczu, praży się na upale, przemarza do kości na mrozie, krwawym swym znojem wydobywa z ziemi pokarm rodu ludzkiego, ten święty wybuchowy materyał, który utrzymuje życie istot, ten zbiornik energii słonecznej, głębokie i niepojęte ucieleśnienie tajemnicy czynności chlorofilowych, bez czego zamarłby świat, — a ludzie siedzący bezczynnie, próżnujący, spiskowcy przeciwko pracy tamtych, zabierają połowę własności, biedną połowę nagrody?...

Pipeles usiłował przyjść do słowa, lecz Nienaski krzyczał:

— Cóż z twej bezpłodnej nienawiści, z twojej tępej zemsty? Tam idź! Wyjdź naprzeciwko rabinów i spisku pasorzytniego kupców! Wyzwij ich i sam wlecz wszystkich przed ołtarz! Postaw ich twarzą wobec Boga, do którego się modlą. Weź w rękę ten miecz nienawiści do nikczemnego ich czynu i uderzaj! Czy ty słyszysz, co do ciebie mówię? Czy jesteś taki sam, jak tamci?

Hersz wyprężył się, niemal wygiął. Oczy jego stały się zaciekłe, krwawe, bezdenne. Z pianą, która mu się zacinała w kątach ust, wywrzaskiwał:

— Dlaczego ja to mam robić? Dlaczego ja? Jeżeli ja to zrobię, to gdzie się podzieję? Kto się za mną ujmie? Czem ja będę, gdy się za mną już nikt nie ujmie?

— Człowiekiem będziesz! Staniesz się człowiekiem! — wrzeszczał na niego mentor. — Człowiekiem! Słyszysz to? Rozumiesz? Masz ze siebie zedrzeć brud, wyprzeć się udziału w spiskach przeciwko bliźnim ludziom. Nie będziesz uprawiał wyzysku pracy, nie będziesz się organizował z innymi do takiego wyzysku!

— Jeżeli ja się żydów wyprę, to i oni się mnie wyprą. Cha — cha... Ty kpisz! Kto, oprócz ciebie, oprócz Brusa, widzi we mnie »człowieka«? Mnie biją w twarz z obu stron, mnie plują w oczy, mnie targają za uszy, za włosy, za nos, kopią w kałdun. We mnie niema »człowieka«, bo ja nie jestem dla nikogo człowiekiem. Jeżeli ja się jeszcze i żydów wyprę, to będę mieszkał w polu, jak zając. Wszystkie psy będą mnie wtedy gonić, żydowskie i chrześcijańskie...

— Więc będziesz taki sam, jak tamci, o których mówiłem? Odpowiadaj!

— Słuchaj, Ryszard... Jabym musiał zbadać tamtę rzecz, jabym musiał usłyszeć i zobaczyć z tamtej strony. Każdą rzecz trzeba zobaczyć z obu stron. Pozwól, ja tę rzecz zobaczę... — dopraszał się Pipek, biegnąc z boku obok Nienaskiego, który uchodził, krzycząc swoje:

— Zedrzyj ze siebie brud! Człowiekiem zostań! Człowiekiem!

W Moskwie Nienaski miał w bród roboty. Przedewszystkiem dużo lekcyi, z których się utrzymywał, wiele pracy w prosektoryach i całe niemal życie kolonii na barkach. Odrazu się tam na nim poznano. Zakładał stowarzyszenia i był ich, — jak to się w owych stowarzyszeniach mówi, — »duszą«, to znaczy, że wszystko za wszystkich robił, podczas kiedy inni prezesowali, wice-prezesowali i sekretarzowali. Pomagał, dźwigał, wspierał, zajmował się łagodzeniem kłótni, przebiegiem procesów, uśmierzaniem antagonizmów. Przyzwyczajono się bardzo łaskawie, wspaniałomyślnie, i szybko do tego, że Ryś jest i orze. Nikomu nie przyszła taka myśl do głowy, gdyż nie było to wogóle do pomyślenia, żeby wogóle ten Nienaski mógł nie tylko popełnić jakieś »świństwo«, ale żeby mógł i miał prawo czegoś »dla idei« nie podjąć, żeby się ośmielił jakiejś pracy nie robić, jakiegoś trudu publicznego nie wykonać i to od początku do końca, — żeby się on właśnie mógł od czegokolwiek wymówić i uchylić. Doszło do tego, że jeśli przyjezdny, lub przejezdny miał znaleźć mieszkanie, adres, przytułek, — odsyłano go do Ryszarda, jak do biura. Inni mieli »obowiązki«, »czas zajęty«, »masę roboty na głowie«. On zaś miał niejako poruczony sobie przez siły wyższe zakres działania, miał oddaną w ręce inicyatywę i wykonanie. Wiedziano, że to jest »facet pewny«. Przyzwyczajono się do jego cnót i cnotek, jak do prawa, któremu on podlega, jako do obowiązku, który na nim leży. Gdyby się był sprzeniewierzył swemu posłannictwu, oburzyłoby to było wszystkich, jak zdrada. Rozmaite pasorzyty siadały na społecznych cnotkach Rysia i zapuszczały korzonki łajdactwa w podatną glebę. Różne wiechcie ludzkie drwiły sobie zeń na potęgę, oczywiście, za jego plecami, żeby zaś nie cofnął podparcia, na którem owe wiechcie legały. Zalety Rysia, o których

mowa, nie były bynajmniej jakowymiś wytryskami świętości, albo fenomenalnymi objawy natury ludzkiej. Nienaski był człowiekiem, jak inni, owym człowiekiem pracowitym, którego się częstokroć widzi w tłumie ludzkim. W godzinie zamyślenia przychodzi się o takim do konkluzyi, że ma on coś z natury promienia słońca, wibrującego w mroku, — że mu nędza rzeczywistości musi stopy palić — i że go się brud codzienny nie tyka. Jest niewątpliwie wielu takich ludzi, jak ów Ryszard Nienaski, noszących po świecie w czynach nieskalaność natury ludzkiej i krzyk o ideał. Jeżeli ich nie widać zbyt wyraźnie, to dla tego oczywista, że kanalia zbyt jest liczna, zbyt sprytnie prace tamtych okrada i za swoje podaje.

Dużo miał roboty Nienaski — szczególniej w sądach honorowych. Są to sprawy trwające długo i w szczególnie wyraźny sposób uwydatniające głupotę ludzką. Sprawami temi przejmował się na seryo, sądził sprawiedliwie i występował w obronie uciśnionej niewinności na zasadzie wewnętrznego kodeksu, jak Minos i Radamantes, Ajakos i Triptolemos w jednej osobie. Wydłubywał jakowychś żmudzinów, kudłatych równie, jak zaciekłych, którzy byli przez jakichś łapserdackich polaków skrzywdzeni. Tych to żmudzinów, jako i innych kresowców, ogrzewał najczulszem ciepłem, hodował w zanadrzu, naszeptując bez końca i dopóty, aż się ich nienawiść przekształcała na fanatyczne znowu uwielbienie owej nieznanej i zwątlałej Polski. Ale nie tylko tyle! Pchał ludzi z dołów życia w górę, na światło. Miał swych pupilów-rówieśników, którzy pod jego tęgim kułakiem z wałkoniów, oberwańców, rozkiwanych dekadentów, niby-rewolucyonistów, wyjadających resztki po kątach i wyżebrujących tak czy owak jałmużnę, — stali się ludźmi robotnymi, poszli na własną drogę, uczyli się i zarabiali na życie. Nadewszystko jednak miał stosunki w odległych przedmieściach Moskwy. Gnieździły się tam rodziny rzemieślnicze i robotnicze, gdzie już język dogasał, gdzie dzieci nie rozumiały rodziców i mówiły tylko tamecznym językiem, — albo odwrotnie. — Tam i sam kwitł jakiś samotnik, urzędniczyna, konduktor, wykolejeniec z kraju, zapominający o nim sklepikarz, szewc, krawiec, pocztylion, właściciel garkuchni. Bardzo wielu było żołnierzy. Wszystko to Ryszard

znał, wszystkich odwiedzał. Jakieś wciąż teatrzyki, zabawy, wycieczki, biblioteki, odczyty, wykłady, czytelnie...

Mieszkanie Ryszarda, składające się z dużej izby i małego przedpokoju, stało się wkrótce pewnego rodzaju parlamentem, sejmem, sądem, salą teatralną, hotelem, tancbudą, a nawet restauracyą. Przychodzili tam koledzy i nie-koledzy, żeby jeść, spać, siedzieć, rozprawiać, sądzić się, kłócić, a niektórzy poprostu — mieszkać. Zawsze tam kilku spało. Kładziono poduszkę pośrodku i na paltotach, czy szynelach sypiano z głowami opartemi na poduszce, podczas gdy korpusy ciał rzucone były w różne strony. Nie zawsze zresztą, gdyż były osoby nieznoszące sypiania na ziemi. Te osoby kładły się na łóżku gospodarza, z nim razem, lub podczas jego nieobecności. Zdarzało się, że Nienaski, ile można, posuwał się na posłaniu, ustępując miejsca przybyszowi, lub przybyszom. Ponieważ zaś trafiało mu się gościć w łóżku obywateli nieznanych sobie, z kurtuazyi przedstawiał im się tamże, na miejscu, w swem łóżku. Ale od pewnej nocy, gdy któryś z gości, waląc się spać do jego łóżka, na owe grzeczne rekomendacye z przekąsem zauważył, że nie jest to pora ani miejsce do wymiany nazwisk, lecz do spania, Ryś dał pokój owym towarzyskim ceregielom i sypiał z każdym, kto raczył zagarnąć część jego pościeli i chrapać mu nocą w ucho. Rad był, a nieraz uszczęśliwiony, gdy, ocknąwszy się rano, zastał przy łóżku swe buty, spodnie, kołnierzyk, krawat. Pożyczano bowiem chętnie odzienia, bielizny, nawet poszewek i ręczników. Zamieniano, pewnie przez nieuwagę, mankiety dziwnie brudne na czyste Rysiowe, — nie pytając o pozwolenie, wynoszono chleb, cukier i tytoń. Oprócz kolegów i wogóle uczącej się młodzieży przychodzili także różni »postronni«, działacze, przechodnie, bezdomni, wędrowni, nieszczęśliwi. Popularność i frekwencya lokalu wytworzyła jednakże niemożliwość pracowania, a nawet pobytu wśród tak licznego towarzystwa. Zbyt zresztą często i w kompanii zbyt licznej poczęli tam zaglądać »draniaszkowie«, szulery, złodzieje, sutenery. Zjadali, co tylko było, zostawiając po sobie dym, zaduch, brud i wszy. W myśl zasady, iż błędów ludzkich nie należy gwałtem odwracać, — w zgodzie ze swą naturą wesołą i łapczywą

na »kawały«, Ryszard nie był w stanie wyrzucać za drzwi kogokolwiek z gości. Zmuszony był przecież sam się poniekąd stamtąd wyprowadzić. Musiał przecie choć kiedyniekiedy prowadzić rozmowy mniej życiowe, ogólniejsze, lepsze, głębsze, czystsze z przyjaciółmi wybranymi, dopasowanymi umysłem i instynktami serca, z pewną — »cóż począć?« — elitą. Cichaczem wynajął drugi pokój, w innej stronie miasta. Tam miał zamiar uczyć się i obcować jedynie ze swoimi. W praktyce ów pomysł okazał się niewykonalnym. Przedewszystkiem wytropiono to drugie mieszkanie w sposób zaiste niewytłomaczony, tak dziwnie sprytny, że tego rozum ludzki osiągnąć nie zdoła. Następnie poczęło tam zaraz bywać zbyt wielu z owej »elity«, która wskutek tego przybrała cechy mniej wyborowe. Zaczęły się znowu noclegi. Oto jeden z gości, — tych doborowych, — rozebrawszy się, okazał pod »smokingiem« przedziwny przyrząd. Jego bajecznej białości gumowy kołnierzyk i niemniej gumowe mankiety były, w braku koszuli, połączone systematem szpagatów, idących wzdłuż rąk i łopatek, od dziurek w mankietach do dziurki w kołnierzyku. Szpagaty trzymały w ryzach kołnierz i mankiety, bajeczny krawat zakrywał szyję i piersi... Jakże w takich warunkach było trzymać w szafie koszule »na zmianę«, a nawet własną nosić na grzbiecie?

Skończyło się na tem, że Nienaski u pewnego ubogiego człeczyny, gdzie był czczony i uchodził za pewien rodzaj Parakleta, wynajął mieszkanie trzecie, absolutnie zakonspirowane, — górkę nad tokarskim warsztatem, dokąd wstępowało się z samego warsztatu po schodkach, mocno przypominających drabinę. Miało to być miejsce li tylko nauki, samotności, pracy i rozmyślań. Rzecz była dosyć dobrze pomyślana, lecz w praktyce, jak każdy ideał, poczęty niepragmatycznie, — niewykonalna. Ryś poprostu nie miał czasu na bywanie w tem trzeciem mieszkaniu. Było ono idealnie zakonspirowane, lecz puste.

Nie wiadomo, jakby się było skończyło to mnożenie znajomości, stosunków i mieszkań, — gdyby nie pewna walna okoliczność. Zwrócono uwagę na fatygi, prywacye, na sposób życia Ryszarda, na rozmaitość jego działań i liczną zawsze świtę. Pewnej nocy po-

proszono go, żeby sobie znowu odpoczął, żeby się przeniósł z mieszkania mniej zakonspirowanego do lokalu odosobnionego najzupełniej, gdzie go nikt niepokoić ani nawiedzać nie będzie. Teraz Nienaski miał sposobność do przespania się w cudzem, a jednakże własnem łożu, i do zastanowienia się gruntownego nad sobą i światem. Trwało to jednakże dłużej, niż można było przewidywać. Doktór Brus, z którym nieustanna, (oczywiście, przedtem), trwała wymiana myśli, uczuć, przeżyć i zamiarów, musiał postarać się o wykopanie więźnia z opresyi. Znaleziono dlań jakieś stypendyum na zagranicę, fundusz na kaucyę... I oto Ryszard Nienaski znikł, niby senne marzenie. Jakgdyby wichrem porwany zwiał z Moskwy — wprost do Paryża.

— —

Zdążając do nowoczesnego Babilonu, czynił radykalne i niezłomne postanowienia. Najzupełniejsza zmiana rodzaju pracy, studyów, wykręcenie obyczajów na nice! A więc — zamiast medycyny — architektura. Zamiast bezpłodnego wysługiwania się ludziom — twórczy egoizm. Zamiast demokratycznego rozkładania się przed wszystkimi i każdym, kto tylko ma nogi do deptania po karku — władcze rządzenie ludźmi. Po przybyciu na miejsce dał się urzeczywistnić z całą bezwzględnością tylko pierwszy z tych imperatywów. Ryszard Nienaski wstąpił, jako nierzeczywisty student architektury do akademii *des Beaux-Arts* przy ulicy Bonapartego. Budownictwo od najwcześniejszych lat nauki było jego tajemną pasyą, palącem wewnętrznem uczuciem, tęsknotą, z której nie zwierzał się nikomu. Wstąpił był na medycynę, gdyż tak doradzał Brus, taki był pęd rzeczy i poniekąd obowiązek społeczny. Skończyć medycynę, zacząć praktykę wśród ludzi potrzebujących pomocy, do końca życia służyć nędzy, goić i leczyć... Teraz przyszło zerwanie z medycyną. Oznaczało to coś więcej, niż zwykłą zmianę rodzaju pracy. Była to scytyjska wojna wypowiedziana starym ideałom. Architektura! To znaczy — powrót do siebie, do swej sekretnej żądzy, do własnej manii całego życia. Otwarcie na ścieżaj drzwi do skrytego lochu, gdzie zamknięty był Ryszard Nienaski,

więzień altruizmu. Nie będzie już rysował pod sekretem i od niechcenia, ze szkodą dla studyów medycznych! Nie będzie się »wałęsał«, żeby próżniaczo patrzeć na potwory ludzkiego rozpętania, wzniesione z kamienia, marmuru, granitu, jak to było w Moskwie, kiedy opuszczał prosektoryum dla patrzenia godzinami na dzieło Fioraventi'ego!... Powrót do architektury — było to istne upojenie.

Zamieszkał w uliczce *des Beaux-Arts*, prowadzącej wprost we wrota akademii. Do tej izby, która mieściła się bardzo wysoko, nikt nie przychodził. Samotność, jak w celi moskiewskiej... Z okna widać było ciemną fasadę Luwru, kopułę akademii i dach szkoły sztuk pięknych. Przejmujący dźwięk zegara nieśmiertelnych — mierzył czas. Wokół były rojne i gwarne uliczki starego Paryża. Nienaski jadał obiady po franku w narożnej tawernie, w gronie istnej hordy artystów. Słuchał rozpraw o Gauguene'ach, Cézanne'ach, Matisse'ach, Picasso'ach, Van-Gogh'ach... W myśl decyzyi powziętej zawierał znajomości tylko z francuzami dla zupełnego opanowania języka i w celu uniknięcia jarzma społecznego ze strony polskiej. Godziny wolne od studyów poświęcał ścisłemu badaniu Notre-Dame, Saint-Severin, Sainte-Chapelle, Saint-Gérmain des Prés — i tak dalej. Po gromadzkiem, stadowem, a nawet tabunowem życiu w Moskwie, ta samotność była jakby nieustającem świętowaniem. Wmawiał też w siebie najzupełniejszą szczęśliwość, choć zarazem czuł, że jest przychodniem, jakoś nad miarę i nad potrzebę cudzoziemcem, niczem, — jakgdyby na wakacyach, czy w kozie... Zatapiał się w Paryż i tonął w tłumach. Zdarzało mu się siedzieć w kawiarni na bulwarach i doświadczać uczucia, że jest kamieniem, wystającym z morza. W tem olbrzymiem rojowisku ludzkiem skrycie, podświadomie tęsknił za ludźmi. Przypatrywał się objawom nędzy, upadku, bólu, łajdactwa, — a nic nie przerabiał, nie przetwarzał, nie szarpał w sztuki i nie budował wielkiej swojej architektury, nowego, wewnętrznego państwa, nowego miasta swej duszy. Było wspaniałe owo próżniactwo ramienia, — lecz zarazem ziewało z za niego jakoweś wstydliwe zdumienie — i nuda. Jakże to? Takiem ma zostać to olbrzymie rumowisko, ta kupa głazów?...

Pewnego dnia, gdy się wałęsał wokół opery, doświadczając szczególniejszego podniecenia, zarazem wzgardy i entuzyazmu, — wsysania czujnej duszy przez niepojętą, nienasyconą i niewysłowioną próżnię artyzmu, — zaczepiony został przez ludzkie indywiduum, wycierucha i nygusa, polaka czy rosyanina, mówiącego strzępami tych obydwu (jak wszelkich zresztą) języków. »Chodzik« zwietrzył w Ryszardzie wschód po ruchach, zaroście, paltocie, kapeluszu, stawianiu nóg i zadzieraniu głowy. Zaproponował z miejsca, czyby nie warto zwiedzić niektórych osobliwości miasta Paryża. W myśl niezwietrzałych nałogów nieprzeciwienia się złemu, Ryszard przystał. Ruszył w towarzystwie drapichrusta do prymitywnych osobliwości, jak »Monico«, dolna »Olimpia« i dolny »Panteon« z nagiemi lwicami — i tym podobnych cudeńków paryskich. Nie można tu zbyt szczegółowo roztrząsać przeżyć jego i doświadczeń, ażeby nie obrazić polskiego krytycznego oka i ucha, jak wiadomo, niesłychanie wrażliwego na »niemoralność« opisu niemoralnej prawdy. — Ryszard, powściągliwy aż dotąd w swych namiętnościach, z reguły ćwiczony w ich pokonywaniu, patrzał dość baraniemi oczyma na takie dziedziny »kultury łacińskiej«, jak scena teatrzyku »Scala«, amory mężczyzn z mężczyznami w »Palmyr's Bar'ze«, kobiet z kobietami na rue Fontaine, na defilady nagości i sprośne tańce. Nie mógł się zdobyć na zabawę. Był tylko widzem. Z zazdrością patrzał, jak inni widzowie istotnie bawią się, słuchając rozpustnych piosenek dziewczyn w »Monico« i patrząc na perwersye ich tańca. Nienaski czuł się do gruntu zawstydzonym nie tyle zjawiskami, na które spoglądał, ile swem prostactwem. Nie mógł się rozweselić, ale, co gorsza, nie mógł przejąć się powszechną wesołością pełnej sali. Nie były to wcale skrupuły moralne lub społeczne, lecz głęboki wstyd prostaka, który przypatruje się, jak się to państwo bawi i weseli, ale sam jest, chciwym wprawdzie widoków, lecz dalekim od samej istoty zabawy chamusiem z głębokiej polskiej dziury. Gdy wybuchał śmiech powszechny wskutek jakiegoś obrazu, śmiał się i on całą, — ale tylko — gębą, klaskał rękami, gdy klaskano, nawet podskakiwał w »Olimpii«, trzymając pod ramię spocone dziewczysko, które coś ryczało, popijając z jego

kieliszka... Lecz w gruncie, oprócz wstydu niezgrabnego ryfy z prowincyi, nie czuł nic innego. Dawał sobie jakby sekretne szturchańce:

— Bawże się, niedojdo! — patrzajże, jak się robi na świecie zabawę, jak się powinno weselić! — Lecz było to bezskuteczne.

Znajomość z nygusem ułatwiła Ryszardowi zapoznanie się w ogólnym zarysie z polskością w Paryżu.

Furfant oprowadzający był w gruncie rzeczy pochodzenia raczej polskiego, niż rosyjskiego. To też Ryszard z jego wynurzeń i facecyi miał mimowoli możność powzięcia wiadomości o polskich paryżanach. Trudno było w istocie o lepszego informatora. Dowiedział się, nie pytając o to wcale, gdzie tu kto mieszka, ile ma pokoi, jakim gdzie charakterem i temperamentem obdarzona jest odźwierna każdego z tych lokalów, jaki dochód ma ten a ten z panów polskich nad Sekwaną, jakich kto jest mniemań, do jakiej partyi zalicza się, lub jego zaliczają, jakiego jest usposobienia on sam, żona, dzieci... Z owego exposé chodzika wynikło, że Paryż gnieździ w sobie dużą kolonię polską, w czem kilkanaście rodzin magnackich o milionowych i krociowych fortunach, że jest tu wielu Polaków zamożnych, osiadłych, zarabiających dostatnio, że wreszcie daje przytułek dużej masie »bryndzy« polskiej, może zbyt dużej, jak na miasto tak wykwintne. W najniewinniejszej myśli, poprostu żeby przecie o czemś mówić z drabem, a zaprzysięgając sobie w duszy stałość w obojętności na objawy wszelkiego gatunku »bryndzy«, Ryszard zapytał, cóż jest z ową polskością, gdzie się to wszystko gnieździ, jak urządza, gdzie ma swe organa i instytucye?

Obwieś wyliczył natychmiast wszystko z pamięci: bibliotekę, szkołę batignolską, świętego Kazimierza, cześć i chleb, biuro prasowe, towarzystwo dam polskich, »klaudyę«, Sokoła i t. d. Ryś notował sobie w karneciku adresy tych nazw, nie wyłączając różnych garkuchni narodowych, ażeby zwiedzić wszystkie kolejno, poprostu, jako osobliwości miasta Paryża. Wśród wymienionych instytucyi, które w znacznej większości były funkcyami raczej przeszłości, niż teraźniejszości, a poniekąd tylko zabytkami wielce szanownymi, trafił, już bez pomocy oberwańca, na funkcyę życia dzisiejszego. Była to tak zwana »czytelnia«, gdzie mieściły się zarazem różne stowa-

rzyszenia ludzi pracujących i studenckie o zabarwieniu radykalnem. Tym stowarzyszeniom udzielała wspólnej gościny izba ciemna, wilgotna, o kamiennej posadzce, na trzeciem piętrze prastarego domu, w uliczce wybiegającej na pobrzeże Sekwany. Mimo tak złego pomieszczenia, biuro to było uczęszczane przez żywioł, tułający się po bardziej ciemnych i brudnych zaułkach. W owym czasie począł się był na szerszą skalę przejawiać napływ robotników rolnych do Francyi. Zjawisko to wynikło wskutek znanego ubytku ludności francuskiej z racyi odpływu sił pracujących ze wsi do miast, w szczególności do Paryża, oraz wskutek nadzwyczajnego nawału siły roboczej polskiej do Niemiec i obniżenia tam płacy tej siły. Różnoraki zwierz ludzki czynił sobie z tego przypływu polskich chłopów proceder zarobkowy, a nawet żerowisko. Utworzyły się tajemne biura, istne wnyki i potrzaski stręczycielskie, jamy handlu ludźmi, sprzedające za przystępną cenę »patronom« francuskim robotników rolnych z Polski. Farmerzy francuscy za pośrenictwem swych agencyi handlu niewolnikami zawierali umowy z chłopstwem, nie władającem językiem francuskim, i byli również przez te agencye tęgo oszukiwani. Zazwyczaj taka umowa tem się kończyła, że patron nie wypłacał najemnikom umówionej należności, albo ci uciekali z miejsca, nie mogąc znieść jadła, nie rozumiejąc rozkazów, dla braku kościoła w pobliżu i t. d. Ci zbiegowie ze wsi francuskich zazwyczaj trafiali do Paryża i tu wałęsali się po mieście, podobni do dzikich troglodytów. Spali gromadnie pod ławkami, pod arkadami mostów, w fosach i jamach podmiejskich, dopóki ich nie przychwyciła policya, lub właściciele owych biur pośredniczących, o których była wyżej mowa. W pierwszym wypadku trudno było dociec, co to za istoty. Odstawiono ich do biur policyjnych i kąpano pod przymusem, (co poczytywali za przygotowanie do kary śmierci), a później szukano po Paryżu jakiegoś organu polskiego, któremu można by było tych ludzi dać w opiekę. Lecz takiego organu nie było. Owa »czytelnia«, mieszcząca się wraz z wieloma innemi »stowarzyszeniami« w izbie na trzeciem piętrze, pełniła funkcye polskiej »ambasady«. Aczkolwiek ambasada przy każdorazowym transporcie zbiegów była w okrutnym kłopocie, co robić, wysyłała przecież nieszczęśników do

kraju, gromadząc fundusz na kupno biletów drogą składek doraźnych, studenckich, wydartych głodomorom innej kategoryi. Był to jednak wypadek pomyślniejszy, niż drugi, gdy owi pielgrzymi trafiali powtórnie w szpony agentów mojżeszowego wyznania, którzy ich już raz sprzedali byli patronom. Handlarze, potrzymawszy tę brać roboczą w jakimś tajnym składziku aż do chwili, gdy zupełnie z głodu, strachu, chorób i bezsenności »skruszała«, sprzedawali ją w inną stronę, innemu patronowi, za cenę tak nizką, do pracy tak ciężkiej, że owa tranzakcya kończyła się znowu ucieczką do wiadomego Paryża. Był to czas, kiedy chłopów polskich obdartych, brudnych, płaczących z rozpaczy można było spotkać w zaułkach miasta, albo widzieć ich w owej »czytelni«, oczekujących na dalsze koleje losu, posilających się, a nawet śpiących pokotem.

Inną kategoryę bywalców czytelni stanowiły miejscowe franty, sławne »chodziki«. Skończywszy obłażenie ludzi, mieszkających w Paryżu, ci gromadzili się tam, ażeby »czytać gazety«. Poto była ta czytelnia, żeby ludzie niezamożni mogli czytać polskie pisma, więc zarząd czytelni nie mógł nikomu zabronić wstępu. Tymczasem owo »czytanie« polegało na piciu gorzałki, zajadaniu kiełbasy i dyskusyach o zawodowych i kolegialnych sprawach chodzikowskich.

Wśród tego świata, obcując z nim nieustannie, przez naturę swego posłannictwa i urzędu, krzątały się istoty, jakby z innej przybyłe ziemi, jakby przez innego słońca promienie wyhodowane, jakby innem oddychające powietrzem. Wieczne katalogowanie ubogiej biblioteki, układanie pism na stołach, przecież z wiedzą, z tysiąca zaczerpniętą przykładów, że na tem porządnem ich rozpostarciu kłaść będą salceson, masło i stawiać piwo, a wśród zadrukowanych ideałów będą bełkotać o zawsze jednakiem podejściu dla wyłudzenia jałmużny... Sprzątanie izby po ich birbantkach i wycieranie plwocin z podłogi... Łagodne oddziaływanie, nieustanna i metodyczna propaganda »ideału« słowem nietrafnem, nieumiejętnem, anielsko naiwnem, przykładem wstydzącym się swej doskonałości, skierowanym do cynicznych i przebiegłych drabów, do wesołej i drwiącej ze wszystkiego kompanii, która wszystko przeszła i obeszła, poznała wszerz i wzdłuż, przenicowała wszelkie »ideały«, uwidocznione we wszel-

kich partyach,a której ze wszystkiego została pewna resztka, metoda »naciągania«, zdrowa i jedynie interesująca drwina z łatwowierności głupców, oraz pragnienie przeistoczenia wszystkiego na szynk i burdel... Działanie prawdziwie w próżni, beczka Danaid, popychana wytrwale, spokojnie, z odmówieniem sobie obiadu i poduszki pod głowę, bez jednego dnia wytchnienia, zawsze z tą samą ofiarnością przez błogosławione dusze polskie, kwiaty ojczyzny. Ryszard Nienaski przypatrywał się owym procedurom z pod oka i dosyć długo. Zawinąwszy się w płaszcz wysokiej obojętności, odszedł w swe strony. — Co mnie i wam, niewiasty? — mówił wyniośle. — Znał przecie to wszystko, umiał na pamięć tych ludzi i te stosunki... Jednakie były wszędzie. Lecz zbieg wewnętrznych, niezliczonych okoliczności zrządził inaczej. Pewnego dnia w gronie wielu osób czytał na Quai d'Orléans w dolnej sali biblioteki, urządzonej po europejsku, znakomicie, stanowiącej funkcyę nowoczesnego życia polskiego, gdy wszedł tam pewien człeczyna, żebrak, chodzik, czy zgoła prawdziwy nędzarz. Zwrócił się o pomoc do urzędnika, pełniącego swój obowiązek na katedrze czytelni. Wyłuszczał jakoweś dzieje, prawdziwe czyli zełgane, któż zgadnie? Biadał o głodowaniach w każdym wypadku ohydnych, o wyrzucaniu z hotelików, o głodzie, braku zarobku, o noclegu pod mostem katedry. Urzędnik słuchał cierpliwie cytowania rozdziałów tej niedokończonej księgi pielgrzymstwa, lecz cóż mógł dać temu rodakowi: osobistą jałmużnę, albo gazetę do czytania? Tamten prosił o pomoc, o jakiś adres, o wskazówkę, do kogo ma pójść, żeby mógł robotę otrzymać... Powiedziano mu w policyi, że w tem oto miejscu siedzą jacyś Polacy... Adres? A więc — adres taki, taki, taki...

Nienaski słuchał tego dyalogu i przyszedł do przekonania, że udzielanie adresów jest to praktyczna wskazówka, że należy »chodzić« według zebranych wskazówek, dzwonić do drzwi rodaków i szukać owej pracy, czyli w praktyce centymów jałmużny. Domyślił się, że koniec końców ta droga prowadzi do drzwi tamtej drugiej, małej czytelni w ciemnej uliczce i że sprawa oddana zostanie w owe ręce kobiece, ścierające tam co dnia kurz i brud po czytelnikach.

Taka bezwładność wydała mu się być czemś ohydnem i go-

dnem pogardy. Naród dwudziestoczteromilionowy, liczący do trzydziestu tysięcy swych przedstawicieli w tymże Paryżu, w tem mieście, gdzie pod cieniem zachodniej cywilizacyi wyhodowała się tragiczna polska myśl, wielka poezya i sztuka, nie może założyć dla swych dzieci biura stręczeń pracy? Gdy nikt tego nie broni, gdy to m o ż n a wykonać, gdy tego poniekąd panowie tego państwa żądają? Nie mieć domu polskiego, ścierpieć tę ohydę, ażeby reprezentacyą Polski pracującej, demokratycznej, dzisiejszej była ta nora na trzeciem piętrze? Ryszard zawrzał i wielkim krokiem wyszedł z biblioteki orleańskiej. Gmatwaniny sprzecznych wpływów, w których się zawsze wikłał, wśród których skakał, związany to z tej, to z owej strony swojej natury, jak to łatwo spostrzedz z dotychczasowego opisu jego przygód, wschodnie niesprzeciwianie się złemu i zachodnia nadętość osobnicza, szarpnięte teraz mocnym ciosem, musiały go puścić. Została w nim ta zasada wewnętrzna, która, mimo zwierzchnich pozorów władztwa takiej lub innej maksymy, rządziła jego uczynkami, to jest, mocna dobroć. Trudno tutaj będzie w krótkości przedstawić ogrom zabiegów, jakie wykonał, a nadewszystko zliczyć sumę kilometrów, krokiem przemierzoną i przebytą w m é t r o podziemnem. Zawieszona została na pewien przeciąg czasu architektura, badanie kościołów i pałaców, zwiedzanie Paryża. Zaniechaną została obserwacya prądu wewnętrznej filozofii... Znowu wiece, sejmiki, przemowy, oddziaływania!... Przedewszystkiem trzeba było wykonać czynność najprostszą: zwołać przedstawicieli instytucyi, gnieżdżących się w »czytelni«, do starej, jeśli nie jak świat, to na pewno jak wygnańcza bieda polska »Café Procope« na rue Ancienne Comédie. W tych nizkich izbach, o których ściany obijały się, jak wieść niesie, piorunujące mowy Dantona, a napewno debaty niezliczone wygnańczych stowarzyszeń polskich, okazało się, że »Czytelnia« składa się wprawdzie z wielu części, ale żadna z tych części nie ma ani grosza na płacenie lokalu i związane z nim wydatki. Okazało się także, iż rozmaite zgrupowania polskie studenckie, robotnicze, naukowe, kulturalne, pedagogiczne, (więcej zresztą nazwy, niż zgrupowania), gnieżdżą się każde w swym lokalu (nieopłaconym) i zadrogim na jego siły, że każde zakłada, oczy-

wiście, swą własną bibliotekę i czytelnię, każde na swój dochód piłuje ludzi odczytami, które się nie opłacają, gdyż zyski pochłania koszt sali, każde dąży do swych wzniosłych i dalekich celów, nosem się podpierając i stale nie płacąc komornego. Ryszard Nienaski w mowie długiej i, trzeba mu to przyznać, nudnie zawiłej, proponował, czyby nie należało pomyśleć o scentralizowaniu wszystkich, a przynajmniej większości owych poczynań w jednym »polskim domu«. Tamby się w oddzielnych pokojach mogły mieścić wszelkie stowarzyszenia, a nawet partye, tamże, w owym domu, nienawidzieć się i zwalczać, kopać pod sobą nawzajem doły, podobnie jak partye w gmachu każdego parlamentu, mając jednakże wspólną bibliotekę, czytelnię i salę odczytową. Marzył na jawie, żądając, ażeby w owym domu była na dole sala gimnastyczna, sala dla zabaw i wykładów, z której korzystałyby dzieci polskie, francuziejące masowo i nieodwołalnie, — na piętrze duża sala odczytowa, biblioteka, a wreszcie separatki stowarzyszeń...

W dyskusyi okazało się, że przedewszystkiem każde stowarzyszenie pielęgnuje w swem łonie jakiś »rozłam«, nieraz nawet zapuszcza sobie dwa rozłamy, albo i więcej, że rozmaite stare grupy żyją, a raczej zieją nienawiściami, nieprzewietrzanemi od dziesiątków lat, zaskorupiałemi zemstami, które częstokroć są jedyną racyą i motywem ich egzystencyi, — że są w tym świecie skupienia zezłoszczone wzajem na się i trzymające się jeszcze jedynie na przekór i dla dokuczenia innym. Wszystko to Nienaski już wiedział i, *mutatis mutandis*, widział. To go nie zrażało. W replice znowu perorował o swoim wynalazku, który na gruncie paryskim, jak mu »replikowano«, już dziesiątki razy był podejmowany bez skutku, gdyż — i tak dalej.

Przystępowano doń ze strony miarodajnej z żądaniem, ażeby przedstawił ów »milion«, który jest na taką imprezę domu potrzebny, a wówczas można będzie o szczegółach i planie dyskutować. On odpowiedał z należną skromnością, że nie tylko nie posiada miliona, lecz niezbędnych na składkę udziałową stu franków nie jest pewien. Natomiast oświadczał, że posiada entuzyazm, bez którego niepodobna do tej sprawy przystępować. Śmiano się poczciwie i z umiarko-

waną rubasznością z tej logiki, istotnie lekkomyślnej. Jednakże w sferze ludzi pracy i w umysłach kilku inteligentów te zapatrywania znalazły oddźwięk, a może zbudziły przymusowe i sztucznie uśpione myśli. Stało się, że kilka jednostek zawarło pewien rodzaj niepisanego paktu w celu forsowania idei »domu«. Z owych paru z biegiem czasu odpadło. Jak to zawsze bywa, — zostały dwie, trzy osoby. Zaczęła się praca niewdzięczna i ciężka. Trzeba było szukać owego »miliona«, o który się dopominano. W towarzystwie współwyznawców tej samej myśli, znających Paryż i obdarzonych talentem dyplomatycznym, Ryszard począł wydeptywać schody zasłane dywanami, wysiadywać w poczekalniach milionowych, krociowych i dorabiających się rodaków, — i perorować wobec słuchaczów »głuchych«, albo, zaiste, na duchu »umarłych«. Do czegóż to bowiem namawiał, dokąd znowu zawracał tych ludzi, którzy przylgnęli do nowoczesnego Paryża, do najwygodniejszego z siedlisk zbytku, do tego hotelu świata bogaczów, urządzonego najznakomiciej? Ich, którzy się najdowodniej przekonali, że Paryż, stolica państwa i rządu demokratycznego, przedmiotu pożądań rewolucyonistów tylu pokoleń, może być i stała się stolicą rządu takiego samego, jak wszystkie inne, nawracał i namawiał do utworzenia reprezentacyi »Polski« — fikcyi poetów i marzycielów, o której w głębi siebie nie myśleli już nigdy, bo była dla ich rozumu, wyćwiczonego na przykładach nieskończenie doskonałych i wielorakich, sprawą nazawsze przepadłą. Proponował przecie, ni mniej, ni więcej, tylko zlepienie tego, co się już na piasek rozsypało, utworzenie w Paryżu społeczeństwa, zorganizowanie małego narodku polskiego z żywiołów rozpierzchłych i przylegających każdą drobiną do jednogatunkowej obcej drobiny. Chciało mu się ambasady wszystkiej polskości, widomej i czynnej instytucyi życia, które w istocie było całkowite i wielorakie, jak we wszelkiem społeczeństwie cywilizowanem, lecz już nie chciało mieć żadnej własnej funkcyi. Jakże dla ludzi trzeźwych mógł wykwitnąć organ taki na ziemi cudzej, kiedy go nie było w ojczyźnie? Do czego miał się przyczepić wewnętrzną pępowiną ten płód marzycielskiej miłości? Patrzano nań okiem spokojnem, nieraz zaszklonem współczuciem, czasem — żałością, najczęściej chytrem, a jakże wielekroć

obłudnem i sobaczem, zaiste burżujskiem! Pytano go, kto ów dom będzie tworzył, kto nim będzie rządził? Czy to będzie »czerwone«? Czy się stamtąd wypędzi »żydów i socyalistów?«

Ryszard nie kłamał. Mówił otwarcie, że to nie może być inne, tylko czerwone. Zapewniał z duszy, że będzie polskie, — to znaczy oparte na zasadach pisma, co tutaj, na tymże bruku dobrze złożone zostało o Polsce i dla niej — że będzie oparte na tem, co stąd dane zostało Polsce, jako wielki oddech powietrza czystego — na Mickiewiczu. Trudno byłoby przytoczyć spory, wyłuszczyć zabiegi i wybiegi dyplomacyi, finezye znajomości, charakterów, stosunków, okoliczności. Nie Ryszard, oczywiście, celował w tych dyplomatycznych misteryach, lecz jego towarzysze. Nie znał przecie stosunków, sympatyi i antypatyi, koligacyi i dawnych intryg, wygasłych sojuszów i kłótni, spraw i sprawek każdej z osób, które były nawiedzane. Sam czuł tylko, że oto samochcąc stał się chodzikiem na wielką stopę, i że owi bogaci panowie nie inaczej, jak na chodzika spoglądają nań, wygłaszając takie lub inne aforyzmy, przychylnie lub odmownie zamykając kwestyę. Większość bogaczów dawała jednak podpis na liście, odczepne szczątkowego sentymentu, kiedy dusza była już gdzieindziej, w innym społecznym organiźmie. Niektórzy zgadzali się dać składkę, gdyż błyskała nadzieja asekuracyi od najść drobnych, codziennych łazików. Inni wreszcie widzieli w tym projekcie nową organizacyę towarzystwa dobroczyności. Mieszkali w Paryżu, który pozwala zapomnieć o wszystkiem, nie wyjmując owej jamy smutku, »kraju«, zajezdnego miejsca, kędy nocują wszystkie niedole... Doroczny obchód, jakiś tam bal na jakiś tam cel, uroczyste posiedzenie, poprzedzone nudną, stereotypową mową matadora, nieunikniona składka, która jest poprostu rubryką w liście kosztów pobytu. Właściwie mówiąc, szczerze pomagał w całej tej sprawie jeden tylko człowiek, stary bogacz, nazwiskiem Ogrodyniec, jak mówiono, milioner. Był to krewny Nienaskiego, nieznany mu i obcy. Pochodził z Litwy, a jak się okazało, był stryjecznym bratem babki Ryszarda. Przybywszy do Paryża za młodu, rzucił się w wir interesów, przedsiębiorstw, giełdy. Na obczyźnie spędził życie, dorobiwszy się wielkich pieniędzy. Miał tu ogromne domy dochodowe, place nad morzem,

jakoweś przedsiębiorstwa. Mieszkał w dzielnicy Passy, gdzie posiadał willę wspaniale urządzoną. Gdy Nienaski pierwszy raz tam zawitał, pan Ogrodyniec, rozgadawszy się o pochodzeniu i rodowodzie, ucieszył się bardzo. Grzecznie szastał przed swym młodym krewniakiem nogami, jak dobrze wychowany kawaler dawnej daty i mody. Był to starzec bardzo już wiekowy. Jego łysina była żółta, jak wyschnięta kość, a twarz pomarszczona i ciemna. Siwe, srebrzyste włosy dookoła łysiny i na twarzy jeszcze bardziej podnosiły zgrzybiałość skóry. Ogrodyniec miał nos niegdyś przetrącony, czy zepsuty, co jego twarzy nadawało cechę ponurości. Lecz oczy starca, patrzące z poza okularów, były żywe, przychylne, a nawet ładnego, bladoniebieskiego koloru. Ubrany był w jakoweś workowate, drogocenne, kortowe majtasy, które przydeptywał u dołu piętami, i w marynarkę tak wysiedzianą, że tworzyła w tyle komicznie zadarty kuperek. W kołnierz i krawat modnego kształtu chowała się jego pofałdowana szyja, pełna przegubów, żył i jakichś torb, jak u żółwia, czy kondora. Ten to pan Ogrodyniec, niespodziewany »wujaszek«, cierpliwie i uważnie słuchał arcy-długiego wywodu Ryszarda, łykał ślinę, kiwał głową... Po wykładzie zaczął szczegółowo rozpytywać się o wszystko, a wreszcie zapisał swe nazwisko z dosyć znaczną »kotyzacyą« w rubryce. Odtąd przyjeżdżał pilnie i punktualnie na wszelkie zebrania, a nawet, — o, dziwo! — wdrapał się któregoś dnia do izby Ryszarda, oddając mu rewizytę.

Życzliwie również, choć bez czułości, traktował sprawę pewien inżynier na dorobku, karyerowicz w wielkim stylu, nazwiskiem Czarnca, — płacił składki, służył »radą i wskazówką...«

Po kilku miesiącach zabiegów zebrana została lista podpisów na składkę roczną, dająca kilkanaście tysięcy franków. Trudno z tem było zacząć budowę owego »domu polskiego«, lecz założone zostały i statutowo opracowane za zgodą obopólną, publicznie przedyskutowaną i zdecydowaną, dwa stowarzyszenia: tak zwana »Jedność« i »Praca«. »Jedność« składała się z ludzi zamożnych, ustosunkowanych i osiadłych. Miała się zajmować zbieraniem funduszów, które przelewane były do kas instytucyi pożytecznych, a przedewszystkiem do »Pracy«. Przedstawiciele tych dwu instytucyi nie

znali się ze sobą i nie widywali, gdyż wspólnych posiedzeń nie mieli. Porozumienie między nimi dokonywało się za pośrednictwem delegatów *ad hoc* wybranych. »Jedność«, co do swego zabarwienia, była najzupełniej biała, burżuazyjna i reakcyjna. Jednakże członkowie jej zgadzali się dawać pieniądze do kasy »Pracy«, ogarniającej całość »bryndzy« polskiej, a więc robotników, rzemieślników, emigrantów, wędrowców, biedaków, bezdomnych, i oczywiście, naprzekór zamierzeniom, a jednak przymusowo, — owych »chodzików«. »Praca« z natury rzeczy była najzupełniej »czerwona«. Na koszt »Jedności« wynajęty został dla »Pracy« lokal, w stosunku do dawnego wykwintny i luksusowo obszerny. Własną salę miała tutaj biblioteka, własną czytelnia czasopism, osobną salę na posiedzenia otrzymały korporacye, należące do tego instytutu. Nie wszystkie jeszcze cząstki polskości paryskiej mieściły się w tym »domu«, ale ich tam już zagnieździło się sporo. Już tutaj zewsząd przysyłano wszystkich rozbitków i owa »Praca« stała się centralnym punktem i organem życia demokracyi paryskiej w tych czasach. Co najważniejsza, zaczęła się tam w istocie forsowna i porządna robota. Każdy człowiek nieszczęśliwy, czy wygnany, szukający zarobku i kawałka chleba w Paryżu, otrzymywał w razie zupełnej biedy bony na pobyt i pożywienie w świetnym hotelu ludowym francuskim, gdzie miał na noc doskonale czysty numer, a we wspólnych salach pożywienie, kąpiel, czytelnię i rozrywki. Gdy on tam przebywał, starano się znaleźć dlań zarobek. Tą sprawą zajął się dobrany zespół demokratycznej inteligencyi i robotników, osiadłych w Paryżu, znających dobrze jego stosunki w fabrykach, pracowniach, warsztatach i sklepach. Praca ta była pełniona bezpłatnie, kolejno, w sposób dyżurowy. Początkowo jej zakres obejmował robotników miejskich, z czasem ogarnął i wiejskich. Ideą tej pracy było wytępienie chodzikowstwa i stręczycielstwa pokątnego, (w zakresie pracy na roli), oraz dostarczenie każdemu polakowi pracującemu roboty i opieki. Ażeby nie wpaść w jakikolwiek konflikt z interesami robotników francuskich i nie stać się przypadkowo rezerwoarem, dostarczającym materyału »żółtych«, zarząd »Pracy« postanowił każdego swego członka, któremu roboty dostarczy, przepro-

wadzać przez odpowiednich zawodów syndykaty francuskie. Po upływie kilku miesięcy w lokalu »Pracy« umieszczone zostało jeszcze jedno stowarzyszenie, mające na celu zabezpieczenie losu robotników rolnych, napływających do Francyi. W ten sposób jakiś cień zamierzeń naszkicowany został na placu paryskim. Było to małe i mizerne, lecz, jak wierzono, stanowiło początek. Wierzono, że dawne instytucye emigranckie, które z nowoczesnem życiem zbyt mały mają kontakt, z natury rzeczy będą musiały fundusze swe, częstokroć bardzo znaczne, a nawet wielkie, przelać do kasy »Jedności«, przez co zakres działania »Pracy« rozrósłby się do zamierzonych rozmiarów »Domu polskiego«.

Tymczasem wszystko inny wzięło obrót.

Stowarzyszenie »Jedność«, w celu uzyskania funduszów, któreby poważniej zasiliły jego kasę, wydrukowało odezwy do ogółu polaków w Paryżu. Wobec tego, że członkami tego stowarzyszenia byli ludzie w przeważnej większości bogaci, niezbyt skwapliwie uczęszczający na zebrania i bynajmniej nie płonący do działań wszelakich, — odezwy wydane pod firmą »Jedność« były echem mniemań jednostek redagujących. W enuncyacyach tych panował ton żebrzący o datki dla nędzarzy polskich. — W celu, widocznie, skokietowania sfer rządzących francuskich i uzyskania poparcia z tej strony, przewijało się zapewnienie, że robotnicy, przybywający z Polski do Francyi, nie wezmą udziału w życiu i walkach partyi miejscowych i zdala trzymać się będą od wszelkich zamieszek. — Co najgorsza, zjawiła się tam idyotyczna myśl zużycia robotników polskich do robót, a nawet kolonizacyi w Marokku.

Odezwy te, które ukazały się w druku, zanim »Jedność« mogła ich tekst oficyalnie zaakceptować, wywołały, a raczej rozpętały burzę, dawno gotową do wybuchu. Albowiem stowarzyszenie »Praca« i jego spółka z »Jednością« źle były widziane w sferach »czerwonych«. Sfery te składały się z robotników, którzy już w Paryżu znaleźli porządny zarobek, wynoszący częstokroć kilkanaście franków dziennie, — oraz z rozmaitych za-nos-wodzów partyjnych i różnych partyjnych magnifik na emeryturze. Po wyjeździe z kraju, żyjąc, najczęściej, z renty, albo mając tęgie za-

robkowe miejsca, ów sztab różnych partyi nie posiadał armii, którąby mógł dowolnie rządzić. W ruchu robotniczym francuskim nie brał prawie zupełnie udziału, trudno tam bowiem było wybić się na miejsce naczelne. W sferze życia polskiego nie było fabrykantów polaków, nie było tedy z kim walczyć. Aliści zjawiła się owa »Praca« i połączona z nią »Jedność«. Pokazał się tedy cień »burżuazyi...« Przez szeregi lat owi sztabowcy partyjni spoglądali z najzupełniejszą obojętnością na przedzierzganie się emigrantów robotników w »chodzików«, na biura stręczycieli ciała robotniczego, na straszliwe nędze wędrowców polskich, na ich noclegi pod ławkami skwerów i pod mostami rzeki. Ci społecznicy nie uczynili ani jednego społecznego kroku w celu jakiegokolwiek zorganizowania życia nędzarzy polskich i ulżenia ich doli. Niemądre odezwy »Jedności« stały się punktem przyczepienia, gratką i motywem wyjścia ze stanu biernego. Zwołany został wielki wiec, na który zeszli się wszyscy niemal robotnicy, mieszkający w Paryżu i cały radykalny odłam inteligencyi. Notoryczne chodziki, podszywając się pod miano i zawód robotników, wystąpiły z krytyką odezw »Jedności« i działań »Pracy«. Inteligencya zawodowa, która do »Jedności« przystąpiła i składkami swemi, nieraz znacznemi, byt jej podtrzymała, ochrzczona została ogólnem mianem burżuazyi, wyzyskującej robotników. Ktoś z kąta krzyczał, że »Jedność« okrada robotników. Ktoś inny zapytywał, jaki cel ma ta »Jedność« w udzielaniu funduszów na lokal i potrzeby »Pracy«, »bo skoro tych funduszów udziela, to cel w tem mieć musi«. Krytykowano w sposób zjadliwy, choć umotywowany i słuszny braki i wady początkowych zarządzeń owej biednej »Pracy«. Jednakże te wystąpienia były tylko symptomatami istoty rzeczy. Istotą rzeczy było dążenie do zniweczenia całej inicyatywy »Pracy«. Po co jakieś polskie biuro tego rodzaju, kiedy są francuskie syndykaty? Wszyscy przybysze z Polski powinni przechodzić przez syndykaty francuskie — i sprawa jest załatwiona. Pewien robotnik wystąpił z długą przemową, w której udowadniał, że on sam nie ma i nie uznaje ojczyzny. Wyszedłszy za granicę kraju, nigdy nie zwracał się do »rodaków«, lecz zawsze do towarzyszów, niemców, francuzów — i doznawał pomocy. »Oj-

czyzna moja, — mówił, — jest tam, gdzie znajduję najlepszy zarobek«. Proletaryusz, — dowodził, najzupełniej zresztą zgodnie z istotą rzeczy, — gdzieś się rodzi, gdzieś podrasta. Ale nie może tego miejsca, gdzie się urodził i wyrósł, polubić, ani nazwać swojem, ojczystem, bo ledwie je polubił, już musi iść z miejsca na miejsce inne szukać zarobku. Nie można wyżyć miłością miejsca, trzeba jeść choć za grosz chleba i mieć odzienie na grzbiecie. Proletaryusz wciąż szuka zarobku lepszego i poprawy swej nędznej doli. Przebywa tedy miasta, mija zbiorowiska fabryk, które dla niego warte są więcej lub mniej, zależnie od warunku, gdzie więcej albo mniej można zarobić. Przystaje tam tylko, gdzie nań czeka warsztat otwarty. Tam się tylko zatrzymuje, gdzie mu najlepiej. Tam też pracuje chętniej, żyje swobodniej i weselej, pojmuje dziewczynę i powołuje do życia dziecko. Bo nie ma przecie czasu dziecka hodować. Hoduje je bieda, ludzka łaska lub zepsucie, jakiś je rząd na żołnierza zabierze i o coś w dalekim kraju zabiją go obcy i niewiadomi ludzie. Tam to jest ojczyzna robotnika. Jeżeli w tem wałęsaniu się z miejsca na miejsce przebywa jakieś granice i inną jakąś gwarą witających go wyzyskiwaczów jego siły spotyka, — cóż go to obchodzi? Patrzy na inne nieco obyczaje i to go jeno rozrywa coś niecoś w nudzie życia. Chodzi przecie tylko o to, gdzie i komu sprzedać swą siłę i owoc jej, swą pracę. Robotnik ten pytał się z ironią, cóż to jest owa »ojczyzna?« Co to jest, naprzykład, ojczyzna francuska, którą się tutaj chlubią sfery bogate? Czy bretończyk tak dalece rozumie południowca i wiele ma z nim wspólnego, kiedy dotąd ani pierwszy ani drugi po francusku nie umieją — i trzeba ich dopiero przymusem uczyć tego »ojczystego« języka? Czy zbytki i przepych paryskiego milionera mają być takim skarbem dla nędzarza proletaryusza, ażeby miał za nie na wojnie poświęcać życie swoje, albo życie swego syna, — bić się na śmierć z kim? Z nędzarzem niemcem, lub z synem tego nędzarza? Każą proletaryuszowi z fabryki, żeby bronił interesu właścicieli winnic, albo pól, albo zamków, albo pałaców i kamienic, których ten człowiek nigdy na oczy nie widział. Rozkazują mu za swe interesy umierać jego wrogowie, wyzyskiwacze jego siły, grabieżcy jego zarobku. Każą mu walczyć i z kimże

to? Z towarzyszem z za niemieckiego kordonu, którego siły taksamo zostały wyżarte przez tamtejszych zdzierców...

Inny mówca znacznie już wyraźniej zwracał się przeciw samej idei »Pracy«. Twierdził, że biuro takie jest najzupełniej szkodliwe, ponieważ usiłuje podtrzymać klamliwe dzieło, do którego urzeczywistnienia dąży demokracya nowoczesna, to jest jedność klas. Jest to właściwie instytucyjka na pozór demokratyczna, a w gruncie rzeczy dobroczynna, czysto polska, tkliwie opiekująca się biednymi rodakami. Tę opiekę postanowili rozciągnąć panowie z Passy, z bulwaru Hausmana i innych nad ubogimi rodakami. Dla czegóż to? Ażeby tymi rodakami rządzić według upodobania, a nawet, jeśli chęć przyjdzie, sprzedać ich rządowi francuskiemu do kolonizacyi Marokka. Robotnicy, — dowodził ten mówca, — są jedyną klasą, która wskutek warunków swego życia i przez wewnętrzną intencyę swych usiłowań chce świat odnowić z gruntu, na warunkach zgoła innych, niż jego dzisiejsze, burżuazyjne podstawy. Robotnicy nie powinni znać nic innego, tylko te rzeczy własne: warsztat, zgrupowanie warsztatów, czyli syndykat, federacye syndykatów, giełdy pracy i *Confédération générale du travail.* Te objawy i potęgi swej siły powinni znać jedynie robotnicy wszelkiej mowy, którzy na ziemi francuskiej pracują, a więc i polscy. Te objawy swej siły robotnicy tutejsi uruchomiają i organizują do rewolty przeciwko wszechwładzy patronatu burżuazyi, która rozporządza się kapitałem i prawem do polityki. Czyż możliwą jest rzeczą, ażeby robotnicy polscy tutejsi nie stanęli ławą do współudziału? Wciąż wzbogacając funkcye tych swoich organizacyi, robotnicy wydzierają państwu jego prerogatywy. Przez strajki i propagandę strajku generalnego z godziny na godzinę wyszarpują kamienie z fundamentów gmachu kłamstwa. A cóż to chce czynić rękoma robotników to jakieś polskie zrzeszenie, ta »Praca«? Każe robotnikom przyjmować jałmużnę z ręki tej burżuazyi polskiej, co tu w Paryżu od dziesiątków i dziesiątków lat trwoni pieniądze, rękoma pracowników wydobyte z ziemi polskiej, każe przyjmować bony z rąk panów, jak w instytucyi dobroczynnej, umieszcza ich w fabrykach i warsztatach nie z poręki odpowiedniego syndykatu, lecz przez stosunki

fabrykanta z jakimś panem z jakiegoś polskiego biura. Któż zaręczy, że w razie strajku i w razie strajku generalnego, ci robotnicy polscy, dla uzyskania kawałka chleba, nie dadzą się zużyć za narzędzie, nie staną ławą przeciwko robotnikom francuskim, nie powiększą armii łamistrajków? Przecież zapewnia odezwa »Jedności«, przemawiająca w imieniu robotników, że oni nie staną do walki o wspólne robotnicze cele. Nadewszystko jednak, — powtarzał, — ta »Praca« jest szkodliwa, jako taka, jako instytucya oparta na fałszu nowoczesnej demokracyi, na jedności klas. Stwarza się przez powołanie jej do życia fałsz społeczny, jakieś polskie »ghetto« pospólne, nacyonalistyczne, kiedy robotnicy, którzy z ziemi polskiej przybyli na ziemię francuską, powinni przystać do odpowiednich syndykatów, powiększyć o swe piersi wypróbowane w walkach armię walczącą proletaryatu...

Grono kilku osób, inicyatorów »Pracy«, odpowiadało na te zarzuty i krytyki, dómacząc, że to stowarzyszenie założone zostało właśnie w tej myśli, ażeby zniweczyć i wysuszyć polskie »ghetto«, które, od dawien dawna przez nikogo nie poruszane ani niepokojone w swem gniciu, w Paryżu istnieje. Udowadniano, że jest zamierzeniem »Pracy«, ażeby wszyscy pracownicy polscy, którzy do Paryża i Francyi wogóle przybędą, przeszli przez jej księgi i zostali za jej pośrednictwem połączeni z francuską giełdą pracy i odpowiednimi syndykatami. Armia bowiem »żółtych« może się wytworzyć z żywiołu polskiego we Francyi tylko w razie nieobecności takiego domu polskiego. Któż to ma skierować analfabetę polskiego, który nie włada językiem francuskim i nie zna tutejszych porządków, po jego przybyciu w granice tego kraju, — do syndykatu? Czy to ma czynić urzędnik w bibliotece orleańskiej, czy urzędnik w małej czytelni, obadwaj zajęci umieszczaniem książek na pułkach i w katalogach, a bynajmniej nie robotników w fabrykach i instytucyach? Na zarzut, że »Praca« podoba się magnateryi i burżuazyi polskiej tylko dla tego, że chce krępować i wytępiać chodzików, odpowiadano pytaniem, czy nietykalność i prosperowanie chodzików tak są drogie dla krytyków »Pracy« — i z jakiej racyi? Zapytywano również, czemu osoby, które tak doskonale widzą wady tej nowej instytucyi, które

tak nieomylnie wiedzą, co robić z pracownikami polskimi, nie zajęły się dotąd przyłączaniem ich do armii walczącego proletaryatu francuskiego, najspokojniej cierpiały widok najpotworniejszego, najohydniejszego z handlów ludźmi i nie zajęły się nawet tem, żeby przy syndykatach francuskich utworzyć przynajmniej jakieś paralelki dla robotników polskich, gdzieby się ci ludzie mogli rozmówić i poinformować w zrozumiałym dla nich języku? Udowadniano przeciwnikom egzystencyi »Pracy«, że syndykaty francuskie nie mogą częstokroć dostarczyć roboty swym własnym członkom, tutejszym, czyli w skróceniu mówiąc, francuzom. Pytano, do jakiego syndykatu przyłączyć robotników rolnych, kiedy we Francyi syndykatów rolnych, po prawdzie, szczerze mówiąc, niema? Zapytywano wreszcie, gdzie podziać ludzi napływających wciąż z »ziemi polskiej«, którzy są niejako bezklasowi i bezsyndykatowi, naprzykład, lokajów, stangretów, kucharzów, biednych muzyków, pracowitych włóczęgów bez określonego zarobku, a gotowych wszystko robić, zgoła obdartusów do wszystkiego, którzyby przecie jeszcze pracować mogli i nieraz chcieli szczerze, w których się jeszc ludzka dusza plącze?...

Ale wówczas zerwała się burza. Robotnicy uświadomieni, dobrze jedzący, syci, nieraz wytwornie odziani, poczęli krzyczeć masowo, że oni nie chcą należeć do czegoś, co ma być towarzystwem dobroczynności, że nie myślą popierać tej »Pracy« i że się z niej wypisują. Ponieważ zaś to biuro mogło istnieć i mieć jakąś wartość o tyle, o ileby się przekształciło na instytucyę robotniczą, a więc o ileby ogarnęło całość polskiego świata pracy i miało jego poparcie, — inicyatorowie jego powstania zaproponowali, że skoro »Praca« obecna nie odpowiada życzeniom robotników, niechajże ją robotnicy sami wezmą w swe ręce, utrzymają i prowadzą, albo wreszcie niech ją rozwiążą i coś innego na to miejsce wytworzą. Ale niech co innego napewno wytworzą! Niech udowodnią, że zaczynają tworzyć niezwłocznie! Inicyatorowie założenia »Pracy« zaproponowali zerwanie stosunków z »Jednością«, odrzucenie jej pomocy na dzierżawę lokalu i wydatki z istnieniem takiego biura związane, oraz objęcie tejże »Pracy« przez samych robotników, skoro im spółka z tak zwaną

»burżuazyą« nie dogadza. Lecz wówczas jeden z wielkorządców partyjnych postawił wniosek przeciwny, mianowicie, żeby się pobierania funduszów z »Jedności« nie wyrzekać, pieniądze te brać — »owszem« — tylko nie wchodzić z tamtą instytucyą w żadne prawne stosunki i zobowiązania. Było to wyjście tak dowcipne i nowe, że sami robotnicy, stojący pod rozkazami tego doradzcy, nie głosowali za tym wnioskiem. Tylko on sam i dwie jeszcze osoby poparły go przez podniesienie ręki. Ryszard Nienaski siedział w kącie wielkiej izby, w dymie nieprzejrzanym z papierosów, w zaduchu nie do wytrzymania, w tym chaosie zdań, instynktowych okrzyków, wrzasków, sprzeczek na uboczu... Lampy gazowe pod sufitem przygasły od potwornego powietrza, istnego gnoju w przestrzeni. Trudno było dech złapać. Lecz nie fizyczne udręczenie przytłaczało go tego wieczoru. Nie odzywał się. Słuchał i patrzał. Był po stronie tych robotników. Rozumiał, co mówią. Tak, wszystko tak... Przytwierdzał. A przecie w mowie ich, w rubasznych, zaciekłych wykrzykach, w niezwykłych spojrzeniach, w niewybrednych dowcipach, we wszystkiem, cokolwiek mówili, czuł tylko materyalną ich racyę, jakiś chwilowy rezon i nad czemś przewagę. W sobie, przez wewnętrzną intuicyę, wiedział co innego. Nie umiałby zaprzeczyć żadnemu z przemądrzałych wywodów, które tak nieodparcie, czarno na białem okazały, że niemasz ojczyzny, a przecie wiedział, że to wszystko jest mizernie skłamane, i to od *a* do *zet*.

Do najbliższego towarzysza, który podrwiwał tęgo z owej »ojczyzny«, nachylił się i spytał ochrypłym głosem:

— A gdy pod Małogoszczem, wiecie, wtedy... A gdy tam biła się szlachta i różne niby »klasy«, tobyście także nie poszli? Siedzielibyście w domu, w izbie, w suterynie, na poddaszu? Patrzelibyście zdala i z góry, jak to tam Dobrowolski...

Tamten coś niechętnego mruknął. Wnet pokazywał sąsiadom tego »inteligenta«. Inteligent zasie czuł, że nie to rzekł, co należało, co chciał wyrazić, że nie ma racyi, aczkolwiek posiada w sobie prawdę o tej rzeczy, że wogóle niema tu o czem gadać. Pierwszy to raz w życiu wesoły Ryś Nienaski poczuł szczególniejszą boleść, bezsilną a do obłąkania głęboką zgryzotę. Jakgdyby się szatan pazurami

i zębami wszczepił w serce, uwiesił u niego i wżerał w nie coraz mocniej. Nie było rady, nie było środka, żeby dyndające jego cielsko od serca odtrącić, zmiażdżyć, zniweczyć, zabić.

Późno w nocy wyszedłszy z zebrania, przemierzał oświetlone ulice, wrzaskliwe i rozbawione rojowisko birbantów, nocnych nicponiów, nieszczęśliwych i prostytutek. Niósł wśród gwaru głowę swą, jakby rozbitą pałkami, w niej myśl zwieruszoną z posad. W upadku swym ta wiecznie radosna myśl straciła swą żywotność, prężność, polot. Stała się czemś zgoła innem, nie sobą, smutkiem. Coś istotnego, najgłębszą treść rzeczy ogarniała rozległą swą powierzchnią. Gąszcz nowych, niezliczonych rzeczy, ciągnęła w sobie, niby włok, który zagarnął muły i stwory dna głębokiego. Raz wraz wynurzało się, — jak popław, wskaźnik rzeczy, — przeświadczenie, że ludzie polscy skazani są na pracę w ciemnej próżni swego losu, a trudzą się, jakgdyby dla kogoś nieznanego, kto ze śmiechem patrzy wciąż przez »judasza« drzwi ich kaźni. Wspominał tych wszystkich ludzi, zamożnych, po których schodach tułał się, wstępował i schodził w ciężkiem upokorzeniu... Ich niechęć, ich odraza, ich abominacya do owej »Polski«, tak lub inaczej zamaskowana... A teraz znowu ta sala, pełna dymu, zaduchu i obłąkanych słów... Usiłował pocieszyć się myślą, że ci i tamci są to elearowie, że wszystko to tutaj nasiąkłe jest obcością, przyciągnięte przez obcy magnes... Śmiał się na wspomnienie żądania, żeby robotnik polski, gdy nogą stanie w Paryżu, koniecznie tutejsze, francuskie interesy miał na oku, żeby w gruncie rzeczy, w istocie faktu stał się Francuzem, żeby koniecznie zapomniał o Polsce. Zapomnieć o niej — nazywało się tutaj — stać na stanowisku międzynarodowem. A przecie oczywistą to było rzeczą, że kto o Polsce zapomni i staje we Francyi na gruncie niby międzynarodowym, ten się staje nie czem innem, tylko Francuzem. »Interesy robotników francuskich«... Ci z Polski byli obowiązani popierać interesy robotników francuskich... Niewolnicy, zawsze i wszędzie niewolnicy... Szloch poety, który na tym bruku tyle przemyślał, przebolał, zabrzmiał w duszy, niby głos przechodnia, niby okrzyk radosny, przyniesiony zdaleka:

»Tam, gdzie ostatnia stoi szubienica, tam jest mój dom i moja stolica«...

Jeszcze cztery razy zwoływana była na zebrania całość świata robotniczego w sprawie »Pracy«. Wynikła najśmieszniejsza pod słońcem sytuacya. Wydawało się ludziom, że owa »Praca« jest to właśnie wróg, czyhający na byt i dobro proletaryatu i że tu mieści się zamach na idee nowoczesne. To, co w gruncie rzeczy było najbardziej godziwym środkiem podźwignięcia pewnej kategoryi ludzi i wprowadzenia ich w sferę życia wyższego porządku, traktowano na skutek masowego złudzenia, czy zbiorowej złej woli, jakoby skombinowany i skomplikowany machiawelizm reakcyi. Sprawa tak dalece się rozwinęła, że na te wiece w kwestyi »Pracy« schodzili się przywódcy ruchu syndykalistycznego francuskiego, najbardziej włochaci i kudłaci mędrcy rosyjskiego socyalizmu i inni pisarze oraz doktorowie marxowskiej idolatryi wyrazu »walka klas« — przez swe życie, swe posady, salony, służbę i cały sposób życia zupełnie obcy światu robotniczemu, właśnie »burżuazya« najistotniejsza, tem bardziej wstrętna, że bezprawnie nadużywająca haseł, a do gruntu cudza głęboko bolesnej doli i duszy ludu. Biedne polskie biuro »Pracy«, kopciuszek wyniesiony przypadkiem na tak rozwidnioną scenę, nie wiedziało, co ze sobą począć. Ciągnęły się długie mowy w różnych językach dla udowodnienia, że taka instytucya z punktu widzenia prawdziwego interesu robotniczego nie jest potrzebna w Paryżu. Jeden z mówców francuskich szeroko tę rzecz uzasadniał.

Robotnik — mówił — jest twórcą bogactw w nowożytnem społeczeństwie, lecz z bogactw tych nie korzysta. Przeciwnie, ludzie, którzy nic nie mają wspólnego z wytwarzaniem bogactw, jedynie z nich korzystają. Robotnicy usiłują, oczywiście, zdobyć za swą pracę choć cząstkę wytworzonych przez się bogactw. Grupują się tedy i jednoczą. Ponieważ zaś posiadacze skarbu nie ustępują dobrowolnie ani jednej z niego okruszyny, robotnicy muszą walczyć. Walka ta skierowana jest przeciwko »pracodawcom« i przeciwko państwu, które pracodawców wspiera i broni, albowiem z nich żyje.

Walka ta rozpada się na dwa sposoby i ma dwa łożyska. Jednem z nich w ciągu trzydziestu ostatnich lat toczyło się we Francyi usiłowanie zyskania od burżuazyi i rządu ustępstw w drodze przetargów parlamentarnych i w istytucyach tego rodzaju, co *Couseil sepérieur du travail.* Innem łożyskiem pędziły nieustanne wysiłki w celu wytworzenia niezależnego, autonomicznego życia syndykatów robotniczych w duchu allemanistycznym, które powołały do pracy *Bourse de Paris,* a później *Confédération générale du travail.* Do któregoż z tych prądów chce się przyłączyć, w które trafić łożysko »Praca«, ufundowana i wspomagana przez burżuazyę polską? Jak ją mają traktować świadomi swoich dróg robotnicy francuscy? Czy ona będzie sprzymierzeńcem, czy wrogiem w czasie walki? Czy stanie na gruncie idei, strajku powszechnego, która jest hasłem i zwiastunem odrodzenia świata?

Zarząd »Pracy« nie mógł odpowiedzieć na to pytanie, gdyż nie miał prawa dać odpowiedzi, ani twierdzącej, ani przeczącej. Nie to było funkcyą tego zarządu. Nie decydowanie o zapatrywaniu robotników w tej instytucyi zgrupowanych na ideję strajku powszechnego, lecz wyszukiwanie dla nich pracy i zarobku. Ta chwiejność złe sprawiła wrażenie. Robotnicy polscy, należący w przeważnej większości do znaku syndykalizmu francuskiego, szyderstwem powitali chwiejność zarządu.

Na pomoc mu niejako wystąpił z tłumu mówca niewiadomy i nieznany. Był to już starszy człowiek, wysoki, szczupły i wyschnięty blondyn z długą brodą, czaszką łysą i jak gdyby spaloną od słońca, z twarzą pooraną a raczej podeptaną. Mówił po polsku, językiem z rosyjska zaśmieconym i połamanym. Począł zjadliwie przedrwiwać wywody poprzedniego mówcy syndykalisty, utrzymując, że owe sławetne i sławione syndykaty i giełdy pracy zawojować jeszcze nic nie zawojowały, a pewnie i w przyszłości na hałasie skończą. Natomiast niewątpliwie rozbijają one świat pracy i biedy ludowej na dwie części, na robotników sytych i na ludzi głodnych, na »proletaryat« uprzywilejowany i na łachmaniarzy, nie mających prawa należenia do żadnego tam związku. Pomiędzy warstwami tych robotników płatnych i objętych przez prawo, a warstwą ludzi

niepłatnych, wyjętych z pod prawa, wynika coraz głębsza szczelina, która się tu i owdzie na świecie w przepaść zamienia. Pierwsi wytwarzają swe związki zawodowe i gromadzą w nich dosyć duże pieniądze. Dość powiedzieć, że w ciągu jednego tylko roku związki zawodowe niemieckie wypłaciły strajkującym członkom swoim blizko sześć milionów zasiłku. Tymczasem nędzarskie klasy »społeczeństwa« nie są w stanie nic »oszczędzać« dla wytworzenia kasy związkowej. Tamci z syndykatu — i ci z pola, czy z podwórza — to dwie kasty. Syndykaliści i anarchiści, markiści najbardziej ortodoxyjni, »bolszewiki« i »esery« nie życzą sobie wytworzenia buntu wszystkich o chleb, o pieniądze burżuazyi, o zniweczenie głodu i skasowanie nędzy. Nie życzą sobie oni jednego zamachu wszystkich nędzarzy i wszystkich robotników pospołu. Wszyscy ci partyjni panowie marzą na jawie o »przyszłym ustroju«, o przyszłej organizacyi pracy. Zajęci są tem nadewszystko, w jaki sposób zabezpieczyć ów przyszły ustrój od wytworzenia się w nim nowych eksploatatorów pracy i nowej burżuazyi. Nie żywych, dzisiejszych ludzi mają na oku ci nominaliści nowocześni, lecz swój przyszły »ideał«. Są to religianci nowego świata. Kapłani starego zapewniali swych nędzarzy, że zapłata ich nie jest na tej nędznej ziemi, siedlisku bogaczów, lecz obfita jest w niebiesiech. Ci kapłani nowego świata zapewniają swych nędzarzy, że zapłata ich jest nie dziś, lecz w »przyszłym ustroju«. To też ci wszyscy wieszczkowie przyszłości należą nie dość, że do obecnego świata burżuazyi, lecz są reakcyonistami. Ich to mistrz właśnie, Karol Marx powiedział, że kto przewiduje przyszłość zbyt szczegółowo, przewiduje ją na podstawie przeszłości, a więc sam jest człowiekiem przeszłości, reakcyonistą, a nawet człowiekiem wieków średnich, bo świat dzisiejszy wyrasta z wieków średnich i oparty jest o nie, jak o fundament. Jakże to mozolnie mędrcy socyalistyczni łamali sobie głowy, żeby w przyszłym ustroju nie odżyli grabieżcy pracy ludzkiej! Radzili tedy jedni, żeby zgoła porzucić świat złotego cielca i w dalekich pustkowiach, na wyspach samotnych tworzyć wspólnoty na zasadach komunizmu. Rozbiły się i rozleciały te sny czuwających. Radzili inni, żeby utworzyć własny bank, własną giełdę i wymieniać produkty pracy ludowej bez pośre-

dnictwa kapitalistów i kupców. Ale te przedsiębiorstwa runęły. Poczęli tedy nawoływać jeszcze inni, żeby przedewszystkiem tworzyć rzeczpospolite, gdzieby władza polityczna przeszła w ręce ludu. Miała to być dyktatura proletaryatu i podwalina »przyszłego ustroju«. Zburzono trony i zaprowadzono rzeczpospolite, lecz oto władza dostała się nie do rąk ludu, lecz właśnie do rąk bogaczów. A więc socyalni demokraci radzą, żeby demokratyzować maszynę państwową, wybierać jaknajwięcej deputowanych socyalistycznych. I oto, gdy w Niemczech tych posłów socyalistycznych zasiada w parlamencie rzeszy setka z górą, to państwo jest najbezwzględniejszą ostoją reakcyi, postrachem narodów, koszarami militaryzmu, zaborcą i gwałcicielem praw ludów, twierdzą despotyzmu, a sami ci posłowie zapewniają nieustannie swą władzę, że nigdy »na ulicę nie wyjdą« i nigdy się nie pokuszą o zburzenie tej twierdzy despotyzmu. Socyaliści-politycy nawołują we wszystkich krajach: zdobywajcie prawo powszechnego głosowania równe, tajne, bezpośrednie... A gdy to prawo zdobyte zostanie, powiększa się tylko ilość urzędników, pobierających dla siebie pensye z zarobków ludu. Ze wszystkich poczynań socyalistycznych wynika tylko jedno niewątpliwe: tasama ludu nędza. Przybywa tylko »inteligencyi«, rozprawiającej o przyszłym ustroju, a żyjącej z pracy mas okradzionych. Takasama wciąż bieda przesuwa się przed ich oczyma i wałęsa pod ich oknami. Wciąż ci sami są ludzie brudni, spracowani, cuchnący, zrozpaczeni, okrutni, grzeszni wskutek swojej niedoli. Obecnie rewolucyjny syndykalizm we Francyi i we Włoszech, oraz przyczepiony do niego anarchizm, głosi potrzebę i nadzieję strajku generalnego. Tym »mytem« rewolucyi socyalnej usiłuje zalepić straszliwą ranę świata. Związki zawodowe, w których łonie i za których pośrednictwem ma się ta rewelacya dokonać, istnieją pod okiem rządów sprawowanych przez burżuazyę, oraz przez jej popleczników, socyalistów politykujących. Ci przedstawiciele proletaryatu — jak to stwierdzają wszyscy konserwatyści, — są po przyjściu do władzy najzacieklejszymi i najmądrzej reakcyjnymi sługami reakcyi. Ci przebiegli karyerowicze, ex-towarzysze, znają przecie najlepiej zawartość kas związkowych, siłę samych związków i długość strajko-

wego ich oddechu. Ci doradzcy kapitalistów potrafią przez przetrzymanie złamać każdą grewę. Z matematyczną dokładnością wiedzą oni, którego dnia wielki strajk górniczy angielski ustanie, kiedy nastąpić musi odpływ siły ludu szwedzkiego w najznakomiciej nawet zbudowanym strejku. W ciągu całego stulecia panowie anarchiści nie zwrócili się nigdy do robotników bez pracy, do »lumpenproletariatu«, do »bosiaków«, do »baciarów«...

To przemówienie witały złowrogie pomruki zgromadzenia. Dawały się słyszeć jakieś nieśmiałe syki i eksklamacye. Ale skądś, z kątów podtrzymywały je — i oklaski.

Ryszard po tem przemówieniu, które miało podobieństwo do głowni rzuconej na palne materyały, uczuł, że należy wyłożyć myśli, nasiąkłe od pasyi i nocnych zgryzot. Zażądał głosu i otrzymał go w tumulcie i wpośród głośnego swaru całej sali. Poprzedni mówca kończył rzecz swoją oświadczeniem co do biura »Pracy«. Traktował je, jako nicość, mdłą i śmieszną paliatywkę, coś w rodzaju angielskiego plasterka, przylepianego na wrzodzie syfilitycznym... Gdy przyszła na Ryszarda kolej przemawiania, pożałował swego milczenia. Było już jednak zapóźno. Uciszyło się. Trzeba było mówić. Jąkając się i plącząc, z ową nieuniknioną, a tak fatalną łezką w tonie głosu, która sama jedna mogła zdecydować o przegranej, Nienaski w tej sali, pełnej zaduchu, dymu, nienawistnego sapania, a próżnej współczucia, począł dowodzić o potrzebie, o konieczności zarówno »Pracy«, jak »Jedności«. Wywołał zaraz atmosferę odrazy. Powoływał się na ostatniego mówcę, co sprowokowało szczere i serdeczne wokoło śmiechy. Niezrażony tem, coraz mężniej mówił:

— Cóż mi tam z tego, że tu w tej ohydnej sali, dobrze płatni robotnicy, niegdyś polscy, dziś francuscy, nieraz po piętnaście franków zarabiający na dzień, zadecydują, że »Praca« jest niepotrzebna dla bezdomnych nędzarzy, którzy obcym, francuskim językiem mówić nie umieją, którzy tu śpią pod ławami ulic miasta i pod mostami rzeki? Cóż mi tam z tego? Jakie po temu mają prawo ci towarzysze z syndykatów decydować o śmierci tamtych towarzyszów z pod mostu, lub z pod ulicznej ławy? Syndykaliści potępiają politykomanów z parlamentu Jauresów i Vaillantów za metodę ich walki, a sami

w imię metody swej walki, dla swego »mytu« generalnej grewy na nędzę, norę policyjną, a nawet na śmierć z biedy, lekkiem sercem skazują nędzarzy. Tamto nie są robotnicy! Tamto jest motłoch! Łazęgi, bezdomne mrowie! Otóż ja, Polak, mówię, że to są moi bracia Polacy i dlatego ich losem zajmuję się z całą gwałtownością. Kto się tu ośmieli zabronić człowiekowi, ażeby pomagał bratu swemu unieść głowę, stłuczoną przez koła karocy bogacza, zbryzganą błotem, pierzchającem z pod kopyt jego koni? Słyszałem tutaj dowodzenie, że taki wysiłek podźwignięcia człowieka jest »szkodliwy«. Szkodliwy — dla kogo? Dla »mytu«. Przychodź i szepc mu w ucho hasła swego mytu, ktokolwiek chcesz, ale wówczas, gdy się już dźwignął z ziemi! Ale kto z was ma rękę tak szatańską, ażeby się ośmieliła podnieść na tego brata, kto z was skaże go na los dobrego towaru dla handlarzy ludźmi, kto z was odbierze mu tę ostatnią deskę ratunku, gdy w obcem morzu tonie? Przedmówca, ujmujący się za każdym człowiekiem ujarzmionym, zlekceważył i ośmieszył tę małą »paliatywkę«, tę »Pracę«. Nic dziwnego. On głosi hasło wielkiego przewrotu, ogarniającego kulę ziemską. Jakżeby mógł zwrócić uwagę na maleńką twórczą rewolucyę w parysko-polskim partykularzu? Bo to była przecie rewolucya, tylko twórcza, więc, według niego, nic nie warta. Lecz on tu głosił obronę nędzarzy, więc mu muszę oddać szacunek. Jego głos jest takim samym »mytem«, jak »rewolucya« esdeków, którzy cierpliwie obserwują koncentracyę bogactw i nie przeszkadzają złemu, nie sprzeciwiają się niczemu, co widzą, albowiem wszystko odbywa się według recepty i zbliża koniec — podobni w tem do rosyjskich »staroknižników«, którzy także cierpliwie czekają na zbliżanie się końca. Głos tego mówcy jest takim samym »mytem«, jak »*grève générale*« George'a Sorela i innych. Niechajże on pokaże nam ów napad nędzarzy na bogactwo. Rada i program — nic nie znaczy. Czyn tylko nie byłby złudzeniem umysłu, snem na jawie i »ideałem«, z którego tak się wyśmiewał. Trzeba nie głosów, nie haseł, i rad, i drwin, lecz czynów, choćby tak maleńkich, jak owo biuro »Pracy«. To nieprawda, żeby ono było z inicyatywy reakcyjnej. Bo zapytuję, z jakich funduszów buduje się gmachy, w których się mieszczą giełdy pracy? Z podatków, pobie-

ranych od burżuazyi przeważnie przez municypalności miast. My tu nałożyliśmy podatek duży na tutejszą »burżuazyę« polską i za osiągnięty fundusz założyliśmy małą giełdę pracy dla rodaków, przybywających do Francyi za chlebem. To biuro jest aktem postępowym, jest czynem rozumnym, jest zamierzeniem radykalnem, jest samym radykalizmem. Przychodź i szepc w ucho każdemu z członków tej imprezy, co tylko chcesz, ale dla swojego mniemania nie waż się odejmować nędzarzowi od ust kawałka chleba, gdy on jest głodny, — opieki, gdy jej nie ma! Syndykaliści paryscy pochodzenia francuskiego i polskiego z odrazą patrzą na tę »Pracę«, jako na organizacyę polską. Ja wiem. »Precz z ojczyzną!« Nie myślę polemizować... Tymczasem to właśnie biuro stoi w gruncie rzeczy na stanowisku międzynarodowej solidarności robotników, ono bowiem dba o to, ażeby przychodnie z ziemi polskiej nie zaszkodzili, — broń Boże! — robotnikom francuskim. Więc zapisuje ich do syndykatów i, przez samą swoją egzystencyę, przeciwdziała wytworzeniu się armii »żółtych«. Tymczasem syndykalizm francuski stoi na stanowisku czysto narodowem, najbezwzględniej i jedynie francuskiem. Czy on wie cokolwiek o doli i żywocie robotników polskich? Przez postawienie całej swojej teoryi związków zawodowych i metodę grewy powszechnej stwierdza on dobitnie, że tylko francuskie stosunki ma na oku, stwierdza to nie bez dumy, że jest to francuska forma socyalizmu. W Polsce nie wolno zakładać związków zawodowych, więc cóż tam ma czynić ta »francuska« metoda przeniesienia życia robotniczego i nadziei świata do syndykatów, hasło ich autonomii i cała *action directe?* Nic to nie obchodzi robotników francuskich, którzy jakoby nie uznają ojczyzny. Nie uznają oni w istocie rzeczy swego państwa dla tego, że się zawiedli na towarzyszach Millerand'zie, Briand'zie, Viviani'm, którzy tem państwem rządzą, a zamiast »walki klas«, głoszonej dawniej, głoszą obecnie »pokój społeczny«, wdrażany przez armię i policyę. Syndykaliści nie dbają o to, że chcą zniweczyć nie państwo, lecz ojczyznę, masom nieszczęsnym, które o nią muszą walczyć, bo bez niej plują im w twarz najeźdźcy, nie pozwalają na najprostszą organizacyę trudu, na najlżejsze polepszenie doli, na założenie owego właśnie

związku zawodowego pracowników jednego fachu. Syndykaliści francuscy nie uznają państwa, sprzeczają się ze swojem, ale pod jego osłoną, pod czuwającą bronią jego żołnierzy, istnieją ich związki, organizacye i nadzieje zburzenia tegoż państwa. Państwo, które chcą zburzyć, pozwala im organizować się, samo czyni miny i gesty, jakoby było organizacyą najbardziej przychylną dla robotników. Oświeca ich dzieci i prowadzi dobrze postawione szkoły całego kraju. Czy chce, czy nie chce, syndykalizm francuski korzysta z działań na całej linii tegoż rządu, który zwalcza. A gdyby zewnętrzny nieprzyjaciel dla stłumienia wolności syndykalistycznej, w chwili przypuszczalnego zniszczenia obecnej władzy we Francyi, naszedł jej granice, czy syndykaliści nie staliby się obrońcami tego kraju — i któż wie, czy nie chwyciliby się tychże środków obrony, co dzisiejsi ministrowie. Bo czemżeby walczyli z armiami najeźdźców, uzbrojonemi w mitraliezy i aeroplany, jeśli nie armią, uzbrojoną w mitraliezy i aeroplany? Syndykaliści nie obawiają się wojny, gdyż mówią, że jej nie będzie. Są zresztą tacy, którzy mówią śmiele, że im jest wszystko jedno, kto Francyą rządzi, francuzi, czy niemcy. Szczęśliwi! Nie znają niewoli. Twierdzą, że syndykaliści z tamtej strony Renu nie dopuszczą do wojny. O, skrzydlate słowo! Cóż Polska? Co wie o niej robotnik francuski, śpiewający *Internationale?* Robotniczego pogłowia, z kobietami, starcami i dziećmi — milion na kilkanaście milionów ludności. Siedmiomilionowa masa chłopów w samem Królestwie... A cóż o tem mówią pomiędzy sobą robotnicy polscy, przyszedłszy do Francyi? Nic. Po pierwsze zapominają o polskiej ziemi, gdyż tam jest źle, a tu lepiej. Tam niema praw, niema szkół, niema związków, a robotnicy nie mają ojczyzny i tam jest ich ojczyzna, gdzie im lepiej płacą w warsztacie. Zostają tutaj i mają powiększyć armię syndykalistyczną. Dobrze i słusznie. Lecz przecie powinni być ludźmi międzynarodowego poglądu. Cóż dadzą ze siebie tamtej, polskiej stronie? Czy tylko ten frazes, że i tam należy przenieść życie i nadzieje do syndykatu i słowem skrzydlatem zwalczać wszelkie złe, które nad światem robotniczym zawisło? Nie słyszałem tu nic z ich ust...

Wracając w nocy z tego zebrania, Ryszard Nienaski zstąpił do *métro* i oczekiwał nadejścia wagonu. Hala była niemal pusta. Duszny w niej nieustannie zapach czegoś jakby mydlin, daleki stały huk podziemiami pędzących pociągów, smutnie jednaki blask lamp elektrycznych — były jak gdyby tłem zgoła odmiennem od wspomnień rzeczy gwałtownie w duszy dokonanych. Nienaski zamyślił się nad nieudolnością swego przemówienia, nad wszystkiem, co mówili inni, nad istotą tych spraw. Nie zauważył, że obok niego na ławce siedział od dość dawna młody człowiek z tegosamego wracający zebrania. Ów młodzieniec był szczupły, dość porządnie ubrany, przystojny i zgrabny. Przypatrywał się z pod oka Nienaskiemu i poruszał niecierpliwie, widząc, jak ten jest zatopiony w myślach. Znać było, że ma zamiar wszcząć z nim rozmowę, lecz nie nadarza mu się stosowna sposobność. Tymczasem wpłynął do hali nowy tłum osób, a w nim również z zebrania wracający mówca, krytyk surowy wszelkich partyi i programów, na którego Ryszard w swem przemówieniu powoływał się tak niefortunnie. Człowiek ów chodził tam i z powrotem wzdłuż brzegu rampy, nie spostrzegając ani Nienaskiego, ani młokosa, który przy nim siedział. Tymczasem ukazanie się jego podnieciło ostatniego odwagę. Młody ów człowiek uchylił niezgrabnie kapelusza i zwrócił się do Ryszarda ze słowami wypowiedzianemi po polsku, ale o francuskiem brzemieniu i akcentowaniu wyrazów:

— Wracamy z tegoż zebrania...

— Ach, tak? — spytał zagadnięty.

— Pan zmęczony?

— Nie.

— Pociąg zaraz nadejdzie. Pan na *Italie?*

— Tak, jadę w tamtą stronę.

— A to razem jedziemy.

— Doprawdy?

— W tęsamą stronę jedzie także Złowski.

— Kto taki?

— Złowski.

Młody człowiek pokazał Nienaskiemu oczyma przechadza-

jącego się pasażera. Ryszard poznał w nim swego »przedmówcę«. W tymsamym czasie tamten zauważył obudwu. Uśmiech ironiczny, pełen cierpkości, świadczący o zamknięciu się w sobie, o marzeniach, pasyach i wiecznie fatalnych przeżyciach ślizgał się po wargach owego Złowskiego. Towarzysz Ryszarda pozdrowił go ukłonem i wskazał ręką wolne miejsce obok siebie na ławce. Żłowski z pewnem ociąganiem się, jakby odpychany obecnością ich na tej ławce, siadł wreszcie przy młodzieńcu. Nieznacznym i mało uprzejmym ukłonem pozdrowił obudwu i, ziewając dla ukrycia pewnej alteracyi wskutek tego zetknięcia, mruknął coś o pociągu. Młody zniweczył obojętność nastroju oświadczeniem:

— Ależ ciepło było dziś na zebraniu!

— Sala nizka, duszna... — wtrącił Żłowski.

— Nie o salę chodzi, tylko o atmosferę.

— Atmosfera... — półgębkiem mruknął, a raczej warknął tamten.

— Wyście nalali oliwy do ognia...

— Oliwy? Skądże znowu! Parę słów krytyki pod adresem białorączek-socyalistów i anarchistów, żyjących z renty...

— Och, wpadliście przecie po swojemu, z całą furyą i na syndykalizm...

— Tu serce boli!... Syndykalizm a syndykalizm... Panowie obadwaj jadą w tęsamą stronę, na *Italie?* Pociąg idzie, trzeba wsiadać.

— Pan mieszka w tamtych okolicach? — zapytał Nienaski.

— Tak, ja w tamtej stronie, na Glacier'ach... — rzekł Żłowski z grzecznością nieco nadmierną.

— Ja bo na *Arago...* — mówił młody.

— Nie jadłem kolacyi... — skrzywił się Żłowski. — Czy panowie nie znają w tamtych stronach jakiej zdrowej kuchni?

— Owszem... — rzekł Ryszard.

— A pan gdzie mieszka?

— W uliczce *Boulard.*

— O tam to już trudno co znaleźć. Same *buvet'ki.* Ale i ja-

bym chętnie zjadł kawałek mięsa... — mówił młokos żywo i wesoło.— Więc wszyscy trzej decydujemy się?

— Owszem. Chętniebym się odżywił po tych jałowych rozprawach i czczych frazesach... — uśmiechnął się Żłowski.

— W takim razie wysiądźmy bliżej, na bulwarze i zajdźmy do *Chartier*. Znam tam pracujących. Pomimo, że to już tak późno i dawno po obiedzie, dadzą nam dobre porcye.

— A, znakomicie! Skorzystamy z protekcyi... — zauważył Żłowski z ironią, nieuniknioną w każdem słowie, które wygłaszał.

— Z protekcyi? Nie! Dopomożemy do spełnienia aktu sabotażu.

— Zjadając trzy kotlety?

— Zjadając trzy zdrowe, duże, dobrze przyrządzone kotlety. Zaraz wam to udowodnię!

— Nazwa warta czynu, czyn nazwy. Ale wierzę na słowo. — Nadjeżdżający pociąg przerwał odpowiedź. Wszyscy trzej szybko wsiedli do tegosamego przedziału i zajęli miejsca. Pokonywując świszczący zgrzyt wagonów, gdy z platformy wtłaczały się w swój tunel, młody człowiek nachylił się do Nienaskiego i mówił:

— Nie wiecie nawet, obywatelu, kto ja jestem... Nazywam się Błaszczykiewicz. Dobre nazwisko jak na Paryż i dla francuzów — che?

— To prawda!

— Musiałem z całego nazwiska zatrzymać tylko cztery pierwsze litery — co robić? Nazywam się tutaj Blas.

— Jesteście emigrantem?

— Gdzież tam! Ojciec był tu już za robotą. Jeszcze z tych starych emigrusów, co to z Kunickim, z Waryńskim. Zawsze nam, dzieciom o tych rzeczach perorował. Ba, już nie żyje.

— Ach, tak?

— Zmarło mu się tutaj. Warsztat zostawił, — bo szewc był z fachu, — jednemu tutaj towarzyszowi, ten nas najtężej oszwabił, jak można, — no i tak, Paryż nas już wykarmił.

— Już Paryż?

— Powiedzieliście, że my są francuzi, patryoci francuscy. Nie macie żadnej racyi.

— Nie was też miałem na myśli.

— Tem gorzej, bo całą nową szkołę...

— Szkołę?

— »*Ecole nouvelle*« — mówię... O, Złowski już podrwiwa, jeśli nie słowem, to choć spojrzeniami i miną. A ja wam tu zaraz dowiodę! Będą tam u *Chartier* towarzysze...

Pociąg przystawał na stacyach przez chwilę, wyrzucał jeden tłum, zabierał inny — i mknął podziemiami.

— Będą tam u *Chartier* towarzysze, to się przekonacie...

— O czem ja się tam przekonam, o czem?

— Wy na inteligentów gadacie, a samiście inteligent!

— Jestem inteligentem z wychowania, lecz nie z zawodu. I co z tego?

— Wasza teorya jest inteligencka, — to z tego! Łatwo wam na papierze napisać: cały proletaryat niech wstaje, — wszyscy, bez żadnego podziału na warstwy, na rodzaje, — niech rozwala świat! Napisać to łatwo wam, inteligentom, ale jak to wykonać nam, ludziom, którzy zawsze wszystko mamy robić i którzy wiemy, jak robić? Nam, robociarzom!

Złowski milczał, patrząc na młokosa żelaznemi oczami. Rzekł wkońcu:

— To jest wykręt, nie obalenie mojej teoryi, tylko wykręt.

— A właśnie że to jest obalenie waszej teoryi.

— Nie.

— Ten, kto stawia zasadę, musi trzymać w rękach po pierwsze sposób, a po drugie narzędzie, czyli całą możność, i to całą od początku do końca, wykonania tej zasady. Co więcej, w tej zasadzie, którą się stawia, musi być zawarta moc jej rozwinięcia na przyszłość i spełnienia w zupełności. Zasada jest jak manometr na maszynie. W niej jest wyrażona cała siła i cała zdolność ogromu zagadnienia, jak w manometrze miara siły maszynowej. Wasza zasada to jest jakby manometr przybity na ścianie, — ale bez maszyny, którą wyraża. Takiej zasady niema po co stawiać, jak nikt

manometru bez maszyny nie umieszcza na murze. Chyba w jakiem muzeum osobliwości tego świata.

— E, z was, widzę, to filozof, nie robotnik. Jakiś pragmatysta, czy co u licha!... — drwił Żłowski.

— Wy sądzicie, że robotnik filozofią nie może się zajmować? U was tak, — albo bakałarz, albo czarny robotnik. A ja na złość wam, szkolarzom, jestem robotnik, który nocami czyta, chodzi, gdy tylko chwilę znajdzie wolną, na wykłady, słucha nawet Bergsona... Jako taki powiadam wam, że jesteście inteligent, pisarz, apostoł. Ale nam nic z waszej teoryjki nie przyjdzie, nam, do których należy ziemia...

— Zobaczymy!... — rzekł Żłowski.

— Wy jesteście człowiek mocny, to tak. My o was wiemy i pamiętamy. Cztery lata w tych tam jakichś krestach, jakby na krzyżu...

— O, już deklamacye...

— Dziesięć lat na sybirskich śniegach, kilka lat w tułactwie po zagraniczu, ucieczki, wypędzenia, życie czyste z pracy rąk. My nie zapomnimy!

— Dziękuję!... — roześmiał się Żłowski z dziwnie bezdenną pogardą, zupełnie jakby splunął przez zęby.

— Mówię wam szczerą prawdę, — ciągnął ów Blas, nachylając się ku niemu z nieuniknioną arogancyą »uświadomionych« robotników. Jego oczy rozumne, śmiałe, pełne prawdy i pewności siebie, pełne honoru i zapału nie ustępowały z twarzy antagonisty.

— Widzicie, tak, — mówił, — myśmy przecie wasze pisma przeczytali, a trzeba było tłomaczyć je na francuskie. Dużo my na to czasu stracili. A po przeczytaniu, po dyskusyi w naszem kole, powiadają ludzie: — et, gaduła! Ja was bronił, ale bez powodzenia. Szczerze wam to mówię, bo co w bawełnę obwijać? Jakież wy środki macie w ręku? Żadnych. Mówicie: przemień czarną secinę świata w rewolucyonistów, apaszów złącz z metalowcami, baciarów z elektrykami — i bij zabij! Jakże to może być? Zaręczycie wy, że ten apasz nie zrabuje zdobyczy proletaryackiej, dobra wspólnego i nie przywłaszczy sobie chleba głodnych, nie zakopie w ziemi skar-

bów, które przecie nie on stworzył? Skarb, który wy radzicie baciarom brać gołą ręką, całe pokolenia w nędzy zamarłych stworzyły. Czemu znowuż ma go dziedziczyć nie pokolenie potomków, lecz tylko ten jedyny rabuś?

— Już was trapi wizya przyszłości... Świat nędzy umiera dzisiaj z głodu, a ja się będę nad tem zastanawiał, czy jaki apasz nie zakopie gdzie czego! Nad tem to sobie głowy nie łamiecie, co się dziś dzieje ze skarbami ludu, gdzie je kto dziś w ziemi zagrzebuje. Jak wam teraz jest lepiej, mości socyalisto, to się trzymajcie swego teraz, z obawy, żeby jutro czego kto nie ukradł.

— Nie odpowiadacie na zarzuty argumentami, tylko swymi szablonami. Nie możecie mi udowodnić, żebym był »białorączka«, więc mi walicie na głowę kołpak »socyalisty«. *A la bonne heure!* Ja wam mówię o tem, że tylko robotnicy z warsztatu są twórcami, a więc i panami wytworu, wyrobu. Możecie zaprzeczyć? Wstrzymają warsztaty — i świat stanie. To dowód, czy nie? Drugi wam daję dowód: — w razie potrzeby, gdy im zechcą wydrzeć warsztaty przez nasłanie zdrajców, »żółtych«, albo żołnierzy — zniszczą warsztaty! A nawet ich nie zniszczą. Potłuc kilka butelek i rzucić zmiażdżone szkło w szczeliny rusztów paleniska wielkiego dreadnoth'a — i nie pójdzie!

— To może również zrobić baciar i apasz.

— Nie! To może zrobić tylko ten, kto zna mechanizm, jak swoje pięć palców. Sypnąć garść piasku w skomplikowaną maszynę metalowni i stanie. Rozlać dwa litry nafty na palenisko piekarni i na nic chleb, wypieczony przez renegatów.

— O, tak! To naraża patrona waszego na niemałą stratę oczyszczenia maszyny! Ale i franta, co to zrobił, na wyrzucenie z budy, a nawet na kryminał. Ta »rewolucya« dość szybko załatwia się i kończy — w u l u.

— Nie tak szybko, jak wam się zdaje. Dawno się ona zaczęła i nie prędko się skończy, być może, lecz jest jedynie pewną.

— Et!

— Kiedy dwaj Szkoci idą razem i, jeżeli jeden z nich biegnie zbyt szybko, drugi go ostrzega: idź wolno, nie śpiesz się — *go*

canny! To *go canny!* jest nasze hasło. Nie śpiesz się! Za złą pracę — zła robota.

— A bat od czego? Bata już się nie boicie, filozofowie?

— Jeżeli kto kupuje sześć koszul po dwa franki sztuka, ma zapałacić dwanaście franków. Dobrze?

— Dobrze, dobrze!

— Gdyby zapłacił tylko dziesięć franków, będzie miał tylko pięć koszul, albo sześć, ale w gorszym gatunku. Praca i siły robotnicze, to jest towar na rynku, takisam, jak koszule, jak masło, mięso, mąka, siła pociągowa koni i maszyn. Za złą płacę — zły towar.

— Tak. To jest przewrót nielada. To jest ciężkie zmartwienie dla pracowitych fabrykantów, którzy się »własną pracą« dorobili milionów. Ale oni to przeboleją i przetrzymają ten wasz przewrót — z księżą pomocą.

— Nie, tego nie przetrzymają! Wszystko, tylko nie to! Tu jest i wasza słaba strona. W tem się najzupełniej mylicie.

Ten najbardziej interesujący temat trzeba było przerwać dla zmiany kierunku drogi w Chatelet. Wszyscy trzej pośpieszyli wraz z tłumem dusznymi korytarzami podziemia. Wkraczali na schody i zbiegali na dół. Wreszcie trafili na halę i ujrzeli swój pociąg. Ten ich wkrótce przewiózł pod Sekwaną i wysadził na starym bulwarze świętego Michała. Idąc w górę ulicą, Nienaski zapytał obydwu z pewną zadzierzystością w tonie głosu, (która pokrywała nieśmiałość), a jednak w sensie prośby o wyjaśnienie:

— Przepraszam, że się zapytam... Gdy dokonane zostaną przewroty, o których była mowa, napaść na burżuazyę, czy grewa generalna — nie wiem...

— No-no! — podniecał go Błaszczykiewicz.

— Co się stanie wówczas z takiemi budowlami, jak tamta Notre-Dame, albo ta oto Sainte-Chapelle? Bo to ja jestem niedoszły architekt... Czy taka, naprzykład, budowla, jak katedra w Medyolanie...

— A co nas obchodzą jakieś kościoły? Nie wiem! Tamci ludzie zdecydują, co ma być.

— Kto?

— Tamci, mówię! — krzyknął ów Blas.

— Ci zdobywcy?

— Ci!

— A czemużeście dopiero co przeczyli obywatelowi Złowskiemu, żeby apasz skarbów nie dziedziczył? »Tamci« odziedziczą w ciągu dnia swego tryumfu prawo decydowania, czy ma być albo nie być katedra w Medyolanie, którą bezimienne tłumy artystów i robotników budowały przez pięćset lat?

— Zdobędą to prawo, nie odziedziczą! Alboż dzisiejszy rząd włoski nie zdobył prawa władania tą katedrą?

— Ależ prawo jednodniowych zdobywców byłoby najbardziej zbrodniczem przywłaszczeniem!

— Śpijcie spokojnie! Oni tam prawdopodobnie owe katedry otoczą balaskami i każą szanować. Tak przypuszczam. Mnie to nie w głowie takiemi myślami ją sobie zaprószać. Zresztą może w tych kościołach będą jakie socyalistyczne meetyngi, jak już były koronacye despotów — za to bym nie ręczył.

— Umiecie i wy żartować z pytań, które w sedno godzą.

— To pytanie chybia sedna.

Już restauracya Chartier była zamknięta. Ulice pustoszały. Tylko na bulwarze studenci francuscy — nadzieja ojczyzny, tężyzna narodu, — wyprawiali najdziksze i najordynarniejsze swe nocne wrzaski, włócząc się między, lub z prostytutkami od knajpy do knajpy. Złowski, którego twarz zniszczona od tortur ducha, w samotności cel więzienia, lub izb poddasza, przybrała w tej chwili rysy iście szatańskie, mówił na poły do siebie:

— Przyszli prokuratorowie, twórcy praw, sędziowie, obrońcy, lekarze, którzy ważą w ręku życie i śmierć, deputowani do parlamentów, rad i municypiów, właściciele ziemi, fabryk, narzędzi i pracy ludzkiej, wodzowie narodu, ojcowie rodzin, a nadewszystko twórcy opinii... Opinii, którą papa Renan nazwał mocą, równą mocy przyrody...

Szli pod górę bulwarem. Ryszard Nienaski zawzięcie teraz milczał. Słuchał, co się mówiło. Dla uniknięcia widoku dziewek

i słuchania ich wrzasków, skręcili w uliczkę i weszli do kawiarni starego Pascala. Zająwszy miejsca w dymnej, wązkiej izbie, zażądali posiłku. Nim porcye zostały przyniesione, Błaszczykiewicz począł nastawać:

— Złowski! chodźcie z nami... Jesteście nam potrzebni, jesteście w gruncie rzeczy nasz człowiek!

— Nie jestem niczyim człowiekiem.

— Mówię wam, Złowski!

— Nie schlebiam nikomu, ani żadnej zasadzie. Myślicie, że wam będę bakę świecił, w razie gdybyście szli za mną. Nic z tego! Zresztą, — jestem zecer, nie żaden pisarz.

— Jesteście filozof, nie żaden zecer.

— Jestem robotnik, taki sam jak wy! Robotnik nie z przymusu, lecz z wyboru zajęcia. Ale ponieważ mam duszę i głowę na karku, więc mojem zadaniem jest krzyczeć w niebogłosy na wszystkich rozstajach dróg, że są na ziemi ludzie głodni, bez dachu, bez odzienia, chorzy w rowach publicznych, że dzieci biorą w spadku przekleństwo nędzy, a chowają się wśród rynsztoków zbrodni i rozpusty! Dopóki to nie będzie skasowane gwałtownemi rękami dziś, natychmiast, będę krzyczał w niebogłosy, aż do śmierci! Piszę i sam drukuję to, co piszę. Oto wszystko. Co mi tam wasze romanse z przyszłością, o której zresztą tak samo nic nie wiecie, jak ja — i jak nic nie wiedział wasz papa Marx.

— »Papa Marx« — o kolosalnym siłaczu, o rycerzu, co swym logicznym wywodem, niby dźwignią Archimedesa poruszył starą ziemię, aż drgnęły jej przyciesi. Czy to nie wstyd?

— Nic mu tam nie ubliżam! Poruszył ziemię, no więc *sit ei terra levis*... Kazał czekać na rezultaty koncentracyi bogactw, na kraje-folwarki... Uczniowie czekają bardzo cierpliwie na ową koncentracyę. Nie przeszkadzają niczemu, żeby zaś czego nie zepsuć w tej maszyneryi, która sama tak dobrze idzie. Uczeń najwierniejszy, »sam Kautsky« powiada, iż »Nazajutrz po rewolucyi« robotnicy niewiele co więcej mieć będą, niż dziś mają. Takie to wszystko jest mocne w założeniu. Czegóż odemnie chcecie?

— No, dobrze — dobrze! Nie mam zamiaru wszczynać

z wami tych jałowych sporów, tylko chcę wyłożyć nasze pozycye. Chcę usłyszeć, co o tem powiecie.

— Słucham!

— My nie jesteśmy ani z Marxa, ani z żadnego innego pisarza, czy filozofa. Jesteśmy sami. Szanujemy tych, co sprzyjają sprawie robotniczego wyzwolenia, ale nie poddajemy się niczyjej komendzie. Dla tego poprostu, że nami nikt komenderować nie jest w stanie. Któż to może wiedzieć, co się dzieje w warsztatach, w pracowniach, we wszelkich budach roboczych? Kto? Tylko my sami, którzy robimy. Otóż my, którzy robimy, nie chcemy zniszczenia narzędzi pracy, zniszczenia owoców pracy dawnej, tak, jak tego chcecie wy, Złowski. Słyszycie, co mówię?

— Toć słyszę.

— My tylko chcemy wszelki warsztat i każdą pracę, a więc każdy owoc pracy wziąć w ręce. Nadto chcemy świat z gruntu naprawić.

— Dobre złudzenie, a nawet nie nowe.

— Nie! Ta dążność nie była jeszcze znana nikomu. Któż ją mógł znać? Tylko my z dnia na dzień ją poznajemy. A myśmy dotąd milczeli. Za nas to gaworzyli pisarze, różni »ekonomiści«, statystycy, politycy, apostołowie, poeci. Teraz my przemówimy. Słuchajcie-no! Dziecko się rodzi w robotniczem stadle. Nim się czas wypełni, matka musi iść do roboty. Karmi je tedy smoczek z mlekiem rozcieńczonem, lub innym płynem, mniej lub więcej fałszowanym. Kto fałszuje to mleko i te płyny? Robotnik. W czyim interesie? Czy w swoim? Nie. W interesie jakiegoś złodzieja. Prawda?

— Prawda. Złote słowo.

— Gdy dziecko podrośnie i, zamiast smoczka, ssie cukierek zabarwiony na czerwono, niebiesko, zielono, pomarańczowo, wysysa wraz z sacharyną trujące chemikalia. Kto sfabrykował ten paskudny cukierek? Robotnik, dla zysku jakiegoś patrona, obywatela, pewnie posła...

— I to jest prawda.

— Gdy już z dziecka drab wyrośnie, idzie w święto do jadło-

dajni spuszczać zarobione przez tydzień franki. Funduje sobie i przyjaciółce zupę z raków, *potage bisque*, specyał. Nic go to nie obchodzi, że racze mięso do tej zupy robi się ze skorup, wczoraj zostawionych na talerzach przez gości. Tłucze się te skorupy razem z resztkami mięsa raczego w moździeżu, rozgniata wałkiem, ulepia na ciasto z odpowiedniemi ingredyencyami, zabarwia karminem na różowo. Idzie zupa! *Filets de barbue* przyrządza się z ryb pośledniego gatunku, jak *lotte*, albo *cabillaud*, znowu *filets de chevreuil* z *tranche* wołowego, przyprawionego marynatami szatańskiemi. Zwierzynie i ptactwu odejmuje się zapaszek »passée«, a żeby je »*rajeunir*«, przeprowadza się przez jej wnętrze rozpalone żelazo. Robotnicy to przecie przyrządzają dla swych współtowarzyszów-spożywców chleb z domieszką talku i końskiego bobu, czekoladę na palmowym i kokosowym oleju, kawę z krochmalu, cykoryę z żołędzi, pieprz ze skorup migdałowych i szypuł oliwek, konfitury z glukozy, smażą ciastka na waselinie, robią miód z miękiszu kasztanów, likier z odwaru jarzębiny, masło z łoju, sery z kredy albo *fecule*, ocet zaprawiają siarką, soki owocowe preparują w ten sposób, że w nich niema ani jednej kropli owocu... Oni to podają do jedzenia w restauracyach potrawy z mięsa zepsutego, albo z tuberkulozą, w zaprawach octowych z kwasem siarczanym, w sosach i marynatach »*endiablées*«... Oni na rozkaz pryncypała wycierają naczynie serwetami zużytemi przy stole przez biesiadników, nieraz przecie chorych na suchoty i syfilis.

— Prawdy głosicie, prawdy... Ale cóż z tego?

— Młodzi chłopcy uczciwi, nasi przyjaciele, nasi towarzysze, nasi bracia — do stu dyabłów! — krew z krwi i kość z kości naszej — pełni szlachetności, czystego serca, ideału, jak każdy nowy zastęp młodzieży, wchodzą do tych prac, szukając zarobku i chleba. Dają im w rękę tę pracę i taki materyał. Ten materyał oszukańczy dają im w ręce, a jako pracę, każą spełniać oszustwo! Muszą to czynić, co im każą i tak, jak im każą. Jakiż to jest materyał? Trucie ludzi, niweczenie zdrowia małych dzieci, zakażanie organizmów. Oni to fałszują aksamity, plusze, jedwab, robią sztuczne złoto, sztuczne brylanty, stiuki z drzewa, marmur z cegieł, bronzy z gipsu. Prze-

kupnie materyałów chemicznych w drogeryach i wynalazcy rozmaitych specyfików paryskich na wszystkie choroby, gdzie zamiast preparatów czystych a drogich zużywa się materyał niskiej wartości, albo żadnej, więc tani, nie sami oszukują swych klientów, lecz rękoma pracowników. A dalej — przedsiębiorcy budowlani, budownicy dróg żelaznych, konstruktorowie tunelów kolei podziemnej, gdzie wykryto niebywałe nadużycia, fabrykanci mebli, właściciele tych kawern złodziejskich, domów bankowych, gdzie co do praktyk panuje przecie zasada profesyonalnego milczenia... Milczenie, jako obowiązek zawodowy, jako sam zawód! Co znaczy i co okrywa to milczenie? Ci wszyscy przedsiębiorcy, chlebodawcy, panowie, patronowie, są to ludzie uprawiający nieustannie *sobotage* na życiu i zdrowiu bliźnich. A przecie nie robią tego sami. Wszędzie, na całej linii ludzie uczciwi, zapracowują na kawałek chleba, czyniąc za nich biernie półświadomie, albo zupełnie, z musu, świadomie. Pod obuchem głodu solidaryzują się z fałszerstwami, sofistyką, oszustwem, kradzieżą, łupiestwem, czyniąc istne zamachy na życie i zdrowie nieznanych sobie ludzi. Pomocnikami każdego patrona są jego robotnicy, których on wyzyskuje na płacy codziennej. Słyszycie? Patrzeć tylko na właściciela restauracyi z palcami oblepionymi pierścieniami w kącie jego szynkwasu. Istny pająk, czatujący na głupotę much, które się tłoczą w jego sieci. Otóż młodzi, robotnicy, którzy to wszystko poznali, a oni jedni wszystko to dokładnie znają, bo w tem robią, powiadają do towarzyszów swoich: *Go canny!* Wstrzymaj rękę! Nie daj się sam i nie czyń złego! Czyń *sabotage* na szkodę patrona, dając publiczności, z której on żyje, materyał dobry i w należytej ilości! Nie okradaj ubogiego nabywcy na mierze i wadze w interesie złodzieja, który twoje zdrowie i życie tak samo, jak tamtych wysysa! Nie wierz w nic, co ten zbogacony łupieżca głosi, gdy go wskutek przekupstwa wybiorą do rady municypalnej, albo do parlamentu! Nie daj się podejść przez żaden jego »ideał!« Ty, kucharzu, daj konsumentowi porcyę z dobrego mięsa, dużą i zdrowo przyprawioną, a ugodzisz tem w interes i w serce patrona!

— A więc to jest owa walka rewolucyjna na wielkie porcye kotleta!... — śmiał się Żłowski.

— Ty, mularzu, nie czyń ani jednego poruszenia kielnią na niekorzyść przyszłego mieszkańca, a na korzyść kamienicznika! Ty, cieślo, odrzuć drzewo zgniłe i lichy materyał budowniczemu! Ty, zatrudniony przy budowie kolei elektrycznej podziemnej, nie daj się wziąć na wspólnika oszustowi-inżynierowi! Ty, zatrudniony w banku, przerwij milczenie i powiedz światu, co to się tam dzieje za drucianemi siatkami! Wszyscy pracujący, wprowadźcie w stosunki społeczne we wszystkich zawodach, na wszystkich posterunkach *bouche ouverte* — szczerą prawdę, ścisłą lojalność, niezłomną dobrą wiarę. Wtedy zadrży i zachwieje się dzisiejszy świat kłamstwa.

— Znowu sam przez się... — bąknął Żłowski

— Nie sam, bo zwolna, pracowitemi uderzeniami milionów podrąbany u przyciesi, poderwany w swej najistotniejszej podstawie.

— Ciągle mu przyciesi podrąbują, a on ta jakoś stoi, ten świat stary...

— W starą moralność świata »burżuazyi« uderzy moralność nowa, kształtująca się w niezmierzonem morzu pracy.

— Wy tam wszystko naprzód wiecie. Już i o moralności...

— Bo już dziś postrzegamy. Ta moralność nowa jest to tajemnica, zjawisko żywe, oczywiste, a jednak niepojęte, jak instynkt owadów, zwierząt i dzieci. Moraliści starego świata na jej zbadanie i dla jej sformułowania nie mają żadnego środka, ani żadnej definicyi. Żadna z religii świata nie jest w stanie jej ogarnąć, bo prawa jej dopiero rodzą się w pracy, wraz z pracą, podobnie jak język cieślów i mularzów powstawał wśród trudu, a przez nieprzemierzoną mnogość swych metafor niedostępny jest i obcy dla językoznawców i ludzi »wyższych« zawodów. Moralność świata pracy dopiero wynika pod młotami i pod odciskami dłoni jeszcze drżących, jeszcze nabiegłych krwią od trudu. Tylko pracownicy poznają ją i chłoną, jako objawienie. A któraż to z religii ośmieli się wystąpić przeciwko tej moralności nowej? Która zdoła powołać się na Chrystusa i stanąć przeciwko hasłom młodego świata idealistów pracy?

— Wszystkie — rzekł Żłowski.

— Nikt z ludzi nie wie, jakim sposobem pająk buduje swoją

sieć, skąd wie, jak zarzucać linię między jednem a drugiem drzewem, jak zakreślać koła, prostokąty, kąty ostre i rozwarte w przestrzeni na każdy raz innej, między punktami w każdym wypadku nanowo danymi. Geometrya pająka jest zarazem czynem i życiem samem. Posiada on jak gdyby wiadomość o istocie logicznej kół i kątów, zarazem, wydaje się, doskonale wie, ile należy zabudować przestrzeni między jednym punktem a drugim, a przecie nie umysłem postrzega tę wiedzę.

— No, to już z tego tam Bergsona... — westchnął Złowski, obojętnie kładąc cukier do swej filiżanki herbaty.

— Tak, to stamtąd... Ale proszę zważyć, że jak niedocieczone dla umysłu jest prawo i moc instynktu prac pająka, konstytucya mrówek, pszczół, skorpionów, skarabeuszów, tak samo niepojęte jest prawo i niedocieczona moc zasady moralnej, istniejącej w pracy. Już dziś tłumy robotnicze postrzegają, że moralność tamtych z pałaców i automobilów nic nie ma wspólnego z ich moralnością. Pan próżnujący jest w porządku, robotnik próżnujący jest niemoralny. Według moralności panów wszystkie zbrodnie wynikają z próżniactwa, lecz ta sama moralność pozwala panom próżnować. Mnich zatopiony w medytacyi, poeta zatopiony w marzeniu, filozof pogrążony w bezczynne rozważanie jest traktowany przez każdą z tych moralności — tam, jako pracownik, tu, w świecie pracy, jako próżniak. Gdyby w świecie robotniczym zjawił się religijny kontemplator, poeta, albo filozof, byłby wypędzony przez patrona z fabryki, jako próżniak, siejący zgorszenie. Tam uznany jest, jako fachowiec swego zawodu. Tymczasem istotna poezya, istotna religia i istotna filozofia dopiero się kształtują, dopiero są rozpalonem do białości żelazem i snopy iskier wyrzucają ze siebie pod młotami. Jak z tą sprawą, tak jest ze wszystkiem. Prawie nic nie łączy tych dwu widzeń świata moralnego. Co tu jest czarne, tam białe, co tu dobre, tam złe. Robotnicy wykryli już, że próżnowanie nie zawsze jest złe. Przyjdzie dzień, gdy wypowiedzą swój pogląd na pracę i próżnowanie panom, którzy ustanowili byli zasady moralne. Pewnego dnia ręce ich spoczną — i zatrzyma się bieg życia. Nastanie dzień wielkiej powszechnej grewy. Będzie to coś sto tysięcy razy większego,

bez żadnego porównania bardziej bohaterskiego, niż wojny Napoleona, albo wyzwolenie Włoch...

Złowski chlipał herbatę, patrząc spokojnie na twarz zapalonego mówcy. Spytał zwolna:

— A wasz neomaltuzyanizm, to jest prawo należące do starej, czy do nowej moralności?

— To jest jedno z nowych, z nowych!... — wykrzyknął Blas z wyniosłą ironią. — I cóż powiecie?

— Nic. Ja się od was dowiaduję.

— Nowe jest to prawo, żeby syfilitycy, rakowaci, epileptycy, suchotnicy nie wydawali na świat potomstwa, żeby ludzkość zdrowiała! Niech się nie rodzi dziecko z zarażoną krwią i ze zgniłemi kośćmi!

— Et, o ludzkość wam tam znowu tak dalece chodzi w apoteozach lekarzy, uprawiających *aworty*, które głosiła do niedawna *Guerre sociale!*... Bo teraz sam mistrz poszedł do Canossy, na służbę do starego Jaures'a... Zresztą — Michał Anioł był to człowiek schorzały, i, jak mówią, zwyrodniały, Milton ślepy, Leopardi garbus, Dostojewskij epileptyk i, jak opisuje Suarez, ze skłonnością do małych dziewczynek, Nietsche i Maupassant zmarli w obłędzie, Byron był kulawy, Poë, jak głoszą, był nałogowcem, de Quincey to samo... Któż wie, — może to dzięki ich wadom, ich fizycznym brakom i grzechom powstały czarodziejskie dzieła z męki zrodzone, o grzechu, niedoli i wielkim smutku człowieka, — jakby naprzekór naturze, wbrew niemocy ludzkiej wydarte z dusz, walczących z niedolą. Któż to może wiedzieć, czy ludzkość oczyszczona, — przypuśćmy na chwilę, — przez neomaltuzyanizm, z choroby, nie będzie wydawała typów, jak je określił niezapomniany człowiek-rycerz, Wacław Nałkowski, którego wspomnienie zawsze, jak wino, weseli, moje serce, — indywiduów »zdrowych« i solidnych — »ludzi-świń, ludzi-byków i ludzi-drewien?« Z poddziałami na: »świnio-byki i byko-drewna?« To pytanie. Już lepiej przyznajcie się otwarcie, że wasz neomaltuzyanizm to środek polityczny!

— Środek polityczny? Nie myślę przeczyć, ani przez chwilę! Więc co? Stadło robotnicze wydaje na świat dziecko. Przytułek,

albo ochronka je kształci, rynsztok dokształca, bieda czesze i myje, a gdy mu tam już minie dwadzieścia jeden lat, to go chwytają, ubierają w mundur i ślą do Afryki, żeby mordował jakichś arabów, czy murzynów, żeby jakimś oszustom umożliwiał i ułatwiał obrabianie na cudzych, zrabowanych ziemiach szachrajskich interesów. Nie rodzić dzieci, nie dawać mięsa dla armat!

— Na złość tatusiowi niech mi uszy odmarzną!

— Ubywa im teraz co półrocze ośmnaście tysięcy ludzi. Gdy się ta liczba podwoi, potroi, nastanie koniec panowania bagnetów.

— Bagnetów? Utworzą i postawią nad wami armię z murzynów i arabów. Wtedy poznacie, co to opór! Śmiech mię bierze! Bo to tak wygląda, że gdyby teraz francuski rząd w zapędzie samoofiary, wydał jakieś piekielne prawa przeciwko homoseksualizmowi, to wy, na złość temu rządowi, podejmiecie zaraz propagandę za tym »poglądem« i będziecie go masowo stosować, jako środek walki politycznej.

— Żartujcie zdrowo!...

— Alboż nie grasujecie teraz między Francyą i Anglią, rozwożąc wasze proklamacye w postaci pakiecików z gutaperkowemi kapotami? Bywałem na kolosalnych neomaltuzyańskich meetingach i słyszałem starych profesorów, mowców, doktorów, fanatyków. Wiem przecie, o co rzecz idzie. O, macie wielkie, wielkie zwolenniczki w kobietach! To jest dopiero prawdziwa rewolucya!...

Nienaski z głową, jak siekiera, wciosaną między tych rozmówców, przysłuchiwał się wszystkiemu. Oczy jego przerzucały się z twarzy jednego na twarz drugiego, a myśl wałęsała się wśród tej rozmowy, nieraz daleka od niej o setki mil. Błaszczykiewicz wołał:

— Gadajcie wy sobie, Złowski, co chcecie, a już i u niemiaszków okazał się potężny ubytek narodzin. Jeszcze niby nie tak, jak we Francyi, ale już nie przybywa Michałków. Skweres! W miastach portowych, jak Hamburg, Szczecin, Brema, w osadach wielkofabrycznych ubywa tego z tak piorunującą szybkością, że się przecie moraliści tamtejsi zdecydowali w państwo-patryotycznym porywie na wielożeństwo! Po sześć Małgorzatek gotowi przystawiać do jednego zapładniacza. Widziałem w *Simplicissmus'ie* typy tych

niemieckich stadników — z poświęcenia dla państwa i kolonii. To były przecie mordy — ha! Już i w Anglii sprawa utknęła. Jeszcze tam panuje prawo: — im większa bieda, tem więcej dzieci, im więcej zamożności, tem dzieci mniej, — ale już naogół nie przybywa konkwistadorów. Nie będzie komu dławić się pieniędzmi wyduszonymi i zgarniętymi z globu ziemskiego. Poczyna się wymieranie ras łupieżców cudzego dobra.

— No, stąd do »wymierania« jeszcze dosyć daleko...

Pustoszała już tawerna. Dym grubą warstwą chwiał się pod zczerniałymi sufitami. Trzej goście zapłacili należność i wyszli na ulicę. W stronę, dokąd zmierzali, nie było już żadnego środka komunikacyi, bo podziemna *métro* już nie funkcyonowała o tej godzinie, a i stary »samowar« »Mont-Rouge-Gare de l'Est« — również udał się na zasłużony nocny spoczynek. Należało iść piechotą. Mijali tedy długi bulwar, podziemny dworzec kolei, ulicę Denfert-Rochereau z jej dwoma rzędami gęstolistnych platanów. Było tam pusto i cicho, jak w ogrodowej alei. Czasami tylko, pociąg pędzący w dal podziemiem, dawał o sobie znać łoskotem i szumem powietrza w wentylu. Młody syndykał Blas wciąż perorował. Pienił się na »burżuazyą«, dowodząc milczącemu Złowskiemu rzeczy, które tamten, prawdopodobnie, dobrze wiedział i gruntownie przemyślał:

— Zbytek, — wołał, — nazywają cywilizacyą. Próżniactwo życia jego pięknem. Ależ wstrętny jest cały cywilizowany zbytek!

— Którego notabene wcale nie znacie... — wtrącił przeciwnik.

— Którego znać nie chcę! Zbytek jest nieruchomy. Ruch ma tylko z nas, dla tego wydaje się, że i on jest piękny. Piękno życia jest tylko w pracy. Weźcie nieopisane, pełne czarodziejskiej grozy piękno walcowni żelaza, odlewni stali, majestat kopalń, życie pracy na wybrzeżach morza, — weźcie poranek, kiedy śpią »panowie i panie«, a działają dostawcy, karmiciele tamtych... Ileż powabu, ile prawdziwego uroku posiada ranny ruch pracowników ulicy, ile interesujących sytuacyi zawiera w sobie życie młodych chłopców sklepowych, pędzących na rowerach z gołą głową i zakasanymi rękawy,

z rozmaitymi produktami i materyałami, z owocami i jarzynami! Jak przedziwnie rozmaity jest obraz ludzi pchających wózki, niosących ciężary, z pieczywem i mlekiem! Życie każdej z tych istot — to dzieje bolesne borykania się, walki na przebój, trudu w pocie czoła. Ileż przygód, ile kolizyi, ile zdarzeń, jakie piękno pośpiechu i ruchu, gestów, głosów wesela i strudzenia, ile dowcipu, ile objawów spełnionego zadania, dzieła dokonanego poprawnie, zgrabnie, uroczo, — a nadewszystko pożytecznie! Jakże jałowe, jak śmiesznie nudne, jakże przerażająco nędzne, zawsze jednako monotonne jest życie spożywców materyałów, przywiezionych przez tamtych! Życie mody i obyczaju, dookoła którego wre pogarda i drwina... Pałace i wille są, jak fortece, które odrazą zdobywa każde spojrzenie. Proszę was — wdzięk ubogiego okna, które ozdabia kwiat w doniczce... Jakże się muszą nudzić i męczyć w swych automobilach, kiedy nam zakażają płuca i oślepiają oczy kurzem i zaduchem benzyny!...

— Nie bardzo widać, żeby się nudzili. Automobilów dyabelnie przybywa. Samibyście zresztą z przyjemnością zasypali bliźniemu oczy, gdyby się tylko dało... A nie myśleliście też o tem, jak znowu nie piękne jest życie, naprzykład, szewca, albo krawca?

— Szewcem był mój ojciec.

— Szewc przykuty do swojego stołka wgłębionego przez niezliczoną ilość godzin sporządza buty, nie ruszając się prawie z miejsca. Nie może w tym bezruchu strawić pokarmów. Stąd zapalenie ślepej kiszki, — bez żadnej tam operacyi, — przedwczesna, szewska śmierć. Przez zabrudzone okienko najczęściej z głębi piwnicy, szewc widzi wciąż nogi, nogi migające, biegnące, podskakujące. A on to dla nich wszystkich szykuje buty, żeby sobie mogli biegać po ziemi, sam rzadko kiedy ruszając się z miejsca. Krawiec zawsze cuchnie od bezruchu i choróbsk. Czy nie myśleliście nigdy, jak to piekielnie, jak wściekle ci ludzie chcą, pragną, powstać nareszcie i wyjść. Wyjść!

Trzej rozmówcy mijali plac lwa belforckiego. Mieli się tutaj rozstać. Lecz Złowski i Blas postanowili odprowadzić Nienaskiego do domu. Szli tedy wzdłuż bulwaru Raspail. Większość latarń elektrycznych była już zgaszona. Drzewa przy blasku pozostałych

rzucały długie i wielkie cienie. Dziwaczna pustka wionęła z dalekości bulwaru. Nieokreślony smutek tchnął na Ryszarda z perspektywy tej nowej, długiej ulicy... Skręcili w uliczkę Schoelscher, biegnącą wzdłuż muru cmentarza Montparnasse. Bluszcz oplatał ten mur szczelną powłoką, w tej nocy, jak czarne sukno całunu. Wysmukłe, nadgrobne tuje chwiały się w pół świetle dalekich latarń od powiewu, za tym wysokim murem, — ni to znaki, zaprzeczające wszystkiemu, wszystkiemu... Od strony ulicy małe krzewy mirtu polśniewały mokrymi liśćmi za nizkiem, żelaznem ogrodzeniem. Żłowski prowadził ręką po tych obłych, nachylonych, wyślizganych pałęczkach ogrodzenia, po czubach roślin. Gdy młody gaduła wciąż perorował, ten stary ziewnął i znagła wskazując na mur, na olbrzymi cmentarz, miasto umarłych, zagadnął:

— Cha-cha... Gdzieżeśmy to przyszli? Patrzcie-no: odpowiedź na wszystkie wasze wywody. Wy, Blas!... Te drzewa — do dyabła!...

Stali w kręgu światła narożnej latarni. Ryszard podniósł wzrok na tego człowieka i zobaczył jego oczy wlepione w siebie. Drżenie niepojęte, zwiastun choroby czy nieszczęścia, przebiegło po jego ciele. Dalekie wspomnienie, czy dalekie przeczucie odrazą napełniło jego serce. Pożegnał towarzyszów i ruszył w pustą uliczkę swoją.

Wskutek nieustannych zatargów wewnętrznych w biurze »Pracy«, zmieniał się kilkakroć jej zarząd. W czasie jednej z takich wentylacyi prezydyum, Ryszard został wepchnięty siłą rzeczy do jego składu, jako członek czynny. Od tej chwili przerwał na czas pewien niemal zupełnie studya nad architekturą i rzucił się w wir nowej roboty. Powróciły na swe miejsce nałogi warszawskie i moskiewskie. Zapoznał się teraz aż nazbyt dokładnie ze składem i wartością kolonii polskiej w Paryżu, a oprócz tego zbadał do gruntu francuski świat pracujący. Ileż to teraz spraw — i jakich stał się adwokatem i promotorem! Mieszkanko z ulicy Boulard przeniesione bliżej, do środka miasta, w okolice Panteonu, przeistoczyło się w nowe »biuro«. Od wczesnego rana drapali się tam na wysokie schody najrozmaitsi ku nieustannej zgrozie i wśród ciągłych pro-

testów odźwiernej. Od rana też zaczynała się batalia z ludźmi przeważnie złajdaczałymi, gdy ich wypadło skierować ku porządkowi. Po całych dniach trwało zażegnywanie zatargów, niweczenie intryg i istna walka z jawnem, lub ukrytem dyabelstwem natury ludzkiej. Poza tem życie Nienaskiego przeistoczyło się na podróż kolejami i w *métro* do wielkich fabryk, warsztatów, zakładów, pracowni, biur, kantorów, do giełdy pracy i mieszkań przeróżnych kierowników, inżynierów, patronów... Nauczony dobrem doświadczeniem, nowy urzędnik nie popuszczał robotników przybywających ani o cal od francuskich syndykatów poszczególnych prac i trzymał całą sprawę na niezachwianym poziomie nowoczesności. W trakcie tych stałych wędrówek po warsztatach sam uczył się bez przerwy. Z konieczności, z racyi swego pośrednictwa, musiał mniej lub więcej przenikać każdy fach, każdy zawód oglądać własnemi oczyma, zapoznawać się z samą naturą roboty, z istotą mozołu i pilnie dowiadywać o pracę poleconego człowieka. Stąd poszło oświecenie się w rozmaitych kierunkach nowoczesnej industryi. Miał możność rozejrzenia się w wielkich konstrukcyach z żelaza, betonu, kamienia, szkła, — poznać olbrzymie dorobki pracy inżynierskiej i konstruktorskiej. Przypatrzył się francuskiemu sposobowi budowania murowanego domu, ze ścianą z miękkiego kamienia od frontu i tandetnie cienkiemi ścianami z cegiełek. Na stu przykładach przepowiedział sobie nieopisanie sprytne wyzyskanie miejsca, obliczenie mieszkalnej przestrzeni i przezorność iście bezprzykładną w oszczędzeniu powietrza do oddechu. Siedział w halach stolarskich, poznawał wielkie litograficzne zakłady, wszelkie odmiany i gatunki przemysłu chałupniczego, dostawy wielkich jaskiń niewolnictwa, jak Galeriés Lafayette, Aux printemps i tym podobne. Zbadał kucharstwo na wielką skalę, istne laboratorya gastronomiczne, służbowe stosunki w szpitalach, muzeach, halach targowych, na kolejach, przy omnibusach i na statkach. Rozpatrzył również maleńkie, najczęściej podziemne, warsztaty, produkujące jakieś głupstwa, figle, nonsensy dla rozerwania bezmyślnej przechadzki poobiedniej państwa, zalegającego Paryż. Całymi miesiącami nurkując tak za cudzą robotą, ślęcząc nad wielorakiemi zatrudnieniami, z okiem wlepionem nieu-

stannie w pracę, zwolna zatracał wiadomość o świecie zużycia towarów. Zapominał niepostrzeżenie o konsumentach, odbiorcach, o ludziach mieszkających za pięknemi oknami hotelów, will, pałaców. Było to jedno z najbardziej cudacznych w jego duszy zjawisk to senne przepomnienie, że jest tamten świat, o którym mówią ludzie biedni z tak nienawistnie ściągniętemi brwiami. Jak ów »Blas« — chłopiec z fabryki — dostrzegł piękno w świecie pracy i przystał duszą do tego nowego wdzięku ziemi. W tym czasie głęboko znienawidził bogactwo, użycie, zbytek. Wszyscy ludzie żyjący w bezczynnym dostatku, stali się dla niego wstrętni i cuchnący, cuchnący tymi brudami, które za nich i po nich ktoś musiał wynosić. Ryszard dowiedział się teraz, jak straszliwą sprawą jest zarobek jednego franka i co to znaczy — brak wszelkiego zarobku...

Wśród bieganiny po Paryżu często na swoich drogach napotykał starego milionera, »kuzyna« Ogrodyńca. Nieraz doznawał wrażenia, czy złudzenia, że go ten dziad podpatruje i śledzi. Tu mu zaszedł drogę, tam się o niego pytał, tu coś ułatwił, tam się nastręczył... Z pod okularów wspartych na garbie nosa świdrowały Ryszarda i jego uczynki oczy badawcze, nieufnie przenikliwe, jak gdyby szpiclowskie. W lokalu »Pracy« częstokroć plątał się ten dziadyga. Pod takim, lub innym pretekstem wertował księgi dyżurowych zajęć. Nieraz biuro musiało przyjmować od niego różne ułatwienia w sprawie tropień roboty dla klientów, odsuwać kompromitujące sposoby przyjścia z pomocą, a nawet przeszkadzać jałmużnictwu, które demoralizowało ludzi słabych. Ryszard wciąż podejrzewał tego »wujaszka« o jakąś wyrafinowaną złośliwość, o podstęp daleko sięgający. Nie lubił jego przemądrzałych oczu, sięgających wszędzie, żeby wykryć pomyłkę, uchybienie, przeoczenie, dbałych zanadto, czy niema wśród tych mizerackich zabiegów ukrytego gdzie łajdactwa. Burzył się wewnętrznie na dobrodzieja, co za swój datek chciał mieć władzę śledzenia, czy on sam, Ryszard, nie robi przypadkiem nadużyć... To też sama postać Ogrodyńca stała się dlań jakby wizerunkiem »tamtego« świata. Ów świat stary był, jak potężny, przebiegły, niezmożony organizm, dobrze wiedzący o nędzy i dobrze przygotowany do stłumienia wszystkiego, coby tę nędzę mogło zniweczyć. Świat ów

miał, widziało się, zdrowie wieczności, rzuty potęgi, odruchy bólu wściekłego i piekielnej mocy przywiązania do swego bytu.

Ów świat, przelewający się ulicami miasta Paryża, był jak człowiek zewnętrzny tęgi, żywy, żwawy i zdrowy. Lecz młody Ryszard Nienaski, biegający w zdeptanych butach, wyświechtanej marynarce, w robotniczym kaszkiecie, bez mankietów i w przepoconej koszuli za robotą dla rodaków, tam i sam zazierając we wnętrze tego życia skomplikowanego, był jak lekarz, jak medyk rutynowany. On wiedział dobrze, jak to tam jest za powłoką pięknej skóry. On wiedział, jak znowu bezdenne piękno, jaka mądrość, jakie prace, jakie walki straszliwe i jaka moc zniszczenia jest w żyłach, w narządach i w pojedyńczej kropli krwi tego organizmu. Umorusani, zasmoleni, czarni od potu, w który wgryzł się dym i kurz, z rękoma zgrabiałemi, jak korzenie drzew, i twarzą stężałą od kurczów wysiłku, niby zastygłe wapno, zgarbieni, o ruchach zleniwiałych aż do niedołęstwa, ci, których dawniej znał z traktatów i haseł — »robotnicy« — pochłonęli jego wzrok, pamięć i wszystką duszę. Jakże mu było żal tych tęgich mężczyzn, przeznaczonych na to, żeby zniweczyli pracami swe ciało, kobiet, osądzonych już w dzieciństwie na to, żeby ich piękność wyżarta została przez ślęczenie nad jednem jedynem zadaniem! Z dnia na dzień postrzegał to wyraźniej, że wszelkie wysiłki obłudy, uczonej we wszelkich szkołach filozofii, na wszystkich pozycyach postępów wiedzy prawniczej, że żaden manewr rezonującej uczenie przebiegłości adwokatów zbytku, że największa tej ziemi siła rozumu, czy pięści, nie da rady, nie zmoże tego misteryum, jakiem jest nędza pogrążona w pracy dla cudzego zbytku, wygody i dobra. Ponury ocean, chodzący tam i z powrotem. Wszystka kultura, wszystka bezwzględnie, oparta na tem bezprawiu, przedstawiała się, jak wenecka Campanilla, stojąca na zgniłych palach. Wszystka sztuka zdawała się być jakowymś zabytkiem, czy wspomnieniem urządzeń społecznych, opartych na zasadzie arystokracyi urodzenia. Nadto — taż sztuka była sparszywiała i zarażona od zetknięcia się ze zbogaconem chamstwem nowoczesności, pchnięta na rynek żydowskiego bankierstwa, niby stary klejnot, posiadający umówioną, chwilową cenę. Nie mógł pojąć, jakim się to dzieje sposobem, że

w oczach nie dokonywuje się zjednoczenie wewnętrzne, ślub ducha sztuki nowej z pracą, z rzemiosłem, z siłą ludową, tryskającą od bezprzykładnej potęgi. Z pogardą, z odrazą, z drgawkami w źrenicach od nawału farb, rozmazanych po akademicku, po anti-akademicku, kubistycznie, lub futurystycznie, wychodził z bezmyślnych nieartystycznych wystaw sztuki akademickiej, obliczonej na ogłupienie filistrów burżuazyi i na snobizm zbogaconego motłochu bogaczów, którym dyrygują pospolici oszuści.

Sztuka to była akademicka zawsze, czy została w kanon ujęta przez zbogaconych magnatów pędzla, czy zaakceptowana, już świadomie, już niewolniczo, przez obdartych sekciarzy z La Ruche, lub Campagne Première. Z żałością patrzał na niezmierne przestrzenie, zawieszone płótnami, z goryczą myślał, ile zdolności, ile geniuszu przepada wskutek grzechu pierworodnego uległości względem kanonów, ile talentów gaśnie i schodzi do absurdu tworzenia rzeczy bezmyślnych, jako czyn sam w sobie, i niepotrzebnych absolutnie na nic nikomu.

Zjawisko moralne, polegające na oddaleniu się od rzeczywistości i od dnia dzisiejszego, popychało wejrzenie w przyszłość. Ilekroć się z kimkolwiek zetknął, ilekroć zawiązał znajomość, zawsze jego rozmówca napomykał o wojnie nowej, jako jedynej nadziei. Walka przyszłości nie miała mieć nic wspólnego ze zbójectwami wielkiej rewolucyi francuskiej, z proskrypcyą ludzi i łupiestwem ich bogactw. Snuło się przed oczyma widziadło wojny bez zemsty i dobijania pokonanych, gdyż nie będzie po temu przyczyny. Mówili mu, że lud nie będzie dziedziczył dostojeństw, siadał w krzesłach władzy prezydentów i ministrów. Zapewniali, że lud nie chce reformy państwa, lecz chce je zniweczyć i usunąć. Pytali, po co jest to państwo francuskie, czy jakiekolwiek inne? Na co ono komu? Żądali odpowiedzi, co wie o jakiemś państwie filutów i aferzystów rządzących rolnik z prapradziada, uprawiający swe zagony? Na co to państwo wszystkim ludziom robotnym, którzy wykonywują swe dzieło, skoro oni przez naturę i mechanizm swej pracy są już zorganizowani, wydyscyplinowani i karni, jak wojsko? Twierdzili kategorycznie, że cały program przyszłego życia i jego organizacyjna

doskonałość zawiera się w warsztatach. Zapewniali go prostodusznie, iż religie będą przygasać, nie mając odrodzonemu światu nic do powiedzenia, jak życie urządzać należy. Twierdzili z nową, religijną wiarą, że ideał ziemski religij stanie niżej od poziomu ziszczonego idału życia. Jedne z nich — twierdzili — wymrą na racyonalizm protestancki, inne, jak katolicyzm, udławią się w pętlicach dogmatu o nieomylności, które sobie w chwili kryzysu samochcąc nałożyły. Nie mając — zapewniali — prawa cofnięcia wyroków i postanowień, ogłoszonych przez nieomylnych poprzedników, pod grozą herezyi, olbrzymie to dzieło cywilizacyi przeżytej, państwo zastoju i reakcyi, zatrzyma się w miejscu wobec nowego życia, skazane samo przez się na skamienienie w formach umarłych, jako owa niewiasta zamieniona w słup soli, która nie chce uchodzić z płonących miast Sodomy ku świętym szlakom przyszłości świata.

Nadaremną rzeczą było ciskać im pytania, czy czasem owe masy przyszłości, idąc do boju, nie skupiają się pod skinienia berła nowego cezara? Czy czasem geniusz i wiecznie nowa moc tworząca wynalazców nie narzuci tłumom pracowników przemocy i bezprawia nowej arystokracyi? Czy instynkt arystokracyi, wrodzony człowiekowi i nieodłączny od natury ludzkiej, jak sen i myślenie, nie zgmatwa tej wizyi? Zaprzeczali, twierdząc, że proletaryat w chwili swej ukaże się wydyscyplinowany, zorganizowany w sobie, zjednoczony, po wessaniu w swój ogrom mocy geniuszu i zaspokojeniu wszelkiej mocy arystokracyi, niedostępny dla jakiejkolwiek ambicyi i potężniejszy ponad wszelką władzę cezara. Utrzymywali, że dzień ruiny starego świata poprzedzony zostanie przez kryzys ekonomiczny olbrzymiego rozmiaru i przygotowany przez sam kapitalizm epoki. Siły wytwórcze drogą naturalną przejdą w ręce ludzi wolnych, ludzi, którzy wiedzą, co czynić w warsztacie. Bezsilnym będzie wynalazca wobec warsztatu, gdzie się wykonuje jego pomysł. Przewodnik i władca, to znaczy geniusz wynalazcy, musi stać się współpracownikiem, inaczej jego pomysł będzie jedynie chimerą niewykonalną. Zmowa powszechna syndykalistów poruszy zorganizowany proletaryat i pchnie go do walki. Wydzieliwszy się z łona narodu i odciąwszy się toporem od innych jego klas, proletaryat weźmie

na się rolę wielkiego promotora, rolę wodza i twórcy historyi. Ożywiać go będzie żądza sławy, jak starożytnych Greków, i wytworzy zjawiska heroizmu niewidzianego w dziejach. Ponieważ proletaryat nie będzie dziedziczył łupów, więc nie przewiduje wcale metod walki i nie układa planów, z których pomocą mógłby zdobycz osiągnąć. Jego niezwalczoną siłą, jego potęgą, mocniejszą niż wszystko, jest zorganizowanie w swych rękach mechanizmu produkcyi wszystkiego, czem ludzkość żyje. Zamierza on to jedno: wypędzenie kapitalistów. Nic nie osiągając ze zwycięstwa, to znaczy, nie dzieląc między poszczególnych ludzi dóbr materyalnych, proletaryat skasuje państwo, które było organizatorem bezmyślnej wojny na zewnątrz, rozdawcą zdobyczy i racyą bytu posiadaczów łupu. Proletaryat wytworzy ludzi wolnych. Nie będzie rozlewał krwi dla rozlewu krwi. Ulepszy i uzacni obyczaje. Jego zadaniem jest już dziś założenie podwalin moralności wytwórców i pracowników, opartej na skale trudu. Ludzie, którzy to do Nienaskiego mówili, stwierdzali, że rodzi się w głębi mas, jakby pod ziemią, nie religia nowa, lecz rodzi się tam cnota sama, o której wieść coraz dalej się rozchodzi. Cnota i wieść o niej powstaje bez udziału kogokolwiek z kapłanów i bez udziału żadnego z filozofów. Moralność, wytwarzająca się na pniu pracy i w jej granicach, jest antytezą dzisiejszej i nie do pojęcia przez ludzi starego świata. Zasadniczą jej cechą będzie dążenie do zbawienia cywilizacyi. Siła entuzyazmu i siła cnoty, zrodzonej w pracy, wytworzą motor, który prowadzić będzie ludzkość po drodze postępu.

Człowiek nowy — mówili — pozostanie w warunkach życia skromnego. Wszystko składając na ołtarzu odkupienia i odrodzenia mas, nie będzie liczył na sławę w jej dzisiejszem rozumieniu, w pojęciu błyszczenia, zwracania roztargnionej uwagi i podobania się za wszelką cenę. Jego czyn będzie czynem wolnym i posiądzie sławę istotną wśród ludzi wolnych. Do tego celu zdążać się będzie z największą ludzką pasyą i z najognistszym zapałem, działając na własną rękę.

Dlą Ryszarda Nienaskiego jedna prawda w tem wszystkiem, co słyszał, była niewątpliwą. Było to wydźwignięcie się ponad

wszystko idealu przemocy. Nieprawość świata miała być przez gwałt zniweczona. Znajdowała tu swe zaprzeczenie bierna wiara wschodu, niesprzeciwianie się złemu środkami siły. Widoki przecierpiane, myśli żywe lutowały się z tem drugiem widzeniem świata, brały na moc ze sprzeciwami wiary pierwszej. Ciężki był teraz samotny krok ku pustkowiom, posiepanym szatańską przemocą, ku pagórkom rudym od zgniłych pniaków szubienicznych, czerwonym od odziemków krzyżowych. Myśli się stały ponure i czucia gorzkie. Uleciała wesołość młodociana, motyl jednego dnia wiosny. Wiara w dobrotliwość człowieka, który dla brata uczyni wszystko, płacząc w jasnowidzeniu przed Bogiem, przeminęła, jak sen. Cokolwiekby głosił entuzyazm i przepowiadała cnota nowego świata, napewno trzeba było rzemienny arkan przytwierdzić do tak miłościwej niedawno dłoni, stryk przygotować, pod połą ukryć kajdany. Ku jutrzni nowej trzeba było patrzeć ponad grzbiety, przemocą zgięte ku ziemi...

— —

Pomimo tylu i tak możnych przeciwności, skromne biuro »Pracy« przetrwało wszelkie kryzysy, utrzymało się i, niepostrzeżone, z coraz mniejszym rozgłosem, a coraz istotniejszym rozwojem, zaczęło działać na stałe. Ludzie przywykli do tej bzdurnej instytucyjki, która zdawała się być tak dziwnie obcą na gruncie paryskim i używali jej w razie potrzeby, jak się korzysta, nawet o tem nie wiedząc, z cysterny, mozolnie i wśród trudu przez kogoś tam, kiedyś tam wykutej w kamieniu. W ciągu roku kilkaset osób zostało umieszczonych przez to małe biuro, »plasterek angielski, (a raczej polski), na brzydkim wrzodzie«, bardzo duża ilość znalazła tam informacyę, radę i opiekę. Gdy po upływie tego czasu zarząd, do którego Ryszard Nienaski należał, zwołał walne zgromadzenie, to, — o dziwna zmiana usposobień ludzkich! — posiedzenie to odbyło się cicho, z godnością, i nawet nudną powagą, niczem jakieś sprawozdanie akcyonaryuszów banku, albo kolei. Prezes »zagaił«, sekretarz odczytał, co należy, skarbnik wymienił cyfry... Interpelacye, wolne wnioski, zamknięcie... Najdziwniejszą z dziwnych rzeczy było to,

że na tem zebraniu byli obecni ci, co na poprzednich wszczynali najhałaśliwsze awantury, dowodząc, iż ta instytucya jest »szkodliwa«, ci sami, którzy krzyczeli, protestowali, szczerze i sumiennie upatrując w niej zamach na postęp, na interes proletaryatu, na dobro ludu. Widząc przed swemi oczyma taki dowód zmiany w poglądzie na prawo do umierania na ulicy, a nadto bardzo zmęczony pracami tego roku, tęskniąc zresztą do architektury, Ryszard, po otrzymaniu laurki pochwał za swą »działalność«, odszedł w pokoju i zastąpiony został przez innego szczęśliwca do wyszukiwania zajęć. Czuł, że dla dobra rzeczy i dla wyjaśnienia istotnej prawdy, należałoby pociągnąć owych krytyków przed jakiś sąd i głośno tę sprawę wygrać. Lecz wolał poprzestać na tryumfie istotnym, to znaczy cichym, bez jednego słowa, bez jednego efektu i jednego akcentu, tem cichszym, im głośniejszą była porażka w roku ubiegłym. Strząsnąwszy pył z sandałów, usiadł w swej izbie, otworzył nanowo kajety, rozwalił na stole teki z rysunkami i zatonął w Violet-Le- Duc'u, w Bréhier i innych gotycystach. Jeżeli teraz odrywał się od swego »*Dictionnaire raisonnè*«, od Violet-Le-Duc'a, to tylko po to, żeby przejść do zwykłego Leduca z bulwaru Raspail i żeby spożyć gotycki zawsze obiad. Jeżeli teraz co nawiedzał, to Notre-Dame i wnętrza innych kościołów. Był to dla niego czas studyów, pochłaniania i zamykania w sobie stylów skończonych, — egipcyan, greków, romańszczyzny, a przedewszystkiem gotyku, najbardziej widocznego w Paryżu. Stało się teraz koniecznością niejasne dawniej przeczucie, że początkowe zaznajomienie się z istotą stylu gotyckiego, jest też początkiem wiedzy o tem, czego należy unikać. Należało zaś unikać stylów znanych, skończonych, więc martwych. Ażeby zaś pozbyć się ich istotnie, z całą skutecznością na korzyść czegoś zupełnie nowego, należało je poznać do ostatniej granicy i badać w naturze niejako, w samych budowlach. Każdy z tych stylów należało przedewszystkiem przyswoić sobie, uznać w jego piękności, uwielbić, przezwyciężyć, odepchnąć i pokonać nazawsze. Lecz nim dokonało się zamknięcie na klucz w sobie łupu tak ogromnego, jak styl gotycki, zwalczało się go, jako żywe, nieznane i bytujące bogactwo. Było to raczej polowanie i rabunek w niewiadomych puszczach, na

przestrzeni trzech z górą stuleci, na pasmie dziejów od dwunastego do szesnastego wieku. Ileż to razy Ryszard Nienaski wystawał pod katedrą w ulewne deszcze, ażeby się napawać widokiem, jak się ślinią *gargouille'e* z trzynastego wieku, — jak wówczas paszczęki wystających żłobów w wierzchołkach łuków przypornych nabierają istotnego wyrazu, tłomaczą swoją potrzebę i nadają budowli zarazem realne i symboliczne znamię życia! Ileż razy z pod mostu na Sekwanie wpatrywał się w szarą sylwetę kamiennego pająka, wzniesionego przez snycerzy i rzemieślników, którzy ciosali figury na obstalunek, a byli w większości wypadków ludźmi talentu wysokiej miary! Imiona ich zaginęły wśród imion towarzyszów małego uzdolnienia. Współczuł im, z gorącą sympatyą badał ich prace i dzieje. Obcował i znał się z nimi, niemal tak blizko, jak ze swymi klientami i przyjaciółmi z biura »Pracy«. Oto ich gromada, — budowniczowie, rzeźbiarze, snycerze, cieśle, stolarze, kopiści, złotnicy, emalierzy, — nie mając prawa mieszkać w miastach, gdzie ulegała prześladowaniu, — kryje się po klasztorach i opactwach, niczem w więzieniu, — stanowi pod władzą kleru czeladź do stawiania kościołów. Koczownicza brać, — jakby ją wczoraj widział, skarżąca się na swój los w biurze »Pracy...« Wszyscy, artyści i rzemieślnicy są w nieugiętych klubach romańskiego stylu. Muszą tworzyć i pracować według wskazówek i poleceń duchowieństwa, bez cienia niezależności, a sztuka ich, którą w sobie noszą, jest tylko dodatkiem do architektury istotnie religijnej. Czasami uda się coś przemycić, wybłagać puszczenie nowego ornamentu... Ciężki i ponury pełny łuk romański wisi nad ich twórczością, jako kanon. Wolno tworzyć ornamenty jedynie umówione, geometryczne, albo z liści, traktowanych grubo i surowo. Ale nadchodzi chwila, ustanowienie gmin i miast, oddanych pod władzę królewską za Ludwika VII i Filipa Augusta. Artyści i rzemieślnicy opuszczają klasztory. Nastaje wielka epoka ich sztuki, wiek trzynasty. Nienaski patrzał w dzieje tych cieniów, w ich walkę z nicością człowieka, — jak zakładali i podnosili w górę protest gigantyczny przeciwko nędzy ziemskiego bytowania. Rękoma swemi, wspólnemi siły, nauką, badaniem, doświadczeniem, próbą kusili się o zaświadczenie wiel-

kiej wewnętrznej wiary w święty ideał i o wieczny znak potępienia mocy szatana. Młody architekt z głęboką rozkoszą szedł po śladach rewolucyi i wynalazków, uwidocznionych w katedrze, — pilnie badał szalone kroki nowotworów: — zwalczanie ciśnienia sklepień wewnętrznych przez skarpy i łuki przyporne do nich dodane, — rozciągnięcie kamiennego kościoła romańszczyzny w kierunku chóru i absydy, — złamanie ciężkiego łuku i dla zmniejszenia ciśnień wyrzucenie go w górę, — mnożenie kaplic w nawach bocznych, — uwysmuklenie kolumn i grupowanie ich w wiązki, — ściśnięcie okien, aż nabierały kształtu włóczni, — rozszerzenie znowu tychże okien i podział ich na kilka otworów, które w wierzchołku ich łuku ozdobi czarująca rozeta... Wiele czasu zabrały techniczne studya nad okresami gotyku, nad ostrołukiem promienistym i okresem chwiejnego płomienia. Zapoznawszy się z okazami paryskimi, raz wraz wyrywał się koleją na kilkudniowe wycieczki dla obejrzenia uciętych, ciężkich wież południa Francyi, lub wysmukłych iglic Bretanii. Studyował na miejscu, już to malarstwo na szkle z czasów Ludwika świętego, już kształty pierwotne, odmiany i rozwój trzynastowiecznych tryforów, trybun, galeryi, arkad, drzwi, sklepień i niebywałych ornamentów. Śledził rozwój tej sztuki od pierwotnych motywów gałązek krzaka róży, poprzez liście bluszczu, kasztana, pietruszki, winogron, sykomory, klonu, aż do późnych ozdób z liści kapusty, ostu, wycinanych w bezmierne przedłużenia fryzów i girland. Kategoryą niejako architektonicznego myślenia stała się dla Ryszarda nawa katedry w Chartres, jej chór, jej portal królewski, zaokrąglenia wnętrza, pełne nieprzebranego bogactwa figur — i dwie jej wieżyce, siostry, — strojna i uboga, piękna i brzydka, wiekuisty symbol podziału i krzywdy, kamienna legenda, stojąca nad płaskim, żytnim i pszennym krajem. Rujnował się na jazdy dalekie do absydy ze skarpami w Tours, do rynnic katedry w Amiens, do kwiatonów szczytowych Saint-Urbain w Troyes, a nadewszystko do Mont-Saint-Michel, kamiennego gniazda, strzelającego nad przypływem i odpływem morza przepyszną iglicą. Tam miał w oczach historyę gotyku od czasu wojen krzyżowych, od surowych i ciężkich łuków, ledwie przechodzących w ostrołuk w *Crypt*

de l'Aguillon, poprzez najczystszy objaw tego stylu z trzynastego wieku w refektarzu i sali »*des chevaliers*«, poprzez niesłychane ornamenty w »schodach koronkowych«, przypominające istotnie obrąbki szat kobiecych, dziergane nitkami w płótnie, haft i koronki, — aż do późnej absydy z piętnastego stulecia. Zwiedzał zamki takie, jak Josselin, z jego rynnami, które podtrzymują okrągłe laski kamienne, — Pierrefonds, Beauvais, Mortèe i inne. Wybrawszy się na dłużej do Bretanii, począł wędrować brzegami mórz. Rzemieniem plecaka obarczył ramiona i z kijem w ręku brnął od wieży do wieży kościoła. Nocował nawet nie w oberżach, lecz po chatach wieśniaczych, murowanych z granitu, które z oddali wyglądały, jak pałace, a po bliższem zbadaniu okazywały swe wnętrza, pełne ludzi, dorosłych, dzieci, prosiąt, kur, gęsi, kaczek i robactwa wszelkiego rodzaju. Kędyś w północnem Perros-Guirec napotkał prastary z ósmego wieku kościółek romański, nad którego sklepieniem strzeliła później w niebo koronkowa wieża gotycka. Omszałe jej kamienie były obwieszone bałwankami świętych z drewna, poubieranemi w różnobarwne sukienki. Sklepienia nie można było rozeznać pod okręcikami, zaopatrzonymi w żagle i maszty. Były to dziękczynne dary, czy wota błagalne rybaków, zawieszone tutaj w podzięce za wybawienie z toni morskiej, lub z prośbą i wybawienie. Gdzieindziej, w nadmorskiej wiosce Clarté trafił na cały kościół, jako dar dziękczynny za wybawienie z toni. Kościół ten był granitowy, zdobiony płaskorzeźbami i uwieńczony iglicą strzelistej wieży. Jego piękno zewnętrzne nad wyraz dziwnie sprzeciwiało się wewnętrznemu prostactwu ozdób, szychowych firaneczek, oleodrukowych obrazków, którymi pozasłaniane były granitowe ściany. Od bretońskiej Częstochowy — Treguées z trumną patrona kraju, świętego Yve'a, Ryszard pociągnął na wschód ku Normandyi, wzdłuż nieprzemierzonych zdziarów nadmorskich, — aż do Boulogne i Calais. Stamtąd przepłynął cieśninę i zwiedzał w Anglii południowej kościoły i zamki, studyując wszelkie odmiany angielskiego »tudora«. Po powrocie do Francyi puścił się kolejkami jej północy, które są godne zwiedzenia, jako okazy cywilizacyi zamierzchłej, równie szacowne, jak gotyckie budowle, — w poprzek pół-

wyspu bretońskiego do cieplejszych mórz, w stronę Carnacu. Po drodze, częstotliwie popasając na niezliczonych przystankach, rysował w szkicowniku krzyże, rzeźbione w granicie, i »kalwarye«, wznoszone na grobowiskach przedwiecznych ojców-celtów, — kaplice i zameczki późniejsze. Na półwyspie Quiberon, ponad »małem morzem« Morbihan'u, a przedewszystkiem w Carnac'u miał możność poznania architektury najpierwotniejszej, świątyń najbardziej blizkich natury. Oglądał kamienie wkopane w ziemię, sterczące w górę — *menhiry* i płasko leżące w kształcie groty — *dolmeny*. Błądził długiemi na wiorstę liniami menhirów do ich zaokrągleń świątynnych, zatapiając się myślą w tę pradawną religię celtyckich rolników i rybaków, czcicieli słońca, wołu, pługa i oracza, — symbolów wydrapanych prostacko na dolmenie w Locmariaquer. W Carnac'u zwiedzał kurhan bohatera pod kościółkiem Saint-Michel, który również stał się już dziś zabytkiem... Przypatrywał się okazom dwu kultów religijnych i miał możność sprawdzenia, jak katolicyzm wessał nałóg wędrowniczy ludu do świątyń w Carnacu, popieliska bohaterów, — jak skierował go do świętej Anny w Auray, — jak zużył nawet symbol czarnego wołu i przekazał go świętemu Cornely'emu w Carnac'u...

W tych swoich peregrynacyach Nienaski postanowił nic nie wiedzieć o biedach i smutku świata. Chciał postrzegać tylko skończone formy architektoniczne i uznawać zjawiska dane, rezultaty i wyniki życia. Ale zastarzały nałóg uczuwania mocniejszy był, niż jakiekolwiek postanowienie. Goszcząc wśród rybaków, kędyś w Normandyi, w okolicach miasta Etaples, nad rzeczułką Canche, przypatrywał się z blizka żywotowi pracy poławiaczek krewet. Widział, jak te kobiety po każdym odpływie aż do przypływu, za dnia i w nocy pławią się w morzu, zanurzone do pasa, żeby zarobić cztery *sous* na kukiełkę miejskiego chleba i kieliszek *gouttes*. Były to analfabetki i prostytutki, dzikie, bez cienia wyobrażeń moralnych żebraczki i najbardziej upośledzone pracownice zarazem, — biedne taksamo, jak były za czasów Wilhelma Zdobywcy, czy dawniej za czasów rzymian, czy dawniej... Niegdyś przychodzili na ten brzeg rzymianie tarzać się z ich pra-matkami po piaskach diun,

później normandowie, później anglicy, później francuzi... Zawsze tylko tensam, jak teraz, chłostał je północny, z dzikiego morza lecący wiatr i wysysała im nogi aż po uda słona otchłań przypływu. Cywilizacya »łacińska«, kultura »francuska«, »prawa człowieka i obywatela!...« W obcisłych majtkach i kusych kieckach, zawsze ociekających wodą, bose, rozkudłane, zziębnięte, w dygotkach, cuchnące, z sieciami na barkach i koszem w ręku, podobne do widm i stwor, które morze ze swego łona wyrzuca, — przebiegały wśród najwykwintniejszej promenady Paris-Plage, zamieszane w tłum, szczebiocących paryżanek. Bose ich nogi nadeptywały na lakierki ostatniego kształtu, mokre kubraki ocierały się o wykwintne »kreacye«, o batysty i fulary, a krzyk ich ochrypłych gardzieli zaiste rozdzierał tę cywilizacyę...

Kiedyindziej, czekając na statek do Calais, Ryszard spędził niezapomnianą noc w porcie angielskim Dover, leżącym na granicy Pas-de-Calais i północnego morza. Błąkał się w ulicach miasta, rozciągniętego wpółokrąg nad zatoką, mającą nad sobą olbrzymie, czarno-szare mury warowni. W nocy, przy świetle księżyca, ten wielki port, zastawiony setkami żaglowych okrętów, statków, łodzi i parowców, wyglądał, jak dziwowisko snu. Ryszard przemierzał jego cyklopiczne tamy, groble z ciosu i żelaza, daleko wychodzące w morze. Pędziły po tych tamach pociągi, ciągnęły wozy frachtowe, obracały się w nich pracowite windy. Obstawione latarniami morskiemi kamienne brzegi zdawały się rozmawiać i gestykulować. Wędrowiec długo podziwiał te prace morskie, równie olbrzymie i niemniej wspaniałe, jak katedry, budowane przez wieki. Słuchał, jak wały morskie, pędzące z zimnego morza północy, biły w żelazne wrótnie, któremi przejścia w tamach są pozamykane, — jak dają żywiołowi rozkazy człowieka te żelazne drzwi do morza. Natomiast w dzielnicy miasta, przylegającej do portu, oglądał uliczki z nędznym nad wyraz brukiem, poszczerbionymi chodnikami, zastawione brudnemi domostwami, z których niemal każde zawierało szynk, albo sklep z *whisky, brandy,* albo *gin'em.* Ryczeli tam pijani marynarze, brnąc gromadnie z rudery do rudery, wałęsali się żołnierze, snuły się w łachmanach wynędzniałe dzieci i obdarte

kobiety. Przemierzając te cuchnące zaułki »dumnego Albionu«, spoglądając w głąb ohydnych szynkowni i w dziedzińce chałup, gdzie bytowała nędza, Ryszard Nienaski nie mógł się oprzeć uczuciu gorzkiej i smutnej pociechy polaka.

Idąc drogami głębokiej wiary bretońskiej, szukał w widzeniach swych stylu teraźniejszości i stylu przyszłego. W cóż wierzy nowoczesny człowiek i co zbuduje, jako pamiątkę swego czasu? Czy wzniesie cokolwiek, równego tamtym budowlom? Czy tylko nowy most w Paryżu, ohydne muzea i wstrętną wieżę? Czy wciąż trwać będzie okradanie i przedrzeźnianie greków? Hotel z doryckiemi kolumnami świątyni, teatr dla operetki w stylu »odrodzenia«, kjosk do sprzedaży wód mineralnych w stylu gotyckim, budka dla stróża w stylu »cesarstwa«. Wszakże w ciągu roku »urzędowania« w Paryżu widział był nowoczesne wiary tłumów pracujących, potężny ich ideał, głębokie czucia i niezgłębione uniesienie. Jakże wyrazić tę duszę dzisiejszych ludzi, zdławioną wolę i niezmierzone cierpienie tłumu szlachetnych w ludzkości? Co będzie ich świątynią? Gdzie znajdzie swój ołtarz i swoją nawę »cnota«, która się rodzi w warsztatach? Widział w niejasnem marzeniu budowle przyszłości, dzieła wchłaniające w swe kształty sztukę inżynierską i konstruktorską, — architekturę, korzystającą z materyału, jaki wyprobowała i daje ta sztuka, — żelazo, szkło, beton. Wielkie dworce, mosty, tamy, wieże, hale, latarnie morskie, wielkie gmachy publiczne, jak dom kooperatyw w Bruxelli, teatry, domy ludowe... Patrzył za siebie i widział w marzeniu kształt kościoła w Clarté. Rozstawał się z nim nazawsze... Wszystko, co w stylu tym było rwaniem się, pędem, płomieniem, już przed wiekami zmienione zostało na spokój, równowagę części składowych i opanowanie szczegółów dla całości, — a więc na styl. Wiara, — szalone uniesienie artystów, tworzących dla Boga, — już wmurowana została w te budowle — i zastygła. Styl gotycki wypalił się — i zgasł. Piękno tak olbrzymie i wykończone, tak rozmaite i wielorakie — już nie żyło i musiało być wrogiem. Wszystko, co miało być czuciem tejsamej twórczości, nie mając w sobie nic z wiary owoczesnej mistrzów i rzemieślników, było parodyą. Cóż teraz, dla nowoczesnych

ludzi mogło zastąpić i zrównoważyć wzruszenie głębi gotyckiego kościoła, gdy światło pada przez cudnie malowane szyby, gdy chłód przenika ciało, a myśl przemienia się w uczucie? Artyści stworzyli to uczucie przez wielki swój czyn — i czyn ten darowali kapłaństwu. Kapłaństwo, niegdyś wróg gotyku i dyspozytor romanizmu, posiadło tę skarbnicę niewyczerpanego uroku i, jako jedno ze źródeł swej władzy, swej niezwalczonej potęgi, — uczyniwszy z niej nowy i martwy kanon, — przekazuje z pokolenia na pokolenie własność niewiadomych, zapomnianych artystów... Jakże znaleźć świątynię, którąby była odtrąceniem, przezwyciężeniem i przewyższeniem tamtej? Z temi myślami, ledwie zadzierzgniętemi o rzeczywistość, początkujący architekt wracał z wędrówek, rzucał się do rajzbretów, uczęszczał do szkoły i pracował. Pracował dniem i nocą nad zdobyciem alfabetu budownictwa.

Zatopiony w swych rysunkach żył zupełnie samotnie. Całemi półroczami. Oderwawszy się od życia realnego bytował w kształtach i rachunkach. Zaspokojenie potrzeb odżywiania się zabierało mu bardzo niewiele czasu. Znajomości zerwał. O sprawach społecznych nie wiedział nic prawie. Rzadko kiedy i tylko przypadkowo czytał gazety.

Pewnej nocy, wracając bardzo późno z jakiegoś wykładu, szedł długo w stronę swej klety pustemi już ulicami. Lubił takie wędrówki wskróś Paryża po nocy. Kształty i szczegóły gmachów zacierały się w mroku i nabierały cech symbolu, tracąc swą brzydotę i piętno użyteczności. Miasto, owiane łagodną, nieruchomą mgłą jesieni, było jak rodzina, śpiąca pod chustą niewiadomej opieki. Ulice, biegnące w ciemność, w tajną odległość życia ludzkiego, wyznaczone dalekiemi światłami latarni, miały siłę i urok sonetów o potędze i smutku. Dalekie świsty, poryki, głosy lokomotyw, parostatków, warsztatów były, jak wielokrotne wzdychanie istot niegdyś znanych, które z zapomnienia wzywają ku sobie wystygłą pamięć. Niejasna trwoga, głębokie przeczucie, nad otchłanią śmierci

wstrzymane, rozwierały źrenice, żeby mogły ujrzeć skrytą istotę rzeczy...

Nienaski szedł długą ulicą, opustoszałą już najzupełniej. Ciężkie mury zamkniętych klasztorów i funkcyonujących szpitali nadawały jej tem posępniejszy charakter. Wielkie drzewa platanów sypały na ziemię zżółkłe liście. Latarnie elektryczne już były przygaszone i tylko gdzieniegdzie świeciła się samotna, jak strażnica. Zamyślony architekt mijał ten bulwar, gdy oto na jednej z ławek, stojącej pod drzewami, zobaczył jakąś ciemną grupę. Zatrzymał się i przypatrywał. W tem miejscu było już zupełnie ciemno. Nikt nie szedł. Pod nagim szpitalnym murem leżał mrok najgłębszy. Pośrodku ławki siedziała kobieta z głową opadłą na piersi i grzbietem w pałąk zgiętym, wskutek czego Nienaski w pierwszej chwili nie mógł rozeznać postaci. Z prawej i z lewej strony, obok kolan tej kobiety klęczało dwoje dzieci, korpusy, głowy i ręce zarzuciwszy na jej kolana. Wpoprzek podołka, z głową i nogami zwieszonemi na ławkę, spało trzecie dziecko, jedno, czy dwuroczne. Matka objęła wszystko troje ramionami i rękoma, oni ją i siebie nawzajem wyuczonemi noc w noc ruchy. Tak tam spali, grzejąc się wzajem, ci wolni cbywatele trzeciej rzeczypospolitej. Jesienna mgła była, jak chusta opieki, rozpostarta nad tą rodziną. Spływające liście platanów były, jak jej szaty. Jakieś stękanie dobywało się z tego splotu żywota. Ale dalekie polśnienie latarni ukazało przechodniowi twarz najmłodszego dziecka, na wznak zwieszoną głowę. I na widok tej małej twarzy Ryszard poczuł w sobie rozpętanie szaleństwa, paroksyzm wściekłości. Coś w nim zawyło, zaszczekało, jak pies. Wysypał na ławkę wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, zwlókł z ramion okrycie i zarzucił je na barki tej potwornej paryskiej *Pietà* ludu. Któreś piersi wydały szloch, któreś usta zaskowyczały w wężowisku gniazda niedoli. Łzy czyjeś omyły ręce. Czyjeś wargi przemknęły się po dłoni.

Ruszył wielkimi kroki, poleciał ku oświetlonemu wylotowi ulicy. Ciemno już było w narożnych szynkowniach. Plac był pusty. Wreszcie człowiek... Policyant — »pelerynka«. Nienaski podskoczył do niego i zaczął mu tłomaczyć, co widział, wołać, żeby natychmiast

dać pomoc tej kobiecie. Tęgi, przystojny agent szedł obok niego bez pośpiechu, przystając co parę kroków, chwiejąc się na obcasach. Uśmiechał się życzliwie pod dobrze utrzymanym wąsem, ziewał dyskretnie. Gdy mu ten »meteque« zbyt począł urągać na cały ustrój i zbyt już wyraźnie kląć, zapytał go w najniewinniejszej myśli — o adres.

— Adres? Dowiedz się pan o adres tamtej rodaczki!

— Tamten jest mi znany.

— Na tej ławie?

— Pozwalam spać na ławie tej żebraczce. Więc co? Chcesz pan, żebym ją poszedł obudzić i żebym ją wygnał z mego dystryktu?

— Nie wiedziałem, że i ten jej nocleg jest dobrodziejstwem!

— Daj-no pan pokój! Niech i ona się prześpi, mój dobrodzieju... A zresztą, czemubyś i pan nie mógł również iść spać. Do siebie — hę?

— Spać? Powinniście zedrzeć frygijską czapkę i tę sobie matkę z trojgiem dzieci śpiącą na ławie pod gołem niebem, w jesienną noc, pośród niezmiernego bogactwa — wziąć za herb!

— E, reformator herbów!

— Po to tyle krwi wylali w rewolucyach, po to ginęli na gilotynach, w wojnach na świecie, w luxemburskim ogrodzie, żeby taka matka była wśród was, potomków?

— Spokojnie, spokojnie, cudzoziemcze! Jeżeli w twej własnej dziedzinie lepiej, czemuż to tutaj przychodzisz?

— Za tę oto matkę — na was kara! Straszna kara! Nie rozradzacie się! Ubywa was rok w rok kilkadziesiąt tysięcy, pasibrzuchy!

— Ostrożnie!

— Dali wam pradziadowie za cenę morza krwi posiew rzeczypospolitej. Dali wam ojcowie jej ziszczenie. Wyście z niej zrobili władztwo bogaczów, państwo dusigroszów, dziedzictwo episyerów. Za te dzieci klęczące, dla których nie macie dachu wśród niezliczonych pałaców najbogatszej rzeczypospolitej — giną wam dzieci!

— Ostrożnie, nauczycielu! Co za nacya cię tu przysłała?

— Jestem z narodu, który na gardzieli ma obcas buta, w gębie knebel, ręce do ziemi kołkami poprzybijane. Jestem Polak.

— Ehe!...

— I polska się tu lała krew! Mam prawo mówić! Starczy wam pieniędzy na pożyczki dla tłumienia wszelkiej reformy, wszelkiej naprawy na świecie! Macie miliardy na zabór i ujarzmienie obcych ludów...

Policyant — *la moustache en bataille* — położył rękę na jego ramieniu i ścisnął garść. Ale Nienaski szarpnął ramię, wydarł je i, klnąc, z tem samem wciąż wyciem w sercu szedł sam, z powrotem ku matce nieszczęśliwej. Oczy jego były ślepe, obłąkane z żalu. Z ust padały potworne wyrazy. Ściśnięte pięści śmiesznie biły w próżnię mroku, w rozchichotaną mordę szatana.

CZĘŚC DRUGA.

Niemało trudu kosztowało Ryszarda Nienaskiego ukończenie architektonicznych studyów w Paryżu i kilka lat życia pochłonęła ta sprawa. A gdy wreszcie uzyskał wymarzony dyplom, okazało się znowu, że nie tak łatwo, nawet po prezentacyi na prawo i lewo tego papieru, znaleźć jakikolwiek zarobek. Jednakże, nie bez dalekiej protekcyi starego pana Ogrodyńca, który się znowu, nieproszony, ze swymi stosunkami nastręczył, Nienaski znalazł miejsce skromne i poczciwie mało płatne, posadkę rysownika-wyrobnika u zbogaconego architekty. Podjął zaś ten niemało godzinny trud w tym celu, żeby zbić pewną sumę na wielką podróż budowniczowską. W tymże czasie wykonywał z uporem projekty na wszelakie konkursy za granicą i w kraju, rujnując się systematycznie na papier i materyały, tracąc całkowite semestry czasu na bajecznie szczegółowe wykończenie »rzutów«. Rezultatem tych prac, transportów, oczekiwań z biciem serca i trwożnych nadziei był zawsze tryumf jakiegoś szczęśliwca, piekiełko w duszy niefortunnego projektodawcy, oraz ziarno podejrzenia o przekupstwo, intrygę, kretynizm sędziów, przedwczesne otwarcie kopert, i tym podobne fusy moralne. Mimo to wszystko, gdy gdzieś ogłoszony został konkurs w wielkim stylu, Ryszard kupował papier, ślęczał nocami, wykonywał plan — i znowu. Po dwu latach tak zwanego »oszczędzania«, czyli systematycznej głodówki, opuścił intratną posadę. Wykonawszy jeszcze jeden wielki projekt

konkursowy na budowę domu muzealnego w kraju, wyruszył do Włoch, Grecyi i Egiptu. Zwiedzał kolejno wszystko, co należało »przezwyciężyć«. Ale zaiste dosyć dużo nazbierało się tego materyału do przezwyciężenia. Gdy na bosaka dla oszczędności sandałów dobrnął do Pestum, obozował w cieniu świątyni Posejdona nie jak zdobywca zaiste, lecz jak pokorny czciciel, jak ostatni wyznawca doryckiego arcypiękna. Kiedyindziej, siedząc na gruzach termów Karakalli, podziwiał figle dyabła, który podbechtał ludzi, żeby zrujnować i zniszczyć ten dostojny dom narodowy, atria siłaczów, filozofów, poetów, świątynię zdrowia, mądrości i piękna wielkiego ludu przemienić na siedlisko sów i jaszczurek. Zdało mu się być rzeczą dyabelskiej igraszki przerzucenie posągów Flory, Herkulesa i Byka z miejsca ich, gdzie były fragmentem całości piękna, do Neapolu, gdzie stały, jak lalki bezmyślne. W łuku Tytusa przypatrywał się płaskorzeźbom zburzenia Jerozolimy i tryumfu imperatora, pamiątkom, które tyle śmieszny stanowią poemat o nicości wśród ruin rzymskiego forum, a które od śmieszności ratuje tylko nieśmiertelne westchnienie nad nimi pół-boga, Shelley'a... Ciężkie momenty przezwyciężeń miał młody architekt w rzymskich kościółkach z czwartego wieku, jak santa Prasseda, santa Pudenzianna, san Clemente, santa Saba, starozłotych od bizantynizmu mozajki, a dozłoconych przez szychowe frędzle firanek, ozdoby z papieru żółtego i ram i oleodruków, poprzybijane na twarzach mozajkowych aniołów. W Neapolu, dzięki usilnym zabiegom i staraniom, najął się, jako kelner, usługujący w restauracyi wielkiego statku, który szedł do Alexandryi w Egipcie. Wysiadłszy na tamten brzeg, wędrował wśród przygód rozmaitego rodzaju, które do rzeczy tej nie należą, zwiedzał piramidy, świątynie, ruiny. W powrocie z Egiptu oglądał Grecyę. Następnie wrócił znowu do Włoch i znalazł się we Florencyi. Utknął w tem miejscu nie tylko wskutek czarodziejstwa zapachów miasta-ogrodu, ale także dla braku »dutków« na dalszą drogę. Zwiedził tu wszystko, napasł oczy Fra-Angelic'em i Massaci'em, Bennozzo Gozzoli'm i Giott'em, aż do czczości i dosytu. Błąkał się kilka kwartałów między Fiesole i Torre al Gallo, zachwycając się, — zazwyczaj o głodzie, — starymi pałacami Stroz-

nich i Davanzatich, oraz wszelkich innych, które kryją w sobie zaciszne sady, pełne czarodziejstwa cedrów, magnolii, rododendronów i oleandrów. Przyszła chwila, kiedy nie mógł już patrzeć na dzieła Ghiberti'ego i Verocchi'a, Michała Anioła i Donatella, Leonarda i Benvenuta Cellini'ego. Znudził mu się piękny pejzaż, zasiany domkami o ściętym dachu, przegrodzony murami, pełen cyprysów i oliwek, pstry, szary, nastrzępiony, suchy... Jak niedorzeczne marzenie, które się nigdy nie ma spełnić, śnił się pod przymkniętemi powiekami obraz dalekich pól falującego żyta, gdy płowieje, gdy się mieni, raz matem, raz połyskiem. Zdarzało się na wycieczkach ku Settignano, na wymurowanych drogach poza willą Montalto i Salviatino, gdy patrzał we włoski pejzaż, na błękitnawe góry, widzieć długie, wilgotne rozpostarcia łąk pod sianokos... Pasikoniki grają w dostałych trawach, a ciepły wiatr niesie na suchych skrzydłach woń miodową i koniczynną... W gorącym błękicie, pod nieruchomymi obłoki kania się waży... Para grzywaczy przeszyła powietrze, istne dwie strzały stalowe... Jaki przestwór, co za piękno tej polskiej ziemi! Co za radość i jaki żal!... Serce wewnątrz człowieka prosiło się obłoków, płynących na północ, żeby zaniosły pozdrowienie do kraju...

I otóż, właśnie w tym czasie, zdarzenie iście powieściowe. Pewnego dnia, przyszedłszy z marzycielskiej przechadzki po Bargello, Ryszard zastał list rekomendowany. Po otwarciu koperty — wiadomość najcudaczniejsza pod słońcem... Doktór Brus, z którym co pewien czas wymieniał listy, donosił, że pierwszą nagrodę na konkursie muzealnym przyznano pracy pod godłem »Zastaw się, a postaw się!« Po otwarciu koperty... kpiny, czy co? Podejrzenie o mistyfikacyę. Potem różne inne podejrzenia... Ależ — czek! Czek, jak bawół na pięć tysięcy lirów, płatny w »Banca Commerciale«... Szantaż jakiś, czy kretynizm tych sędziów, dochodzący do tego stopnia, że pierwszą nagrodę dają temu świństwu? To tamte rzeczy psa były warte, a to świństwo pięć tysięcy lirów? Horror! Jakkolwiekbądź, wyruszył, ażeby rzecz zbadać na gruncie, w owej »Banca Commerciale«. Patrzano tam dosyć podejrzliwie nie tylko na buty, ale i na marynarkę, żądano wykazania się poważną »*conoscenza*«...

Koniec końców wypłacono bryłę papierów, która zapchała całą kieszeń. Ryszard poszedł na obiad do *Giube rosse,* kazał podać pełne *pranzo* z białem *chianti.* Z pychą i wyniosłą drwiną przysłuchiwał się wrzaskom florenckich futurystów, gromadzących się *Giube rosse,* kiwał głową na ich blagierskie nowatorstwa i reklamiarskie artykuły *Lacerby,* które na miejscu układali.

Tegoż wieczora spakował do plecaka ruchomy majątek i pomknął do kraju. Przybywszy najzupełniej incognito do Warszawy, stawił się w rozmównicy u doktora Brusa i porwany został w ramiona, tak samo zawsze wierne i kochające. Ta sama to była wygolona twarz, te same oczyska! Ale torby jakieś pod dolnemi powiekami... Zmarszczki jakieś i szramy po tej twarzy... Rzecz niezwykła, rzecz hańbiąca: doktór zapłakał... On, który tak się łzami brzydził, który chłopcom swoim wpajał zawżdy wstręt do łez i maksymę: łzy, to rzecz odświętna, jak muzyka w Chinach, nasze oczy nie do płakania!... Gdy Ryszard wejrzał aż poza tę przezroczystą zasłonę i po dawnemu, delikatnie spytał: czemu to tak? — doktór się spowiadał. Szczerze i z głębi... Smutek osacza... Już nie ma w sobie dawnego wesela. Skądże brać wytrzymałość, gdy się w rękach wszystko pruje, drze, pęka, rwie? Życie się stało tak zastygłe, tak gnuśne, tak podłe! Bezczelność, głupota, a nadewszystko blaga paradują w tryumfie, w biały dzień po obszarach tej całej reakcyi. Wyszli na wierzch dawni tchórze, chłystki, łobuziny, a nadewszystko dziś cenieni dowcipiarze i wydrwiwacze zdeptanego ideału. Stosunki wokół takie, że chciałoby się zamknąć w sobie, jak ślimak w skorupie, na nic nie patrzeć, do niczego nie należeć, o niczem już nie słyszeć, w samotności znaleźć jakąś podobiznę do swej młodej duszy. Ale nie można! Trzeba żyć tem właśnie życiem, jakie jest, tworzyć powoli wartości i stosunki nowe z tych pakuł, trocin, mułu i zgnilizny... Trzeba uprawiać te istne diuny piasku, które wiatr poddyma, jak chce... To, co się dzieje i to, co się pisze o dokonywującem się życiu, jest czemś tak potwornem, że najodważniejszym ludziom opadają ręce i najżarliwszych ogarnia zatrute zwątpienie. Zapewne, że to jest okres przejściowy. Gdzieś to bajoro musi mieć swe wybrzeża. Jeden świat już zamarł, a drugi jeszcze się nie narodził. Widać

brzask tego nowego dnia. Jest dużo elementów życia, na które można patrzeć z radością: zawsze czysta młodzież, najukochańsze skauty, pewne elementy ludowe, wreszcie ta nowizna, karczowisko, masa... Lecz gdy się ujmuje w dłonie ręce tej młodzieży, to się wie, że na surowe życie i na ciężką dolę skazuje się najlepszych, gdy się podsadza ramiona pod młode ludowe życie, to się widzi, jak to wszystko jest słabe, wątłe, nikłe, bez korzeni i bez gałęzi. Na bieg spraw ogólnych któż tu ma wpływ? Ośrodkiem życia tej dzielnicy jest Warszawa, a sercem tej Warszawy — co? Któż jest tak bezczelny, że odpowie?

Na zapytanie, czy już niema dawniejszego towarzystwa, doktór z uśmiechem odrzekł, że owszem, jest. Lecz, kiwając głową, dorzucał ze smutkiem, że oto siwizna przyprószyła skronie, a my wciąż studenckie zakładamy kółko. W kółku nadobne kwitną ideje, jak lilijki i margerytki w ogródku, a dokoła pastwisko świńskie, jak daleko myśl zaleci... Jak ćmy do światła zlatują się, — mówił, — do naszego światka ludzie młodzi z ciemności polskiej, nieznani, a coraz lepsi, coraz szlachetniejsi, coraz czystsi, coraz bardziej rozumni i coraz bardziej ofiarni. Ale co ma z nas Polska? Gdzie nasz ślad w tem karczowisku, chwastami zarosłem?

Na zapytanie, co mianowicie się robi, doktór, parskając głośno, wyjaśnił, że przedewszystkiem dokonał się »zmierzch ogólników«. Orać, siać, żąć, młócić! Agituje się przedewszystkiem wielka sprawa świńska. Gdy Ryszard wytrzeszczył oczy, doktór się rozłościł na dobre.

— Kawaler mi tu może zamierzasz o Europie trąbić? Kierunki? Polityka? Będziesz mi tu może świecił dziurami swych butów i »nie sprzeciwiał się«? Świński program! Niemodne, śmieszne, nie z Europy?

— Ależ chcę się dowiedzieć, słucham!

— Słuchasz kawaler! Trzydziestkę lat przeleciał, jak nic, ku czterdziestce rwie z kopyta — i on słucha. Coś robił na świecie?

— Podróżowałem.

— Subtelności stylów badał... Paradne! Chodzi o stworzenie jaknajliczniejszych spółek mleczarskich wśród chłopstwa — i te

idą wielkim krokiem, — chodzi o spożytkowanie odpadków mlecznych, serwatki, która się dziś marnuje, dla karmienia racyonalnego prosiąt i eo ipso chodzi o wytworzenie z czasem własnych rzeźni, własnych masarni i własnego handlu eksportowego na wielkie rozmiary.

— To z moją architekturą...

— Z architekturą! Tylko w ten sposób możemy skasować marnowanie się trzody w zgonnictwie, idącem na pożytek Berlinowi, zwiążemy cały nasz lud w kooperatywę wytwórczą. Damy mu nie tylko nowe źródło bogactwa, ale także praktyczną naukę racyonalnego gospodarstwa w zakresie krowy i prosiaka. Polityka? Program maksymalny? Olbrzymią gałęź handlu w krótkim czasie stworzymy i oddamy ludowi na własność.

— Jeszcze nie widzę związku z moją architekturą...

— Właśnie na porządku dziennym mamy rozłam prawicowy i lewicowy w mleczarstwie.

Gdy Ryszard wyraził zdziwienie, iż kierunek tak płynny może sobie pozwalać na »rozłamy«, doktór nie słuchał.

— Co powiesz — pytał — przecież i za te świńskie ideały sadzają, kogo się da! Żeby też tu kogo z tej waszej Europy! Żeby się też dobrze przypatrzył tymże naszym »wiecznym spiskom« w celu stworzenia hurtowni stowarzyszeń spożywczych, albo zakładania chłopskich kas pożyczkowych, któreby dostarczały środków na podniesienie wytwórczości kooperatywnej! Do ośmiu milionów chłopstwa! Słyszysz kawaler? A nas tu wciąż »paczka«. W »paczce« jestem przez całe moje życie! I gdybyż to choć w innych dziedzinach było jak w tem mleczarstwie i świństwie ideowem! Ale w innych dziedzinach... Tam jest dopiero prawdziwe świństwo!

Ryszard spytał doktora wprost, co ma robić? Tyle lat w kraju nie był, więc wybór trudny.

— Co robić?

Doktór się zamyślił, a po rozwadze oglądał uważnie dawnego pupila.

— Tosamo, — mruczał, — chłopię... Oczy wesołe, łapy, jak u cyklopa... Istny żart dobrotliwego Pana Boga... Architekt! Ależ,

prawda! Z tej pierwszej nagrody, to tylko tyle, co w torbie posiadasz, no, i sława nieśmiertelna przez ciąg jednego wydania »Kuryera«, bo roboty obejmuje nagroda druga, firma Stachelski i Winter.

— Co doktór mówi? Jakto?

— No, tak jest i niema o czem rozprawiać! Ciesz się i z tego, coś zyskał. Projekt i tak będzie stał, wyrysowany w piśmie fachowem, z przodu i z tyłu. Sława cię nie minie! Będziesz budował kościoły, jeśli je u ciebie jaki proboszcz obstaluje. »Gotyk nadwiślański...« Willę w postaci średniowiecznego zamczyska, z wieżami w stylu otwockim, dla zbogaconego mydlarza, albo jubilera. A możeby tak do nas? Małe ideje teraz skrobiemy. Wielki interes nie idzie. Małe ideje... Orać, gnój wozić, samemu nieraz wóz z gnojem ciągnąć na ten sobaczy ugór. Cóż, bracie, jesień... Ciężka jesień! Domu niema, wiatr w oczy tnie, w pustkowiu bieda kwiczy...

W tymże tygodniu Ryszard Nienaski zesłany został przez doktora Brusa do miasteczka Posuchy w sandomierskiej ziemi. Architekt przybył, okazał, komu należy, swe świadectwa, najął lokal i zasiadł, oczekując na zamówienia monumentalnych budowli. Ponieważ jednak panował chwilowo zastój w napływie owych zamówień, począł zawiązywać sieci kooperackie, prosięce, kasowe i oświatowe. Oczywiście, zarobku z tego nie było, więc przyszło żyć z kapitału, otrzymanego na konkursie. Sto razy na tydzień przepowiadając sobie ową świętego Hieronima maksymę, iż »*omnis dives aut iniquus, aut iniqui heres*«, — Ryszard żył przecie, jako burżuj. Co prawda, nie sam. Znalazło się dosyć chętnych do tej współbiesiady, tak dalece, że sam fundusz topniał, jak cukier w szklance ukropu. Rozgłoszono, że ów Nienaski, to bogacz, kapitalista, dziedzic, a więc — tu na szkołę, tam na ufundowanie związku... Zresztą — iluż to teraz namnożyło się zapomnianych, a nawet nieistniejących, przyjaciół, wielbicieli, współidealistów! Szczegóły znane i zawsze takiesame... Na czoło działalności wyjechała — wieża.

Już następnego dnia po przybyciu do miasta, rozglądając się po okolicy zlekka falistej i porzniętej parowami, budowniczy tknięty został przez kształt niezwykły w oddali, przez wyniosłą, ściętą wieżę. Zagadnąwszy o wyjaśnienie melancholijnego żydka, który wystawał przed sklepem, zawierającym nieco osikowego drzewa i kilka słoików z cukierkami, Ryszard otrzymał odpowiedź:

— Tamto? To jest Gryfy.

— A cóż to są owe Gryfy?

— To jest takie miejsce.

— Proszę... Miejsce. Ale ten mur, co go tam widać, — co to jest?

— Co to jest? To jest stara wieża.

— Kościelna? Kościół tam stoi?

— Nie. Tam niema kościoła.

— A więc co?

— To jest śpichlerz.

— Któż to zbudował taki śpichlerz?

— Nie wiadomo. To jest bardzo dawny budynek. Powiadają, że jego wybudował jeden Kaźmirz.

— Co za Kazimierz?

— Czy to można wiedzieć? Taki podobno był polski cesarz.

Bardziej rzeczy świadomi tubylcy miasteczka potwierdzili wersyę co do nazwy, że istotnie są to Gryfy. Co zaś do samego budynku dali wyjaśnienie, iż jest to »ormiańska wieża«. Wreszcie najbardziej świadoma inteligencya miejscowa wyjaśniła, iż wieża, którą widać na horyzoncie, jest resztką aryańskiego kościoła w ruinie.

Nienaski wybrał się, nie zwlekając na miejsce, zbadał wszystko od początku do końca i opętany został przez *rabies* architektoniczną. Wieża była pozostałością zamku, zbudowanego, prawdopodobnie, w piętnastym wieku. W stuleciu szesnastem posiadaczami Gryfów i zamku byli Szafrańcowie, o których Paprocki pisze między innymi, iż »wiele ich różne skrypta zasłużonymi wspominają«. Jeden z nich, gorący protektor i krzewiciel aryaństwa, wzmacniając zamek podczas walk z rzymskimi katolikami, miał zbudować strażnicę, która właśnie w całości ocalała. Jedna ze sklepionych sal

wieży, największa, była wówczas zamieniona na zborzyszcze wyznawców aryanizmu. Od Szafrańców zamek gryfiecki przeszedł w drodze wiana do Oleśnickich, którzy z czasem powrócili na łono kościoła katolickiego i mają wspaniałe pomniki na świętym Krzyżu. Wieża, prawdopodobnie, nie stykała się z zamkiem. Stała osobno, wysunięta ku południowi. Przed nią w półkole zataczała się fosa na jakie czterdzieści stóp głęboka. Fosa ta tworzyła pierścień, którego kamieniem-zwornikiem była właśnie wieżyca. Zamek sam stał na obszernej płaszczyźnie, (dziś skromnem włościańskiem podwórku). Musiał być olbrzymi, jak na to wskazywały rozległe fosy. W ciągu lat z ruin zamku z dodatkiem nowej cegły, (już zapewne w dziewiętnastem stuleciu), dziedzice włości gryfieckiej stawiali kolejno budowle gospodarskie: wspaniałe stodoły, z potężnemi skarpami, na łukach, gorzelnię, oficyny, wreszcie dwór, stosunkowo niepokaźny. W dawnych fosach pasły się teraz krowy gospodarskie, — a poza fosami krzewiły się gęste sady. Wieża, zwrócona czołem do dawnego zamkowego dziedzińca, zamieniona została przez tychże dziedziców na śpichlerz. Teraz wraz z częścią muru na dwadzieścia stóp wysokiego, a zaopatrzonego w strzelnicę, stanowiła zwornik innego, czysto gospodarskiego pierścienia. Nareszcie ostatni z właścicieli dużego latifundium Gryfy, lasy wyciął, stawy pospuszczał, całość dziedzictwa rozparcelował, a pieniądze otrzymane za to wszystko przegrał w karty. Dwór nabyła gmina na urząd. Olbrzymi, ośmnastomorgowy sad kupił bogaty włościanin, chodzący dorobkiem za parcelacyami. Pociął całość na kawałki. W cudownych gąszczach drzew owocowych, produkujących doborowe gatunki, gdzie były niegdyś cieplarnie, ananasarnie i brzoskwiniarnie, a nawet winnica, rozgospodarzyła się na swój sposób dzierżawcza nędza żydowska. Stary, rozłożysty dom, niegdyś oficyalistów, z mocnemi skarpami, nabył inny przemysłowiec wiejski, trudniący się biciem wieprzów i sklepikarstwem. Dawną karczmę z pysznymi podcieniami, wzniesioną na głębokich piwnicach, rozebrano również na materyał. Z gruzów ktoś sklecił sklepik żydowski. Wszystkie murowane obory, potężne ze ścian zamku powstałe stajnie, stodoły i lamus rozebrali koloniści nowonabywcy na podmurówki i kominy chałupek i obó-

rek. Tak szczątki potężnego zamku wsiąkły w podmurowania, piecowiska i kominy, dając fundament nowej postaci życia. Ze wszystkiego, co tam niegdyś było, pozostała jedynie samotna wieża aryańska z kawałkiem muru. Nikt jej nie nabył, — zapewne dla trudności zburzenia.

Wieża ta w sylwecie wyglądała zdaleka, jak olbrzymi wiatrak bez skrzydeł. Podnosił to wrażenie nawet zblizka dach ścięty w szczycie i drewniane schody, prowadzące na pierwsze piętro. Zblizka ta budowla przedstawiała się, jak ogromny, jednolity blok. Wysokością swoją na sto pięćdziesiąt stóp przytłaczała wszystko dokoła, a niezwykłym kształtem zaciekawiała przechodnia. Zbudowana z tamtejszego wapniaka barwy jasno-żółtej ze rdzawo-czerwonemi żyłami, z zieloną pleśnią na wapnie, z dachem rudego koloru, miała w łagodnie zielonych tłach polskiego pola swą własną, bardzo piękną barwę.

Nienaski zbadał kamień, z którego wieża zbudowana została. Trafił zaraz do starych kamieniołomów w sąsiednim parowie, które były, jak szyby kopalniane, — tworzyły korytarze i studnie. Z nich przed wiekami wydobywano niekształtne bryły opoki. Do tej opoki przyrastał »siwak« zdatny do wypalenia wapna, szybko i mocno wiążącego. Opoka po wydobyciu z dołu miękka i niemal mokra, w murze stwardniała, nabierając mocy i wytrzymałości. W skalisku wieży jej kamienie ułożone w sposób cyklopowy trzymały się znakomicie. Spojone jednogatunkowem z głazami wapnem, przez kulturę wypalonem, okryły się w ciągu pięciu wieków jakgdyby szkliwem, zielonawą polewą, ni to w kaflu. Pradawna, w założeniu swem kwadratowa wieża miała z północnej strony dwie potężne skarpy, które trzema skośnymi uskokami zwężały się ku górze i po sam szczyt sięgały. Spadki tych pochyłych uskoków były niegdyś nakryte, jak świadczyły resztki, kamieniami z wystającym dla ścieku gzemsem o gotyckim profilu. Z tyłu, od północy była przybudówka, niższa i węższa od głównej budowli. Od zachodu ściany jej leżały w jednej płaszczyźnie, a różnica szerokości widoczna była od wschodu. Skarpy, gdy było patrzeć wprost od północy na szczytową ścianę baszty, wyolbrzymiały ją i wówczas tem dziwniejszym wydawał się

być jej wierzch ucięty. W tę ścianę, widocznie za śpichlerzowych już czasów, wmurowano małą i nizką przybudówkę, nakrytą polskim dachem gontowym, — którędy prowadziły wązkie schodki do piwnic. Pośrodku ściany zewnętrznej było wejście do przysienia, nizkie, szerokie, płaską cegłą sklepione, a posiadające drzwi okute. Otwór ten był również poźniejszej daty, lecz liczył napewno parę wieków. Z zewnątrz przytykała do tych drzwi luneta zamurowanego okrągłego okienka, które służyło do obrony drzwi, szturmem zdobywanych. Najbardziej rzucały się w oczy drewniane schody, wsparte na tęgich, drewnianych słupach i nakryte dachem. Te schody, idąc pod kątem od zachodniej skarpy do ściany, skręcały ku wschodowi i prowadziły do drzwi, któremi się wchodziło na pierwsze piętro. Drzwi na piętrze były nizkie, lecz przestąpiwszy je, trafiało się do wielkiej, na dziesięć łokci wysokej niszy, zamurowanej cienkim murem. Pod niszą i pod istniejącemi w niej drzwiami były w murze nazewnątrz szczątki czterech konsol z potężnych bloków ciosanych szarego marmuru. Śladu ozdób i profilów już nie było. Ocalało to tylko, co było w samym murze osadzone. Marmur zwietrzał i stał się porowaty. Szczątki konsol wskazywały na istnienie w tem miejscu balkonu. Zapewne musiało to być niegdyś jedyne wejście do wieży. Wchodziło się zapewne na ów balkon z dziedzińca, po drabinie, lub po drewnianych, prowizorycznych schodkach. W razie opanowania całego zamku, schodki łatwo było zniweczyć, a wieża mogła bronić się do upadłego. Nad drzwiami tkwiły w ścianie nazewnątrz szczątki obramienia okiennego z kamienia tegoż koloru, co cała wieża. Od wejrzenia dawały się rozpoznać ślady bogatego gotyku krakowskiego z piętnastego, czy początku szesnastego stulecia. Wysoko wznosił się szczyt ścięty, murowany z cegły, z czterema półkolisto zamurowanemi okienkami. W ścianie wschodniej piętrzyły się ponad sobą trzy okna, przecięte rysą od samego gzemsu aż do spodu ściany. Okna te miały obramienia z marmuru takiegoż, jak balkon. Kamienie sklepiące i boczne stojaki miały fazę szeroką na dziewięć cali, której powierzchnie tworzyły trójkąt, jak w jednem oknie wawelskiem. Okno pierwszego piętra miało czternaście stóp wysokości, a sześć szerokości. Ze szcze-

gółów pozostałego obramienia znać było bogactwo gotyku. Na wysokości drugiego piętra był wązki otwór, zasklepiony ostrołukowo, z wyskokiem pod spodem, jakby z resztką wykusza. Ściana wschodnia przechowała najlepiej dwa obramienia okien pierwszego i drugiego piętra. Były one bogato rzeźbione w wielkich bryłach biało-żółtego wapniaka. Zarówno wieża, jak przybudówka pokryte były starą dachówką holenderską wielkiego wymiaru. Dach ów świecił ogromnemi dziurami, a głęboka szczelina dzieliła obiedwie budowle. — Należało dla udostępnienia drugiego piętra i strychu, nie posiadających schodów, podnieść przybudówkę aż do szczytu wieży... — marzył architekt. — Należało nakryć je wspólnym dachem...

Na szczycie całej wieży sterczał komin wysoki, na którym, jak twierdzili świadomi dziejów mieszkańcy, niezliczone pokolenia bocianie hodowały potomstwo. To gniazdo, z przedziwną zbudowane trwałością, nadawało zakończeniu wieży kształt szczególny, niezwykle harmonizujący z tą samotną ruiną. Gdy Ryszard Nienaski pierwszy raz ją nawiedził, nie należała właściwie do nikogo. Posiadacz jej, ostatni dziedzic, gdzieś przepadł w świecie. Drzwi były poroztwierane. Architekt chodził po schodach i izbach bez przeszkody. Pragnąc zbadać całą wartość budynku, musiał poprzebijać mury, któremi zakryto okna, w czasie przerobienia aryańskiej świątnicy na śpichlerz. Najął tedy cichaczem mularzów i ludzi z drągami... Wązkie schodki zaprowadziły go do piwnic, których było dwie, o czarnych, beczkowatych sklepieniach. Z pierwszej piwnicy wchodziło się do przybudowanej klatki schodowej. Sklepienie drzwi złożone było z trzech zaledwie głazów, dwu bocznych i potężnego zwornika, jak we wcześnie-gotyckich zamkach francuskich. Schody, kończące się obszerną sienią, prowadziły do sali przyziemu, liczącej jakich dwadzieścia ośm stopni w kwadrat, sklepionej krzyżowo kamieniem. Była ona czarna, zapewne od dawnych pożarów, podkurzeń, gdy szło na dobre: »Bando, na aryany!...« Miała ta izba okno w ścianie zachodniej, a w północnej drzwi, prowadzące nazewnątrz, główne wejście do całego budynku. Okno tej niegdyś *sale de garde* było zamurowane cienkim murem. Po otworzeniu go przez mularzów ujawniło w zamykającym je murze

wiele fragmentów gotyckich i renesansowych, pochodzących, zapewne, z obramień drzwi i komina, którego już śladu nie było. Znalazła się tam również para rozet renesansowych, dobrze zachowana. Obramienia drzwi pierwszego piętra były późnogotyckie, dość ubogie i nieudolnej roboty. Nadproże wybujało w płomień, ozdobiony tarczą z herbem Leliwa, (półksiężyc, nad nim gwiazda). Po otworzeniu zamurowania tych drzwi znaleziono kilkanaście fragmentów gotyckich ładnej roboty. Musiały to być części obramienia dawnego komina z sali pierwszego piętra, stanowiącego jedną całość z otworem w sieni. Te otwory musiały stanowić tak zwaną *grubę*, w której paliły się kłody drzewa, ogrzewając salę i schody zarazem. Drzwi prowadziły do sali pierwszego piętra kwadratowej, sklepionej krzyżowo ostrołukiem, w której czterech rogach tkwiły szczątki żeber sklepienia. Zamiast konsol, rozpoczynających żebra, były dobrze wykonane w wapniaku twarze ludzkie. Ściany pokrywał bardzo gładki tynk blichowany, rodzaj stiuku, który miejscami miał połysk i białość polerowanego marmuru. Dwa okna olbrzymie, o wnękach na ośm stóp głębokich i takiejsamej wielkości okno-drzwi, prowadzące na dawny balkon, oświetlały niegdyś to wnętrze szybkami butelkowemi w ołowianej oprawie. Po wywaleniu murów zamykających te okna, okazało się, że były one podzielone jedną laską poziomą i dwiema pionowemi na sześć pól, — trzy górne kwadratowe, a trzy dolne prostokątne, wydłużone. Nazewnątrz te okna miały pod calbantem trzy pola kwadratowe, wypełnione zniszczonemi rzeźbami. Gzemsy ponadokienne ozdobione były plecionką prawie romańską. Boczne stojaki okazywały bogactwo i różnorodność. Co do wielkości te okna nie miały chyba równych sobie w budowlach dawnej Polski, a co do kształtu różniły się od pokrewnych. Gdy bowiem okna tego rodzaju zbliżały się zazwyczaj do kwadratu, te stanowiły dwa kwadraty, ustawione jedne nad drugimi. Sala drugiego piętra nie była sklepiona. Widać tam było belki. Jednak łuki na każdej ze ścian wskazywały, że powała musiała być niegdyś pokryta żaglowem sklepieniem. Sala ta była oświetlona trzema oknami, niższemi, niż na pierwszem piętrze. I te okna podzielone były kamiennemi laskami na cztery pola. Po-

nad tą salą była jeszcze jedna, lecz już bez okien. Zgniłe na dobre belkowanie nie miało tam już pułapu.

Trudnoby było wynotować tutaj wszystkie przyczyny, które wpłynęły na tak szczegółowe zajęcie się Ryszarda Nienaskiego dziejami i losami smutnego straszydła z kamienia, które wśród pól sandomierskich sterczało. Jedną wszakże z najgłówniejszych była sala pierwszego piętra. Bliższe i szczegółowsze dochodzenia, już nie tylko architektoniczne, lecz i historyczne, — których niepodobna cytować w tym i tak zbyt długim opisie wieży, — wykazały, że tam to właśnie, w tej sali mieściło się aryańskie zborzyszcze. Ona też nadała charakter moralny całej budowli. W niej gromadzili się ci ludzie tak niezwykli, tak dziwni, tak niewiarygodni w szlacheckim świecie dawnej Polski, — w ziemi Samuela Zborowskiego i Dyabła z Łańcuta, — w szare płaszcze odziani, bezbronni, wyrzekający się majątków, dostojeństw, praw, potępiający sądzenie i urzędowanie, — przy skromnej wieczerzy zasiadający na jednem miejscu pan z panów — obok chłopa, — a niewolniczą czeladź dobrowolnie uwalniający... O ściany tej sali obijały się ich rady, gdy za swego króla uznawali tylko Tego, co cierniową nosił koronę. Brzmiały tu ich wezwania do braci, ażeby światu wypowiedzieli jedyną wojnę, z własną słabością, — ażeby wszczęli walkę jedynie z szatanem, który światem włada, — by nie dbali o strój i wygodę, — by się prawie we wszystkiem zrównali z prostakami... W tej może izbie postanowili jednomyślnie, jednozgodnie i jednogłośnie, że im »Chrystyanom« w myśl nauki Zbawiciela o niesprzeciwianiu się złemu, o nieprzysięganiu, o miłości ku nieprzyjaciołom i prześladowcom, — nie godzi się nosić i nie wolno używać oręża, — nie wolno walczyć i sądzić, — nie wolno nie tylko przysięgać, sprawować urzędów, połączonych z władzą nad życiem i śmiercią, ale nawet udawać się do nich we własnej sprawie, jeśli tylko z karą bliźniego połączone być mogły... W tej izbie toczyły się zapewne spory o kanony rakowskie, nakazujące, iż »Chrystyanin« nie może być królem, książęciem, hetmanem, wojewodą, starostą, sędzią, podsędkiem, namiestnikiem, wójtem, burgmistrzem, setnikiem, żołnierzem, drabem... Toczyły się pewno owe gwałtowne słowne dysputy, które później

w tylu drukach przetrwały, iż »wiernemu nie godzi się mieć praw wszelakich, polskich, litewskich, ziemskich, niemieckich, grodzkich, miejskich i innych, gdzie mieczem karzą, albo na przysięgi skazują,— nakoniec oręża wszelakiego i podróżnemu nosić, albo wozić i rozbójnikom się bronić...« Bywał tu pewnie magnat, dobrowolnie zubożały, Jan Niemojewski, który na sejm w Lublinie między tłumy szlachty szumne, wspaniałe, wielomówne, zbrojne, połyskujące od drogich kamieni, złota, srebra i jaszczuru, przepyszne od wschodnich barw stroju, od parczy, aksamitu, włoskich atłasów, sajet i francuskich grodeturów, — wchodził w pokornej postawie, milczący, bez oręża, bez służby i towarzystwa, w szarym kopieniaku i z torbą na plecach. Bywali tu może Budny, Czechowic, Farnowski, może zbiegowie z ziemi włoskiej i tylu ziem innych — Lizmanin, Stankar, Biandrata, Gentile, Leljusz Socyn, Ochino, którzy w Polsce gościnę i ucho powolne dla swej myśli znaleźli. A obok nich zasiadali tam pewnie do rady i rozmyślania o istocie rzeczy — chłopi, tokarze, strugarze, wrzeciennicy, płóciennicy, kapuściarze »i insze drożdże narodu ludzkiego«, — z czego się tęgo śmiał łacinnik. Schodzili się tutaj, jako spiskowcy, najszlachetniejsi, najlitościwsi ludzie polscy siedmnastego wieku, mężowie o najbystrzejszych głowach i najhartowniejszych charakterach, którzy umiejętność polską owego czasu dziełami zaznaczyli przed światem, — którzy sprawy ducha dziś dopiero wznowione i, jako nowość, z hałasem roztrąbiane i ogłaszane po ziemi, — bez kłamstwa i obłudy nie tylko rozsądzali i formułowali, lecz sumiennie i głęboko stosowali w swem życiu. Ściany tej izby słyszały potępienie niewoli chłopa w Polsce na trzysta lat przed jego wyzwoleniem, zakaz wojowania bronią, odmowę trybunałom prawa miecza, stwierdzenie nauki o niesprzeciwianiu się złemu, a zwalczanie go jedynie zapomocą dobra, mocną obronę wolności badania i wyznawania wiary, obronę swobody sumienia. W czasach, gdy inkwizycya katolicka i protestancka wojowała mieczem, stosem, torturą, więzieniem, banicyą, konfiskatą w całej Europie, z tego zakątka rozlegał się manifest o nieprześladowaniu za wiarę. Gdy w siedmnastym wieku wolność sumienia, którą w Polsce, jedynej na Europę, zapewniało prawo,

zwalczona została, gdy ruszono ławą na aryany, zburzono ich schroniska i gdy pod tą wieżę podłożono ogień, strzaskano drzwi, okna, sprzęty, gdy tych ludzi wygnano z ojczyzny na kraj świata, a ślad ich stuletniego bytu w wolnym kraju postanowiono zadeptać, poszli w ziemię tyrolską, francuską, w Siedmiogród, nie zaparłszy się swego Boga, choć tak łatwo było przejść na stronę »papańską« i przy wszystkiem zostać.

Nim to wygnanie dokonane zostało, izba ta była jedną z najdostojniejszych trybun i najdonioślejszych kazalnic świata. W stuleciu szesnastem rozległo się z niej wszczęcie kwestyi i zadzierzgnienie polemiki o utrzymanie chłopów w poddaństwie, i głos o odrzucenie godności, z przemocy i pychy wynikających. Objawiło się tutaj docieranie (u Czechowica), do ustanowienia kategoryi moralnej o »natchnieniu«, o »zapaleniu ducha«, które rozstrzyga w sprawach duchowego działania, przedwieszczące wiedzę o nowoczesnem pojęciu intuicyi, instynktu, stającego się bezinteresownym, świadomym siebie samego i zdolnym do zrozumienia swej istoty. Stąd padło tchnienie apostolskich idei komunizmu w zasklepione samolubstwo stanów i rodów, w przepych magnateryi polskiej. Zabrzmiało wezwanie, ażeby w wodzie chrztu obmyć ze siebie starego i grzesznego Adama i oblec niewinność nowego. Stąd też rozległ się pierwszy hejnał na przebudzenie z ucisku rzesz rękodzielniczych, — tkaczów, krawców, cieślów, szewców, — pierwsze polskie wyciągnięcie dłoni pomocnej do pracy i do nędzy.

Kiedy robotnicy po raz pierwszy przystąpili do wywalenia ślepych murów, które zapełniały okna sali aryańskiej i kiedy światło znowu wpadło pod jej sklepienie, nanowo wybuchła pod niem kwestya o to samo niesprzeciwianie się złemu. Promienie słońca, które wpadły do śpichlerzowej ciemnicy, zdawały się budzić z trzywiekowego snu ten sam duchowy spór. Teraz dysputę toczył Ryszard Nienaski z tamtymi ludźmi, zamkniętymi tu w samych sobie. Zdawało mu się, bynajmniej nie w sposób halucynacyjny, lecz w sposób intuicyjnie świadomy, że słyszy głosy ich, skargę głęboką na ucisk, żarliwą ich modlitwę do Jedynego, co widzi czystość ich dzieła i dokonywającą się niesprawiedliwość. Odgłosy robotniczego drąga,

który wywalał martwe cegły, budziły w izbie tej echo użalenia, napełniały ją chorałem dźwięków, smutniejszym nad wszelkie słowo. Stara budowla zabrzmiała jakgdyby od pozdrowienia, od podzięki zborowej, od głuchego płaczu.

Architekt polubił wieżycę za wszystko, czem była. Pokochał się w niej z całą namiętnością swojej natury. Obchodził ją wokoło i patrzał na jej postać zdaleka, jakgdyby na symbol ojczyzny. Rozkopywał grunt przylegający, znajdując bardzo wiele »przyczynków« do dawniejszej, przyniesionej kultury i późniejszego barbarzyństwa. Postanowił uczynić z tej wieży »stary miech z nowem winem«. Zdecydował, iż musi doprowadzić ją do porządku. Na dole, w sali parterowej będzie szkoła dla dzieci kolonistów, którzy rozparcelowali dawne latifundium. Na pierwszem piętrze, w dawnej sali aryańskiego zboru będzie muzeum aryanizmu. Zgromadzone będą druki braci polskich, rakowskie, pińczowskie, lubelskie i litewskie, oraz na obcej ziemi wydane — rękopisy, pamiątki, przyczynki, portrety... Na trzeciem piętrze będzie mieszkanie nauczyciela, a zarazem kustosza tego małego muzeum.

Nim jeszcze gruzy i rumowie, pełne potrzaskanych kawałków marmuru, podmiecione zostały, Nienaski patrzał z sali pierwszego piętra przez otwarte dziury okien na świat daleko rozesłany. Blizkie i dalekie wiosczyny, nędza dróg, działeczki lichych zbóż... Zaciskał pięście. Poprzysięgał szlachetnym cieniom aryan, że zaczyna walkę nie tylko z tem wszystkiem, lecz i z nimi. Cóż bowiem spłodzili, w tej pięknej ziemi, uchodząc z niej i nie sprzeciwiając się prześladowaniu? Oto ten jeden niemy mur z nich pozostał. Ulękli się obrony swego ideału, gdy »święty ogieniek« pod jego przyciesi podłożono. Postanowił wziąć te ruinę za siedlisko zaprzeczenia, sprzeciwu gwałtem. Gwałtownicy, — mówił cieniom; — porywają królestwo niebieskie. Gwałtownicy tylko mogą osadzić królestwo niebieskie na ziemi. Gdy ostatni pan Podlec tysiące hektarów poznańskiej ziemi, tego złota bez ceny, na któremby praca ludu polskiego żywot pokoleń oprzeć zdołała, sprzedaje z dobrej woli i wolnej ręki wrogom niemieckim, żeby naród obcy na to miejsce przyszedł, skąd naród polski precz ma uchodzić, gdy ziemię tę sprzedaje dlatego, żeby dobry

załatwić interes, człowiek polski ma odejść i poniechać tej sprawy dla kultu swej powziętej cnoty, dla swego ideału? Gdy niema już drgnienia w Polsce na taką wieść, gdy wystygł już horror na taki widok i zbladła już miłość, nie byłożby niesprzeciwianie się tej nędzy wyrachowaniem tchórzostwa i zwyczajną obłudą?

Wojna zaczepna, podłości wypowiedziana! Czarna strzała puszczona w okute drzwi zbójectwa, za któremi nędznicy panują nad przyszłością narodu! Walka z dziełami szatana w nieszczęsnej polskiej ziemi!

Tak to, — znów popróżnicy, — w pękniętej wieży aryańskiej miotał się i rozbijał ten sandomierski Orland Szalony...

Roboty należało zacząć od ustawienia rusztowań, dźwignięcia przybudówki aż do górnego gzemsu i od restauracyi dachu, który zaciekał. Trzeba było zmienić niemal wszystkie belki na strychu, krokwie i bonty. Dachy na przybudówce i na samej wieży zrzucono. Dwie budowle odsadziły się jedna od drugiej i szeroka szpara dzieliła je, tworząc zaciek na murze. Wezwany został zespół cieślów. Nienaski odrysował plan roboty. Następnie zgromadzono mularzów i dokonano wzmocnienia murów. Rozkuto szerokie szpary i pęknięcia, a później przemurowano je mocnym kamieniem, związując miejscami szeregiem żelaznych ścięgien, albo zamieniając dawne, drewnianie ankry nowymi z żelaza. Porozkuwano również mur szeroko, w trójkąt ponad sklepieniami okiennemi i drzwiowemi. W miejscach, gdzie były pęknięcia, zbadano i skontrolowano same sklepienia. Pozamieniano niektóre kamienie, zabito żelazne kliny na cement, zalano całe sklepienia rzadkim cementem i zamurowano, zeszywając rozkute otwory. Następnie powyjmowano uszkodzone obramienia okien i złożono je w porządku w dolnej sali. Części, nie dające się ściśle odtworzyć, pozostawiono jak były. Części, nadające się do ododtworzenia, zostały jaknajpilniej i pracowicie skopiowane i wstawione na miejsca. Wszystkie okna miały być z czasem oszklone okrągłemi szybami, oprawionemi w ołów. Drzwi, schody, kominy, uzupełnione.

Nienaski porywał się do roboty i sam pracował z chłopami. Kierownictwo nad całą ciesielszczyzną objął stary majster, prosty

wieśniak z sąsiedniego osiedla, Paweł Łoński. Był to stary już człowiek, lecz postawę miał wyprostowaną i włosy czarne. Mógł mieć lat pod siedmdziesiąt, lecz wyglądał na czterdzieści parę. Był niewielkiego wzrostu, szczupły, o twarzy pociągłej, czarniawej. Obyczajem włościan polskich golił zarost do czysta, z pozostawieniem krótko przystrzyżonego wąsa. Gdy Nienaski pierwszy raz rozmawiał o robocie z tym Łońskim, zaleconym mu z najlepszej strony, przyszedł do przekonania, że chyba trudno będzie dojść do jakiego z nim ładu. Chłop był małomówny, ostrożny, aż do zupełnej nieufności. Pytał się o robotę bez wielkiego entuzyazmu i bez wyraźnego rozgarnięcia. Trzeba mu było każdą rzecz kilkakrotnie powtarzać. Niezbyt się targował o cenę roboty, dowiadywał się raczej o jej ilość. We wszystkiem, co mówił, leżała na dnie podejrzliwość względem młodego architekty i nieufność do całej imprezy. Lecz gdy otrzymał na rękę spory zadatek, przystał. Miał on nie tyle zorganizowaną, ile »zmówioną« gromadkę cieślów, z którymi pospołu chodził za zarobkiem, wieśniaków, jak sam. Łoński był budowniczym wioskowym. Ogarniał całość zadania »rozumieniem« i znał »sposoby« budownickie. Pracował zresztą tak samo, jak jego towarzysze i wykonywał wszystkie ciesielskie rodzaje pracy: ociosywał pod sznur belki, heblował deski do spółki z drugim, robił siekierą, olśnikiem, świdrem, młotem. »Majster« był pracowity w sposób niewiarygodny. Nienaski nie mógł się tej pracowitości napatrzeć i nadziwić. Przyzwyczajony do zachodnio europejskiego targu i zwady o wysokość płacy i krótkość dnia roboczego, z podziwem patrzał na tego słowiańskiego włościanina, który podejmował pracę, jak ptaki i rośliny podejmują dzień życia. Skoro słońce wstało, on już robił przy wieży. Był pierwszy przy belkach i razem z głosami ptaków dawał się słyszeć świst jego hebla. Ostatni odchodził z pomiędzy wiórów, trzask i heblowin swym krokiem wolnym, zawsze tak samo spokojny i zamyślony. Była w tym człowieku niezamącona dostojność i umiar wszystkiego doskonały. Prawdziwie, ten sumienny cieśla nie tylko czynił doskonale wszystko, czego się podjął, lecz i sam był doskonale zbudowany duchowo. Może zbyt długo wszystko zgłębiał, przyswajał sobie i zdobywał, to prawda, lecz gdy po rozwadze podjął pracę, można było mieć

pewność wykonania bez zarzutu. Nadto jego osobista »czystość« roboty była nadzwyczajna. Jeżeli nad zadaniem któregokolwiek z towarzyszów zbyt często i zbyt długo przystawał, patrzał, przestępując z nogi na nogę i gładził z frasunkiem ogolone policzki, znaczyło to, że tam nie zupełnie jest »czysto«. Gdy się zaś niedokładność zbyt uwydatniała, odsuwał kolegę do innej roboty i sam zabierał się do wykonania tamtej. Łoński zbyt długo kombinował, zbyt pedantycznie wymierzał, wypisując sobie »numery« na gładzi belki ciesielskim ołówkiem a bardzo niezgrabnymi figlasami. Bo z pisaniem było mu najciężej. Nie uczono go geometryi, a przecie podstawowe jej zasady o trójkącie, o kwadracie, o przekątni wiedział, jako pewien rodzaj zakonu sekretnego, mądrości tajemnej, może w tradycyi ciesielskiej przekazany mu przez zmarłych mistrzów-cieślów, przy których ongi praktykował. Lecz z tem ubogiem swem »rozumieniem«, z tym kaganeczkiem tak maleńkim światła niezbędnego — ileż to zbudował domów dla ludzi, stajni, obór, szop! Pewnego dnia, pracując na szczycie wieży i rozglądając się po okolicy, stał się wymowniejszym i począł towarzyszom wskazywać we wsiach okolicznych chaty, które pobudował. Nienaski, słuchając tej cytacyi, nabrał dla Łońskiego wielkiego szacunku. Bo, zaiste, z tak małym zasobem wiadomości, jakże ten człowiek był pożyteczny! Gdy inni ludzie »oświeceni« trwonili rzeczy niegdyś wypracowane, niszczyli w porywie waryacyi ogromne zamierzenia przodków, a w najlepszym razie żyli, nie wiedząc o tem, po co żyją, ten prostak przez całe swe życie budował i budował... Nikt mu nic nie dał, nikt nic nie wskazał. On sam, jak pszczoła, albo mrówka, spełniał swe ciche i niepostrzeżone posłannictwo, ulegając mocy instynktu, tajemnicy stwarzającej. Po bliższem zbadaniu domostw, które Łoński stawiał, młody architekt musiał przyznać, że były wykonane »na urząd«, a nawet w pewien sposób, który się rzucał w oczy. Chaty Łońskiego miały pewną znamienną cechę. Łoński dodawał do zwyczajności, do niezbędnej celowości osiedla pewne ozdoby, lecz nie od siebie, nie ze swego wymysłu, lecz z »pamięci«. Sam szył z kłoci »gąsiory« słomianych dachów, w sposób uroczysty, uparcie niezmienny, zawzięcie hieratyczny, lecz wskutek niezrównanej dokładności wykonania, jakby nanowo

wskrzeszony, a nawet wymyślnie nowatorski. Jego »gąsiory« i »kalenice« miały wprost »styl«. Nadto ponad ubożuchnymi ganeczkami domostw zawsze umieszczał wycięte w desce »śparogi«, dwie skrzyżowane końskie głowy, echo przedwiecznego na tej sandomierskiej ziemi kultu Swaroga, bożyszcza słońca, którego rumak był symbolem. Okna Łońskiego miały swoiste wymiary i pewne wyrzynania w desce, osłaniającej futryny. Wieńcówka jego węgłów była w pewien charakterystyczny sposób rąbana i kładziona. Nie było w tem nic pięknego, żadnej krasy. Był to pewien typ roboty i »pamiątka« przygasła czegoś przed odległymi wiekami...

Nienaski ogromnie chwalił te budynki Łońskiego. Tak to spotkali się dwaj architekci — uczony i nieuczony. Drugi nie ufał pierwszemu i wszystko, co mu tamten prawił, puszczał mimo ucha. Przedewszystkiem dla tego, że Nienaski na wielu rzeczach zasadniczych — wcale się nie znał. Mimo odbytych studyów i mimo zwiedzenia tylu znamiennych budowli na świecie, młody architekt nie umiał odróżnić belek drzewa sosnowego, ściętych w złym czasie, od dobrych, — budulca »wichrowatego«, czyli wyrosłego na złym gruncie od »suchego«, czyli z sosny na piasku. Żyd, dostawca budulcu, pan Jankiel Gips, odrazu to spostrzegł i zwiózł właśnie »wichrowate« belki. Począł się nadto kręcić około cieśli, zachodzić z kubanem to z tej, to z owej strony. Łoński obejrzał budulec w milczeniu, jak zawsze, sumiennie, ze zmarszczoną powieką. Coś tam w owych belkach naddrapywał pazurem, coś dłubał kozikiem, oglądał od spodu. Spokojnie ujął drąg żelazny, nie nadające się belki podważył koleją i na bok odrzucił. Pan Gips wszczął gwałt na całą parafię, nadzwyczajny czynił hałas, powoływał się na swe sumienie, na rozmaite świadectwa, skakał do oczu cieślom, machał rękami, pluł, krzyczał... Nadaremnie. Łoński patrzał na niego spokojnie. Odkaszlnął i poradził kupcowi, żeby zabrał odrzucony budulec. Tak mu właśnie powiedział:

— Weźże se te belki, com je odrzucił, włóż je na wóz — i jedź z nimi do dyabła. Te, Gips!

Pan Jankiel Gips obraził się na majstra. Nazwał go »chłopem«. Powiedział mu z przekąsem:

— Ty nieoświecony chłopie!

Chodził przytem tam i nazad wśród wiórów z rękami w tylnych kieszeniach chałata, wzruszał pogardliwie ramionami, śmiał się z wrzaskliwą ironią, pluł między heblowiny. Koniec końców, przy pomocy swego katolika, parobka-kudłacza, niezgraby i wszarza, doprawdy »wichrowatego«, jak odrzucone drewna, włożył złe belki na wóz i z anielską na obliczu pogardą odjechał.

Nienaski nierychło, lecz zdołał przecie pozyskać ufność Łońskiego. Stało się to dzięki konstrukcyi dachu. Dach ów był połamany, miał facyaty, dymniki, wyglądy, nierówne spady płaszczyzn, z północy inną, z południa inną. Nadto dach nadbudowy miał się teraz połączyć w jednej płaszczyźnie z dachem wieży. Po wyjęciu zgniłych krokwi i belek góry, Nienaski narysował projekt nowego dachu, który miał nakryć wieżę i przybudówkę. W rysunku swym utrzymał wszystkie facyaty. Tej całej gmatwaniny Łoński nie mógł ogarnąć. Pracował, jak mu kazano, wznosił na pal słupy na słupach w przybudowie, nakrywał to krokiewkami, lecz nie obejmował całości rozumieniem. Wznosił potem krokwie i bonty, przybijał łaty na dachu wieży, lecz coraz zawzięciej milczał. Wreszcie pewnego dnia odprowadził Nienaskiego na ustroń i w sposób możliwie najgrzeczniejszy, życzliwy i bardzo pokorny powiedział mu, że trzeba będzie tę robotę przerwać, żeby sobie kosztów nie robić, bo się płaszczyzny tych dwu dachów, wieżowa i przybudowy, nie zejdą. Między jedną a drugą powstanie dziura. Śnieg się w tę dziurę będzie nabijał, drzewo będzie gniło. Zresztą taka budowla z pokrzywionymi dachami nie będzie pewna. Nienaski wysłuchał wszystkiego z zawstydzeniem. (Należał on do gatunku ludzi, którzy się wstydzą nieświadomości innych, rumienił się, gdy kto w jego obecności kłamał). Pokazał Łońskiemu swe rysunki i swe obliczenia, pokornie go przekonywał... To nie poskutkowało. Majster wrócił do roboty i pracował dalej, ale już w najzupełniejszem milczeniu. Aliści idące z dwu stron płaszczyzny krokwi nie tylko się zetknęły, lecz o jeden milimetr nie chybiły. Wtedy ubogi wiejski budowniczy zdumiał się nad »zmyślnością« tego młodego... Zdjął kapelusz, gdy go za nieufność przepraszał. Nienaski gorzko pożałował doli tego budownika chat, który

nie umiał najprostszych rzeczy, a tyle miał do uczynienia na świecie. Odtąd głęboka przyjaźń zawiązała się między tymi dwoma architektami. Stary począł uważnie wsłuchiwać się we wszystko, co ten młody mówił, nawet w niezrozumiały, w »trudny« język, którym tamten wyrażał swe myśli. Po dawnemu wzruszał ramionami, gdy mu Nienaski perorował o tych-ta »stylach«. Jednakże niektóre szczegóły, pewne dane przyswajał sobie, a nawet dla pamięci kulfonami, ciesielskim ołówkiem zapisywał na kawałku papieru od tytoniu.

W pewne dni Nienaski przerywał na parę godzin roboty mularzów i cieśli. Zgromadzał wszystkich w sali aryańskiej i, siedząc na stosie gruzu, wykładał tej czeladzi podstawowe wiadomości z zakresu budownictwa. Bo okazało się, że czeladnicy mularscy nie wznosili jeszcze nigdy gotyckiego łuku... Budowniczy starał się mówić najprostszym językiem, najzrozumialszymi zwrotami, silił się na prostotę i jasność. Lecz gdy następnie zadawał pytania, okazywało się, że nie został zrozumiany i to w niczem, cokolwiek mówił. Powtarzał tedy swój wykład — dookoła Wojtek — aż do skutku. Jedną z przyczyn niezrozumiałości jego pouczeń było to, że nie używał niemieckiej terminologii w nazwach narzędzi. Ohydne zachwaszczenie mowy roboczej wszelkiego rodzaju »štamajzami«, co w sposób cechowy, obrzędowy, z musu przekazywało się z pokolenia na pokolenie i uchodziło za stopień »wyzwolenia« w wiedzy fachowej, stało na przeszkodzie porozumienia się Polaków. Nadto, przeszkadzała wydatnie nadzwyczajna, fenomenalna obrazowość, metaforyczność potocznej mowy rzemieślniczej. Była to mowa rodząca się wśród zmagania się z materyałem, wyskakująca z ognia pracy i, jak sama praca, przedziwnie rozmaita i drżąca od życia. Każdy czyn, uderzenie, długotrwały zabieg, celowy zamysł, obmyślony cios, pracowity podryw, ciężki wysił miał swą celną i nieomylnie trafną przenośnię, jakby swój genialny wizerunek, swą postać, urobioną z siłą, zręcznością, zgrabnością i wdziękiem z materyału wyrazów pospolitego języka. Najwyszukańszy utwór literacki, wypchany urobionemi przenośniami byłby bezmyślną robotą sztukmistrza i snoba w zestawieniu z przebogatą rozmaitością i oczywistą jasnością wysłowienia zwykłych pracowników. Nienaski z całą pasyą począł sam

pracować fizycznie, żeby zdobyć treść i posiąść zakres tego żywosłowu, tryskającego z pracy. Postanowił wedrzeć się w sam środek możności mówienia polskim językiem pracującego ludu. Nie naśladować »gwary« pracujących, nie zbierać porównań, lecz twórczo mówić samemu. Bogactwo tej mowy zachwycało go, jak ogrom Wieliczki, albo Dąbrowy Górniczej. Za wszelką cenę chciał ze swego własnego języka wytracić bezmyślną napuszoność literackich obrazów, które są płonne, gdyż nic nie znaczą, na niczem nie są oparte i do niczego nie służą. Są porównaniami dla porównań, martwemi szczątkami i strzępami mowy ludzi czynnych, zieją pustką i nudą dzisiejszą, są bezmyślnem powtarzaniem splotów słów wyziębłych i skostniałych w wiecznie jednakie szablony.

Przypatrywali mu się prości robotni ludzie i śmieli się zeń zdrowo. Kpinkowali za jego plecami z frazeologii pańskiej, niezrozumiałej, a mizdrzącej się, żeby być zrozumiałą, przedrzeźniali go arcydowcipnie, drwili prostacko z jego pomyłek, z jego entuzyazmu, demokratyzmu, usiłowań zbliżenia się i zbratania. Początkowo uważali go wszyscy za jakowegoś szczwanego oszukańca. Mówili:

— Coś on mieć w tem musi, że tak koło nas skacze...

— Jakiś to jest tęgi drań! Ja wam to mówię... — perorował stary mularz, wyga i pijus, który »z niejednego pieca chleb jadał«, a gorzałę pijał ze wszystkich »monopolów«, jakie były w powiecie.

— E — głupie toto — i basta! — łagodził inny. — We łbie się temu wszystko poprzewracało. Wszystko przecie, co gada, do niczego na świecie nie podobne. No, nie?

— Bo i pewnie. Są między nimi takie głupie paple. Taki ci będzie, dyabeł wie z jakiej racyi, bakę świecił. Do biedy się garnie, hycel. Bieda mu, jusze, pachnie.

— A jakże! Bieda mu pachnie, tylko trza jeszcze parę tygodni poczekać.

— No! Tylko patrzeć, jak tu przyjdzie, siądzie se grzecznie na kupie rumowia i zacznie namawiać, żeby go ta gdzie wybrać, na jakiego dygnitarza. Będzie nasz przedstawiciel, nasz jenerał.

— Nasz dobrodziej, opiekun, łaskawca. My jest, — cholera! — proletaryat, a on będzie nasz opiekun i dobrodziej.

— Tylko poczekać, to się zobaczy...

Lecz nic się podobnego nie okazało. Tylko Nienaski garnął się coraz bardziej do biedy. Począł wglądać w stosunek »pana majstra« mularskiego do jego czeladników i chłopców. Z tych wglądań wynikła oczywistość faktu, że »pan majster« brał od Nienaskiego rubla dziennie niby to dla każdego z czeladników, lecz czeladnikowi na rękę wypłacał tylko cztery złote. Resztę brał dla siebie »jako majster« za to, że około pracującej gromadki chodził, pokrzykując ordynarnie i sypiąc wymysłami. Chłopcy, oddani »na praktykę«, — to znaczy do ciężkich robót noszenia cegieł, kamieni, lasowania wapna, — pracowali latami za darmo, spali daleko gorzej, niż psy, w barłogach, wśród mokrych murów wznoszonych budowli, bez dachów.

Gdy młody budowniczy zahaczył »majstra« o te stosunki, — tamten się obruszył. Jak to można takich rzeczy tykać? Te stosunki są ułożone. Skoro tylko ludzi podbechtać, to się zbuntują. Nienaski zagroził majstrowi, że go precz wygoni, nieuka, który tylko powtarza cudaczne niemieckie terminy. Oświadczył, że każe pod swojem kierownictwem budować samym czeladnikom i chłopcom, płacąc im tyle, ile zarabiają naprawdę. Ale wówczas majster ze swej strony zagroził wszystkim pracownikom kielni, że ich nigdy i nigdzie do roboty nie weźmie, że ich głodem zamorzy, gdyby choć jeden z nich przystał na warunki młodego budowniczego. I ani jeden czeladnik nie stanął »bez majstra« do roboty na propozycyę Nienaskiego. Stary, niemal średniowiecznie-cechowy ustrój zwyciężył. Czeladnicy woleli pracować po dawnemu za »swe« cztery złote, choć przyznawali, że majster na każdym z nich zarabia dziennie dwa złote i groszy dwadzieścia. Zgadzali się na to, że tak należy, aby majster gorzalinę popijał, klął na nich i pokrzykiwał, sam nic nie robił i obdzierał ich »sumiennie« dzień w dzień.

Cieśle, pomocnicy Łońskiego, nieco mniej ordynarnie, ale także nieufnie przypatrywali się architektowi. Był wśród nich jeden, Szymon Paździora, człowiek nadzwyczajnej pobożności. Podczas nabożeństw w kościele człowiek ten tak się zamadlał, że żarliwością swoją przeszkadzał innym wiernym w modlitwie. Tenże

był najzacieklejszym krytykiem wszelkich wad i przywar proboszczów i wikarych. Ów Paździora był nader bystrym spostrzegaczem i niezwyciężonym dyalektykiem. On to, pod nieobecność Nienaskiego, roztrząsał wszystkie jego postępki. Były dlań dziwne i podejrzane. Raz sprzeciwiały się religii, to znowu szły z nią równym krokiem, albo ją i wyprzedzały. Stąd nieufność, zdumienie, zamęt. Wszystko zaś, co chciał robić ten młody, było jakowemś podważeniem, podminowaniem starych podwalin i zasad biedy.

Pośród mularzów był pewien czeladnik, człowiek starszy, cichy, zabiedzony, wielką obarczon rodziną — »pan Barylak«. Włosy miał skudłane, zbryzgane wapnem, jako to mularz, — ręce od wiecznego krzesania kamieni, jak korzenie buka. Twarz miał dziobatą od ospy, oczy małe w nawisłych powiekach, wargi, jak dwie kiełbasy złożone do kupy. Barylak mało mówił, nie spierał się nigdy i z nikim. Był jednaki w robocie, zamyślony o swem życiu i dzieciskach. Na postępki Nienaskiego patrzał, jako na zarządzenia zwierzchnika. Słuchał, co mu kazano robić, i robił wytrwale, żeby »swe« cztery złote wykrzesać i wymurować. Lecz »pan Barylak« miał i swe własne widzenie rzeczy. Okazało się to pewnego dnia, — a znacznie już później, gdy roboty przy wieży miały się ku końcowi. Gdy wszyscy byli zajęci i pracowali w milczeniu, Barylak przerwał swą czynność, wytarł palcami pałkowaty nos i rzucił zdanie bardziej sobie, niż towarzyszom pracy:

— Jak mi Bóg miły, nie wiadomo, co to jest za jeden. Ja się pytam, co, jucha, jest za człowiek?... Bo takiego człowieka nie było tu widać... A może, jucha, i nie człowiek...

— Nie człowiek, tylko co? Anioł? — warknęli towarzysze.

— A kto jego wie? Abo oszust, abo anioł!

— Idźże pan, idźże pan, żebym zaś czego nie powiedział!

— A widziałeś tu pan takiego, jeden z drugim? Gadał tu kto z tobą w takie słowa? Przecie trza i tę miarę mieć w gębie!

— A cóż niby? Że tę ruderę buduje? Strzeliło takiemu do łba, to i buduje. Jeden buduje pałac, drugi dóm, trzeci karczmę, tamten oborę, — ten ruderę sztafiruje odnowa. Pańska, psiamać, fanaberya!

— Nieprawda! — wrzasnął Barylak, jakby go kto ogniem przypiekł. — Łżesz pán! Owies trzymał tamten dziedzic w tem miejscu, potem tu szczury ino hulały, a ten przyszedł i chce dla dzieci szkołę zrobić!

— No to i co? Czegóż pana znowu tak nosi? Jezus! Szkoła! Szkoła a szkoła! Tylko przecie tyle teraz te wszystkie surdutowce umieją: »szkoła, bracia, szkoła!...« Śmiech, jak mi Bóg miły!

— Pytam go się, — mówił Barylak, wytrzeszczając oczy i robiąc minę, jakby w istocie rozmawiał w tejże chwili z Nienaskim, — pytam go się, czyby, naprzykład, mój Ignaś mógł chodzić tosamo do tej szkółki? Bo jako że tu siedzę na Gryfach, — więc co z chłopakiem robić? Do książki się rwie, prosi się, żeby go na naukę oddać... Cóż ja za naukę dam takiemu? Do miasta? Za co? Powiedzże mi pan! Człowiekby przecie ręce do łokci urobił, żeby takiemu dać tę naukę! Możeby z niego jakie co wyszło... Więc... To mię wziął rękami za pan brat, w oczy mi patrzy, nic nie mówi... Więc, mówię, nie jestem baran ani świnia, widzę, jak się człowiek patrzy!

— No, jeszcze nawet nie zrobił tej tam szkoły, a już się pan cieszysz, jakby ci kto w kieszeń napluł.

— A zełgał też panu z czem innem, naprzykład, oszwabił tu którego? Przypatruję się, czy też świnia takasama, jak każda inna na tym świecie. No, powiedzże też pán! Słowo tak, — robota tak, — słowo nie, robota nie! Pies jest, mówię, kto na niego szczeka...

— E, to anioł napewno! Trzymaj się pan tego swego anioła za ogon. Tylko patrz, żebyś w gnojówkę na gębę nie wleciał...

»Pan Barylak« w milczeniu zabrał się do swej roboty.

Odnowienie aryańskiej wieży pochłonęło resztę konkursowej nagrody. Wkrótce trzeba było myśleć o znalezieniu materyalnych środków na dokończenie robót, na koszty zaopatrzenia przyszłej szkoły w ławki i przyrządy najniezbędniejsze, a całego gmachu w jakietakie

akcesorya. Część wydatków pokryło pewne towarzystwo naukowe, ale część nieznaczną, gdyż, jako towarzystwo naukowe polskie, z natury rzeczy, samo obywało się bez pieniędzy. Nienaski musiał sam starać się o fundusze. I tu właśnie zaczęła się rola czynna inteligencyi miasta Posuchy. Było to miasto powiatowe, o ludności nie dosięgającej liczby dziesięciu tysięcy dusz, w czem gminu izraelskiego więcej znacznie, — jak to mówią, — niż go zawiera całe państwo Holandya. Ludność polska składała się z drobnomieszczan i rzemieślników, którzy byli zarazem rolnikami. Handel był w ręku żydowskich. Ta ludność żydowska miała w swej głębi tłum proletaryatu, pozostającego, właściwie, bez żadnej pracy, zatrudnionego czemś, co trudno jest określić. Nienaski po swem przybyciu do miasta zaczął badać pilnie kwestyę istnienia owych biednych żydów. Czynił to bez cienia nizkiego antysemizmu, w celu zrozumienia sprawy. Przedewszystkiem w kryjówkach żydowskiej nędzy, której żadne nie opisze pióro, znalazł endemię tyfusu i innych stałych, tamtejszych, posuchowskich chorób. Rzucił się z tem do miejscowych lekarzy, uczynił wielki rwetes... Ci go poklepali po ramieniu i, ucałowawszy serdecznie w obadwa policzki za ten »poczciwy staro-studencki filosemityzm«, — przeszli nad rewelacyą do porządku dziennego. Tak »załatwiwszy« tę sprawę, Nienaski począł badać żydowskie sfery zamożniejsze i sam handel. Oglądał kolejno sklepiki w ulicach, (właściwie w »wyboicach«), biegnących z rynku ku działkom rolnym miejskich »gulonów«. W jednym z takich sklepików znalazł jakie ćwierć sążnia porąbanego drzewa na sprzedaż, nieco sztabikowego żelaza, wartości pięciu rubli, na półkach trochę kozików, kłódek i gwoździ, a przed sklepem stoliczek, nakryty jakąś ścierką,— na nim balon z wodą sodową, prażącą się na słońcu, — obok zaś słoik z »sokiem malinowym«. Po gruntownem zbadaniu wszystkiego okazało się, że kapitał zakładowy tego interesu wynosił w sumie około dwudziestu rubli. Zyskami z obrotów żywiła się rodzina, złożona z kilkunastu osób. Osoby te były zielone, długonose, pochyłe i wychudłe. Jeden z młodych żydków, siedzący przy soku malinowym, nie mówił wcale i nie rozumiał po polsku. Powiedziano, że on jest »uczony«. Ten »uczony« miał oczy zamglone z anemii, z głodu

systematycznego, czy z gorączki, charkał po kątach »sklepu« krwią i wałęsał się bezsilnie między jego gratami. Takich oficyn handlu, jak opisana wyżej, było około dziewięciu. Niektóre z nich miały towaru za dwadzieścia parę rubli, — dwa, czy trzy dosięgały do pięćdziesięciu rubli kapitału obrotowego. Trafił się jednak przy końcu miasta interes wartości dziewięciu, czy dziesięciu rubli, nie przynoszący handlującej rodzinie żadnego zgoła zysku. Między stacyą kolejową i miastem Posuchą leżała góra, przecięta »polską« drogą, pełną błota nie tylko z obu stron w dolinach, lecz i na górze. Pewnego dnia Nienaski przypatrzył się sposobowi dostawiania towarów ze stacyi kolejowej do miasteczka. Pod górę ciągnął wóz, — obarczony pewną ilością lanego żelaza, — koń tak straszny, że zaiste, — jak pamiętną szkapę Dickensa, — tylko zaprzęg utrzymywał go na nogach i chronił od natychmiastowego upadku i skonu. Obok wozu brnęło w błocie pięciu wyrostków żydowskich, wrzeszcząc na rumaka w niebogłosy, tłukąc go batem, biczyskiem i rozmaitymi kijami. Mimo tych podniet szkapsko, zarabiając się w głębokiem, tężejącem błocie, ustawało i, zwiesiwszy łeb z obojętnością na wszystko, marzyć się zdało o łasce śmierci. Nienaski zauważył, że grzbiet konia pokryty jest jakimś workiem. Zbliżył się do tego zaprzęgu i chciał podnieść worek. Lecz woźnice napadli nań z groźbami, protestami i wielkim hałasem, zabraniając mu mięszania się do spraw cudzych. Stawali w groźnej postawie, grozili temże biczyskiem, wykrzykując, że niema prawa czepiać się cudzego konia. Mimo ich min i kijów, uniósł szczególnej derki i zajrzał. Lecz pożałował swej ciekawości. Cały grzbiet kobylska, od chomąta do tylnych nóg pokryty był otwartą raną, strupem krwawiącym na całej przestrzeni. Gdy on czynił te spostrzeżenia, melancholię budzące, żydki dokądś, w dół drogi pobiegły. Ciągnął od strony stacyi drugi podobny, jednokonny pojazd, również z jakimś towarem i także przez kilku izraelitów eskortowany. Właściciele pierwszego wszczęli z właścicielami drugiego wrzaskliwy targ. Za sześć groszy wynajęli drugiego konia na krótki przeciąg czasu i wyprzęgli go z tamtego wozu. Przyprowadziwszy tę chabetę do pierwszego, zaprzęgli ją w szpic do dyszla. Teraz w dziesięciu, czy jedenastu poczęli łoić

drągami obadwa szkapska, straszyć je wrzaskiem, popychać z tyłu, ciągnąć za pyski, żgać w brzuchy, i czynić chórem takie piekło w tem błocie posuchowskiej góry, że wreszcie obadwa końskie skazańce, wzdychając, pociągnęły wóz z towarem (za siedem rubli). Gdy pierwszy przebył uciążliwą drogę, obadwa konie wyprzężono i pognano z powrotem do drugiego frachtu. W tym stylu i w takim mniej więcej zakresie był stan owego żydowskiego handlu w Posusze.

Nienaski nie mógł sobie z tem zjawiskiem dać rady. Im bardziej je zgłębiał, tem bezwzględniej był zrozpaczony. Była to noc, bajoro bez wyjścia, jakaś nieuleczalna choroba. Pisał o tem sążniste listy do warszawskich socyologów. Wystawiał im w listach swych całe położenie bez żadnego uprzedzenia i bez jednego rysu awersyi. Warszawscy znawcy odpowiadali mu kategoryami książkowemi, komunałami, które z tem życiem nic a nic nie miały wspólnego, altruistycznymi kanony, ni przypiął ni przyłatał. Posądzali go, że zamierza wszczynać »hecę antysemicką«. Było to zarazem ohydne i okropne, bo nie zamierzał czynić »hecy«, lecz pragnął rozpocząć jakąś akcyę ratunkową w tem piekle potwornem. Na własny koszt sprowadził wreszcie najuczeńszego z socyologów do Posuchy. Był to człowiek niemałej wiedzy, pełen istotnej erudycyi i znajomości stosunków europejskich. Jak inny czczemi przenośniami, tak ten sypał nieomylnością statystyki. Wiedział na pamięć, gdzie ile czego utworzyła cywilizacya, — jak było, jak jest, a nawet jak z pewnością będzie. Wszelkie gołosłowne mędrkowanie, wszelką powierzchowną obserwacyę potrafił do góry nogami obalić istną armią swych niezłomnych danych. Myślał liczbami, wydobywał prawdę na wierzch z zestawień cyfrowych. Nienaski oprowadził socyologa po wszystkich zaułkach, podwórkach, mieszkaniach, strychach, piwnicach, skrytkach i jamach, kloakach, szopach i składzikach. Pytał go w oczy, co z tem zjawiskiem żydowskiem robić, jak je leczyć, gdyż tak go przecie niepodobna zostawić. Socyolog wszystko obejrzał, długo milczał, patrząc zawzięcie w ów normalny śmietnik życia. Wreszcie wydał orzeczenie:

— Nie widzę żadnej rady.

— Jakto? Żadnej?

— Muszą wyzdychać.

Nienaski zatrwożył się w sobie, że na takim oto punkcie stanęła socyologia polska. Ta sprawa ma mieć jedno tylko rozwiązanie: »muszą wyzdychać?« Twierdził, że gdyby nawet tak było, to przecie, zanim jedni »wyzdychają«, zarażą swą śmiercią i chorobą innych, tubylców, — zgnoją chorobami ciała i duszy, które się w tem rojowisku gnieżdżą. Wtedy socyolog rozjuszył się na dobre i począł walić, prażyć, dobijać cyframi. Krzyczał w rynku Posuchy:

— To niech stąd uchodzą!

— Dokądże?

— Do jakiego ciepłego kraju, nad morze jakie! Do uprawy winnic, ryżu, herbaty, bawełny, do hodowli pomarańcz, róż, hijacyntów! Do lekkich robót w polach, ogrzanych słońcem południa! Lud to jest południowy.

— Ale dokądże pójdą? Kto ich weźmie?

— Ja tam nie wiem! Polski lud jest tutejszy, zna się z zimą i jesienią, z rolą i lasem, ze znojem i wytrzymałością. Sam tu chce pracować na siebie i dla siebie. Dosyć tego!

Na tem stanęło, bo socyolog nie chciał już nic więcej powiedzieć. Właściwie jednak nie było to rozwiązanie. Nie było nawet zadzierzgnięcie. Bo gdzież to mieli iść, do jakiego ciepłego morza, czy kraju poganiacze sparszywiałego konia? Kto ich miał gdzie posłać? Gdy Nienaski nastawał na socyologa, że nie jest to sprawa żydowska, lecz sprawa polska, jedna z najżywotniejszych spraw najnieszczęśliwszego z plemion ziemi — ten zabrał się do odjazdu. W taki to sposób rozwiązanie tej kwestyi nie ruszyło naprzód w Posusze. Przeciwnie, gdy architekt zaczął organizować spółkę i sklep kooperacyjny, zabiegać koło sprzężenia stowarzyszeń wytwórczych, mianowicie koło zbudowania piekarni współdzielczej, dążyć do związania się stolarzów miasteczka w spółkę, którаby usunęła wydzieranie sobie nawzajem klienteli, ustaliła ceny pracy i towaru i zapewniła zbyt roboty, nienawiść gminu żydowskiego skierowała się nie tylko przeciwko tym zamierzeniom, lecz i przeciwko inicyatorowi.

»Inteligencya« miejska składała się z ludzi rozmaitego typu. Nie był to bynajmniej »wielki świat małego miasteczka«. Przeciwnie,

w tym zakątku, pozbawionym wszystkiego, było mniej może filisterstwa i gnuśności, niż w niejednej stolicy, w Warszawie, Krakowie, Lwowie, gdzie tworzą się istne zatoki kołtuństwa. Oczywiście, siedziały i w biednej Posusze rozmaite ludzkie ropuchy, lecz gdzież ich niema? W tej małej mieścinie życie było trudne, ciasne, niemożliwe. Każde dobre usiłowanie smażyło się, jak na patelni, w oczach niepowołanych. Każda sprawa najzacniejsza widna była, jak w latarni. A jednak, przypadkowo rzucona do tego miasteczka mała garść inteligencyi czyniła, co mogła. Było tam dwu lekarzy, którzy niezależnie od zbijania kabzy, »krzątali się« koło utworzenia szpitala. A ileż to takie krótkie wymienienie zawiera trudów, jaką ogromną historyę przeszkód!... Nawet skromna adwokatura miejscowa, przyjemna kasta Polaków, która tem się po takich mieścinach trudni, że podszczuwa okolicznych włościan i autochtonów mieszczan do procesowania się o byle co, do apelacyi, kasacyi, do wodzenia się z sądu gminnego do zjazdowego, ze zjazdowego do senatu, — i tak bez końca, — nawet ta kasta ożywiona była duchem zawiązywania modnych i już nad wszelką miarę w imaginacyi polskiej zbawczych kooperatyw i spółek.

Na czoło zastępu posuchowskich grandów wybił się doktór Alojzy Żwirski, jak głoszono powszechnie, »Chałubiński posuchowski«. Był to w istocie zdolny lekarz, tęgi człowiek, a nadewszystko typ człowieka zdrowego i silnego. Zażywny i zmierzający ku otyłości, doktór Żwirski wiecznie był w drodze do pacyentów, dziś w karecie, jutro na chłopskim wozie, lub w żydowskiej dryndulce. Miał lat pięćdziesiąt parę, lecz wyglądał jeszcze młodo. Był przystojny, wesoły i wielomówny. W młodości jakiś radykał i zawzięty wolnomyśliciel, w ciągu dwudziestu paru lat pobytu w Posusze i tyluż lat zbijania coraz znaczniejszego majątku, gubił z roku na rok dawne kogucie pióra. Jeszcze kiedyniekiedy zadrwił sobie w sposób libertyński z potulnego księdza proboszcza, jeszcze czasem pchnął swą szpadę w łono jakiego »klerykała« *minorum gentium*. W towarzystwie możnych, tudzież bogatych »klerykałów« zachowywał na obliczu niemy, ironiczny uśmiech, gdy wygłaszali wsteczne mniemania i doktryny. Były wszakże pałacowe progi, po których przekroczeniu

wciągał do wewnątrz nawet ironiczny uśmieszek. W pewnym wypadku doktór Żwirski zaskoczony został przez okoliczność szczególną. Do miasteczka zjechała wysoka w szeregach »klerykalnych« osobistość. Proboszcz wyprawił na cześć gościa uroczysty obiad, a jak się głosić zwykło w uroczystych sprawozdaniach — »bankiet«. Doktór Żwirski, widoma głowa niewiadomej w Posuszė »nauki«, zaproszony został na ów bankiet i usadowiony w pobliżu dostojnego gościa. Towarzystwo było ultra-klerykalne. Przed rozpoczęciem obiadu jedna z osób duchownych powstała i odmówiła modlitwę. Gdy wszyscy powstali, doktór Żwirski, oczywiście, musiał powstać również przez samą grzeczność. Gdy zaś ukończono modlitwę i wszyscy obecni kładli na sobie znak krzyża świętego, doktór wykonał również przed swem łysawem czołem, nosem, brodą, krawatem, wykrochmalonym gorsem i jedwabnemi klapami fraka jakiś dłonią niezdecydowany gzygzak. Wspomnienie tej chwili gryzło byłego wolnomyśliciela i rumieniec wstydu wywoływało na jego policzki nie tylko za dnia, lecz i w nocy, gdy niewidzialny leżał w ciemności pod atłasową swą kołdrą. Doktór Żwirski był żonaty, lecz bezdzietny. Za żonę miał osobę wielkiej urody — niestety! — już pod lat niewieścich schodzącą popołudnie. Pani Helena Żwirska, przez znajomych zwana »Helentą«, a jeszcze częściej »Lentą«, wskutek właściwego jej lekkiego feleru w wymowie dźwięku *k* (wymawiała tę literę jakoś zdziecińska, jakgdyby *te)*, najdziwniejsze sprawiało wrażenie na tle tej niby polskiej, a w gruncie rzeczy żydowskiej, powiatowej mieściny. Była to dama w całem znaczeniu tego wyrazu. Ramą do jej pysznego obrazu mogła być jakaś stolica, albo Ostenda, Biarritz, Paris-Plage, lub Viareggio. W Posusze nikt prawie nie rozumiał i nie był w stanie ocenić, kim ona jest, co to za osoba. Jej suknie sprowadzane, albo uszyte przez szwaczkę, specyalnie w tym celu mieszkającą w miasteczku, jej kostyumy według ostatnich wzorów z *Feminy*, jej nieprzeliczone, śliczne kapelusze, stroje poranne, wizytowe, wieczorowe, spacerowe, automobilowe, jej pyszne biżuterye, futra, kołnierze, mufki, egretki, rayery, perfumy, pieski, książki, nuty, — słowem wszystko, — była to zaiste kultura dla kultury. To też pani Lenta szukała, o ile to było tylko możliwe, lepszego tła dla

swej osoby. Lecz doktór, który był w żonie do szaleństwa zakochany, nie mógł bez niej wytrzymać paru tygodni. Sam zaś rzadko kiedy i to na krótko mógł się wyrywać do jakiegoś Dinard, albo Royan od swych pacyentów, (no, i dochodów), gdyż kolega i najbliższy zresztą przyjaciel, doktór Misiak nie spał... Stąd poszło, że pani Lenta była »przygwożdżona« do tej Posuchy. Jej doskonale zarysowany a niezrównanie przycięty nosek, pomimo skaz, które lata na nim wyżłobiły, jeszcze był tak samo, jak niegdyś »jedyny na ziemi«. Oczy, aczkolwiek już zaatakowane przez zgrubiałe powieki, jeszcze patrzyły zwycięsko w niejedne oczy. Wysmukła postawa zachowała, jeżeli nie wszystek dawny powab, to jego echo jeszcze przywołujące. Umiejętne utlenienie włosów, masaż i upiększanie policzków delikatnemi barwiczkami, sztuczny karmin warg i »sobolowość« brwi, tworzyły z pani Lenty przy wieczornem oświetleniu postać kuszącą i ponętną.

Dlaczego doktór Żwirski głośno, a nawet z hałasem dorabiający się chleba, ożenił się z panią Lentą — i gdzie — tego nikt nie wiedział. Stało się to za granicą. »Chałubiński miasta Posuchy«, z jakowegoś prostaczego staniczku pochodzący, był w żonie śmiertelnie zakochany. To było niewątpliwe i tłómaczyło wiele. Bo dookoła przeszłości pani Lenty wałęsały się wersye dziwaczne, legendy spotwornione i zohydzone przez ordynusostwo plotczysk prowincyi. Pani Żwirska nie miała gdzie i u kogo bywać w tej mieścinie. Nie miała z kim rozmawiać. Nudziła się aż do śmierci, wprost grobowo. Mówiła o sobie że schnie w tem miejscu, jak wielobarwna meduza, wyrzucona z pełnego morza na zdeptany piasek plaży. Posiadanie brylantów, wielkich agraf, kolczyków, dyademów i markiz pokrywających całe palce, przyjemne było, zapewne, lecz siedzieć w tem, albo wśród tego po całych dniach samej, było taksamo nudne, jakby chodziła w sukienczynie pokojówki i szklane oczko pieściła na »palicu« w tombakowym pierścionku. Bywanie we dworach okolicznych, w starych gniazdach, lub nowych, dorobkiewiczowskich pałacykach nie dawało zbyt wiele rozkoszy. Zresztą nie wszystkie te »domy z tonem« rewizytowały dom doktorstwa Żwirskich. To też »meduza« musiała szukać dla siebie czegoś poza tem życiem. Czytała. Oto-

czyła się książkami. Pochodząc z rodziny pół-arystokratycznej, otrzymała wychowanie klasztorne we Francyi i w dzieciństwie posiadła kilka obcych języków. Czytała niemal wyłącznie rzeczy obce. W ciągu jakichś dziesięciu lat pobytu w »kaźni« utworzyła w swym bajecznym gabinecie sporą bibliotekę z książek przeczytanych. Miała swych autorów ulubionych i odłożonych do szafeczki podręcznej. Znaleźli się tam de Quincey i mistrz Poe, Knut Hamsun i Strindberg, Nietzsche i Weininger, Dostojewski i Sołłogub, nadewszystko wszakże nowa sekta literacka, grupująca się około florenckiego pisma *Lacerba*, zwłaszcza Papini i Ardengo Soffici. Jednakże i to, jak mówił żartobliwie doktór Żwirski, »wysuszane literatur« nie mogło zapełnić pustki życia pani Lenty. Studyowała tedy rzeczy okultystyczne, czytała Aksakowa, wróżyła z ręki, brnęła w takie zagadnienia, jak tajemnice luster, sekrety pereł i korali, astrologia — i tym podobne. Życie miasteczka, w którem przebywała, było dla niej odrażające. Wyznawała publicznie, że wszelki »popolo« nie istnieje w polu jej widzenia.

Doktór Żwirski nabył kilka starych ogrodów mieszczańskich, przepłacając wartość gruntu, złączył to wszystko w jedno osiedle, dociągnął posiadłość na rzekę, wcielił do całości nadwodne wertepy, urwiska, stare wierzby i topole, tworząc w ten sposób duży park-ogród. W głębi tego dominium zbudował porządną wielkomiejską willę i przyozdobił ją wszelkim przepychem, jakiego tylko pożądać mogło serce jego małżonki. Były tam tureckie kanapy, francuskie lampy i abażury, perskie dywany, angielskie reprodukcye rzadkich rycin Beardsleya w ramach niemieckich i szwedzkich, hiszpańska »Maya nuda« Goyi i moc włoskich podobizn dzieł Donatella i Verrocchia.

Jedyną, ale za to najbardziej poufną i bezwzględnie oddaną przyjaciółką doktorowej Żwirskiej w tem mieście była pani Sabina Topolewska, żona »dyrektora« posuchowskiej filii jednego z większych banków. Pan Henryk Topolewski był to człowiek stosunkowo młody, (młodszy od swej małżonki), poczciwy z kościami »brat łata« wszystkich bliźnich tego padołu. Ponieważ kwitł ongi na jakowymś »fakultecie« jakowegoś »uniwerku« w Rosyi, a do odłamu

banczku w Posusze dostał się i siedział dla chleba, uważał, że się »marnuje«. Marnował się tak już kilkanaście lat, w gruncie rzeczy w samym banku prawie nic nie robiąc. Niejednokrotnie zwierzchność instytucyi czyniła mu napomknienia, że szkoda jest, ażeby taki człowiek z »fakultetu« w tej mieścinie się marnował i czy nie byłoby lepiej, ażeby sobie gdzieindziej miejsca bardzej godnego swej osoby poszukał. Ale wówczas pani Sabina (»pani Sabcia kochana«) stawała władzom do oczu i sprawiała, że Henio znowu na jakieś trzechlecie poczynał się w temże miejscu marnować. Henryk Topolewski nie zwykł był prowadzić z żoną walki zwycięskiej, co nie znaczy, żeby bezwzględnie kapitulował. Zadawalniał się rzuceniem jakiegoś pocisku i to nie koniecznie w kształcie gryzącego sarkazmu, ale również w widomej postaci, dajmy na to, szklanki, napełnionej gorącą i osłodzoną herbatą. Najchętniej jednak uchodził ze wszelkich pól walki i chronił się do zacisznego pokoiku za sklepem korzennym pana Symchy Korngolda, gdzie zawsze trwała partyjka »brydża«. Do stołu zasiadali coraz to inni partnerzy. Sama akcya istniała stale. Grywali tam miejscowi urzędnicy Rosyanie i rozmaici »tutejsi«, starzy na wymarciu emeryci i przyjezdna za interesami szlachta okoliczna, nieraz trafił się jakiś komiwojażer, albo wędrowny szuler. Henio był członkiem stałym, niejako słupem, na którym się wspierał ten wiatrak nieustannie mielący. Pani Sabina miała dużo zmartwienia ze swym Heniem. Próbowała rozmaitych sposobów, nawet zgoła radykalnych, nawet takich, o jakich tutaj lepiej będzie nie wspominać. Nic nie pomogło. Dyrektor był w tem »złem miejscu« zawsze. Tłomaczył się z bezczelnością, że czyni to dla zasady, aby wiedziano, gdzie go w razie potrzeby szukać. »Filia« była w istocie przyzwyczajona do tych urzędowań dyrektora. Orał tam pewien człowieczyna łysy i obwisłowąsy, piastun binokli w żółtej oprawie i właściciel bardzo długiej, trzcinowej papierośnicy. Dyrektor aprobował lub kasował czynności tego indywiduum. Mąż pani Sabiny był człowiekiem zdolnym i z dobrą głową na karku. Wiedziała o tem władza przełożona i znosiła nałogi posuchowskiego dyrektora. Najprzykrzejsze okresy życia Henia stanowiły te, gdy było mu »wszystko jedno«. Wówczas cierpiał nad sobą i nad tem, że świat jest tak da-

lece podły i że tyle wokoło »świństwa«. Te zmartwienia doprowadzały go do bezwzględnego spicia się jarzębinówką. Po pijanemu wymieniał potworności, które znakomicie spostrzegał, i zjadliwie na nie piorunował. Dyrektor Henio był złośliwy, dowcipny, oczytany, a z cicha pęk. Czasem po długiej i milczącej robocie w brydżu płatnął temu lub owemu z partnerów coś takiego, że potem w ciągu tygodnia pani Sabina miała utrapienie z odrabianiem następstw. On sam nic sobie z występku nie robił. Co najwięcej oświadczał ironicznie, iż się »omylił«. Po takiem ujawnieniu »zasady« wracał do swej stałej roli brata łaty, pogrążał się w grę milczącą, skupioną i osłoniętą szyderczym uśmieszkiem. O dom, jego chwałę i blask odpowiedni dyrektor mało się troszczył. Lubił mieć wszystko w formie i na stopie studenckiej i to studenckiej po rosyjsku. Kanapa wygnieciona, łóżko nieposłane, śmieci w kątach, dużo popiołu i niedopałków na serwecie, szklanki niemyte, służąca nieopłacona, równie jak mieszkanie, rzeźnik i piekarz. O długach swych ten finansista mawiał, że one są wprost nie do pokrycia i że stały się złem koniecznem, podobnie, jak krótka i bardzo stara kołdra studencka, którą się okrywał. Naciągnąć ją na głowę, — nogi wyleza, — okryć nogi ,— w ramiona zimno. Lecz bez kołdry, równie jak bez długów, jakże »przepędzić« to życie? Dyrektora filii lubili wszyscy w mieście i okolicy, choć nikt nie wiedzał dokładnie, za co. Być może, iż miłowali w nim ciepło własnych przywar. Nie mniejszą sympatyą cieszyła się pani Topolewska. Była to osoba przedziwnie ruchliwa, zawsze czynna, interesująca się wszystkiem i to zarówno na najszerszej, jak i na najciaśniejszej arenie: polityką, o ile ta się ujawniała w gazetach, dochodzących aż do Posuchy, rzeczami społecznemi, sprawami artyzmu, literatury, mody, najbardziej pikantnemi anegdotami, no i, rzecz zrozumiała, plotkami najbardziej sensacyjnemi. Świat i wszystko, co na nim jest, pani Sabina dzieliła z niebywałym entuzyazmem na dwie części, na to, co śliczne i na to, co paskudne. Miała nadto nadzwyczajny talent do przeplatania, jakby przetasowywania objektów swej uwagi i zachwytu, oraz wieczystej relacyi, a więc: wieści z zakresu sztuki — plotkami, spraw społecznych — anegdotami, — polityki — modą, — i tak bez końca. Pani Sabina

była z natury osobą inteligentną. To mieszanie przez nią rozmaitych ingredyencyi miało specyalny charakter polsko-posuchowski, zwłaszcza, gdy się patrzyło z boku na tę osobę już czterdziestokilkoletnią, jak z wdziękiem podlotka, na skrzydłach dowcipu i wesela przefruwała z kwiatka na kwiatek. Państwo Topolewscy stanowili w istocie rzeczy dobrane małżeństwo i pasowali usposobieniami do rodzaju swego życia, mieszkania, przyjemności i stosunku z ludźmi, z tą tylko różnicą, że pan podobał sobie w tym stanie rzeczy, jaki zaprowadził, a pani cierpiała nad nim jawnie i skrycie, nic zresztą nie czyniąc dla jego zmiany. Nikt może bardziej na świecie nie uwielbiał tak »kultury«, jak właśnie pani Sabina, — kanap, luster, lamp, dywanów, biżuteryi, obrazów, balów, teatrów, koncertów, pięknych kobiet i pięknych mężczyzn, artystów i artystek, ich strojów, przygód, miłostek, anegdot z ich życia, awantur i brudeczków. Ironiczny Henio, jak go przezywała żona, »typowy Wańka nihilak«, śmiał się, albo przedrwiwał, gdy o tem wszystkiem była mowa. Mimo to, w jego właśnie obecności pani Sabina wciąż coś uwielbiała. Zdawało się, że ona co chwila mdleje z zachwytu na widok jakiegoś »cudu«. Gdy było dociekać, co budzi taki zachwyt, okazywało się, że to jakaś nowa »kreacya« w piśmie z modami, opis czyichś brylantów, pereł, portret awiatora, albo opis bandyckiego napadu w *Journal'u*. Pani Topolewska może na wzór pani Żwirskiej, nie tolerowała literatury »krajowej« i nie ceniła tutejszej sztuki. Kręciła noskiem na wszelkie warszawskie i krakowskie wysiłki i wypociny w tym zakresie. Ale ponieważ ukazywały się w gazetach kiedyniekiedy nawet tutaj wiadomości o fenomenalnych skandalach rodzinnych, o morderstwach europejskiej miary, o procesach, wykrywających niebylejakie brudy w świecie arystokratycznym, a nawet klasztornym, więc czytywała pilnie i miejscowe *Journal'e*. Byłoby to krzywdą dla pani Sabiny, gdyby powiedzieć o niej, że była jedynie poszukiwaczką skandalów. Przeciwnie, ona czytała zbyt wiele, jakgdyby wszystko, wiedziała zbyt o wszystkiem. To stanowiło właśnie pewną wybujałość jej wiadomości i podsycało utajoną żądzę zachwytu. Ponieważ zaś nie miała z kim dzielić się wiadomościami i ciągle napływającą masą wrażeń, nie miała wobec kogo wybuchać uniesieniem, rozpaczać nad

czemś extra dalekiem i dla wszystkich bestyalsko obojętnem, więc tem silniejszą spoiła się przyjaźnią z doktorową Żwirską. Te dwie panie znały się bardzo dawno, kędyś na świecie i to w takich jego okolicach, jakich posuchowscy obywatele nie widzieli nigdy, nawet na mapie. Nieraz, gdy w ich obecności była mowa o kimś wysoko stojącym, odległym jaknajbardziej, padał z ust jednej lub drugiej wzgardliwy znak, świadczący, że tę osobę znało się dobrze i to wówczas, tam... — Gdy jednak ktoś z bliżej zainteresowanych, — doktór Żwiski, lub Henio-gracz, — pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o danym człowieku, zdarzeniu, lub zjawisku, dyskusya się zamykała, jak drzwi od podziemnych skarbów, spadał na kwestyę szyderczy uśmieszek... Tyle zawsze wymowna pani Sabina, w tych razach umiała milczeć, zapewne na zlecenie przyjaciółki. Był bowiem między temi dwiema osobami rodzaj zmowy, czy sprzysiężenia, zawartego bardzo dawno i obowiązującego, widać, bardzo solidnie, skoro trzymało w ryzach szczerość pani Sabci kochanej.

Pani Lenta miała nad przyjaciółką wyraźną władzę. Tamta słuchała jej jednej bezwzględnie i ślepo. Oczywiście uwielbiała ją i wynosiła pod niebiosy, chwaliła w oczy i za oczy. Pani Lenta nie miała w jej ustach nie tylko wad, lecz nawet cienia przywary. To, co możnaby zwać wadami, były to cechy oryginalne tego bóstwa. Nawet zmarszczki, ukazujące się około oczu i ust pani Lenty, były dla jej przyjaciółki symbolem swoistego piękna, gdyż świadczyły o przeżytych pasyach, o złamanych marzeniach, a długich dniach i nocach rozczarowania, wreszcie o tragedyi ze wszystkich najstraszliwszej, o złowieszczem pełzaniu widma starości. Cóż dopiero mówić o walorach dawnej krasy, pozostałych w mocy! Pani Sabina pełniła rolę trubadura uroku, rozsiewanego jeszcze przez doktorową. Zwracała uwagę wszystkich i każdego na to, co jeszcze było potęgą — niestety! — w pustkowiu partykularza. Pani Lenta umiała być wdzięczną, nawet szczodrobliwą, tak dalece, że zaiste, złośliwość mogłaby ukuć oszczerstwo o spłacaniu zachwytów pani Sabci kochanej, gdyby nie to, że prawda była zbyt oczywistą. Wielbicielka pani Lenty gorzała od zachwytu najzupełniej szczerze i bezinteresownie. Jeżeli zaś brała i najchętniej nosiła jakąś suknię z ramienia doktorowej,

czy paryskie buciki, albo Dent'a rękawiczki, to, doprawdy, raczej przez poczucie piękna i uwielbienie kultury, z obowiązku podniesienia przecież do rzędu jakiegoś miejsca w Europie tej dziury, tej Posuchy. W gruncie rzeczy sama posada w »filii« i utrzymanie tego miejsca przez szereg lat przy znanem usposobieniu Henryka Topolewskiego — były to czyny i wpływy pani Żwirskiej. Nie można powiedzieć, żeby piękna doktorowa wypłacała przyjaciółce równą miarą chwalby i aprobaty wszystkiego, co stanowiło intelekt i sposób życia tamtej. Pani Lenta była osobą z natury chłodną, nawet zimną, doskonale panującą nad afektami i wzruszeniami, wrogo usposobioną względem wszelakich uniesień. Umiała nieraz trącić w postępek, albo wykrzyknik pani Sabci tak bezwzględnie, że tamta zwijała się i kryła w siebie, jak dziecko rózgą chłostane. Pani Topolewska była niezbędną doktorowej do życia i bytu w tem miasteczku. Przy tem, — druga musiała być aż do końca wierną przyjaźni, gdyż dawne, tajemne łączniki zbyt silne miały węzły, a wielomówność pani Sabiny była grozą zbyt wielką, ażeby jej przyjaźnią, i to taką, jaka się objawiała, nie zatamować.

Gdy Ryszard Nienaski przybył do Posuchy, roztasował tu swój sklepik z ideałami i począł wibrować w mieście a okolicy, nieodwołalnie trafił na znajomość z panią Topolewską. Oczywiście, że za jej przyczyną zaczął bywać w domu doktorowstwa Żwirskich. Obiedwie przyjaciółki wzięły go w opiekę. Był to przecież mężczyzna, indywiduum, do którego można było usta otworzyć, jednostka ze świata i z miasta. Niepodobna było wymagać, żeby te damy rozpłomieniały się do jego wywodów o handlu trzodą chlewną, do »programu mlecznego«, oraz wszelkich projektowanych zużywań serwatki, — do kooperatek, sklepików, ochronek i szkółek. Ale gdy znagła wyruszył na odbudowanie aryańskiej wieży, znalazły w tem niejaki powab. Jego przeżycia i doświadczenia w tej wieży, walki duchowe z aryanami XVI wieku, zagmatwane wykłady o pokrewieństwie nauki o »natchnieniu« Ochina z nauką o instynkcie i intuicyi Bergsona, — znajdowały niejako oddźwięk we wrażliwości dwu pań posuchowskich. Niewiarogodne to było zjawisko, a jednak prawdą jest ta kategorya snobizmu, iż obiedwie poczęły wczyty-

wać się w niełatwe a rzadkie pisemka aryańskie szesnastowieczne, oraz sprowadziły sobie dzieła modnego paryskiego filozofa i jęły nękać się tą lekturą. Skoro architekt szybko wyczerpał konkursową gotówkę i nie miał już ani grosza na prowadzenie dalszych robót około wieży, pani Lenta »czyniła, co mogła« osobiście i przez stosunki, a pani Sabina wszczęła około tej sprawy tak wielkie zamieszanie, iż najzapamiętalsze kołtuny, zarówno miejskie, jak okoliczne, najbardziej zbestwione troglodyty owych stron musiały, żegnając się krzyżem świętym i wzruszając ramionami, łożyć jakieś odczepne groszaki na restauracyę wieży. I te jednak rezultaty zapalczywości pani Topolewskiej nie wystarczyły. »Ofiarność publiczna« skończyła się równie szybko, jak zaczęła. Wypadło urządzić koncert, teatr, bal — jednem słowem jakiś jedynie znany środek wydarcia pieniędzy skąpcom krajowym. Wybrano, oczywiście, bal, urozmaicony produkcyami artystycznemi. Dużo było trudów, przeszkód, przygotowań, zabiegów i niepowodzeń, pokonanych szczęśliwie przez panią Topolewską, która głównie do urzeczywistnienia tej myśli przyłożyła ręki. Ukazały się nareszcie programy i bilety. Należało je rozsprzedać. Nienaski musiał towarzyszyć damom w ich peregrynacyach po mieście i okolicy w celu wtłaczania biletów w oporne garście. Przywiązany do wieży i blizki ukończenia całości, czynił, co tylko mu polecono. Pewnej nocy jesiennej w deszcz i wicher wracał z paniami Lentą i Sabiną z dalekiego objazdu dworów okolicy. Powóz doktorstwa Żwirskich zamknięty od deszczu i szczelnie opięty fartuchami od wiatru toczył się miarowo po niewiadomych gościńcach. Ciemność najzupełniejsza panowała w jego głębi. Nienaski siedział na przedniej ławce, bawiąc, ile mu sił i dowcipu starczyło, obiedwie panie. Opowiadał o wszystkiem, co, jak sądził, mogło je zajmować, przytaczał wesołe historye i anegdoty, jakie tylko umiał. Lecz zasób jego zdolności bawidamskich był na wyczerpaniu, a miasto wciąż daleko i, w miarę coraz bardziej ubywających zasobów galanteryi, jakby coraz dalej... Zdarzały mu się raz wraz przerwy w wymowie nad miarę długie i nieznośnie ciężkie. Tracił głowę z troski, czemby tu jeszcze zająć i rozweselić towarzyszki drogi, co jeszcze opowiedzieć, ażeby nie wracać do tych samych,

aktualnych tematów o balu i programach... One, jakby na złość, skoro tylko przestawał mówić, uparcie milczały. W trakcie trwania jednej z takich przerw w dyskusyi, kiedy ciszę przerywał hałas deszczu i świst wiatru, a wnętrze powozu zalegała głęboka ciemność, Nienaski poczuł, że na jego kolanie spoczęła czyjaś ręka lekka w dotknięciu i nieśmiała w ruchu. Sądził w pierwszej chwili, że to przypadek, i starał się nie zwracać na ten szczegół uwagi, uchylając zarazem kolano. Lecz wkrótce miał sposobność przekonania się, że dłoń niewiadomej osoby znalazła się na jego nodze bynajmniej nie przypadkiem, nabrała bowiem odwagi i pieściwie sunąć poczęła ku niemu. Wytrwale i tak wymownie zmierzała w przedsięwziętym kierunku, iż nie mógł mieć żadnej zgoła wątpliwości co do celu. W pierwszej chwili ogarnęło go zdumienie, po chwili wściekłość, wreszcie wstyd. Ta ręka wysunięta z ciemności była bezwstydniejsza w swej intencyi i drodze, niż wszystko, co lubieżnego miał sposobność zobaczyć na świecie. Odsunął się demonstracyjnie, lecz nie wiedział, od kogo ma uciekać i w którą stronę unosić swą niewinność, tak dalece zagrożoną. Na wszelki wypadek założył nogę na nogę, zawinął się w okrycie i odbywał dalej tę podróż, wypowiadając zdania coraz mniej dowcipne, — lękliwy Józef między dwiema posuchowskiemi Putyfarowemi.

Jednocześnie z zabiegami około odnowienia wieży i niezależnie od przygodnych »rzutów« architektonicznych dla zarobku, inne prace rozwinęły się w Posusze. Zasadniczą i najznamienniejszą cechą »działalności« Ryszarda było wydzielenie z niej wszystkiego, co byłoby agitacyą, podmawianiem, ciągnięciem za kołnierz i tworzeniem bandy. Architekt chciał budować na fundamencie, wkopanym w ziemię, wznosić ściany i dopiero po przykryciu gontem dachu nazywać budowlę. Tworzył tedy rzeczy naturalne i niezbędne: sklepy, szkoły, ochrony. Lecz żeby stworzyć sklep współdzielczy, trzeba było ludzi przekonywać, namawiać. Postanowił tedy to namawianie przeprowadzić systematycznie. Były to krótkotrwałe czasy, kiedy w nieszczęśliwej krainie można było pracować, więc Nienaski utworzył w Po-

susze dla dorosłych systematyczne wykłady oświatowe. Zabrał się do dzieła z całym zapałem, zmusił wszystkę inteligencyę do roboty i postawił na swojem. Pewnego wieczora nieprzejrzany tłum ludzi prostych z miasteczka i wiosek przyległych, jak na odpust, przybył do sali największej, mieszczącej się w najokazalszym hotelu miasta. Była to inauguracya szeregu wykładów. Sam doktór Żwirski w swej własnej dostojnej osobie podjął się wygłosić pierwszą lekcyę o budowie ciała ludzkiego. Nikt z prostaków nie wiedział, co to takiego będzie. Ludzie wyciągali szyje, a dziewczęta tuliły się w kącie i zakrywały oczy na widok »kostusi«, dużego szkieletu, *ad hoc*, z chwalebną pracowitością przygotowanego przez doktora. »Chałubiński miasta Posuchy« ze swadą i znawstwem poziomu umysłowego swej owczarni, wygłosił odczyt znakomity, niczem wstępną prelekcyę. Tłomaczył tak jasno i tak dobitnie rozmaite machinacye organów grzesznego ciała, że subtelniejsze damy miasta były literalnie zgorszone i potępiały udostępnianie chłopom tego rodzaju »zepsucia«. Jednakże początek udał się świetnie, aczkolwiek potrosze zawiódł oczekiwania słuchaczów. Ludzie myśleli, że to będzie jakieś »tłomaczenie z polityki«, a tu tymczasem tłomaczono, jakie człowiek ma kości i jak trawi to ta jadło. Lecz i na następny odczyt doktora Misiaka, który znowu wypalił znakomitą filipikę przeciwko pijaństwu, ludzie się zeszli. Ten wykład »O wódce i pijakach« wywołał liczne komentarze, a nawet dysputę na miejscu, w sali. Pewien cieśla, pan Michalski, w grupie chętliwych słuchaczów na boczku zbijał gromko twierdzenia doktora Misiaka i bagatelizował wartość świetlnych obrazów, dowodząc, że oto on, Filip Michalski, od niepamiętnych czasów trzy razy dnia rżnie spirytus i nie kieliszeczkiem, ino pełną szklanką, a siłę, chwalić Boga, w garści ma, belkę na zrąb, jak nic wyda. A on, doktór Misiak, nic nie pije, to jest prawda, ale też z tego łykania herbaty tak wygląda, że Pan Bóg musi żałować i martwić się, poco go też stworzył. Inne jednak grupy, osobliwie kobiece, pochwalały wywody doktora i dziękowały mu za to, że tak tym hyclom chłopom nagroził, »bo się aże na dzieciach to ich chlanie skrupia«. Były nawet takie, co chodziły milczkiem cupnąć doktora Misiaka w lśniący tryumfalnie mankiet, za to, co nawygadywał i pokazał w obrazi-

kach. Trzeci odczyt był z zakresu rolnictwa, a właściwie z zakresu chemii rolniczej, objaśniający, co to jest gleba, jakie są jej rodzaje, co w każdym rodzaju czyni deszcz, uprawa, słońce i jak się rozwija ziarno. Odczyt ten był niezrównany, mądry i tak wypowiedziany prosto, iż stał się istnem arcydziełem. Tę »naukę« wygłosił człowiek starszy, niejaki pan Piotrowicki, były profesor agronomii w jednej z uczelni rolniczych w Galicyi. Za radykalizm przekonań źle widziany, za moc charakteru i twardo bronioną godność pozbawiony możności wykładania, został administratorem zniszczonego folwarku, własności kogoś ze swych uczniów. W ciągu kilku lat folwark ów przetworzył na złote jabłko, wartość jego pomnożył conajmniej w czwórnasób, a, co nadewszystko ważne, wprowadził w nim zasadnicze zmiany co do płacy parobków, co do »warunków« i »stosunków« rolnych, co do hodowli inwentarza i uprawy. Odczyt pana Piotrowickiego tak się podobał, że prelegent w następną niedzielę musiał wypowiedzieć drugą naukę »O nawozach sztucznych«. W trzecią niedzielę mówił »O hodowli trzody chlewnej«. W tym wykładzie rzucone zostały pierwsze posiewy »idei«, dla których Ryszard Nienaski zesłany został do Posuchy przez zwierzchniczego Brusa. W czwartą z rzędu niedzielę pan Piotrowicki wykładał już o tem, czem mogłaby być kooperatywa mleczarska w okolicy. W piątą niedzielę mówił o Danii i jej mleczarstwie, o tamecznej hodowli trzody chlewnej i gospodarstwie rolnem. W ciągu szóstego odczytu wrócił znowu do rolnictwa i rysował całkowity program gospodarstwa polskiego na tle projektowanego rozwoju kooperatywy mleczarskiej. Ryszard przywarł do tego pana Piotrowickiego. Chodził obok niego, jak praktykant i uczeń. Lecz nie jak ucznia traktował go stary agronom. Zawarli przyjaźń — »zaczęli sztamę trzymać« — jak mówili widzowie. Nienaski jeździł często do Niebylanki, folwarczku, gdzie gospodarował Piotrowicki. Najprzyjemniejsze, najbardziej niezapomniane godziny spędzał w towarzystwie tego człowieka o białej, jak śnieg, głowie, który zachował płomieniste serce młodzieńca, niezniszczalną żywotność entuzyazmu, wierność pokochanym ideom, a rozum miał zimny, ćwiczony w ciągu wielu lat nauki i w ciągu wielu lat gorzkich doświadczeń, złamań do ostatniego ścię-

gna i wiecznie mężnych podźwignień ducha. Architekt z zajadłością zwiedzał stajnie, obory, chlewy, ogrody, inspekta, pola i łąki, których kulturę pokazywał mu pan Piotrowicki. Jakże się użalał, że najznakomitszy profesor gospodarstwa narodowego był bez zastępu uczniów! Nie miał u siebie szkoły gospodarstwa i nie pokazywał młodzieży, jak się z niczego robi wszystko, jak z folwarku zniszczonego, spalonego, wyjałowionego, »gałgana«, gdzie nie było już ani budynków, ani nawet kołków po rozkradzionych płotach, stworzyć fermę złotodajną, pierwszorzędny wzór na dalekie obszary! Lecz ów pan Piotrowicki był bojkotowany, wyziębiany, wygryzany. Jakże mogło być inaczej? Podwyższył parobkom płacę, dał im dobre mieszkania, skasował wszelkie »posyłki«, oraz dodatkową płacę w postaci zagonów i krowy, utrzymywanej przez fornalską rodzinę. Zastąpił to wszystko asygnowaniem wyborowego mleka, które ze znakomitej swej obory dawał wbród dla rodziny pracownika. Utworzył ochronę dla dzieci, szkołę dla starszych we wsi, wieczorami wykładał gospodarzom zasady rolnictwa i przemysłów związanych z glebą, wreszcie handlu produktami. Tworząc dla właściciela folwarku złotą fortunę, tym samym zawsze był człowiekiem na prostej bryczce i w skromnej odzieży.

Sześć z rzędu wykładów pana Piotrowickiego pociągnęło do sali starszych mieszczan i wieśniaków, którzy lubili słuchać, co ta on mówi, bo wiedzieli dobrze, że »nie z pustej głowy gada, lecz wie, co ma rzec, bo jakie to ta dziwy w Niebylance porobił w parę lat«, lecz odstraszało młodszych słuchaczów. To też Ryszard Nienaski zmusił do wykładu samego Henia Topolewskiego, który przecie niegdyś »przyrodę« skubał na fakultecie swego niezapomnianego »uniwerku«. O, dziwo! Henio przysiedział fałdów w ciągu tych sześciu tygodni, gdy Piotrowicki nawoził a orał, i wygłosił odczyt pod tytułem »Życie na dnie morza« z obrazami świetlnymi. Wykład ten i obrazy oczarowały słuchaczów tak dalece, że nie chcieli wypuścić prelegenta z sali. Henio musiał perorować o meduzach i koralach przez trzy godziny, pokazywać te same obrazy latarni czarnoksięskiej po dwa i trzy razy. Wyładował wreszcie wszystko, co wiedział o morzu i życiu w jego głębinach, wszystko, aż do ostatniej kropli i ostatniego

ukwiała. »Dyrektor banku« tak był oszołomiony i porwany własną działalnością, że oto on, »grajek od Korngolda«, jeszcze raz powietrzem młodości odetchnął, iż z nadmiaru uniesienia spił się u tegoż Korngolda podrobionym szampanem, zbeczał się, skrzyczał wszystkich, sponiewierał najrdzenniejszymi wyrazami, nie wyłączając nikogo, nawet siebie i pani Sabiny, i spał aż do trzeciej godziny popołudniu następnego dnia. Po panu Topolewskim nauczał pewien student-technik, na kondycyi przebywający w jednym z okolicznych dworów. Był to wykład przystępny o maszynach latających, szybowcach, płatowcach, sterowcach, hydroplanach i tak dalej. Pewien młody rzeźbiarz, przypadkowo zabłąkany do Posuchy dla wykończenia na cmentarzu miejskim pomnika zmarłej kapitalistki, wpadł w Ryszardowe sieci i zmuszony był do wyrecytowania prześwietnej lekcyi o poecie Lenartowiczu. Rzeźbiarz umiał tak wypowiadać wiersze jednego z najszczerszych poetów świata, że obudził nieistniejące czucie dla poezyi w tłumie słuchaczów, za jednym zachodem, na zawsze utrwalił w pamięci młodego pokolenia wiejskiego i miejskiego te cuda mowy polskiej, poprostu nauczył na pamięć odrazu o »Kalinie«, o sierotce, idącej »przez zagony, przez pole«... Nastąpił później odczyt z zakresu kosmografii, wygłoszony przez inżyniera powiatowego, a przepleciony dygresyą o znaczeniu nauki, którą to dygresyę Henryk Topolewski zaczerpnął z powieści Bolesława Prusa pod tytułem »Faraon« i dowcipnie do odczytu zastosował. Był wykład z zakresu zoologii, który całej imprezie dużo złego narobił, gdyż prelegent, student zagranicznego uniwersytetu, nie wytrzymał i palnął coś »niepotrzebnego« o darwinowskim poglądzie na pochodzenie gatunków. Dwa odczyty z zakresu architektury, z uwzględnieniem poziomu umysłowego słuchaczów, przygotował Ryszard Nienaski. Jeden z przyjaciół doktora Misiaka specyalnie przyjechał do Posuchy z Warszawy dla wyłożenia mieszkańcom tych stron istoty kooperatyw spożywczych. Były liczne opowiadania z historyi, czytanki utworów literackich — i tak dalej. W czasie dwuletniego pobytu w Posusze architekt ani się obejrzał, gdy dociągnął blizko do setki wykładów niedzielnych. Sprawa ta pochłonęła nieprzebraną masę trudu, przeszkód, zabiegów i utrapień wszelkiego rodzaju. Na każdy

wykład trzeba było wyjednać pozwolenie w urzędzie gubernialnym, to znaczy naprzód podać treść odczytu i wszelkie szczegóły o prelegencie. A tymczasem tego prelegenta trzeba było z tygodnia na tydzień szukać, gonić, podniecać, chwytać w drodze, prosić, zaklinać, zmuszać, — zawsze przywieźć zdaleka, — jeżeli nie miał na to, zapłacić mu koszta pobytu i drogi. Ileż to razy taki wykładacz zawiódł oczekiwania! Ile razy pozwolenie nie nadeszło! Ile razy brakło klisz do latarni, materyałów, książek, danych! Był odczyt, lecz człowiek nie mógł przybyć, przybył sam, lecz okoliczności nie pozwoliły mu mówić — i tak bez końca. Nie posiadając żadnego środka porozumiewania się, Ryszard musiał ustnie zawiadamiać słuchaczów o terminie i treści wykładu. Czynił to zazwyczaj w niedzielę, gdy ludzie wychodzili z kościoła. Śmiali się zeń przeciwnicy i oszczercy, że sprasza swych gości do budy, niczem właściciel menażeryi. Wykłady pochłonęły znaczną sumę pieniędzy. W sali, gdzie się odbywały, słuchacze wdrapywali się na parapety okien i klamki od pieców, żeby lepiej widzieć. Od pary w czasie natłoku ludzkiego sufit pooblatywał. Trzeba było koszt reparacyi pokryć z własnej kieszeni, gdyż lekcye były bezpłatne. Po upływie owych dwu lat, wszystko się zmieniło. Uzyskanie pozwolenia na »naukę« było coraz trudniejsze. Coraz też więcej schodziło się do sali nadzorców i kontrolerów wszelkiego rodzaju, a wreszcie zjawiało się ich tyle, że słuchacze z obawy masowych przykrości poczęli od wykładów stronić. Na początku wszystkiego przybywał na taką pogadankę sam pan wójt z najbliższej gminy, mieszczanin stary, zamożny, godny człowiek. Siedział przez czas lekcyi w pierwszym rzędzie, wytrzeszczał oczy i nastawiał ucha, a rozumem swym baczył pilnie, »czy ta aby czego znowu w tem niéma«... Były to dobre czasy. Przed odczytem zwracał się do organizatora z otwartem zapytaniem, żeby mu po znajomości wyznać, »jako także przecie swemu człowiekowi«, czy ta czego w tej nauce nie będzie... Gdy mu tłomaczono istotę rzeczy, walił się pięścią w kark, żeby wszystko dobrze spamiętać i jak co jest zakarbować. Tak szło z tygodnia na tydzień. Później sam pan wójt wolał już nie pokazywać się, tak w sali było niebiesko i dzwonnie...

Równolegle do tych »prelekcyi« Nienaski zorganizował wy-

kłady wieczorne dla chłopców już umiejących »czytać, pisać, rachować«. Sam z dobranem towarzystwem osób uczył tam potrosze arytmetyki, rysunku technicznego, geometryi. Inni nauczali gramatyki polskiej, dyktanda, nieco historyi. Nienaski usiłował sprawić, żeby cała inteligencya miejska była w to wplątana i pracowała zgodnie. Lecz, oczywiście, dopiął tego, że część w rzeczywistości porządnie pracowała, a druga, posprzeczawszy się z pierwszą o zasady partyi grasujących w kraju, urządziła swoje kółko. I tak oto ciche miasto podzieliło się na obozy, zwalczając się wzajem, zresztą zapomocą dwu oświat, dwu kursów wieczornych, dwu arytmetyk, dwu gramatyk, dwu dyktand, początków geometryi. O »partyi« Nienaskiego mówiła »partya« przeciwna, że to są najskrajniejsi wywrotowcy, »masony« i bodaj »karbonaryusze«. O Nienaskim głoszono, że ile razy ten zwaryowany architekt swym »obałamuconym« szewczykom, krawczykom, stolarczykom, wykłada tę (Boże odpuść!) geometryę i nakreśli trójkąt na tablicy, to nie inne w kątach postawi litery, tylko P. P. S.

Jednakże kursy wieczorne Ryszarda Nienaskiego trwały, raz lepiej, drugi raz gorzej prosperując, i złote, kochane dusze, żywe umysły i niejedną inteligencyę odnalazły wśród szewczyków i stolarczyków. Poza temi usiłowaniami architekt zawiązywał wśród młodzieży rękodzielniczej kółka artystyczne. Jedno z takich odegrało ustęp z »Dziadów« Mickiewicza. Prości ludzie od wapna, żelaza, drzewa, ledwie umiejący czytać, a o wypowiadaniu wiersza wszelkiego pozbawieni wyobrażenia, zostali wyszkoleni tak znakomicie, że odegrali ustęp więzienny w szopie murowanej, bez żadnych dekoracyi w ten sposób, iż poeta lepszego wykonania swego pomysłu pewnie nie miał w ojczyźnie. Uczył tę brać ów rzeźbiarz, który im Lenartowicza podał swego czasu. Pracy miał niemało. Sam grał wśród nich rolę Konrada. Można było później na polach, pastwiskach, za krowami i za pługami w ciągu lat, a pewnie i nazawsze słyszeć wyśpiewywane te pieśni z »Dziadów«...

Pewnego dnia, w lecie, wracając z Niebylanki, Ryszard usłyszał szczególny śpiew. Zrazu sądził, że to rota piechoty wraca z manewrów. Zbliżywszy się, doznał ciężkiego rozczarowania. Byli to

bandosi i bandoski, wracający z roboty w jednym z okolicznych folwarków. Śpiewali jakąś piosenkę polską, ale na modłę wojskową, chóralną, wielkorosyjską. Architekt postanowił niezwłocznie rozwinąć smak estetyczny bandosów i bandosek i urządzić koncert. Zakrzątnął się, zawinął i piorunem rzecz zorganizował. Jedna z pań miała grać, druga śpiewać, pan miał grać na skrzypcach, panna — wiersze... Fortepianu pożyczyła sama pani Lenta. Czarny, arystokratyczny »Bechstein«, wydobyty z pokrowców i wywczasów w willi, poniesiony został do sali ordynarnych wykładów. W dniu oznaczonym zaproszone bandoski, dziewczęta spalone na słońcu, utworzyły zbitą gromadę w kącie izby. W oczekiwaniu na niewiadomy im koncert, naradzały się, czy to ta czarna trumna sama będzie grała, czy też na jej gołych zębcach będzie kto bębnił. Gdy po ukończeniu śpiewu pani »Po nocnej rosie płyń, dźwięczny głosie«..., już otrzaskani z muzyką słuchacze, którzy szczelnie zapełnili salę, zaczęli klaskać, tłum bandosek jął również bić szalone oklaski, w przekonaniu, że to, widać, należy do całości. To samo się powtórzyło, gdy druga pani zaśpiewała: »O, matko moja, matko rodzona«... Ale oto weszła na pakę, pełniącą w tym dniu obowiązki estrady, onieśmielona panna i poczęła ślicznym, melodyjnym głosem wypowiadać:

»Na Aniol Pański biją dzwony...
Niech będzie Chrystus pochwalony,
Niech będzie Marya pozdrowiona«...

W ciszy, zalegającej salę, dał się nagle słyszeć gromadzki głos bandosek: — »Na wieki wieków amen«... Potem te wszystkie dziewuchy, jak jedna, padły na kolana i głośnym chórem zmówiły pobożnie »Zdrowaś Marya«, a przy okazyi i »Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego«... Recytatorka znalazła się w położeniu szczególnem: snobizm i sztuczność recytacyi wyłowiła oto coś realnego, istotnego. Ów ratowniczy »koncert« stał się jedynym w kraju faktem, gdzie grę nadobnych dźwięków i fałsz uczuć wzięto na seryo. Wobec panny, produkującej na estradzie »nastrój« quasi-religijny, i wobec modlitwy nędzarek, którą ów »nastrój« z urzędu wywołał, budowniczy czuł śmieszność swoją, błazeństwo usiłowania. Ukryty

we framudze okna, z twarzą czerwoną od wstydu, ukrytą w dłoniach, rozpaczał bezsilnie nad niewysłowioną nędzą polskiego ludu.

Innego dnia podsłuchał dysputy mieszczan i chłopów, gromadzących się w niedzielę na cmentarzu kościelnym, ażeby oglądać ów pomnik marmurowy, który ustawił przyjezdny rzeźbiarz. Rzeźba była dość banalna i pospolita. Biały anioł z kararyjskiego, (oczywiście!), marmuru, niosący zdmuchniętą pochodnię. Lecz przecie w promieniach kilkunastu, a może i kilkudziesięciu wiorst nie było w tych stronach ani jednej rzeźby, ani jednego dzieła sztuki. Krytycy posuchowscy naradzali się, z czego też zrobiony jest ów anioł. Jedni twierdzili, że z kamienia, inni utrzymywali, że z »masy«. Spierali się o »dokładność«, twarzy anioła, admirowali zdolności rzeźbiarza i zestawiali to dzieło z pewnym świętym Michałem na słupku przydrożnym, który to święty z odpadniętym nosem i o żółtych oczach zabijał smoka z blaszanym ogonem drągiem od firanki. Nienaski po naradzie z rzeźbiarzem umyślił urządzić w Posusze rodzaj wystawy reprodukcyi obrazów Fra Angelica, mistrza mistrzów Masaccia i pasterza kóz Giotta, Łukasza Signorelli'ego i Benoza Gozzoli'ego. Sądził, że te dzieła nie tylko sztuki, lecz i wiary znajdą w tym zakątku polskim to właśnie podwójne odczucie. Sądził, że Zwiastowanie Fra Angelica będzie tutaj odczute aż do głębi, nie przez bezduszny motłoch snobów, nastrajający się do tonu prostoty i wiary przy zwiedzaniu cel San Marco, lecz przez serca tchnące właśnie wiarą artysty. Poczęli we dwu z rzeźbiarzem gromadzić reprodukcye i myśleć o odczycie, któryby rzecz wyjaśnił i dał historyę obrazów. Lecz w tym czasie zaszły inne okoliczności. Wynikł w kilkunastu folwarkach strajk parobków, domagających się od dziedziców większej płacy i ordynaryi, zamiany chlewów mieszkalnych na izby, zniesienia uciążliwości pańszczyźnianych »posyłki« i lepszego traktowania. Ryszard Nienaski brał żywy udział duchowy w tem poruszeniu się nędzarzy. Pewnego nawet dnia, na dziedzińcu jednego z folwarków, architekt uderzył w dzwon folwarczny, wzywając w ten sposób dziedzica na rozmowę. Dziedzic ów zapowiedział, że wezwie kozaków w razie, jeśli jego parobcy porzucą pracę. Dotrzymał słowa. Wezwani przezeń przybyli, lecz znaleźli parob-

ków, siedzących spokojnie na przyźbie czworaków. Co najśmieszniejsze, doradzili szlachcicowi polskiemu, żeby podwyższył płacę swej czeladzi, gdyż im się w istocie za małą wydała i, nie znalazłszy objektu uśmierzania, odjechali...

Sprawdziły się przepowiednie ropuch posuchowskich, że ów Nienaski jest to najgłówniejszy podszczuwacz, herszt i sam bandyta. »Opinia publiczna« potępiła wszelkie jego zabiegi, usiłowania, te tam szkoły i odczyty. Opinia ta stała się tak głośną, iż niepodobieństwem było, ażeby był ktokolwiek, ktoby jej nie słyszał. I oto nadszedł na Ryszarda Nienaskiego zły czas, czas przeklęty, o którym nie należy wspominać, który niechaj w niepamięci przepada. Zostali przy nim niektórzy ludzie i prostacy, których w niczem nie zawiódł, lecz wszelka praca ustała, jak gdyby z rąk wyrwana. Przedewszystkiem okazało się to w »aryańskiej« wieży. Gdy tam wszystko zostało wykończone i w dolnej sali ustawiono ławki, gdy zjechał nauczyciel i lekcye miały się zacząć, proboszcz miejscowy poprostu wyklął tę szkołę. Pod karami, któremi administrował, zabronił posyłania dzieci do owej szkoły aryańskiej, kacerskiej, socyalistycznej, dyabelskiej. Przyszło mimo tego zakazu kilkanaścioro dzieci rodziców śmielszych, którzy Nienaskiemu ufali, lecz sama rzecz została zepsuta. Cichy mularz, pan Barylak, począł nawet w zapale poczucia sprawiedliwości pisać kulfonami list przeciwko kazaniu proboszcza, gdzie w długim i absolutnie niezrozumiałym wywodzie obalał zarzuty. Zebrał nawet sporą ilość podpisów pod tą epistołą i mężnie zaniósł swój elaborat kaznodziei. Gdy kapłan, zgromiwszy śmiałka, zapowiedział w uniesieniu, iż będzie zburzona ta kacerska wieża wraz ze wszystkiem, co się w niej znajduje, aż kamień na kamieniu w tem miejscu nie zostanie, pan Barylak westchnął i mówił:

— Proszę łaski wielebnego księdza proboszcza... Przepraszam. Robiłem przy tym ta murze. I tego człowieka, pana Nienaskiego to samo widziałem. A zaś pytałem się, co jest za człowiek? Bo takiego człowieka nie było tu widać... A w tym murze z przeproszeniem wielebnego księdza proboszcza szkarpy z uskokami... Zaś z przeproszeniem wielkiem u wielebnego księdza proboszcza ręce delikatne i trudno będzie takie szkarpy z uskokami ruszyć.

Z przeproszeniem wielkiem!... Bo mówię do pana Nienaskiego: czy, naprzykład, mój Ignaś mógłby chodzić to samo do tej szkółki? Więc co z chłopcem robić? Do książki się rwie, prosi się... Możeby z niego co wyszło... To pan Nienaski nic nie mówi, w oczy mi patrzy... Więc kogo skrzywdził, abo gdzie zełgał? Oszust na oszuście, świnie wszędy dookoła, z przeproszeniem, nie ludzie... Więc pana Nienaskiego hańbić, to z naszą świętą katolicką wiarą nie pasuje...

Nie na wiele się przydały te wstawiennictwa. Przeciwnie, dolały oliwy do ognia.

Najgorszą chwilę przeżył architekt, gdy go opuścił umiłowany przyjaciel, towarzysz prac, zarazem uczeń i mistrz, cieśla Paweł Łoński. Nienaski brał go do robót »prywatnych«, dawał mu pracę przy budowie domów i odnawianiu starych dworów. Pewnego dnia, gdy był w aryańskiej wieży, zajęty wykończaniem sali zborowej, wszedł Łoński. Poprostu i spokojnie, jak zawsze, lecz zimno i oschle podziękował za robotę, którą właśnie razem prowadzili w jednym z domów w mieście. Oświadczył nadto, że już nigdy razem nie będzie stawał do roboty. Łoński był człowiekiem bardzo pobożnym, szczerze i głęboko religijnym. Ryszard domyślił się, o co chodzi. Ujął starca za ramiona, ścisnął je dłońmi, spojrzał głęboko w oczy. Łoński spokojnie wytrzymał jego wzrok i nie cofnął oczu. Na zapytanie, czemu odchodzi, odpowiedział z gniewnym błyskiem źrenicy, jako nie wiedział, iże kacerskie i odszczepieńskie dzieło buduje, które powinno być nie podpierane, ale zburzone, żeby zaś kamień na kamieniu nie został! Przed Bogiem świadczy, iże nie wiedział! Podeszli go i zmanili.

Cóż było powiedzieć — i jak? Co powiedzieć o aryanach? Jak wytłomaczyć to wszystko temu drogiemu bratu? Głęboka była między nimi przepaść. Nieme westchnienie... — Czy odszedłszy, skoro tak postanowił, zachowa w sercu pamięć jakiej krzywdy? — Cieśla przestąpił z nogi na nogę i surowym, głuchym głosem twardej prawdy odpowiedział, że — nie. Ryszard pokiwał głową — i podał starcowi rękę. Rozstali się bez tego polskiego słowa, które, jak kamień, zapadło się w przepaść pomiędzy nimi. Gdy już Łoński zstąpił na dół i po piaszczystej drodze wyprostowany szedł w swoją stronę,

Nienaski otworzył wielkie okno kaplicy aryan i patrzał za nim. W pewnej chwili Łoński przystanął, odwrócił się i spoglądał na wieżę. Ryszard zapragnął wtedy krzyknąć ku niemu, wołać, żeby się wrócił... Lecz uczuł, że to na nic.

Wielkimi krokami począł przemierzać izbę, od jednej konsoli do drugiej. Echo głuche — głuche rozlegało się pod sklepieniem... Płomień leciał po sercu.

Wypadki złożyły się w ten sposób, że trzeba było pomyśleć o wycofaniu się nie tylko z Posuchy i jej okolic, lecz także o wynalezieniu dla siebie miejsca mniej widocznego. Jak to zawsze w Polsce bywa z ludźmi, którzy nad czemś pracują, do zasiewów Ryszarda, skoro tylko poczęły puszczać kiełki i zielenić się pierwszemi oznakami plonu, jęli przyczepiać się, a nawet przyznawać najrozmaitsi ludzie ze wszelkiego rodzaju partyi. Byli wpośród nich i tacy, którzy żądali, ażeby im oddał już wyżłobione drogi i wydeptane ścieżki. Byli wreszcie jeszcze inni, co podawali jego roboty za swoje. Nie winił za to nikogo i nikomu nie urągał. Może nawet w niejednej robocie pomógł. Wszakże — poczęło mu być w Posusze ciasno, — wkrótce potem coraz ciaśniej, — a koniec końców trzeba było nad budą z ideałami wywiesić znany napis: — z przyczyn od kierownika niezależnych — zamknięta. Kierownik wyjechał okólną drogą do Warszawy. Tam jeszcze jego nazwisko nie było głośne i postać nie budziła tyle zainteresowania. Usiadł tedy w kącie i zabrał się do innych robót. Na chleb zarabiał w biurze znanego architekta.

W tymto czasie zawarł znajomość z panną Xenią Granowską. Od dawien dawna pani Sabina Topolewska opowiadała mu o swej kuzynce, siostrze ciotecznej czy stryjecznej, Xenii Granowskiej, czyniąc z niej, w sposób sobie właściwy, piękność, bóstwo, fenomen, ósmy cud świata. Owa panna Xenia od roku mniej więcej bawiła w Paryżu, zajęta wyklarowaniem interesów swego ojca, Witolda Granowskiego, właśnie kuzyna, — wuja czy stryja, — pani Sabiny. Nienaski, nie znając wcale ani panny Granowskiej,

ani jej ojca, z ust pani Topolewskiej poznał dzieje ich, przypadki, usposobienia aż do najdrobniejszych szczegółów, choć ani o to pytał, ani mu to było potrzebne. Gdy w najniewinniejszej myśli, poprostu z zamiłowania do oświaty, wtrącił pytanie, czy takie imię »Xenia« jest to imię chrześcijańskie i katolickie, czy też tylko romantyczne spieszczenie jakiegoś kalendarzowego brzmienia, pani Topolewska z oburzeniem oświadczyła, iż jest arogant i warszawski pozytywista, że nie zna literatury polskiej, gdzie Xenia w poematach ma równe prawo obywatelstwa, jak Idalia, Laura, Amelia, Beatrix, Judyta... Imię Xenia, pisane przez X, a, — uchowaj Boże! — nie przez parafiańskie *Ks*, jest to imię chrzestne i właśnie jedynie pasujące do cudeczki, jak pasuje do niej wszystko, co jest z niej i dotyczy tego anioła...

— Xenia! — czy pan tego nie rozumie, czy pan tego nawet nie jest w stanie pojąć, że to jest przecie jedyne, najwłaściwsze, najistotniejsze, że to jej własne, jak jej włosy, jak jej usteczka, jak jej ruchy i uśmiech? — wołała pani Topolewska.

Nienaski pozytywistycznie i ordynarnie oświadczał, że nie rozumie. Pomimo to dowiedział się, iż ów pan Granowski (»de Granno«) pochodził z rodu, którzy miał w drzewie genealogicznem koronę królewską, wieńczącą ongi głowę jednej z żon Władysława Jagiełły. Nie zaprzeczał, ale się i nie wzruszał, gdyż, jak wiadomo, swoje własne rodowody traktował, niczem notoryczny abnegat. Po śmierci ojca, który posiadał znaczny majątek na Podolu, pan Granowski nic nie odziedziczył, »prócz nazwiska« i trochy fachowego wykształcenia w jednej ze szkół handlowych za granicą. Jako młody człowiek znalazł się w Warszawie niemal na bruku. Pracując dla chleba, jako korespondent w wielkiej fabryce żelaza, począł brać się do handlu na własną rękę. Sprowadzał wina szampańskie, potem wszedł do spółki z pewnym właścicielem sklepu ze skórami, handlował drzewem, zakładał telefony w jednem z miast prowincyonalnych, wreszcie, uzbierawszy nieco grosza, założył, już na własną rękę, fabrykę niewielką przetworów chemicznych. Rozwinąwszy ten interes, sprzedał go z zyskiem zagranicznemu konsorcyum kapitalistów, a sam rzucił się do handlu placami podmiejskimi, sta-

wiał dom, by koniec końców wszystkie siły skupić na nabycie dużej cegielni pod Warszawą. Nim upłynęło dziesięć lat, pana Witolda Granowskiego rachowano na jakie dwakroć sto tysięcy rubli majątku. On znowu wycofał wszystkie swe kapitały i postanowił zbudować ogromną cegielnię, licząc na wielki rozrost miasta. Nie wątpił, że teraz dosięgnie tego miliona, o którym marzył. Wiedział, dokąd idzie i jaką drogą. Gdy nabył rozległe place, wzniósł szereg wysmukłych kominów, ustawił maszyny i spędził ludzi do roboty, sam się zadziwił własnemu dziełu, było bowiem zakrojone na wielką miarę. Nie trwożyły go jednak okoliczności, towarzyszące tej sprawie, weksle i źródła kredytu. Tymczasem — jeden telegram z ministeryum finansów, zabraniający przyjmowania w banku weksli budowlanych — wszystko w niwecz obrócił. W przeciągu krótkiego czasu Granowski runął i to tak fatalnie, że z całego majątku został mu surdut na grzbiecie — i nie najlepszy. Człowiek wszakże pozostał tensam, niezłamany. Nazajutrz po katastrofie snuł nowe projekty i budował w myśli nowe gmachy. Lecz już jego gwiazda zagasła i szczęście go opuściło. Ożeniony w początkach karyery z panną prześlicznej powierzchowności, latoroślą podupadłego arystokratycznego domu, w dobie kryzysu nie mógł już utrzymać domu i rodziny, chorowitej żony i ślicznej córeczki, właśnie Xenii. Wszystkie jego dochody pochłaniał »interes«, wciąż nowy, zawsze »świetny«, a najczęściej zawodny w sposób opłakany. Jeżeli powiódł się jaki manewr, to chwilowo i jakby dla tem większej klęski w następnym. Teraz bowiem przemysłowiec już nie dorabiał się zwolna, lecz grał całemi sumami w imprezach coraz bardziej ryzykownych, byleby się na grubo »odbić«. Szukał ratunku na giełdzie, w totalizatorze, grał w karty i najrozmaitsze loterye. Wśród tych wszystkich usiłowań lata płynęły. W ciągu ich biegu zmarła ze zgryzot piękna pani Granowska. Córeczka Xenia chowała się w »domu« ojca, to znaczy tam, gdzie ojciec mieszkał. Lecz on mieszkał coraz rozmaiciej, — jużto w obszernem mieszkaniu, już w hotelu, — w »pokoju przy familii« z meblami i usługą, — to znowu w pustym lokalu, którego świeżo kupione meble zajęto i zlicytowano, — w pensyonacie, albo u krewnych. Xenia chodziła na pensyę z tych roz-

maitych lokalów. Uczyła się »przedmiotów«, które jej podsuwano, — i życia, — języków obcych a nadewszystko przypatrywała się ciekawie biegowi rzeczy. Ojca widywała rzadko, gdyż wciąż dokądś pędził, leciał za interesami, późno wracał zaaferowany, przejęty, zgryziony, pełen niepokoju, frasunku, rozpaczy. Serdecznie uścisnął córkę, pohuśtał na kolanach, — spytał o coś, nie dosłuchał odpowiedzi i biegł w świat swych spraw i afer. Od tego czasu poczyna się i stąd wyprowadza właściwy życiorys panny Granowskiej, który tu dla wyjaśnienia istoty rzeczy wtrącony być musi.

Opiekowały się nią rozmaite osoby: krewni, krewne, kuzynki, przyjaciółki matczyne. Najbardziej pani Sabina Topolewska, oraz, z natury rzeczy niejako, pani Lenta. Zabierały Xenię na lato i święta do Posuchy, — woziły ją na szczerą wieś, żeby mogła zażyć »letnich wywczasów«, a za bytności w Warszawie odwiedzały, a nawet, gdy podrosła, poprostu garnęły do siebie na czas pobytu. Pani Sabina, która swą własną maleńką córeczkę straciła przed laty, całą miłość przeniosła na stryjeczną Xenię. Nie znała wprost granic w dogadzaniu wszelkim zachceniom ulubienicy, gdy ją widziała. Chwaliła ją tedy w oczy, niemal tak bez miary, jak panią Lentę, podziwiała jej urodę, zdolności, nawet kaprysy i wybryki przed wszystkimi, kto tylko chciał słuchać hymnów pochwalnych na cześć uwielbianej. Samo już to słowo »Xenia« pani Sabina wymawiała, a raczej wyśpiewywała w sposób, doprowadzający ją do omdlenia. Było coś doprawdy wzruszającego i najbardziej kobiecego w tem uwielbieniu, które mocno przywiędła piękność żywiła i objawiała dla wykwitającej z pąka, — jakoweś trudne dla określenia go słowem usiłowanie transfuzyi wszystkich zasobów płci przygasającej w organizm pokrewny. Zarazem była to jakgdyby żądza wyssania z tamtej soków ledwie tryskających i jeszcze raz spicia się nimi.

Panna Granowska kończyła właśnie jedną z pensyi prywatnych, gdy ojciec jej, zaplątawszy się w sieci długów nagłych, weksli terminowych, w procesy i licytacye, po przegranych na wszelkich polach ryzyka, krótko mówiąc, uciekł z kraju dokądś za granicę. Z drogi napisał do ukochanej Xeńki list pełen rozpaczy i wyjaśnień, a później z rozmaitych miejsc swego pobytu przysyłał jej małe

i niejednostajne kwoty na mieszkanie i ubranie. I oto panna Xenia sama została w Warszawie. Rzuciła ową pensyę, gdyż nie było czem płacić za naukę. Mieszkała to u krewnych, to u znajomych matki. Miała wówczas rok siedmnasty. Była zdrowa, śmiała, wesoła i czarodziejsko piękna. Coś uroczego, jedynego na ziemi było w niej, jak w młodem drzewie zbudzonem przez wiosnę. Żyła wśród wstrząśnień i uderzeń losu, na które nic nie mogła poradzić, i może dla tego wyrabiała w sobie niezłomną wytrwałość w urzeczywistnieniu pragnień i zamysłów. Była w niej subtelność i wyrafinowanie, gdy chodziło o rozróżnienie wrażeń, a zarazem szorstka gwałtowność uczuć i ślepy pęd zmysłów. Jej skrytość, skłonność do sarkazmu, a nawet mściwej zjadliwości znamionowała ostrożny rozum. Dziwaczne koleje życia uczyły ją bezmyślnej swawoli i rozpasania ślicznych kaprysów, a piękność, o której wszyscy jej mówili, przyzwyczajała do marzeń królewskich, świat w siebie chłonących. Wszędzie, gdziekolwiek się zjawiła, budził się wśród otoczenia niespodziewany i dziwny entuzyazm, — tworzyło się jakoweś zatrzymanie biegu rzeczy, szczególna przerwa, którą ona osobą swą wypełniała. Lubiła zaś chodzić wszędzie — i to sama: po mieście o wszelkich porach dnia i wieczora, do znajomych pań i panów, o ile ją interesowali, — do sklepów, warsztatów, biur, składów, a nawet do suteryn, gdzie gromadziły się służące i zabiegali robotnicy, ażeby skubać płeć piękną po kątach ciemnych i pełnych wilgoci. Mało jest powiedzieć — ciekawość, — bo jakaś nie dająca się wyrazić pasya bezlitosnej ciekawości popychała ją do oglądania na świecie wszystkiego, do sądowań wszystkiego własnym rozumem i okiem, do kontrolowania zjawisk, o których opinie słyszała w salonikach i mieszkaniach »ludzi porządnych« i wśród »towarzystwa«. Nadewszystko interesowały ją i pasyonowały w rozmaitych gniazdach ludzkich, w zakamarkach i schowankach życia — stosunki mężczyzn do kobiet, ich wieczysty zabieg, współpląs, zatarg i konflikt. Bystrą źrenicą przypatrywała się temu misteryum, niby poruszeniom owadów. Tajemnicę swoją, swój wniosek, zdobyty zapomocą doświadczenia, chowała dla siebie samej, nikomu jej nie powierzając. Usta jej umiały wydawać kłamliwe westchnienia i naj-

obłudniejsze frazesy, jeżeli tego zachodziła potrzeba. W głębi skromnego milczenia i doskonale niewinnych uśmiechów tej czarującej panienki kryły się powzięcia o życiu i jego szelmostwie, któreby zdziwiły niejednego birbanta i wypróbowanego hulakę. Gdy do Warszawy zjeżdżały (zawsze razem) dwie posuchowskie przyjaciółki, dla panny Xenii nastawał czas wesoły. Małomiasteczkowe samotnice bawiły się troszeczkę w Warszawie. Kręciło się wówczas kilku brunetów, albo blondynów w kwiecie lat dookoła tych pań, — czasem jaki dawny dobry znajomy, — czasem jaki dobry i miły pan starszy z dużemi pieniędzmi i mądrym na świat poglądem. Panna Xenia jadła wtedy doskonałe kolacye w najpierwszych restauracyach miejskich i podmiejskich, piła przedniego szampana i burgunda w zacisznych gabinetach, słuchała wyborowej muzyki i świetnej gry aktorów z głębi lóż teatralnych. Jeździła po nocy ekwipażami na gumach w towarzystwie opiekunek, oraz miłych i na każde skinienie usłużnych mężczyzn, którzy jej mówili najrozkoszniejsze pochwały. Te komplimenty i arcydowcipy mniej ją jednakże nęciły, niż samo jedzenie i picie. Nie znaczy to, żeby na dusery była obojętna. Lubiła i to, nie tak przecież pożądliwie, jak czekoladki i ciastka. Ponieważ w swem życiu dziwnie urozmaiconem zaznała nieraz i głodu, — w czasie pobytu przyjaciółek najadała się i napijała, opychała potrawami i winogronami, oraz wszelkiem dobrem restauracyjnem — na zapas. Ze swem skromnem ułożeniem, z milczącemi ustami i oczyma, których płomienista głębina ukrywała coś niejasnego, coś, co zdawało się gwiazdy niebieskie odbijać, przesuwała się poprzez błyszczące saloniki i gabineciki różnych »Goplan« i »Złotych Żyraf«, jako świadek niebezpieczny. Niby to nic nie widząca, obojętna i zimna, w gruncie rzeczy chłonęła pamięcią wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów, jak kinematograf. Znała się nie tylko na markach win, na rodzajach sosów i przystawek, na przekąskach, słodyczach i owocach, ale także i na cenach. Częstokroć tam, w owych zacisznych gabinetach, gdy w najlepsze zaczynała się istotna zabawa, gdy szampan czynił swoje i rozwiązywał na dobre nie tylko języki, — panna Xenia, najadłszy się dobrze upatrzonych i uprzednio zbadanych smakołyków, kędyś w rogu

kanapy przespała się doskonale, gdy jej protektorki najtęższym temperamentom męskim dotrzymywały placu. Zarówno starzy, jak najmłodsi przedstawiciele płci gorszej krążyli wówczas koło niej i przypatrywali się temu arcytworowi rodzaju ludzkiego, doprawdy oczom swym nie wierząc. Lecz znaleźć dostęp do tej siedmnastoletniej Dyany było trudno, a nawet wręcz niepodobna. Mówiła mało, zawsze prosto, rozsądnie, niewinnie, cicho, melancholijnie i ze skromnością, a jakoś tak po przyjacielsku, po koleżeńsku, że ręce wyciągnięte opadały i kołowaciał język. Jakże tu było znanym sposobem, zprosta sięgnąć po tę kwietną gałęź, — jak myśleć o złamaniu bez zachodu i »miłości« tej łodygi, pachnącej tak czarownie wiosenną smołą? Każdy, nawet najbardziej zwleczony i wytarty w miejskich szynkowniach, numerach hotelowych, kulisach — uczuwał omdlenie od zapachu tej wici bzu, jeszcze mokrej od rannej rosy — i własną swoją wiosnę wspominał. Każdy, nawet najstarszy, wobec panny Xenii poczynał bredzić o miłości. Wywracały się tym bywalcom i znawcom oszukańcze oczy do góry dnami, sepleniły zwiędłe i wygniecione ich wargi jakoweś zamierzchłe, szczere wyrazy. Ona słuchała tego z równym spokojem, jakby mowa była o wycieczce powozem, teatrze, albo muzyce, którą nadewszystko lubiła. Uśmiechała się ponętnie, po koleżeńsku, — i znowu jadła — na zapas.

Gdy zaś posuchowskie panie pozałatwiały w mieście »sprawunki« i wracały do ognisk domowych, panna Xenia przerzucała się w inną sferę obserwacyi świata. Ta arcywykwintna, nieposzlakowanie dystyngowana panna, która każdego towarzystwa mogła być wyszukanym klejnotem, miała przyjaciółki, i to oddane sobie na śmierć i życie, między sługami, wśród dziewczyn sprzedających kiełbasę w sklepie rzeźniczym, gdzieś na przedmieściu, w szewskiej rodzinie. Nie było w tem, — uchowaj Boże! — żadnych uczuć i dążeń społecznych, albo popchnięć demokratyzmu. Był tylko temperament, nie znoszący żadnego kagańca, żadnej tajemnicy i obłudy. Jakież dowcipne, jak niewiarogodnie znakomite umiała panna Xeńka piosenki podmiejskie, praskie i wolskie, robotnicze, mularskie, dryndziarskie, wagabundzkie i złodziejskie! Całkowite światy i zbio-

rowiska życia z ich okrutną i, zaiste, sobaczą historyą odbijały się w tych brylantowych kulkach dzikiego wesela. A jakiż to niepojęty urok miały te chamskie śpiewanki motłochu w jej rubinowych, jaśniewielmożnych usteczkach!

Możnaby powiedzieć, że panna Xenia po młodemu i po panieńsku pożądała prawdy życia. Lecz i to byłoby określeniem nieścisłem. Lubiła ona raczej podpatrywać prawdę instynktów i obserwować ich ukrytą grę. Stąd to zapewne poszło, że najbardziej zaciekawiały ją ulicznice, »rogówki«, a nadewszystko »gumiary«, rozbijające się najętymi powozami. Nie kochała na świecie nikogo. Raczej mściwie nienawidziła ludzi, którzy jej kiedykolwiek dokuczyli. Kochała naprawdę, mocą nieprzebraną i iście szaloną — ojca. Ten człowiek, który prawie jej nie widział i nie znał, który gdzieś światami gonił swoją chimerę, posiadał całe jej serce. Uwielbiała go we wszystkiem, co zrobił, godziła się zgóry na wszelkie jego czyny, niosła w sercu wszystko, co było z niego, od początku do końca. Wszystkie jego szacherki i klęski, matactwa i przegrane były to jej własne niedole, przeżycia i złamania młodego serca. Jego nieciekawe interesy były dla niej sprawami świętemi, katastrofami duszy i cierniową koroną serca. Gdy ją opuścił i samą zostawił w Warszawie, ukochała go po dwakroć, po trzykroć, po stokroć bardziej w tęsknocie. Każdą zasmoloną kartkę pocztową, którą zdala, z niewiadomego miejsca nadsyłał, miała na sercu i czytała po tysiąc razy w swoim kącie mieszkalnym. Gorzkiemi i nieprzebranemi łzami oblewała potajemnie tę nieobecną, zamgloną postać. Kartki z wiadomościami były coraz rzadsze. Aż przyszedł czas, że się skończyły zupełnie. Witold Granowski, jak kamień w głębokiej wodzie, przepadł gdzieś w Paryżu. Tak mówili krewni, znajomi. Wreszcie los nie oszczędził pannie Xenii najgorszego ciosu: dowiedziała się z dziesiątych ust, ubocznie, że ojciec jej popełnił we Francyi jakoweś nadużycie i że jest w więzieniu. Wówczas — pożyczyła od dwu przyjaciółek z Posuchy nieco grosza, dostała paszport i ruszyła do Francyi ratować ojca.

Pewnego jesiennego wieczora Ryszard Nienaski siedział w cukierni, oczekując na człowieka, z którym miał się tutaj zobaczyć. Życie warszawskie zmuszało go do ostrożności, to też zajmował jeden z najmniej widocznych kątów wykwintnej knajpy i krył się w cieniu filara. I tam jednak dojrzało go oko pani Topolewskiej, która właśnie zjechała była do Warszawy. Pani Sabina przysiadła się do niego i jęła opowiadać tysiączne, a raczej dziesięciotysiączne szczegóły o Posusze, jej życiu i wszystkiem, co ciekawego zdarzyło się od chwili wyjazdu powiatowego ideowca. Nienaski słuchał więcej, niż ciekawie. Nie zwracał na to uwagi, że owe szczegóły powiatowe służyły recytatorce za doskonały pretekst do serdecznego przysiadania się i szeptań niemal miłosnych. Kiedyniekiedy te społeczne wynurzenia w formie czułości przerywały wykrzykniki, skierowane do młodej osoby, tyłem do rozmawiających siedzącej przy sąsiednim stoliku. Nienaski, nadzwyczajnie zajęty relacyą pani Topolewskiej, nie zwracał uwagi na te dygresye. Lecz w pewnej chwili pani Sabcia kochana przerwała rozmowę wskutek tego, że tamta osoba wstała z zamiarem wyjścia z cukierni.

— Xeńka! — krzyknęła pani Topolewska swym melodyjnym altem — jeszcze sekundę poczekaj, jeszcze sekundę!

Wówczas Ryszard domyślił się, że ma przed sobą tylekroć opiewaną pannę Granowską. Przypatrzył się tej osobie z pod oka w ciągu krótkiej chwili i, rzecz szczególna, nie mógł już tak dokładnie rozumieć, co do niego mówi pani Topolewska, a nawet przestał czuć sprawy posuchowskie z poprzednią żywością. Wezwana do pozostania panna Granowska niechętnie usiadła. Przeglądała »*Illustration*« francuską, przypatrując się szczególnie ogłoszeniom, umieszczonym na ostatnich stronicach. Była w krótkim pluszowym paltociku i czarnym kapeluszu filcowym z bujnem strusiem piórem. Na to pióro i na miąższ pluszu, okrywającego barki, oraz szyję, padał blask z poblizkiej lampy elektrycznej. Z pod czerni pióra ukazywało się dolne krucze pasmo włosów, owal policzka i profil łagodny. Cóż było w tym profilu i w skojarzeniu barw, otaczających jego jasny zarys, że tak wstrząsające wywołał wrażenie w duszy widza?

— To jest panna Granowska? — zapytał pani Sabiny.

— No, jakże! Xeniusia... — odpowiadała z nieodzownem uniesieniem.

— Wróciła z Paryża?

— Właśnie onegdaj! Przyjechałam na jej spotkanie...

— Jakże znalazła swego ojca?

— Et!

Pani Sabina poruszyła wargami na znak, że mogłaby o tem powiedzieć kilkakroć stotysięcy wyrazów, ale że nie powie. Wskazała oczyma na pannę Granowską i szepnęła:

— Ani słowa o tem nie można przy niej mówić!

— No, ja przecie nie mam fizycznej możności mówienia ani słowa, bo panny Granowskiej nie znam.

— Chce pan? Przedstawię pana...

— Proszę!

Pani Topolewska spojrzała na twarz architekta i z nagłym wybuchem egoizmu chciała cofnąć tę propozycyę. On wstał ze swego miejsca. Zbliżyli się obydwoje do stolika panny. Ona spojrzała na tego wysokiego draba z dołu i z boku. Przez chwilę mierzyła go nieprzejrzaną nocą swych czarnych oczu. Gdy pani Sabina wymieniła jego nazwisko, ta panna pochyliła lekko głowę i uśmiechnęła się z towarzyską uprzejmością. Podała rękę nowemu znajomemu i zamknęła w twarde okładziny pismo ilustrowane. Była gotową do wyjścia. Nienaski powziął teraz życzenie, żeby jeszcze przez chwilę nie odchodziła. Czekał na to, żeby usłyszeć jej głos. W pewnej chwili zapytała pani Sabiny:

— Pójdziemy?

Czuł w tym głosie znudzenie miejscem i, zapewne, osobami, a przecie było mu przyjemnie, że usłyszał jego brzmienie. Do cukierni weszło w owej chwili towarzystwo, złożone z młodych osób, kobiet i mężczyzn, znajomych tych pań. Grono to zbliżyło się do stolika panny Xeni i zasiadło tutaj. Nienaski znalazł się wśród osób świeżo poznanych. Przysłuchiwał się dyskusyi i brał w niej udział. Panna Granowska rozmawiała to z pewnym wystrojonym i ulizanym bizonem salonowym, to z łysawym blondynem, swobodnym

i niedbałym, jakby leżał u siebie na kanapie. Nie myślała teraz o porzuceniu cukierni. W trakcie tych rozmów Ryszard mógł widzieć jej cudne oczy pod łukami przepysznych brwi, odblask płomiennej krwi młodości w subtelnym rumieńcu policzków, usta o barwie kaliny... Mówiła spokojnym, przyciszonym głosem, zawsze umiarkowanie i roztropnie. Nienaski nie mógł się zoryentować, czy dzięki zewnętrznej piękności uderza go wewnętrzna poezya, tająca się w tej osobie, czy też ta poezya jest w niej istotnie, gdyby nawet powierzchowność była zupełnie inna. Myślał nad tem naiwnem zagadnieniem wśród gwaru wesołej rozmowy i flirtu pełnego pustoty. Młodzi kawalerowie dopytywali się panny Xeni o Paryż, o wrażenia. Ona odpowiadała pół-zdaniami. Lecz oczy jej mówiły więcej, niż usta kiedykolwiek wyrazić by mogły. Nieznajomy smutek wypełzł w duszy Ryszarda ze swej tajnej pieczary na widok tej prostej i naturalnej sceny, ni to wąż znagła zaplątany do czystego domu. Skąd smutek? Dlaczego? Zdało mu się, że to już raz widział... Ale gdzież to było? kiedy? Był że to obraz Burne Jonesa? Przez puszczę idzie Viviana, niosąc w ręku księgę świętą. Potworny Merlin podpatruje ją z ukrycia. Nie tesameż to oczy podłego Merlina? Nie jest że to Viviana? Oto zwraca ku niemu zaciekawione spojrzenie... Ryszard odsunął nieco swe krzesło i w ciszy pielęgnował dziwaczne porównania i niemy smuteczek. Coraz weselsza i banalniejsza toczyła się rozmowa. Coraz też weselszy stawał się ton głosu panny Granowskiej. Nienaski czuł się obcym w tym gronie. Nie miał sposobności uczestniczenia w bujnej rozmowie, a zarazem bał się oziębić jej żywość. Niezręcznie milczący i niemal śmieszny wśród tego towarzystwa czekał tylko na chwilę sposobną, żeby szybko pożegnać wszystkich i wyjść z cukierni. Nareszcie taki moment przyszedł. Panna Granowska wstała i, rozmawiając z typem blondynowym, zapinała rękawiczki. Ryszard wstał i usunął się na bok. Zdziwił się bardzo, gdy do niego właśnie, z pominięciem tamtego pana, zwróciła się, pytając. Przez mgłę zasmucenia, która go otaczała, usłyszał jej niespodziane słowa:

— Pan już teraz nie wraca do Paryża?

— Do Paryża? Ja? Nie! Tutaj zostanę...

— Już na stałe?

— Tak. Nie przypuszczałem, żeby pani słyszała o moim pobycie w Paryżu.

— Słyszałam.

Głos nieznany, wynikający z przemożnego instynktu, jakby w natchnieniu kazał mu powiedzieć co następuje:

— Proszę pani... Chciałem o jednę rzecz zapytać...

— Proszę...

Z cicha, tak, że tego nikt nie słyszał, mówił:

— Czy nie zechciałaby pani porozmawiać ze mną o pewnej kwestyi?... Przez jakie pół godziny?...

Zapinała dalej swą rękawiczkę ze spokojem i niezamąconą uwagą, pytając:

— Gdzie?

— Sam nie wiem. Może... Ale czy to pani nie obrazi?

— Nie.

— Może w łazienkowskim parku? Jutro, o jedenastej rano? Zaraz przy bramie? Może pani przyjść tam jutro?

— Z Sabinką?

— Nie, sama. Dobrze?

— Dobrze.

Wesołe towarzystwo zagarnęło panią Sabinę i pannę Granowską tak prędko, że ledwo je pożegnał. Został sam. Właśnie nadszedł oczekiwany przezeń człowiek. Zaczęła się rozmowa o pewnej sprawie doniosłego znaczenia, lecz treść jej stała się dla Ryszarda jakimś szczegółem podrzędnym. Miał w sobie teraz zrozumienie i czucie całości, koncepcyę syntezy i formy, której treść z formą łączyła się doskonale. To też zakończył tę pogawędkę byle jak — i wyszedł. Brnął ulicami pełen wewnętrznego wzburzenia i nieznanych mu drżeń duszy. Noc spędził źle. Myśli spłoszone, tęskne, przelatujące w uczucia najdziwaczniejsze nie dawały mu zasnąć. Śnił pół na jawie, pół we śnie o tej Vivianie, którą był zobaczył. Dokąd też ona pójdzie? Czy stanie się, jak tysiące, dziesiątki i setki tysięcy, nałożnicą jednego lub wielu? Oczy jej, które budzą rozkosz materyalnego osiągania piękności i niewymowne przerażenie duszy, staną się organem do

postrzeżeń zgniłego brudu ziemi? Usta jej, pełne różanego uśmiechu dziecka, wykrzywiąż się od cynizmu i od długotrwałego wyboru między zyskiem i nieszczęściem? Ponęta rumieńców na lilianych policzkach, zorzę wschodzącą naśladująca, stanież się łupem kurwiarzy i pijanic? Cała ta postać, widome dzieje wszystkich młodości zachwyceń i snów, będzież towarem na rynku?...

Nie mógł doczekać się świtu. Ta noc była, jak złe osaczające, a ranek był, jak nieprawdopodobne marzenie. Nienaski usnął bardzo późno, a obudził się aż przed jedenastą. Wdział co tchu ubranie i pobiegł, śmiejąc się ze siebie. Był pewny, że ona ani myśli przychodzić. Skądże? Pierwszy raz go widziała! Nie zamieniła z nim dziesięciu słów i ma przyjść ni mniej ni więcej, tylko na schadzkę?... Toż to jest chyba postępowanie z »towarem na rynku!« A wszakże nie schadzkę jej naznaczył, lecz chwilę zawarcia przymierza przeciwko arkanom Merlina, uwodziciela »okrągłego stołu«. Budził ją ze snu, jak duch opiekuńczy, podnosił jej głowę, odziewał i popędzał, żeby przyszła. Czemuż to ją jedną — cha — cha!... I czemu sobie wyznaczył rolę ducha-opiekuna? Była jesień. Wielkie klony upuszczały na ziemię ciężkie żółte liście. Stały w bezwietrznem milczeniu niewolne polskie drzewa, tylekroć czekające swej wiosny. Lekka, nieruchoma mgła przenikała dalekie, ociemniałe głębie i śniące zagaja. Wtem rozświetlił się ten krajobraz! Wytrysła w nim barwa i wzrok do siebie przykuła. Ukazała się panna Granowska. Gdy była już tak blizko, że można było widzieć jej oczy i uśmiech, jeszcze Niesnaski nie dowierzał swemu wzrokowi. Głowa jego była pełna oszołomienia i zamętu. Przeląkł się widoku swego szczęścia, ale czuł, czuł aż do utraty zmysłów, że to szczęście się zbliża. Panna Xenia przywitała go w sposób jej właściwy, naturalny i spokojny. Spytała go zaraz:

— A więc? Cóż to tak ważnego ma pan mi powiedzieć?

Trochę się stropił. Bo, poprawdzie, cóż to jej miał do powiedzenia? Jakże wyrazić tę myśl o przymierzu przeciwko światu-kusicielowi? Przypomniał sobie jednak uczucia minionej nocy i nie z tego nowego, lecz z poprzedniego stanu duszy, powiedział:

— Proszę pani... Jestem niewymownie wdzięczny, że pani tu

przyszła. Chciałem pani tylko tyle powiedzieć, że jestem jej wiernym, może najwierniejszym przyjacielem.

Przypatrzyła mu się właściwym jej raptownym rzutem oczu. Krótko i dyskretnie parsknęła śmiechem.

— Jestem przyjacielem pani, który w potrzebie nigdy nie opuści. Jeżeliby czego Boże broń! — czuła się pani nieszczęśliwą, prześladowaną, skrzywdzoną... Gdyby pani potrzeba było kogo pewnego, który w obronie zrobi wszystko, może prać z ramienia, a nawet paść trupem... Niech pani o mnie pomyśli. Nie zawiodę!

Znowu się roześmiała, ale już nie tak szyderczo. Zagadnęła:

— A dlaczegóż to mnie niegodną wybrał pan do obrony? Zresztą — bardzo dziękuję panu...

— Bo pani potrzebować będzie obrony.

— Doprawdy? Nie wiedziałam, że jestem w niebezpieczeństwie... Zresztą chyba każdy potrzebuje jakiejś obrony. Nie? To się pan zmęczy, każdemu służąc i za każdego »piorąc z ramienia«... A cóż dopiero, jeżeli tym »trupem«...

— Nie mogę w obronie każdego człowieka, niestety! Muszę wybierać tylko niektórych.

— To ja — prawie jakbym na loteryi wygrała.

— Jakże pani znalazła ojca?

Drgnęła niepostrzeżenie. Stała się zwolna, zwolna blada, coraz bledsza. Wreszcie, jak wapienna ściana. Brwi jej ściągnęły się i oczy napełniły szarym mrokiem.

— Czy to Sabina mówiła panu o moim ojcu?

— Tak.

— A pan w taki delikatny sposób usiłuje zawrzeć ze mną bliższą znajomość?

Jej ślicznie zarysowaną brodę przekrzywiła szczególna rysa. Dolna warga w ukos podsunęła się pod kąsające zęby. Pasya ukrywana zionęła z jej twarzy.

— Proszę pani — mówił Ryszard spokojnie — powiedziałem na samym początku, że jestem pani przyjacielem. Prawda? Nie jest to czcze słowo flirciarza, lecz głos człowieka. Czy się pani będzie na to zgadzać, czy nie, ja już zostanę tym przyjacielem.

— Dużo jest takich, co mi tę »przyjaźń« ofiarują, jak tuberozę, albo pudełko cukierków.

— Ja od pani nic przecie w zamian nie żądam.

Nachylił się ku niej i poprzez szczere czucie, płynące z głębi serca, patrząc jej w oczy, rzekł:

— Powiedziałem, że chciałbym panią obronić od tych wszystkich, co to ofiarują z ręki do ręki przyjaźń, jak pudełko cukierków?

— Pan jest podobno jakiś tam nadzwyczajny Wicek-socyalik. Ja się na takich rzeczach nie rozumiem... Mówiła mi o tem Sabka... — rzuciła pogardliwie, ordynarnie, z najwyraźniejszą niechęcią.

— Zwyczajny socyalik, nawet nie Wicek.

— No — i co? Po cóż tu przyszłam?

— Myślała pani o tem pudełku cukierków?

— Com myślała, to moja rzecz. Pan jest, widzę, jeszcze nudniejszy w rozmowie, niż z wierzchu.

— O, napewno! Gdzież jest ojciec pani? — zapytał uparcie.

— Do widzenia panu szanownemu! Już idę.

— Zawsze w potrzebie niech pani przypomni sobie moje nazwisko. Takie nazwisko: Ryszard Nienaski.

— Jak pan śmie zapytywać mię o ojca, kiedy mię pan prawie nie zna! — cisnęła mu w oczy ze srogością, która jednak słabła widocznie.

— Cóż w tem jest złego?

— Coś niecoś pan słyszał i chce pan wiedzieć resztę... Żeby mieć odrazu, a bez trudu żadnego trochę władzy nademną... Ach, i jeszcze »przyjaciel«....

— Nie chcę już powtarzać, że jestem pani przyjacielem, a umiem milczeć.

— Mój ojciec jest nieszczęśliwy człowiek... Nie do tego jednak stopnia, żeby go poniewierać współczuciem każdego przechodnia! Może jeszcze ja mam rozpowiadać o nim, jak ta Sabka! Co pan od niej słyszał o ojcu?

— Nie wiele.

— A co ona mianowicie nagadała? Pewno po swojemu jakieś egzageracye, plotki, przesady!

— Czy ja wiem? Pani Topolewska istotnie wszystko przekręca... W tym wypadku nie mogę wiedzieć, czy mówiła prawdę, bo nic nie wiem. Dla tego też ośmieliłem się spytać panią samą.

— Więc co ona panu nagadała?

— Z jej opowiadań, jeszcze w miasteczku Posusze, nie znając państwa, poznałem życie ojca pani aż do wyjazdu za granicę. O jego przygodach paryskich, na szczęście, już nic nie wie. Czy pan Granowski jest na wolności?

— Rozumie się! — mruknęła z bolesną dumą.

— I niema żadnej sprawy?

— Nie! — urwała.

— Dla czego pani nie mówi prawdy? Jabym w niejednem pomógł. Znam Paryż i trochę stosunków tamtejszych...

— Co pan tam może pomódz! Czy pan jest bogaty?

— Nie. Ale nie koniecznie zapomocą pieniędzy...

Przerwała to zdanie gestem zniecierpliwienia. W głosie jej były łzy, siłą woli powstrzymane, gdy mówiła:

— Nie zna pan mego ojca. Z nim nikt nie da rady...

— Pani powinna dążyć do tego, żeby mieć wpływ na ojca! — rzekł twardo. — Odczuwał w tej chwili szczególniejszą satysfakcyę człowieczą, gdy można udzielać zbawiennych rad i cennych wskazówek bliźniemu, pogrążonemu w niedoli. W tym wypadku to miłosierne znęcanie się było po dwakroć miłe wobec coraz szczerzej ujawniającego się smutku panny Xeni. Idąc zwolna w dół alei, mówiła w zamyśleniu:

— Twarda jest jego natura. Ale znowu, czy nie na takiej twardości polega możność załatwiania interesów? No, nie?

— Zawsze prowadzi te ryzykowne interesy?

Podniosła na niego biedne, bezradne, zasmucone oczy, mówiąc:

— Co tylko zdobędzie, zaraz puszcza w ruch. Już jest lepiej, już jest mieszkanie, służąca... Znowu wszystko spienięża...

— A co on tam w tym Paryżu robi? Przecież znam potrosze ów światek cały, tę polską »emigracyę«....

— Niech pan zapyta, czego nie robi! Codzień na giełdzie, w kawiarniach, redakcyach, klubach, z jakimiś ludźmi...

— No, ale czy pani do czegokolwiek dotarła? Jakże też żałuję, że nie jestem w Paryżu! Jabym pani to wszystko jak z książki odczytał...

Podejrzliwa ciekawość, a raczej początek ufności, wyzierała z jej oczu.

— Ojciec mówi, że niepowodzenie jest chwilowe, że lada dzień zacznie się niesłychana karyera, że Paryż to rynek, gdzie się chwyta miliony. Nie mogę zrozumieć, czy to jest prawda, czy nie...

— Ależ prawda najniewątpliwsza!

Znowu spojrzała na niego z boku, nieufnie. Rzuciła z ironią:

— I to pan mówi, przyjaciel!

— A ja!

— Więc cóż? Mam czekać na owe miliony, czy »wpływ« swój wywierać?

— Mówię, że w Paryżu można robić pieniądze. Nie wiem, jakie tam afery uprawia pan Granowski.

— Tylko niech pan sobie nie myśli nic złego. Dam panu dowód, że tak znowu nie jest, jak to sobie wyobrażają różne tutejsze bydlątka boże! O niektórych sprawach sam mi ojciec opowiadał...

— Szkoda! Bo mógłbym zoryentować się, w jakim to kierunku, zakresie, na co się liczy.

— Prawie pana nie znam i takie rzeczy wyjawiać... Sabka mówiła, że pan jest taki porządny...

— Widzi pani, mam świadectwo moralności od samej pani Topolewskiej!

— Niech pan da słowo... Nie! Niech pan przysięgnie na coś, że pan nikomu o tem nie powie...

— Przysięgam na naszą nową przyjaźń, która jest już stara, a będzie wieczna!

— O, tam przyjaźń... To mało!

Zapatrzył się w jej oczy i mówił:

— Przysięgam na te oczy, na te usta...

— Tylko bez wszelkich komunałów! Chcę panu dać dowód,

że plotki o moim ojcu, które rozpuszczają wszyscy, a i ta, najlepsza w świecie, ale papla, ta Sabcia, — są to złośliwe wymysły i niesprawiedliwości. Sam pan zobaczy. Sprytne i dowcipne jego postępki, na które nikt z kapcanów nigdyby się nie zdobył, bo do tego trzeba mieć głowę na karku, podają za jakieś zbrodnie.

— Ciekawym!

— Przypuśćmy... No, dobrze, powiem! Ale jeżeli się przekonam, że pan to powtórzy choćby tej Sabie, to pana znać, widzieć nie chcę!

— Dobrze! Zgadzam się na ten wyrok.

— Po przyjeździe do Paryża ojciec był w wielkim niedostatku. Ledwie jakieś kilkanaście franków w kieszeni... Ani mieszkania, ani znajomych, ani stosunków, ani o co rąk zaczepić, — a za sobą tylko plotki warszawskie, długi i skandaliczna opinia...

Zamilkła i zwolniła kroku. Ryszard nie odzywał się, szanując jej przygnębienie. Podniosła nierychło głowę i mówiła:

— Więc to tak... Siedział w *Café de la Paix* przy stoliku, popijał czarną kawę po obiedzie, którego nie jadł... Czytał gazetę. Przy sąsiednim stoliku usiadły i rozmawiały dwie eleganckie francuzki, damy z towarzystwa. Jedna zwierzała się drugiej, że nazajutrz są jej imieniny i że mąż zgodził się kupić jej na te imieniny drogi fortepian. Chodzi o to, gdzie go kupić, u Erard'a, czy u Pleycl'a. Otóż o to radziła się przyjaciółki. Zapytana nie mogła się zdecydować, co doradzić. Za Erard'em przemawiało to, za Pleycl'em co innego. I tak nie mogły oświadczyć się za żadną z tych firm. Z tem wyszły. Ojciec krok w krok wyszedł za temi paniami. One rozstały się przed kawiarnią — i ta, której imieniny miały być następnego dnia, wsiadła do automobilu, mówiąc na odjezdnem do przyjaciółki, że wraca do domu. Papuś wsiadł również do auto i kazał szoferowi jechać tuż tuż za ową damą. Gdy ona zatrzymała się już przed jakimś domem, wysiadła i weszła w bramę, wbiegł za nią, dał konsierżowi dwa franki i poprosił o informacyę, jak się nazywa ta dama, która dopiero co weszła, kim jest jej mąż, jakie jest jego stanowisko, majątek — i tak dalej. Powziąwszy te wszystkie wiadomości, udał się natychmiast do składu fortepianów Erard'a, kazał się zaprowadzić

do szefa firmy i powiedział mu, iż jest w przyjaźni z domem takim a takim, że żona jego przyjaciela pragnie mieć fortepian, mąż chce zrobić prezent imieninowy żonie, lecz waha się co do wyboru firmy. Małżonkowie namyślają się, gdzie kupić instrument, tutaj czy u Pleyela. Otóż, jeżeli firma da niezły procent ojcu, on gotów jest namówić męża owej solenizantki, z którym jest w zażyłych stosunkach, do nabycia fortepianu tutaj. Firma najchętniej obiecała wypłacić nazajutrz po uskutecznieniu kupna procent w kwocie paruset franków. Załatwiwszy tę sprawę u Erard'a, papuś pojechał niezwłocznie do firmy Pleyel'a i tam powtórzył tosamo, uzyskując tęsamą obietnicę. Nazajutrz małżonkowie istotnie nabyli fortepian u jednej z firm, zdaje się, u Erard'a. Tam wypłacono memu ojcu obiecaną sumę. No, więc, panie! Czy w tem jest co złego?

— Nie wiem. Pojęcie złego jest bardzo względne, zależne...

— Opowiedziałabym panu inną rzecz... Ale ta jest już drastyczniejsza. Jednak i tu, sam się pan przekona, że spryt przedewszystkiem grał w tem rolę...

— Proszę bardzo... Niech pani to opowie.

— Widzi pan... Tu się już namówili z drugim. Jest tam taki przyjaciel ojca, francuz czy belg, nazywa się Dachicourt, ale to jest, zdaje mi się, nazwisko wymyślone. Panie! Pan dał słowo!...

— Dałem.

Zniżyła głos i opowiadała z głębokiem przejęciem:

— Otóż, mieli razem tysiąc pięćset franków.

— Jakto — razem?

— Razem! Ojciec wziął te pieniądze i poszedł do jednego jubilera na rue Lafayette. Kupił tam ładną perłę za te całe tysiąc pięćset franków. Nie była to pierwszorzędna sztuka, bo cóż to jest, mój panie, tysiąc pięćset franków za piękny okaz! Bardzo się targował, wybierał, przeglądał cały zasób tego jubilera co do pereł i jedną opalową z różowawym odblaskiem wybrał i kupił. Ten jubiler przysięgał się na wszystko, że drugiej takiej sztuki niema w Paryżu. Są, oczywiście, bajeczniejsze i droższe, ale ta jest jedyna w swoim rodzaju. No, dobrze. Papuś zabrał cudeńkę, zostawił swój adres na wszelki wypadek — i tym podobne blagi..

Po tygodniu ów przyjaciel, Dachirourt, bardzo elegancki pan, o prawdziwie wykwintnej powierzchowności, ubrany według ostatniego słowa mody, wziął tę samą perłę i poszedł do tegoż jubilera. Pokazał mu ją i powiedział, że to jest klejnot od niepamiętnych lat przechowywany w jego rodzinie. Teraz on się żeni i tę pamiątkę podarował swej narzeczonej. Ale jej przyszła fantazya, czy nie możnaby dobrać drugiej takuteńkiej i żeby z takich dwu mieć parę kolczyków. Otóż Dachicourt zażądał od jubilera, żeby mu wyszukał drugą do pary, ale w krótkim terminie, bo sprawa nie cierpiała zwłoki z jakichś tam powodów. Nadmienił od niechcenia, że pieniędzy nie będzie żałował za tę drugą siostrzycę pierwszej perły. Gdy jubiler zwrócił mu uwagę, że to może być rzecz trudna, idąca w dziesiątki tysięcy franków, zrobił minę, iż nie o to idzie, tylko o pośpiech. Jubiler miał w pamięci tamtę pierwszą, którą papusiowi sprzedał. Była do żądanej podobna, jak dwie krople wody. Innej nie miał na oku. Telefonuje tedy do mego ojca, dopytując się, czyby nie chciał odprzedać nabytej niedawno. Ale papuś robi fochy, że jej nie sprzeda. Zaczęła się licytacya. Dawał trzy, cztery, pięć, wreszcie sześć tysięcy. Po wielkich ceregielach Dachicourt obejrzał tę niby drugą i zgodził się na kupno. Ojciec sprzedał jubilerowi z powrotem tamtę za sześć tysięcy. No, i tak. Handlarz został z perłą i czeka dotąd na nabywcę Dachicourt'a...

Nienaski uśmiechał się, jak po wypiciu szklanki octu.

— Dowcipny pomysł... — mruknął.

— Panu się to nie podoba... Naturalnie! Pan to potępia i piętnuje... — mówiła z lekceważeniem.

— Nie jestem, proszę pani, sędzią, żebym potępiał, ani katem, żebym piętnował. Gdybym zaś już miał, — czego Boże broń! — być sędzią, tobym potępiał wszystkich, nie wyłączając jubilera.

— Jubilera? Tego z nosem na kwintę?

— W tym wypadku ów przyjemny pan Dachicourt i ojciec pani, trzeba to powiedzieć, wyprowadzili w pole jubilera. Nazajutrz on zrobi tosamo z kimś z panów, książąt, albo królów tego świata. Odbije on swą stratę nawet za pomocą tej samej perły. A za wszystko ktoś przecie musi płacić!

— Kto znowu?

— Et, jest taki...

— O, już te tam deklamacye! W każdym razie trzeba przyznać, że tu nie było żadnego *eskroku*, tylko spryt...

Nienaski śmiał się wesoło nie ze słów tej panny, tylko ze wszystkich swoich wyobrażeń, przeżyć, walk. Były teraz, jak płoche wróble złapane w potrzask. »Niema żadnego *eskroku*«. O, tak! Samotna nędza powiała nań, istny wyziew grobu. Zarazem — wszystkie słowa panny Xenii, zawierające myśli tak okropne, miały cechę pierworodztwa, jakby były opiniami człowieka, który przypadkiem zabłądził na tę ziemię i sądzi pospiesznie tutejsze stosunki. A jakże melodyjny był głos, który te myśli w sobie zawierał! Jaki wdzięk miały ruchy głowy, połyski oczu, nieznaczne gesty rąk! Był to zamknięty świat, gdzie wszystko jest cudem tworzącej natury. To też każdy z tych ruchów w sposób niepojęty zaciekawiał, przykuwał uwagę, opasywał sobą wszystkę wyobraźnię. W uczuciach wytwarzał się popłoch, w myślach zamęt. Cały ów park zdawał się brzmieć od stłumionych tonów. Zwróciła właśnie uwagę na piękność tego parku. Oczyma i ręką wskazała pewną łączkę między zaroślami. Nienaskiemu wydała się ta przestrzeń rajem ziemi, obrazem łaski w otchłani przekleństwa. W przecięciu drzew zalśnił staw. Był ciemny, cichy, zielony od drzew nawisłych. Białe łabędzie płynęły wskroś jego przestworza, istne marzenia, i to nie tegoświatowe, doczesne, lecz wieloznaczne i symboliczne... Wszystko było takie w ciągu tych minut.

Panna Granowska wiedziała o wywołanem wrażeniu. Ta świadomość przewyższała nawet jej najszczerszą troskę o ojca. Gdy zaczęła o tym temacie mówić, to już inaczej. I ten temat był już teraz jednym ze środków kokieteryi.

— Powiedział pan, że mogłabym mieć jaką pomoc w tych przykrych sprawach... Przecież pan teraz nie jedzie do Paryża?

— Nie. Ale, jeśli trzeba, mogę pojechać.

— Specyalnie w tym celu! O, nie! Tegobym wymagać nie mogła.

— Być może, iż wypadnie mi kraj opuścić, bo mię tu naciskają... A teraz nie chciałbym siedzieć...

— Tam?! Mówiła mi Saba... O, nie! Niech pan wyjedzie! Proszę, niech pan wyjedzie... — szepnęła przyjaźnie.

W tej przyjazności formy kryło się jądro sprytnie ukrytego interesu. Był to spryt niemal tak szczwany, jak w kombinacyach pana Granowskiego. Rozumiejąc się na tem, Nienaski był przecie ujęty, napawał się rozkoszą wywyższenia.

— No i co? — zapytał jakoś nieprzytomnie.

— Gdyby pan tam był... rzeczywiście mógłby mi pan pomóc...

— Mógłbym tylko odwodzić ojca pani od tych spraw... — rzekł smutnie.

— Od jednego odwieść, w innem pomóc... — niby to potwierdziła. — A jeżeli nie w Paryżu, to gdzież pan zamierza osiąść?

— Nie wiem. Widzi pani, ja bo jestem don Kichot...

— Och! Jak tylko usłyszę jakieś takie frazesisko, zaraz mię głowa boli i z sił opadam.

Nienaski śmiał się z czegoś, patrząc w daleką aleję.

— Nie znam pani prawie... — mówił. — Nie wiedziałem, jakie są upodobania i przyzwyczajenia pani. Przepraszam za wypowiedzenie tego frazesu...

Uśmiechnęła się życzliwie i łaskawie. Promień młodocianego poranka na zrębach wysokich, posępnych gór, — zakopiańska łączka w czerwcu, — księżyc ponad chmurami w głuchą noc nie jest tak piękny, jak piękny był ten mały uśmieszek. Posiadał moc niweczenia podejrzeń i zgryzot, — stał się celem ucieczki wszystkich westchnień serca. Na widok wyrazu twarzy towarzysza spaceru radosne oczy panny Xenii zamigotały od płonącego zachwytu, poczęły być złem pokuszeniem, zwiastowaniem rozkoszy nieznanych — nieprzeczuwanych, bezdrożem szczęścia za granicami ustaw rozumu. Spoglądał na jej twarz, nie będąc w stanie odwrócić wzroku. Ważył to i formułował w głębi siebie, że już nigdy, przenigdy, nie będzie mógł zapomnieć tego oblicza. Zrozumiał, że coś drugiego przybyło i stanęło w nim obok własnej duszy. Myślał sobie, że ta oto nieznajoma dziewczyna zastąpiła mu drogę i już go nie puści dawnym życia szlakiem.

Przybyli nad staw i przypatrywali się jego powierzchni sen-

nej, ciemnej, zwierciadłu nieba, podniebnych drzew, siedlisku zgniłych badylów i ropuch. W pewnej chwili, panna Xenia stała się różowa, potem czerwona. Odwracała się od Ryszarda, i patrzyła w głąb parku. Na ścieżce między drzewami ukazał się młody człowiek, elegancko ubrany. Nienaski poznał w nim jednego z kawalerów, poprzedniego dnia zaprezentowanych mu w cukierni. Nazwiska nie dosłyszał wtedy. Młody człowiek zbliżał się z uśmiechem pewności, mierząc oczyma pannę Granowską i jej towarzysza spaceru. Uchylił wreszcie kapelusza i ukazał swe przerzedzone blond włoski. Był przystojny, starannie wygolony, o twarzy zniszczonej.

— Dzień dobry pani... — mówił zdaleka tonem pewnym, przypatrując się przenikliwie pannie Xenii.

Ona skorzystała z momentu, zanim się zbliżył, i szepnęła Nienaskiemu prawie do ucha:

— Panie! Błagam, niech pan tego osła stąd wyrzuci!

— Stąd? Skądże, proszę pani?

— No, z tego parku!

— Dosyć mi to będzie trudno, ale skoro pani każe...

Poufność tego żądania sprawiła mu rozkosz, dała chwilę pysznej wyniosłości. Lecz to było krótkie. Młody człowiek patrzał wciąż na pannę Xenię wzrokiem tak śmiałym, napastniczym, mściwym, niemal smagającym, że to nie mogło ujść uwagi. — Chyba on musi mieć po temu jakieś prawo... — pomyślał Nienaski.

Dokuczliwe podejrzenie sromotnie wypędziło poprzednią pychę. Gdy napół-znajomy był już bardzo blizko, ukłonił się jeszcze raz z efronteryą, jakoś w górę wyrzucając swój płaski kapelusz słomkowy. Zapytał, ale tylko panny Granowskiej:

— Czy nie przeszkadzam?

— Owszem, przeszkadza pan!... — odpowiedziała, miotając weń błyskawice swych cudownych oczu.

— Wobec tego, odchodzę! Czy pani nie czuje żalu?

— Niestety, nie!

Młody pan w swem nieposzlakowanie nowem okryciu jakiegoś egzotycznego kroju i kortu odszedł kilkanaście kroków.

— Kto to jest? — spytał Nienaski równie szeptem, jak ona poprzednio.

— To pan takich rzeczy nie wie?

— Przecie to nie jest »rzecz«...

— Ależ — ja nie rozumiem... No, sława nasza, poeta, wieszcz Pasio. Sam Pasielski!

— A, więc to jest Pasielski!... — mówił Ryszard z uszanowaniem. — To utalentowany człowiek. Pani go zna bliżej?

— Trudno być w Warszawie, bywać tu i owdzie, w salonach i salonikach, a nie znać Pasia-demona.

— Nie wygląda na demona, raczej, w istocie, na »Pasia«.

— Co pan mówi! Przeraża wszystkie panny zbiorowo i po kolei książkami, które każe czytać pod grozą infamii...

— A czy to on daje jakie lekcye?

— Lekcye? Nie, pan jest rzeczywiście poczciwy i taki jakiś bez podejrzeń!... Pasio nie daje lekcyi. On tylko obnosi po Warszawie de Quincey'a »Morderstwo, jako jedna ze sztuk pięknych«. Każda musi czytać. Nie przeczyta — »Madzia« i »Jagienka«! W zeszłym roku czytałyśmy »Misterye« Hamsuna i Annę Vivanti. W tym roku, jak słyszę, jest na porządku jakiś Ardengo Soffici i jeden Tavolato. Ale ja boję się zgorszyć pana...

— Czy nie »Hymn do prostytucyi«?... — zapytał Nienaski.

— Widzi pan, właśnie. Tak to Pasio straszy ciocie. Okropny człowiek. Sam też pisuje takie historyjki!

— Wraca znów ten poeta... — wtrącił Ryszard.

Istotnie »sam Pasielski« wrócił z uśmiechem na ustach. Znowu się ukłonił, mówiąc:

— Pani pozwoli, że wrócę do jej łask i dostąpię szczęścia rozmowy?

— Proszę pana... — rzekła z lodowatą grzecznością.

— Byłem w tym parku...

— A myśmy pewnie przerwali naszą obecnością... Może jedno z arcydzieł literatury...

— O, pani! Jej obecność nie wpływa na ilość, ani na jakość moich, żal się Boże! — »arcydzieł«...

— Przykro mi, że literatura tak zupełnie obywa się bez mojej pomocy.

— Może za to jakaś inna z jej sztuk — siostrzyc na tem zyskuje.

Nienaski uprzejmym tonem poprosił pana Pasielskiego, żeby zechciał powtórzyć to zdanie, gdyż nie zupełnie je słyszał, a chciałby mieć szczęście zakarbowania sobie dobrze w pamięci każdego słowa tak wielkiej powagi literackiej.

Poeta przypatrzył mu się zmrużonemi oczyma i przez zęby wycedził:

— Słowa poetów są jak wyroki. Raz się je tylko ogłasza.

Panna Granowska stanowczo przecięła tę wymianę zdań. Zbliżyła się do Nienaskiego i żywą z nim zawiązała rozmowę. Rozwiodła się szeroko i długo o tem, w jakiej dzielnicy mieszkała w Paryżu, na jakich w teatrze była sztukach. Opowiadanie to trwało długo i za jej wolą, niepostrzeżenie przemieniło się w rozmowę wszystkich trojga. W pozornej też zgodzie wyszli z parku, minęli Aleje i znaleźli się w mieście. Na rogu pierwszej przecznicy Nienaski skłonił się, widząc, że poeta nie ma zamiaru odejść, że nie ustąpi z placu napewno. Panna Xenia wyciągnęła rękę do architekta i ścisnęła jego dłoń, mówiąc:

— Proszę pana, — pan przyjdzie do Sabci jutro. Jutro wieczorem, o ósmej. Nie zapomni pan? O ósmej! Czekamy.

— Nie zapomnę.

Następnego dnia nie spóźnił się ani o sekundę do pensyonatu, gdzie mieszkała pani Topolewska. Z właścicielką owego pensyonatu łączyły panią Sabinę jakieś blizkie stosunki, gdyż była tam, jak u siebie w domu. Nienaskiemu było nieco mdło na widok manifestacyi zadowolenia pani Sabiny, biorącej tę wizytę na swój rachunek. Gość zabawiał się rozmową w saloniku pensyonatowym z osobami tam obecnemi, ale łowił każdy szelest i każdy dźwięk, któryby mógł zwiastować nadejście panny Xenii. Słyszał jej śmiech gdzieś za drugiemi, czy trzeciemi drzwiami. Jednocześnie był rozmowny, wesoły

i nad wszelkie słowo śmieszny dla samego siebie. Tak długo, tak bez miary długo trwały te minuty, w których ciągu pani Sabcia usiłowała flirtować w sposób posuchowski!... Zrywała się w nim wściekłość, żeby pożegnać tę damę i iść przynajmniej w gwarne ulice, — nie dręczyć się błazeństwem udanej grzeczności. Być może zresztą, że oczekiwanie nie trwało tak długo, że tylko wydawało się tak nieskończonem... Wbiegały do tego pokoju, zagraconego rozmaitemi kanapkami i abażurami, to takie, to owakie panny, panie, kawalerowie po ukończeniu wieczerzy... Nienaski ulegał raz wraz przedstawieniu, wszczynał owe banalne rozmowy, których pierwsze słowa składają się zazwyczaj z przypadkowych narzuconych nonsensów... Zauważył tylko z niejaką pociechą i prawie z rozczuleniem, że każda z wchodzących panien albo poszukiwała »Genezis z ducha« Juliusza Słowackiego, albo ją odnosiła i podawała innej. Książka ta wciąż krążyła z rąk do rąk, a jej tytuł był na ustach wszystkich. Widząc, jaki jest poziom kulturalny tych osób, tak wesołych i na pozór lekkomyślnych, Ryszard nastrajał się na ton odpowiedni. Lecz pani Topolewska, której zwierzył się ze swem namaszczeniem, wyjaśniła mu tajemnicę powodzenia »Genezis z ducha«, wskazawszy na ponsowy grzbiet oprawy tej książki. Rzecz była mniej podniosła i skomplikowana. Poprostu panny i mężatki czerwieniły swe wargi, pocierając je grzbietem oprawy tej książki, i stąd tak wielka była w tym pensyonacie jej wziętość. Natomiast pani Sabina rozanielała się coraz bardziej. Wzrok jej omdlewał, a wskazujący paluszek, uroczo wygięty, raz wraz spoczywał na zaróżowionym policzku...

Wtem zwolna, w towarzystwie kilku panien i młodych ludzi weszła panna Xenia. Zdawała się nie dostrzegać nowego gościa. Po chwili dopiero, niby przypadkiem rozejrzawszy się w saloniku, powitała go skinieniem głowy. Zaraz też wszczęła ożywioną rozmowę z brunetem pięknej powierzchowności, wytwornie ku niej pochylonym, z szeptami nadobnymi. Włosy tego młodzieńca o atłasowym połysku były zaczesane na bok i tworzyły świetny kontrast z jego bladą twarzą, jakby wyrzeźbioną z białego marmuru. Nienaski, patrząc na tamtę parę, czuł nędzę swej powierzchowności

i powziął do niej zewnętrzną prawie odrazę. Nadto rozumiał potworny komizm sytuacyi, gdy on bawi panią Topolewską, a panna Xenia patrzy w oczy tamtego pięknego mężczyzny. Nie dziwił się ani trochę, że ona nic a nic nie wie o jego tutaj obecności, że w tę stronę nie patrzy nawet przelotnie. Nie chce może przeszkadzać flirtującym, to jest jemu i tej pani Topolewskiej! Zatrząsł się od wewnętrznej furyi i usiłował pokryć ją nadobnym uśmiechem. Pierwszy raz widział pannę Granowską bez kapelusza i paltota, w lekkiej sukni i białej bluzeczce. Wydała mu się jakgdyby na pół obnażona. Zobaczył jej szyję, zarysowaną tak lekko, jak u dziecka. Przypatrywał się, żeby na zawsze — na zawsze spamiętać, spadkom jej ramion, ledwie nakreślonym w kształt kobiecy, i tajnemu czarodziejstwu kształtu piersi. Ach, więc takie były jej włosy, w tyle głowy zebrane, — takie barki i takie są prześliczne ręce, nieruchomo leżące na kolanach!

Jedna z pań miejscowych, uproszona przez towarzystwo, zasiadła przy pianinie i poczęła grać, grać bardzo pięknie, z niewątpliwym artyzmem. Zrazu znane nokturny szopenowskie, potem mniej znaną sonatę. Ryszard odetchnął, bo ustały rozmowy, i to nie tylko pani Sabci kochanej z nim, lecz również tamtej pięknej pary. Na skrzydłach tej muzyki przemierzał jakgdyby powtóre, jakgdyby przy blasku słońca wszystko, co w jego duszy zdarzyło się w nocy, w ciemności, w niewiedzy. Na widok pewnych zdarzeń i miejsc doznawał ulgi, albo tem głębszego pognębienia, zapadał w lochy smutku i dostrzegał smugi przeczuć, wydostające się niby z za drzwi zawartych... Zobaczył wczorajszą łączkę między drzewami, które dumają. Rozkosz niewysłowiona przewinęła się wskróś jego ciała. Szczęście było w nim przez krótką chwilę. Wzrokiem, który na nic nie czeka i o niczem nie marzy, — jakby z za tej ponad wszystko na świecie ślicznej ojczystej muzyki, przypatrywał się pannie Xenii. Była półodwrócona do fortepianu i uważnie słuchała. Zdawało się, że się wszystka pogrążyła w odczuwanie sonaty. Lecz było to pozorne, — bo oto jej głowa łagodnie się odchyliła. Spuszczone powieki dźwignęły się i oczy spotkały wzrok Ryszarda Nienaskiego. Krótki, ulotny uśmiech... Takisam, jak poprzedniego

dnia... Uśmiech sunący zaiste po wierzchołkach fal tej muzyki... Jakże to zadźwięczał wówczas muzycki ton — i co powiedział do rozpłomienionej duszy!

Po tem wydarzeniu głowa powróciła do swego dawnego kierunku i oczy znowu się zakryły powiekami. Tylko szczęśliwy sąsiad, z wyrazem najdoskonalszego snobizmu zasłuchany w sonatę otrzymywał z ust panny Granowskiej jakieś krótkie, szeptane słowa. Poruszał wtedy bajecznie uczesaną głową i trwał znowu w wyrazie kontemplacyi, raz przyjętym za doskonały i najbardziej znawstwo malujący. Zaledwie przerwała się piękna sonata, wnet pani Topolewska zasypała swego rozmówcę pochwałami gry, uwagami, wykrzyknikami zduszonymi tak długo, które, zdawało się, rozsadzą jej klatkę piersiową, jeżeli nie zostaną wyrzucone natychmiast i w wielkiej ilości. On musiał z natury rzeczy w tym samym tonie, a nawet tempie galopować po niwach taniego zachwytu, — aż do chwili rozpoczęcia nowego cudu — »Apasionaty«.

Jej zawarte piękno, — uwidocznione klęski i rozkosze miłości, — jej krzyki na pół zduszone i pogmatwane z echami nadziemskich pieśni, a nadewszystko błyskający z jej wnętrza raz wraz goły ból, który, jak szpada wroga, nawskroś przeszywa... Wszystkie uczucia kłębiły się w niej i wybuchały z głębi, — wiosenny zapach życia i zionący fetor śmierci, — czyn i niemoc, — rozkosz i potworne dzieje tęsknoty, męczarnie odtrącenia, które, gdy miną, w niepojęty sposób stają się łaskawem, cichem w piękności swej wspomnieniem...

Gdy się skończyła ta dzika wiosenna burza, — pospolite życie weszło w swe prawa. Towarzystwo poczęło zabierać się do opuszczenia saloniku. Jedne z osób miejscowych wymykały się do swych pokojów, inne spieszyły do miasta. Kto wychodził, Ryszard nie wiedział. Faktem dlań było to jedno, że panna Xenia dokądś idzie w towarzystwie pani Topolskiej. Szedł także piękny brunet i jedna z wielbicielek »Genezis z ducha«. Wkrótce to towarzystwo zstępowało z wązkich schodów, oświetlonych drgającym płomykiem gazu. Nienaski stał na platformie, gdy panie obok niego przechodziły. Przez chwilę czarne oczy spoczęły na nim, jakby go tutaj przypad-

kowo dostrzegły. Był wdzięczny i za to. Na ulicy szedł obok pani Topolewskiej. Przed nim posuwała się panna Xenia. Obok niej piękny brunet. Było po deszczu i chodniki lśniły się w wieczornem świetle. Na mokrych taflach, porysowanych słupami blasku, widać było postać panny Granowskiej i jej ruchy melodyjniejsze od muzyki, dopiero co zasłyszanej i jeszcze nie wygasłej we wspomnieniu. Ryszard nie odrywał od niej oczu, ciesząc się każdą sekundą szczęścia, jakie mu sprawiał jej widok. Kiedyniekiedy szybko odwracała głowę do swego towarzysza i coś ze śmiechem mówiła. Cóżby dał za to, ażeby mógł posłyszeć jej głos kochany, jedno jej słowo!...

Po raz pierwszy w swem życiu Nienaski obserwował głęboką zmianę własnego usposobienia. Aż dotąd — najgłówniejszą cechą jego charakteru był upór w przedsięwzięciach wszelkiego rodzaju, wytrwałość iście końska. Tam, gdzie już wszyscy opuszczali ręce i odchodzili, jego pchała właśnie wówczas istna mania doprowadzania do samego, najostateczniejszego końca prac rozpoczętych, realizowania wbrew wszystkiemu niematerialnych ideałów. Zdarzyło mu się kilkakroć wyczarować zawziętością roboty z marzeń, z sennych widzeń, z nicości — zjawiska pomyślane. Tak było w Moskwie, w Paryżu, w Posusze. Gdy pierwszy raz obaczył aryańską wieżę, zawrzał od marzycielskiej pasyi: ja ją wskrzeszę, postawię nanowo i tak, jak była! Widział ją w marzeniach nieustannych taką, jaką niegdyś była i jaka znowu być powinna. A gdy odjeżdżał z Posuchy, stała w polach taka właśnie, jaką był w marzeniach widział. Kiedyindziej, w pewnej sprawie społecznej zaiste z muru wydarł, wyszarpał z nieistnienia dowody i fakty, które w istocie takie były, jakie w myślach przewidział. Praca jego w tych wszystkich sprawach była iście do maniactwa intenzywna, wola ściskała się i zbijała w piorun uderzenia, a upór zamieniał żywego człowieka na ślepą maszynę. Teraz — to wszystko się w nim spękało i, jak zły mur, okryło rysami.

Ryszard Nienaski nie był sobą. Zachwiały się na swych podstawach granitowe kolumny głównych cech charakteru. Od jednego

skrzywienia pewnych ust zależnem się stało żelazne aż dotąd dążenie. Twarda rozkosz twórcy wydawać się poczęła grubą, zmysłową ułudą, odkąd cały zakres działania nie znalazł łaski w migotaniu pewnych oczu.

Nienaski myślał o tem wszystkiem, wałęsając się w ulicy, gdzie mieszkała panna Granowska. Od kilku dni jej nie widział. Przepadał od zgnębienia. Rozważał ten istny swój upadek, postrzegał znikczemnienie woli, ruinę dumy, klęskę siły ducha. Widział to wszystko, jak na dłoni. Mówił sobie w żywe oczy najbardziej gorzką prawdę i uprzytomniał rzeczywistość. I cóż? Gdyby spojrzała jeszcze tylko raz tak, jak wtedy! Gdyby się jeszcze raz taksamo uśmiechnęła!... Jeszcze tylko raz! Zamykał oczy i, jak kamień z wierzchołka góry zepchnięty, leciał w bezdenną przepaść rozkoszy. Rozdzierała go ostrość tęsknoty. Wytracała w nim życie nicość i pustka świata nagle zmarłego, — skostnienie ziemi, pozbawionej pulsu przez nieobecność tamtej osoby.

Mżył deszcz jesienny i ludzie skuleni pod parasolami biegli z pośpiechem. On nie miał dokąd iść... Włóczył się, jak półobłąkany. Dokądże miał podążyć, kiedy świat kończył się w tym zaułku? Nie było już stamtąd wyjścia. Ślepe były twory świata i martwe jego sprawy. Ćmiące wewnętrzne oczekiwanie, — nadaremne, świadomie bezcelowe, a wciąż wytryskujące marzenie, że wśród tych martwych murów ona się zjawi, że w tem rumowisku ukaże się jedyne światło i źródło żywota, jak dreszcz przeciągało się po ciele. Coś wewnątrz ssało, ni to owa żmija, o której lud mówi, że się około serca okręca. Powracał, patrzał zdaleka, naprzód przepowiadając sobie, że to jest głupstwo wierutne czekać tak bez żadnej nadziei. Już odchodził i wlókł się w dzikie i wrogie ulice, ażeby pod najbłahszym pozorem jeszcze raz wrócić... Z tamtego zaułka wiatr uderzał, nadchodził pewien wstrętny dryblas, w przeciwnym końcu ulicy należało spojrzeć na zegarek i powiedzieć pod swym własnym adresem grubiański aforyzm... Mury kamienicy, w której mieszkała panna Xenia, nabrały cech szczególnych: brama stała się jakąś śliczną melodyą, z dzieciństwa pamiętną, okna — były to wiersze Lenartowicza... »i napisał do niej liścik wielobarwnem piórkiem pawia,

ale taki niepodobny...« Nawet rynny, pojękujące od deszczu, który w nich spływał, stały się, jak nawiasy niezwalczonej tęsknoty... Mijał ten dom zaklęty. Odchodził ku miastu. Tłomaczył sobie, jak komuś roztropnemu, że tylko w ten sposób zmniejszy się smutek. Nie należy już odwracać głowy! Człowiek niepozbawiony rozumu musi panować nad niedorzecznymi kaprysami uczuć! Do biura! Trzeba rysować. Zabrać się do tamtego obliczenia, które leży odłogiem... Jeszcze tylko raz, wbrew woli, podniósł oczy, aby się przekonać, że w bramie tego domu, w jego oknach, rynnach i dachu nic przecie szczególnego niema... Warszawska buda... Lecz cóż to? krzyk wewnętrzny, zapach, światło, przebudzenie się z tego snu!

Panna Granowska wyszła z bramy i zmierzała ku miastu. Ryszard zatrzymał się i nakazywał sobie wewnętrzne, religijne milczenie. Znowu te lśnienia wokoło jej postaci... Dostrzegła go i po swojemu skinęła głową. Gdy się zbliżył, wyciągnęła rękę.

— A ślicznie! — powiedziała, — tyle czasu nie być...

— Jakże ja mogłem przychodzić! Gdzie kogo nie proszą, to go kijem wynoszą.

— Jakieś przysłowie podmiejskie... To pan chce tych zaproszeń nieustannych, jak jaki wójt, albo rektor uniwersytetu?

— Nie chciałbym pani sprawić przykrości.

— Czem?

— Gdybym tak wciąż się nastręczał. Co ze mną robić? Jestem niezgraba, nudziarz dla samego siebie, a cóż dopiero dla innych osób...

— Ale gdzież tam! Sabina wyśpiewuje wciąż hymny na cześć pańskich doskonałości. Wynosi pana pod niebiosy, chwali pańskie cnoty towarzyskie i inne, których ja, wyznaję, nawet nie rozumiem.

— Pani Sabina... — uśmiechnął się Ryszard z cmentarną ironią.

— No, i widzi pan, mówili, że się napewno skończy, a tu znowu deszcz pada.

— A prawda! To dziwne, jak pani zawsze ma słuszność. A ja, to nawet tego parasola nie noszę.

— Bo pan pewnie i niema wcale takiego wymysłu burżuazyi.

— Może nawet i mam, ale nie noszę, bo i po co?

— Po co parasol? Chyba od deszczu. Gdy tak, jak teraz deszcz pada, to się roztwiera parasol. Chyba się wrócę do domu i złapię ten Sabci jedwabny...

— Proszę pani, a możeby wziąć dorożkę?

— Dorożkę? Genialna myśl! Ale w takim razie już pana szanownego pożegnam i rzeczywiście wsiądę do budy.

— Tom sobie dopiero wygodził taką radą! — z głęboką szczerością i prawdziwym smutkiem w głosie jęknął architekt.

Panna Granowska przypatrzyła mu się roziskrzonemi oczyma. Uśmiechnęła się łaskawie i tak powabnie, jak tylko ona jedna mogła i umiała.

— A możeby pan, wobec tej chlapaniny, pojechał ze mną na wspólny koszt tąsamą dorożką, jeżeli panu, oczywiście, droga wypada w tamtą stronę...

— Mnie, proszę pani, droga wypada właśnie w tamtę stronę.

— Jak to szczęśliwie się składa, pomimo, że pan nie wie, dokąd ja jadę.

— Nie wiem, to prawda, ale ja sobie później ten kawałek dojdę.

— Dojdzie pan sobie... Jakże pan jest naprawdę zgodnego usposobienia! No, więc wsiadajmy.

Budowniczy ze zwinnością, wprawą i pośpiechem czterdziestu Nienaskich parowych przywołał powóz i pomógł pannie Xenii wsiąść do jego wnętrza. Ona wymieniła dorożkarzowi adres dentysty Maasa na jednej z głównych ulic miasta i rozsiadła się z widoczną satysfakcyą. On miał wrażenie, że jest żywcem porwany do nieba, gdy po chwili sam wsunął się również do tej czarodziejskiej głębi i zapiął fartuch. Panna śmiała się zcicha, spoglądając na niego z boku, cudnym zezem.

— No, i tak, widzi pan, — mówiła swobodnie, — za tydzień wyjeżdżamy.

— Kto? Dokąd?

— Jakże, — Lenta, Sabina i ja do Nicei.

Nienaski czuł, jak lodowata bryła tłucze się w jego piersiach.

— Zabierają mię... — ciągnęła radosnym szeptem, zwierzając się ze swojego szczęścia. — Zobaczę się z papuśkiem. Ściągniemy go tam, do Nicei. Sabina w tem! Niechże pan sobie wyobrazi, co to za bóstwo ta Lenta Żwirska: bierze mię na swój koszt! Słyszał pan? Sama się ofiarowała, sama, pierwsza, nieproszona napisała. Pisze do Sabci, żeby mię namówiła, że nic mię to nie będzie kosztowało, bilety, hotele, wagony restauracyjne... No, mój panie! Czy jest druga taka na świecie?...

Ryszard siedział zmartwiały, załamując pod fartuchem skostniałe palce.

— I to na długo? — spytał — z dobrze udanem weselem, żeby jej nie psuć radosnego nastroju.

— Nie wiem. Może papuś jest teraz przy pieniądzach, toby mi co dał. W takim razie zostałabym tam dłużej. Jeżeli jest w złych interesach, to trzeba będzie... czy ja wiem, — wracać do tej dziury.

— Do »dziury«, to znaczy tutaj, do Warszawy?

— No, a co?

— Nic. Ja tak się pytam, bo nie wiedziałem.

— A czegóż znowu pan tak sposępniał? Może dla tego, że opowiadam o swoich interesach i nudzę pana... Ja to też jestem rzeczywiście!...

— Sposępniałem? Nie, ja się cieszę, że pani jedzie. Cieszę się, że pani jedzie... — powtórzył.

Coś przewiało przez jej radosną twarz, jakby sobie przypomniała zatracony szczegół. Namyślała się przez chwilę, rumieniąc się niepostrzeżenie. Wreszcie rzekła:

— Czy to prawda, że pan jest, czy był, taki zakochany w Lencie?

— W kim? Co pani powiedziała? W pani Żwirskiej?

— Nie?

— To od tej pani Topolewskiej wiadomość?

— Jak pan się wyraża? »Tej pani Topolewskiej«... Więc nie?

— Et! Jestem zakochany w kimś, to prawda, ale nie w takiej przecie epopei, jak znowu ta pani Żwirska.

Panna Granowska nie dopytywała się, w kim jest zakochany. Zacichła. Stała się potulną, — i, niepojęta rzecz, w ciągu paru chwil jeszcze bardziej wyładniała. Nienaski spojrzał w ulicę i zobaczył, że cel podróży jest już niedaleki. To go natchnęło niepojętem męstwem. Odszukał w ciemności rękę panny Xenii i ujął ją w swe dłonie. Nie broniła wcale, gdy okrywał tę rękę gorącemi, namiętnymi pocałunkami. Szczęście zasłoniło mu oczy i pozwoliło zapomnieć o świecie. Przyciągnął do siebie panienkę i objął ramionami. Przez niewypowiedzianą chwilę miał ją na sercu. Czuł na wargach przesuwające się jej suche, pachnące włosy, chłodne od wiatru policzki.

— Co pan robi? — szepnęła. — Trzeba wysiąść!...

W istocie powóz już stał przed jakąś wielopiętrową kamienicą. Nienaski wysiadł. Na spółkę zapłacili dorożkarzowi i weszli do bramy tego domu. Pamiętał, że była w bramie posadzka z żółtych tafelek, — potem podwórze z mokrym bluszczem na ścianie wysokiej, — schody, wysłane dywanem. Szli obok siebie, nic nie mówiąc. Wreszcie spytała prześlicznie czerwona, uśmiechnięta, półzagniewana — półwesoła:

— Dokądże to pan idzie?

— Z panią.

— Do dentysty? Do Maasa?

— Nie.

— No, to niech się pan już wróci, bo on tu zaraz, na tamtem piętrze. Ja muszę iść, bo mi się zrobiła jakaś plamka na jednym zębie, a to w drodze strach z bólem zęba. Prawda?

— Już idę. Do widzenia pani. To za tydzień już pani tutaj wcale nie będzie?

Twarz jej stała się inna, szczersza, pozbawiona maski lekkomyślnego wesela. Ale wówczas, rzecz dziwna, ta twarz wydawała się nienaturalną. Gdy jej tak w oczy patrzał uprzykrzenie, panna Xenia mówiła, tłomacząc mu konieczność wyjazdu:

— Cóż mam robić? Może nie jechać? Niechże pan pomyśli!

— Przecież nie powiedziałem, żeby pani nie jechała. Cóż ja tam zresztą znaczę w takiej sprawie? Pani Żwirska!

— O, już z pana wychodzi obłudny Litwin. »Cóż ja tam znaczę?« Pani może jechać, bo pani jest bogata — prawda? Och, nie cierpię takiej obłudy! Lenta sama obiecała, że postara się sprowadzić papusia do Nicei. Słyszy pan? Saba przecie ze mną jedzie. Staszczymy go tam i we trzy weźmiemy w swe łapy! Ani piśnie! Pan niby to obiecywał pomóc mi, a pomaga pan?

— A potem co?

— Jakto »potem«?

— Co pani będzie robić potem?

— Nie wiem.

— Niech się pani zabierze do jakiejś pracy... — rzekł cicho.

— Żegnam szanownego pana radcę. Jak będę poszukiwała miejsca pokojówki, to się do pana zgłoszę o protekcyę.

— To niech się pani przynajmniej nie związuje z nikim!

— Cóż to znowu ma znaczyć?

— Niech pani zostanie moją żoną.

— Żoną? Pana? — krzyknęła spłoszona.

— Tak to panią przeraża?

— Ale gdzież tam! Jeszcze mi też tego żaden nie powiedział, żebym została jego żoną!

— Więc co?

— Ależ dobrze. Co pan jest za człowiek! Na schodach się oświadcza... Bo pan mi się przecie oświadczył?

— Oświadczyłem się.

— I już pan nie może tego cofnąć... Ale że też to nie w saloniku u Saby! Dziwadło litewskie!

— Przecie to chyba wszystko jedno.

— Ale panie! Ja muszę mieć masę pieniędzy, ale to masę! Muszę papusia wykupić, muszę tym wszystkim złodziejom pozapłacać, co go tutaj obgadują. Muszę mieć na to, żeby go już raz zamknąć w domu. Niech siedzi — i basta! To musi być! A pan ma pieniądze?

— Nie.

— No, więc cóż to będzie? Jakto, wcale pan niema pieniędzy?

— Wcale nie mam.

— Ale pan przecie może dostać, nazarabiać, zdobyć?

— Ile?

— A czy ja tam wiem? Dużo! Jaknajwięcej! Papuś ma tysiące, tysiące długów. Zresztą dla nas, dla mnie i dla pana... — Śmiała się do rozpuku, mówiąc ostatnie wyrazy. Nienaski patrzał na nią przez mgłę, przez zasłonę całego życia, życia swego i wszystkich ludzi. Cóż jej miał powiedzieć?

— Więc teraz jedno! Nie połączy się pani z nikim?

— Z nikim? — Zamyśliła się. — To pan chce być mój najzupełniejszy narzeczony.

— Tak.

— A jak mi się na świecie trafi jaka bardzo dobra partya, jaki świetny los, jaka karyera? To co?

Ryszard spojrzał na nią i odwrócił się, żeby iść. Zatrzymała go za ramię. Uśmiechnęła się z serca.

— O, jak to zaraz zblednie, zesmutnieje... Co pan jest za jakiś taki nieużyty, niewyrozumiały! Zupełny skąpiec, Litwin, sknera! To pan mię naprawdę tak lubi?

Zaczerwieniła się wszystka. Zdawało się, że krew wytryśnie z jej nabrzmiałych warg, ze sponsowiałych policzków. Oczy jej stały się dobre i wierne. Jakże bez opamiętania utonął w nich spojrzeniem! To nareszcie ona! Jej serce bije! Stała wyżej na marmurowym stopniu. Gdy ją łagodnie pociągnął, schyliła się w omdleniu i nie broniła niezliczonych pocałowań swych ust płonących, jak żywy ogień. Od ust, jak od węgla rozdmuchanego, zapalać się zdawało całe jej ciało i zamieniać w buzujący stos płomieni. Chwiała się wszystka, gięła i mieniła. Żywe jej oczy przeistoczyły się w ślepy dym. Słowa się stały niewyraźne, z mętnych i mglistych sylab złożone.

W pewnej chwili ocknęła się z tego zachwytu, wyrwała z jego ramion i bez pożegnania, ociężale odeszła w górę.

W kilka dni później przybyła pani Żwirska i nastąpiły przygotowania do wyjazdu. Nie stanowiło żadnej trudności dla tak

wytrawnych ekspertek w sprawach miłosnych, jak pani Lenta i pani Sabina, spostrzeżenie istotnego stanu uczuć Ryszarda. Już za pierwszej jego bytności w pensyonacie pani Żwirska »skonstatowała zjawisko« i określiła jego walor. Tego dnia Nienaski przyszedł wieczorem, ażeby się z gwiazdą Posuchy przywitać. Na jego szczęście otworzyła drzwi sama panna Xenia. W wązkim korytarzyku było ciemno zupełnie. Ona była okryta ciepłą chustką, gdyż dopiero co wstała z szezlonga po drzemce przedwieczornej. Chustka ta była nasycona zapachem jej ciała i, zdawało się, że tai w sobie przelotne jej sny. Przez chwilę trwało rozkoszne »dobry-wieczór«, pozdrowienie z sercem na sercu, z ustami na ustach, z rękoma, zatoczonemi nawzajem dookoła szyi. W oświetlonym saloniku pani Żwirska mówiła dużo o Posusze i ze śmiechem pytała Nienaskiego, czyby tam wrócił do swych wież, szkół, muzeów i wszelkich ideowych chlewików. Odpowiadał na to, że nie chciałby wracać nie tylko z wiadomych względów, lecz i z innych, niewiadomych. Wszystko to tonęło w śmiechu pani Lenty. Dużo i szczegółowo mówiono o podróży. Pani Żwirska już się nudziła w Warszawie. Chciała dokądś pójść. Ale w teatrach grano »tutejsze« sztuczydła miejscowych »dramodziejów«, więc wolała już raczej »puścić się« na jakiś kabaret i to nie warszawski, lecz raczej obcy. Mówiła wyraźnie, że tak już jest pełna cnoty i spełniania obowiązków, iż pożąda choć szczyptę jakiej »zgnilizny«, — byle odetchnąć. Nadto — pani Lenta poczęła dowodzić, że teatr klasyczny, mieszczański, romantyczny, czy fantastyczny już się przecie przeżył, sam się na śmierć zanudził i na śmierć zanudził publiczność. Po efektach kinematografu, który przytacza pejzaż i uwydatnia ruch w pejzażu, przyrodę i niczem nieskrępowaną ciągłość bajdy, — efekty kulisowe trącą szopką. Najlepiej to widać na Parsifalu, gdzie uwydatnieniem efektów i realistycznych smaczków ośmiesza się legendy, same w sobie piękne i wzniosłe. Świat dzisiejszy, — mówiła pani Żwirska, — potrzebuje innych rozrywek, innych efektów, niż komedya, lub, — żal się Boże! — dramat. Zapytana, co mogłoby zastąpić teatr nowoczesny, odpowiedziała bez wahania, iż przedewszystkiem teatr-varieté, gdyż on daje silne sensacye, oparte na mocy nowoczesnych wynalazków, —

a więc latające pianina, wyścigi na scenie, oraz inne przeróżne złudy. Następnie, — twierdziła, — teatry te uwydatniają to, co jest elementem nowoczesności, to jest zdobycze dziko trudnych rekordów, pokonywanie najekscentryczniejszych karkołomności, jak jazdy na rowerze po wewnętrznej powierzchni wielkiej beczki, tańce na drutach, wysiłki, skoki i żonglerstwo. Wreszcie — rozmaitość. Jakże, — dowodziła, — człowiek nowoczesny, pracujący cały dzień w banku, w biurze pod okiem pryncypała, w wielkim sklepie, w wielkich halach, magazynach, po mordowni pracy, wysileniu mózgu, pamięci, zdolności, przytomności, po wyszarpaniu nerwów do ostatniego włókienka — może iść wieczorem dla odpoczynku — na dramat? Jak tu wymagać, żeby taki patrzał na te komiczne nieszczęścia, wydłubane z mózgu, bzdurne i zełgane? Człowiek taki potrzebuje śmiać się aż do korzeni tych znękanych nerwów dla ich stępienia i spokoju, — śmiać się z błazeństw absolutnych, śmiechem dla śmiechu, nie dla »poprawy obyczajów«, śmiać się długo i serdecznie z klowna-brata, który wyrywa wesołość z nicości, a przynajmniej nie udaje kapłana, ani sam siebie, ani nikogo nie oszwabia. Człowiek taki musi szybko zmieniać wrażenia jedno po drugiem, żeby jego zmęczenie zatarło się i żeby nazajutrz mógł wstać do pracy. Nienaski ośmielił się zauważyć, że teatry-varieté stały się takimisamymi już szablonami, jak teatry wyższego rzędu. Mają wciąż gimnastykę, uczone zwierzęta, owe rekordy, które raczej drażnią, niż uspakajają nerwy, siłaczów, ekscentryków, brzuchomówców, wywrzaskujące dziewice, — co wszystko, razem wzięte, stanowi szablon i jest nudne. Pani Lenta nie dała się przekonać. Miała tysiące argumentów odpierających. Mówiła, że teatrowi pozostaje rzecz bezcenna — czyste słowo poetów, — bez akcesoryów i sztuczek kinematografu. Słowo to zostanie samo. Teatr musi wrócić do formy półreligijnej, wzniosłej, stać się widziadłem zbiorowem, jak w »Bachantkach« Eurypidesa.

Ktoś z obecnych podsunął nazwę jednego z kabaretów i postanowiono iść tam gremialnie nazajutrz. Nienaski otrzymał zaproszenie do towarzyszenia paniom. Ponieważ miała pójść i panna Granowska, zgodził się na to bez wahania.

Cały następny dzień musiał poświęcić na wykonanie czynności bardzo prozaicznej — pożyczenia jakichś dziesięciu rubli. Bez takiej kwoty w kieszeni nie mógł marzyć o jutrzejszem »Amalfi«. Żył teraz wśród opłakanych »materyalnych warunków«. Po roztrwonieniu sum »konkursowych« nie miał nawet na własny lokal. Mieszkał z dawnym kolegą szkolnym, krytykiem, niejakim Juliuszem (tak!) Paduchem. Ten »renesansowy« Paduch spał we dnie, a po nocy siedział w kawiarni, gdzie też pisał swe krytyki. Pod żadnym pozorem, nigdy nie czyścił swych butów i ubrania. Nagabywany przez towarzysza noclegów, żeby choć kiedyniekiedy odrapać z pozłoty rosołów wyświechtany surdut, odpowiadał z godnością, iż nie był, nie jest i nigdy nie będzie lokajem, — nie tylko niczyim, lecz nawet i swoim własnym. Był to, jak twierdzili kompetentni, »najprzenikliwszy« z krytyków, — może dla tego, że żywił się przeważnie herbatą i dymem z papierosów. Juliusz Paduch z niesłabnącą wytrzymałością poszukiwał wciąż gruntu i odpowiednich nasion do wytworzenia »nowej szkoły« literackiej. Ponieważ ta szkoła miała być istotnie nową, należało oczywiście przedewszystkiem wszystko, co było, co jest, zwalczyć i zburzyć, jako starzyznę i przeżytek. To też Paduch, grzmiał wciąż, że tak pisać, jak to czynią rozmaite skrybenty funkcyonujące, które już ponadymały się do rozmiaru sław i powag, — pisać »nie wolno!« Żądał z pasyą, ażeby wszyscy owi, oraz którzy przyjdą, pisali wciąż tak, jak w danej chwili chciał on, Juliusz Paduch, prawodawca, opiekun i kierownik literatury. Zapewniał, że ma możność wyznaczenia na kilkanaście lat kierunku, rodzaju i stylu wszelakiego pisarstwa w skołatanej ojczyźnie. Na tem, zapewniał, polegać będzie odrodzenie literatury nadobnej i pewny rozkwit sztuki dla sztuki. Na razie zwalczał, co się dało, szczególniej zaś to, co potępiała wszechwładna i tryumfująca »*pecora pensante*«. Juliusz Paduch dawno przeżył okres burzy i gwałtu. W miarę rozwoju reakcyi, gdy społeczność zbliżać się poczęła do kulminacyjnych punktów czci kołtuństwa, Juliusz Paduch, z natury rzeczy, musiał szukać kontaktu z myślącym i czytającym kołtunem i z czytelniczką snobinetką. Bo przecie w ten tylko sposób mógł ugruntować swą »nową szkołę«. Był on mistrzem falangi mło-

dych krytyków, którzy właśnie, świeżo ukończywszy szkoły, nastawiali zbałamuconą literaturę w kierunku rozumu i logiki. Zresztą, — jeżeli ta literatura była pesymistyczną, młodzi jej korepetytorowie zwalczali ją w imię huraganowego optymizmu. Gdy była optymistyczną i woniała od znanej warszawskiej »otuchy«, puszczali weń swe katapulty w imię otchłannego pesymizmu. Zwolennikom łyczakowskiej sztuki dla sztuki urywano głowy w imię sztuki »narodowej«. Zwolennikom znowu mniemanych wędrówek do źródeł duszy polskiej wypruwano jelita pod hasłem »absolutu«. Katolików bito kołkami za to, że ośmielają się wierzyć poswojemu, — nielicznym libertynom obrzynano uszy za to, że »zatruwają ducha narodu«. Sam mistrz Paduch darł osobiście pasy jedynie ze wszelkich nowinkarzy, poszukiwaczów, z ludzi samotnych i mężnych, z chadzających własnemi drogami, a zdala od gościńca »nowej szkoły«. Ten arystarcha był człowiekiem silnej wiary, iż bez jego czujnej interwencyi, bez jego sążnistych artykułów, — niestety! niechlujnych pod względem układu i źle po polsku pisanych, — literatura udusiłaby się w klubach różnych nowatorstw. To też cenił wysoko swe recenzye i sprawozdania. Częstotliwie »zwracał na nie uwagę czytającego ogółu«, »powracał do nich« i pisał o nich ze szczerością, wytykając sobie, doprawdy jak obcemu, to i owo.

W ten sposób, jak dobry pasterz czuwając nad pisarstwem, »wypełniał dotkliwą lukę« w tym światku, — zajętym byle czem. Paduch umiał podniośle i gorąco chwalić »wypróbowanych mistrzów« reakcyjnego słowa, oraz adeptów przyszłej »szkoły«, — o tyle, rzecz zrozumiała, o ile nie zabrali gałganków, nie przenieśli się na inne podwórko, ażeby tam swoje własne założyć »odrodzenie« literatury i swoją własną proklamować »sztukę dla sztuki«. Wtedy bowiem Paduch był nieubłagany dla zdrajców. Jego subtelne, lecz i okrutne zarazem — »wara!« rozlegało się wówczas, jak grzmot po feljetonach gazet, walczących między sobą o palmę konserwatyzmu. Paduch był cienki, jasny blondyn, kudłaty i brodacz. Gdy leżał na łóżku pod starą kołdrą, zdawało się, że go naprawdę niema i że tylko sama głowa, obwieszona kosmykami włosów i wąsisk, — którą tak słusznie przyrównywano do tatarskiego buńczuka, —

przyszyta do tej kołdry leży na poduszce. Gdy krytyk nad ranem powrócił do legowiska, Nienaski spróbował napomknąć mu o »pożyczce« owych dziesięciu rubli, — (właściwie o zwrocie dziesiątej części mnóstwa »pożyczek«), ale pisarz zbył ten dziki zamysł jakowymś tygrysim porykiem szyderstwa. — »Dziesięć rubli — he-hehe!« — Wlazłszy pod kołdrę, jeszcze miotał przez szczerby w czarnych zębach i przez wykopcone wąsidła chargotliwe chichoty. Widać było z zachowania się, że nie tylko o dziesięciu, ale w ogólności o żadnych rublach nie może być mowy w tej symbiozie. To też architekt od rana szukał źródeł kredytu gdzieindziej. Ale dokądkolwiek trafił, nie mogła mu przejść przez gardło propozycya, — wobec ucisku świadomości, na co to ma być pożyczona owa suma. Tu był zadawniony dłużnik, lecz »nie miał«. Tamten wyjechał. Inny rad był pożyczyć, lecz to a to stanęło na przeszkodzie. Jakieś ohydne niepowodzenie zdawało się natrząsać ze wszelkich pomysłów. Wieczór nadciągał, a spocony wielbiciel nie miał jeszcze niezbędnej gotówki. Szedł ulicą, uprzytomniając sobie rzeczywistość, że to on, Ryszard Nienaski, biega po mieście, żeby pożyczyć pieniędzy — i na co, na jakiż to »cel«? Żeby iść do świńskiego »Amalfi«. On do »Amalfi!« Należy teraz do ludzi, uczęszczających do »Amalfi«. Nigdy nie był nietylko w tej budzie w Warszawie, lecz w żadnej podobnej. Nie wiedział, co tam jest i po co się do tego chodzi...

Nareszcie, przed samym już terminem wyprawy, w pocie czoła zdobył kilka rubli i stawił się w pensyonacie. Szła tylko pani Żwirska, pani Sabina, panna Xenia i on. Wstąpił do owego kabaretu z dobrą miną bywalca i rutynowanego birbanta, który tu, w temże »Amalfi« młodość przefrymarczył i wspomnień ma po kolana. Wybrał stolik, poumieszczał okrycia swych pań i zadysponował kolacyę. Gdy to czynił, nogi mu drżały. Nie miał pojęcia, ile w tej spelunce może kosztować mięso i wino. Coś słyszał piąte przez dziesiąte, że potężnie drą łyko z łyków, za prawo tychże łyków do popierania zgnilizny, ale w jakim to jest stopniu — jakże był ciemny! Zaczęły się ukazywać na scenie rozmaite »divy«, wyranżerowane w Paryżach, Berlinach i Wiedniach, podkasane dziewczyska, wrzeszczące ochrypłymi głosami różne wierszowane ohydy. Jedna

miała nogi w pończochach koloru jodyny, druga — indygo. Ta była rozebrana w taki, a inna w ten sposób. Śpiewały po francusku i po niemiecku. Był jakiś komik rosyjski...

W czasie przerwy tych produkcyi pani Topolewska wyszła z panną Xenią przejść się po oszklonej werandzie. Wówczas pani Lenta, pozostawszy sam na sam z Nienaskim, nachyliła się ku niemu i ze śmiechem rzekła:

— Proszę się przyznać, że się pan potężnie nudzi.

— Zapewniam panią, że nie!

— Zapewniam pana, że się pan nudzi ze mną i z Sabiną. Nie nudziłby się pan, ale z samą Xeńką. I to nie tutaj, na ogólnej sali tej budy, lecz w gabinecie.

— W gabinecie! — żachnął się idealista. — Przypuszczam, że panna Xenia nie bywa w żadnych gabinetach!

Pani Żwirska spoważniała i wysoko brwi podniosła. Ta niema maska jej twarzy zawierała tyle złowieszczej drwiny, że Ryszard upadł na duchu. Mściwa dama zadała mu nieomylny cios rzuceniem tej insynuacyi. Cień podejrzenia został w duszy i nie ginął już w ciągu tego wieczora. Gdy tamte dwie panie wróciły, Nienaski z usilnością szukał rozmowy sam na sam z panną Granowską. Postanowił za jakąbądź cenę rozstrzygnąć tę sprawę dla siebie. Prosił o to oczyma i półsłowami, żeby choć przez chwilę być sam na sam. Wysłuchała go wreszcie i znalazła moment. Uparła się, niby to, że chce poszukać specyalnego napoju z sokiem jeżyny w bufecie i poszła tam w towarzystwie Nienaskiego. Zapytał niezwłocznie:

— Czy pani tak bardzo lubi tę panią Żwirską?

— Już sobie pan upatrzył coś przeciwko niej! Dzięki Bogu!

— Upatrzyłem, bo ona umie pani nie oszczędzać.

— Lenta? Nie wierzę. Ja ją uwielbiam. Wie pan teraz?

— I za cóżto ją pani uwielbia?

— Za jej mądrość, za piękność, za elegancyę, za doskonałe rady, które dać umie na każde pytanie, ale rady prawdziwe, bezcenne. Zresztą za wszystko. Niech sobie to pan zakarbuje w pamięci, że za Lentą pójdę zawsze w ogień i wodę.

Ryszard milczał.

— A niech się też pan znowu nie zamienia w taki złowrogi posąg, bo w złe intencye Lenty względem mnie nie wierzę! Ona mnie także bardzo lubi. Mam na to dowody. Lubi mię bardziej, ... niż pan. Słyszy kaznodzieja?

— Toć słyszę.

— Mam dowody jej sympatyi — i jakie jeszcze!...

Uśmiechnęła się dyabelsko, kusząco, chytrze, jak zdrajca tryumfujący.

— Żeby pan wiedział, — szeptała z błyszczącemi oczyma, w uniesieniu, — jak ona mnie każoluje, rozpieszcza, darzy na każdym kroku, czem tylko może! No, żebym zechciała nie wiem czego, wszystko dla mnie zrobi. Muszę poprostu strzedz się, żeby nie wyrazić jakiego zachcenia, bo natychmiast spełni — i to w sekrecie. Zaraz mi włoży pod poduszkę... A jak ona lubi mię całować!... To coś tak szczególnego... Obejmuje mię, przytula najdziwniej, całuje w usta, długo, nieskończenie. Jakoś tak słodko umie rozchylać wargi... Zresztą, — co ja panu rozpowiadam! To jest szczególne, jak ja przed panem nie mogę utrzymać tajemnicy, o wszystkiem paplę! Ale z tą Lentą tak jest przyjemnie całować się! I wie pan? Ona ma jakieś perfumy, czy zapachy w ustach, bo tak jest strasznie miło, jak tylko zbliżyć się do niej ustami...

— Doprawdy?

— A niech się pan dobrze przypatrzy, jaką ona ma śliczną twarz.

— O, już się przypatrzyłem tym zmarszczkom i odrestaurowanym plamom!

— Zmarszczkom! Ordynus!... Każda jej zmarszczka, to historya miłosna. Saba mówi, że to ten... hieroglif... Lenta opowiadała mi niektóre swe historye... Ach, żeby pan wiedział, żeby pan wiedział!

— To ona pani opowiada takie rzeczy? Poczciwa przyjaciółka!

— A opowiada! Widzi pan... — potwierdziła z tryumfującem rozradowaniem. — To są dopiero prawdziwe romanse! No, ona umiała postępować z wami, moi lalusie, już to jej, trzeba przyznać...

— O, pewnie!

— Ona nie ceni amorów dla amorów, wszelkich »uczuć«, tęsknot i »miłowań«...

— A co też ona ceni ta wiekowa Kleopatra?

— Tylko proszę pana, bez tego rodzaju przezwisk!

— A cóż znowu jest złego w imieniu Kleopatra? Lepiej niech mi pani wyjawi, co ona ceni?

— Co tam z panem mówić! — mruknęła niechętnie i zimno, jak spiskowiec, przypierany do muru przez inkwizytora.

— No, co? Przecie w tem chyba niema żadnego sekretu.

— A nie! Żadnego sekretu w tem niema.

— No, więc! Tem lepiej.

— Ona ceni, mój panie, pieniądze. I kwita! Kto ma pieniądze, ten ma wszystko.

— To nowość. I to panią uczy tych nadzwyczajnych zasad.

— A uczy! Bo ma słuszność. Może nie?

Trzeba było wracać. Nienaski miał zapłacić za wypity napój. Wściekłość bezradna nurtowała w nim i rznęła nieznośnie, niczem okruchy szkła w ranie nogi, gdy trzeba iść na tej ranie po kurzu drogi. Panna Granowska nuciła ostatnią z piosenek, którą dopiero co »śpiewała« na scenie kabaretu jakaś »diva«. Gdy mieli wchodzić do sali, rzekła z pomrukiem:

— Znowu ten człowiek nastroszył się i stał dla mnie ostry, jak musztarda. Co pan jest za męczydusza i sędzia?

— Nie jestem sędzią. Patrzę sobie na panią i proszę Pana Boga, żeby panią ustrzegł ode złego.

— Och, jakże to jest wzniosłe!

Gdy wrócili na swe miejsca przy stoliku, jedna z kabarecistek śpiewała znaną i sędziwą już w paryskich budach piosenkę, która przywędrowała właśnie do Warszawy. — Darła się tedy:

»L'homme est une bête feroce
Qui ne pense qu'à son bonheur.
Tout de suite après la noce
Il nous perce le coeur...

Et quelque chose aussi
Que je ne peux pas dire ici...«

Panna Granowska wydęła wargi i ze wzgardą mówiła:

— Teraz tę starzyznę wyśpiewuje...

— Pani to znała? — spytał.

— A któżby nie znał?...

Po chwili dorzuciła ze złością:

— Pana to interesują tylko morały i kazania. Nic dziwnego, że pan nie zna wesołości. Pan wogóle musi nie cierpieć samego życia. Przy panu toby się pewnie zupełnie śmiać nie było można. A ja strasznie lubię śmiać się ze wszystkiego, dużo, głośno, i długo.

— Żeby pani mogła jaknajdłużej!

Zamilkła i siedziała nadąsana. Po chwili, zapewne dla złagodzenia tamtych słów, mówiła innym tonem:

— Ale śmiać się naprawdę, to można tylko na wsi. Nie?

— Pani lubi wieś?

— No! Ale prawdziwą, bez wszelkich kawalerów i flirtów...

— A nie nudno bez kawalerów?

— Także! Wtedy dopiero dom huczy od śmiechu...

— Gdzie?

— U mojej cioci, nad Narwią. Ta Narew płynie tuż naprost dworu, a dwór na wysokim brzegu. Po drugiej stronie — lasy, łąki. Pan lubi lasy i łąki?

— Bardzo!

— Ale takie, jak tam! Ciekawam też, czyby pan tam lubił być?...

Ryszard uśmiechnął się z żałością.

— Tam się chodzi bez kapelusza, a nawet powiem panu prawdę, bez bucików, dróżkami w łąki. Na wiosnę! Jaskry nad strumyczkami, ostromlecze w młodych, czarnych trawach... Ja to najbardziej lubiłam chodzić sama — i tylko jednego kawalera brałam ze sobą. Nazywał się Besio.

— Któż to taki?

— A jeden. To był prawdziwy gentelman. Bo proszę... Było

nas tam pięć, moich sióstr ciotecznych trzy i jeszcze jedna kuzynka. Chodziłyśmy do Narwi kąpać się... Ten Besio zawsze z nami. Dopóki byłyśmy w sukniach, ubrane na brzegu, biegał, skakał, szczekał...

— Szczekał?

— No, jakże! Aportował, kopał myszy, gonił jaskółki... Jakże zaczęłyśmy się rozbierać do kąpieli, odwracał się tyłem i tak odwrócony od nas, z pyskiem skierowanym w stronę łąk siedział przez cały czas naszej kąpieli. No, który zachowywałby się tak porządnie?

— Pewno, że nie każdy!

— I rzeczy pilnował, jak najwierniejszy służący. Gdyśmy wreszcie wyszły z wody i poubierały się, dopiero się raczył odwrócić. Wtedy się cieszył bardzo hałaśliwie. W lesie znowu był nieoceniony. Bo w lesie samej jest troszkę nieswojo, prawda? A z nim to się człowiek nic nie boi.

— Człowiek — to znaczy Xeniusia?

— A cóż to ja nie jestem człowiek? I znowu »Xeniusia«... — przedrzeźniała jego omdlałe sylaby. — A cóż będzie z temi pieniędzmi?

— Z jakimi?

— No, co to je pan miał zacząć gromadzić, zbierać?...

— A już zacząłem je zbierać!... Od dziś... Cały dzień zbierałem pieniądze... — mówił ze śmiechem.

— Chwała Bogu, ale żeby dużo! Panie, bo źle z nami będzie!

— Wszystko będzie dobrze... Ale niech pani jeszcze o Narwi opowie! Jeszcze coś o tych łąkach...

— Radabym, żeby pan je zobaczył!

— Chciałbym zobaczyć, ale koniecznie z panią. Pokazałaby mi pani, co tam jest. Jabym był może jeszcze posłuszniejszy od tego Besia.

— Akurat! Panby mię od rana do nocy karmił po łyżeczce morałami. Ale niech tam już! Już trzeba brać ten ulepek, bo to z dobrego serca i dla mego zdrowia... Z Besiem, jak się do lasu poszło, to on tam miał swoje sprawy, a ja sobie szłam sama. Bo ja lubię sama. Pan to spostrzegł, jak storczyki pachną lasem?

— A może to las pachnie od storczyków?

— Skądże znowu! Postawić storczyki w pokoju i cały pokój pachnie lasem. Więc któż czem pachnie? Zawsze się tylko kłóci i sprzecza!... Przecie sto razy sprawdziłam — i one wszystkie tosamo!

— Co za »one«?

— Moje siostry cioteczne. Ja nie wiem, czybyśmy pana mogły wpuścić tak między siebie... Bo my tam żyjemy poswojemu. Wstaje się jak można najpóźniej, gdy już wszyscy starzy porozchodzą się, a służba gotuje obiad. Śniadanie czeka. Wtedy jemy i pijemy, co która chce, bez wszelkich gderań. Cukier z cukiernicy bierze się nogą, masło smaruje się palcem...

— Proszę pani, jabym najchętniej masło palcem rozsmarowywał...

— Dobrze, ale my mamy sekrety! Przecie z panem nie mogłybyśmy mówić tego, co my mówimy.

— Od tamtych kuzynek — tobym nie wymagał. Ale od pani...

— Zawsze swoje! Jak one mi mówią prawdę, to i ja muszę! My rozmawiamy umówionym językiem. Przy obiedzie siedzą wszyscy, są rozmaite dryblasy »z sąsiedztwa«, a my mówimy swoim językiem tak straszne głupstwa, takie okropne pornografie...

— Masz tobie!

— Jakośby to trzeba było urządzić... Już ja musiałabym być z panem, bo cóż? Narzeczona z narzeczonym... Ale i sama, panie, chodziłabym sobie, gdziebym chciała, — prawda?

— Prawda, Xeniusiu!

— Bo ja tak lubię sama! Nie dla tego, żebym z panem nie chciała... Tylko, że sama... Człowiek się rano obudzi... To w czerwcu, godzina może trzecia, a może druga. Przez okno w ogród, potem w pole! Besio zawsze jest! Ścieżką między zbożami, po zagonach. Nogi nie idą, lecz płyną. Zboża śpią. Rosa. Żeby jeden głos, albo szmer! Całe okolice, całe »krainy«, jak tam mówią ludzie, leżą w półzmierzchu. No, ale cóż? Ten postrzelony Besio zawsze wystraszy kuropatwy, albo przepiórki, narobi hałasu — i wszystko się kończy.

— Co się kończy?

— A już nie jest tak, jak przedtem...

Kończyło się już także interesujące widowisko. Było późno. Po wyjściu z tej instytucyi pani Sabina wsiadła do dorożki z panną Granowską, żeby odwieźć do hotelu panią Lentę. Nienaski odszedł do siebie, naiwnie pewien, że te damy istotnie zaraz udadzą się na spoczynek. Wszystko w nim teraz było rozerwane i przekręcone na nice. Spostrzegł dobro i złe w tej młodej osobie, widział, co jej grozi. Postanowił natychmiast jutro zażądać, żeby z nim ślub wzięła. Niema o co rąk zaczepić, to prawda. Ale poprostu wygoni Juliusza Paducha, razem z jego rękopisami i całą nienawiścią do literatury, — wymyje izbę, wykadzi i mieszkanie gotowe. W lecie będzie razem z nią nad brzegami Narwi błogosławionej. Tam ona pokocha wszystko dobre. Natura jej żywa i jędrna zobaczy siebie w źródle szczęścia. Xenia zobaczy duszę swoją odbitą w tym stoku radości, którym jest czynienie dobrze bliźnim ludziom. Przez woniejący las dojdą oboje do tej świętej polskiej krynicy. Nie może być, żeby do tego celu nie prowadziła ich razem ścieżka życia!

Zarazem przeszywała go trwoga, coby się stało, gdyby musiał teraz dłużej siedzieć? Co się stanie, gdyby poczuła żal za tem wszystkiem, co jej mają ukazać posuchowskie damy? Czy nie lepiej, żeby to raz zobaczyła i żeby poczuła, że ma dosyć? Coby się stało, gdyby nie mogła pokochać świata jego wiary? Gdyby się na nim zawiodła? Coby się stało, gdyby żałować poczęła tego życia, do którego tak się wyrywa, blasku, przepychu, zbytku? Przypominały mu się różne jej wyrażenia, opryskliwe ciosy słowne. Nie mógł zataić przed sobą, że teraz ona jest obca wszystkiemu, co czuł, czem żył, co stanowiło jego duszę.

W ciągu całego dnia nazajutrz nie mógł jej widzieć ani przez sekundę. Była wciąż w mieście ze swemi opiekunkami. Załatwiała jakieś formalności i sprawunki. Gdy wróciła do pensyonatu, on właśnie odszedł po długiem oczekiwaniu. Gdy przybiegł powtórnie, ona »dopiero co wyszła«. I tak aż do późnego wieczora. A po północy

nastała już doba wyjazdu. Ów dzień nadciągnął, nadbiegł, jak niespodziany wróg. Nienaski czuł, że to, czemu on podlega, wszystkie owe splątane a wszechmocne uczucia, — jest to istny obłęd. Nie panował nad myślami, wyobrażeniami i postanowieniami, lecz nad nim panowały nieświadome wzruszenia, raz silniejsze, drugi raz słabsze. Wznosiły się w nim samym, lecz uderzały weń zaiste zzewnątrz, jak moce postronne, wrogie i mściwe. Zmuszały go do uczynków niegodnych siły jego woli, pędziły go mocniej, niż batami, gdzie była ich wola i zachcenie. Pragnął za jakąbądź cenę zobaczyć się jeszcze z panną Xenią przed jej odjazdem. Napisał do niej list i posłał przez expresa z prośbą, żeby przyszła do najbliższej cukierni około godziny południowej. Czekał tam, lecz nie przyszła. Patrzał w zamazane od deszczu szyby — i zgłębiał błogosławiony sens męczarni. Gdy minął termin, wyszedł stamtąd i powlókł się do swej izby. W godzinę później posłał odjeżdżającej znowu przez umyślnego — bukiet kwiatów. Ów bukiet był złożony z łodyg wysmukłych, o łagodnych kolorach jesieni. Gdy go w sklepie ogrodniczym składano, całował oczyma te kwiaty zdaleka, żegnał się z nimi, jakby z nią. Nigdy nie czuł wyraźniej smutku tych wszystkich zdarzeń. O wiadomej godzinie udał się na dworzec. Był tam zbity ścisk ludzki, ruchliwy, — więc w nim zginął. Tłum popychał go i odtrącał, zupełnie podobny do wewnętrznych uczuć.

Ale oto nadjechało całe towarzystwo: pani Lenta, pani Sabina, gubiąca wszystko i rozkrzyczana, jacyś panowie, jakieś panny. Wśród nich śmiejąca się i flirtująca panna Xenia. Miała na sobie podróżny paltocik, płaski kapelusz, a na nim zielonawy wual. Zobaczył ją w tłumie, przypatrzył się i, — za łaską bożą, — nacichło w nim wewnętrzne morze i rozszalałe nad niem wichry. Zbliżył się do tego towarzystwa i przywitał. Panna Xenia miała w ręku kwiaty, które jej posłał. Leżały wciąż na jej rękach...

Już mało było czasu, więc te panie poczęły szukać miejsc w wagonach. Znalazły je i wsiadły do wybranego przedziału. Nienaski stał zdaleka. Było jeszcze parę minut. I oto panna Granowska wysiadła z wagonu i zbliżyła się do niego. Chciał jej powiedzieć, żeby nie jechała, że jest przerażony, że umiera z trwogi. Chciał żądać,

żeby została i wzięła z nim ślub. Lecz patrząc na jej rozradowaną twarz, na lśniące od szczęścia oczy — zaniechał tego dziwactwa. Było to nad jej siły pozostać tutaj. Podziękowała mu za kwiaty i łagodnie, długo przycisnęła je do siebie. Uczuł wtedy w śmiertelnym skurczu serca, że ją traci... Zapytał, czyby mu nie odpisywała na listy i otrzymał odpowiedź twierdzącą, ale z zastrzeżeniem, że jej listy nie będą długie i nie »nastrojone«, lecz zwyczajne i naturalne. Stanęła umowa, że te listy będą pisane na poste-restante w Warszawie i Nicei.

— A czy pani będzie się tam uważać za moją narzeczoną?

— Ależ rozumie się! — mówiła śmiejąc się z wrodzoną jej filuteryą.

— A pan?

— Ja? Miałem mocne postanowienie, żeby z panią wziąć ślub w tych dniach. Ale wczoraj nie mogłem pani spotkać, dziś pani przyjść nie chciała do tej cukierni, a teraz taka pani szczęśliwa... Niema o czem mówić!

— Co się odwlecze, to nie uciecze.

— Mnie serce pęka!...

— Cicho, cicho... Może mnie bardziej żal, niż panu. Adieu!

Uderzył ostatni dzwonek. Pani Topolewska podniosła piekło w wagonie i Xenia pomknęła na swe miejsce. Jeszcze raz ukazał się w oknie wual zielony, śliczna w nim głowa, oczy zamglone na chwilę szczerym smutkiem. Potem czarny dym wybuchać począł kłębami. Wszystko znikło. Ciemny się stał świat od głuchych, wewnętrznych wybuchów nieprzebranych fal żalu...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Upływały dnie, tygodnie i miesiące, wypełnione pokonywaniem czasu, zaiste nieskończonego. Ten okres życia był ciężki i trudny do zwyciężenia siłą, niby bryła skały, którą należało toczyć pod górę. Im bardziej oddalała się zorza wieczorna, tem wątpliwszą stawała się zorza poranna tej długiej i nieskończenie długiej nocy tęsknoty. Wspomnienia przeobraziły się w nieprawdopodobne i niewiarygodne marzenia o przyszłości. Wszystko zeszło do dziedziny znikomego snu. Nienaski po tysiąckroć zadawał sobie logiczne pytanie: dla czego w tej, a nie w innej osobie zakochał się tak głęboko? Czy nie było już piękniejszej? Czy nie było lepszej, bardziej blizkiej rodzajem życia, wychowania, wykształcenia moralnego i umysłowego? Odpowiadał sobie, że zakochał się niezupełnie szczęśliwie, lecz wskutek tego stokroć bardziej był zakochany. Ze swych pozycyi społecznych, a nadewszystko krańcowych, nie tylko się nie cofnął wskutek tego stanu uczuć, lecz przeciwnie tem wytrwalej i gwałtowniej sypał swój fort bojowy. Coraz radykalniejsza »oryentacya« odbywała się zarówno w jego myślach, jak i w uczynkach. Dzięki rażącemu kontrastowi, jaki zachodził między widzeniem przezeń rzeczy tego świata, a tym światkiem, w którym żyła panna Xenia, poddał rewizyi wszystko, co przeżył. Patrzał bez zmrużenia powieki w ten jej świat, w kolisko użycia, blasku, światła, woni, zabawy i tak

zwanego piękna. Patrzył również bez jakiegokolwiek pobłażania w świat pracy, biedy, smutku, mroku, ruiny i tak zwanej brzydoty. Jeszcze raz zestawił te dwa światy w sobie samym, w sercu swem, — i wybrał drugi.

Znał potępieńcze warunki jego bytu i prawa pracy nad ich usunięciem. Wiedział dobrze, że w nowoczesnych zapasach społecznych niema miejsca na rycerstwo, na wdzięk, na poezyę czynu. Wiedział, że najbezwzględniejsze bohaterstwo jest tu odbarwione z uroku, odarte z pióropusza sławy, wklinowane w stowarzyszenia, w partye, w grupy, w koła, w związki, w prawa, równe dla »członków« i przytwierdzone do swego przęsła, które gdzieś tkwi, — jak sztacheta w parkanie. Wiedział, że gdyby zacząć pracę najbardziej gwałtowną i na bohaterstwie opartą, nie co innego trzeba by utworzyć, tylko znowu szereg owych sztachet, osadzonych w jakieś słupy.

Nic bowiem nie znaczy w nowożytnym świecie stowarzyszeń samotny człowiek. Gdyby wyrósł ponad swą własną pracę i nad swe własne bohaterstwo, stałby się szkodliwym dla zakresu i rozwoju całości. Gdyby się sam wsławił, zmniejszyłby sławę sprawy. A przecie tylko sławą osobistą mógł zdobyć serce Xenii. I oto powstał w nim szczególniejszy bunt. Ryszard zapragnął uczynić swe bezimienne prace, swe zamaskowane bohaterstwo, w których z zasady odczyniony jest wszelki urok piękności, tak doskonałemi w samych sobie, ażeby panna Granowska, — gdy je kiedyś ujrzy choćby przypadkiem, albo wbrew woli, — wyznać była zmuszona, że są tak zupełnie pięknemi w swej formie i treści, jak świątynia w Pestum, jak Apollo tańczący z cytrą, jak potężnym jest w wiecznem milczeniu posąg Jeremiasza na florenckiej dzwonicy, — i tak cudnie świętemi w sobie, jak są dwaj aniołowie Giotta w pizańskiem *Campo santo*. To też brał teraz na się roboty, jak istny bohater i rycerz, jak wódz i żołnierz, a wykonywał je, jak nowoczesny czarny robotnik. Mówił sobie w ciągu tych trudów, że podkopuje się, niby jamnik pod kominy lisów, — i to pod jej świat właśnie. Rosły w kraju instytucye, szkoły, zawiązywały się spółki, łączyły organizacye i zakreślały plany życia europejskiego. Już rozmaite »poważne koła« i »miarodajne czynniki« poczęły wyciągać macki, żeby

pochwycić zawiązek ukazujących się owoców tej pracy niewidocznej, a jeszcze nikt nie wiedział, kto pracuje. Piętnowano postaremu »wywrotowe idee«, a jednocześnie usiłowano przywłaszczyć sobie pozytywne płody tego »wywrotu«. Pisali postaremu »dostojni« najemnicy i schlebiacze reakcyi przeciwko »fałszywym prorokom«, a zasiane przez »fałszywego proroka« ziarno, gdy w ruń zbożową wyrosło, radzi byli pocichu skontraktować na pniu, żeby wozy ze żniwem mogły być zwiezione do wiadomego gumna. W małym pokoiku i wśród grona paru fantastów wyrosła myśl o kooperacyjnym ruchu, a gdy sieć kilkuset stowarzyszeń okazała się w kraju, sto rąk wyciągnęło się po władzę nad tem nowem zjawiskiem. Tosamo było ze wszystkiemi ideami i pracami, które nie miały takiego efektu, które, równie wzniosłe w sobie, stokroć były szczęśliwsze w przebiegu.

Pewnej nocy jesiennej Nienaski przebudzony został przez nieproszonych gości i poraz trzeci w swem życiu powołany, ażeby zajął zawsze próżny pokój. Bawił w tej gościnie jakiś czas, pełen pięknego stanu ducha, ucząc się dla zabicia nudy obcych języków. Smutne w tem wszystkiem było tylko jedno: oto na podstawie subtelnych badań dociekł, iż zdradziła go nie tyle praca, (choć i ona go oskarżała), lecz tosamo znowu, co za dni dzieciństwa, — gad w postaci człowieka, którego był podźwignął, bratem nie tylko nazwał, lecz uczynił... Dyabelną pociechę w tem interludyum stanowiło to, iż gad ów, aczkolwiek poduczony, pozostał głupcem i że jego głupota, — żal się Boże doli polskiej! — w tym wypadku stała się pożyteczną. Tak zbudował swe świadczenie, że tylko kretyn mógłby w nie uwierzyć. Poprzypisywał Nienaskiemu wszelkie możliwe i niemożliwe występki, zamysły, knowania, wskutek czego karygodność »win« jego istotnych w gruncie rzeczy znacznie osłabił. Te okoliczności sprawiły, że Ryszard otrzymał stosunkowo małą karę: wydalenie z granic na nieokreślony przeciąg czasu. Ten jednak wyrok był w szczególniejszy sposób przykry dla podsądnego. Wolałby był najsroższą karę, niż to lekceważące poszturchnięcie końcem buta, to wytarganie za ucho i przepędzenie z jednej polskiej nory do drugiej, — niż to, w gruncie rzeczy, »zesłanie do Krakowa«. Jadąc przymusowo za granicę, Ryszard Nienaski patrzał z uwagą

przez szybę wagonu na pola zostające, na wioszczyny, miasteczka, fabryki, miasta, osady, — na niewidzialną pracę, która w każdem z tych miejsc znikających leżała odłogiem, albo przeciążała jakieś barki ogromem zadania. Wspominał pracownice i pracowników po szkołach, stowarzyszeniach, zrzeszeniach, — samotne trudy czcigodnych kobiet, co porzucały osobiste szczęście, ażeby dla przyszłości orać tę biedną niwę. Żałował szkółek w brudnych wsiach, w ciemnicach ojczyzny. Wspominał wielorakie zmagania się i wysiłki, którym masa narodu nie przychodzi z pomocą, które częstokroć nęka i ściga... Jakże to im wszystkim pomóc? Jak zaradzić tej całości?

Myśl, ostrzona na brusach doświadczenia, wrzynała się w zadanie główne. Nicowała wszystko, co się da i co nie da, — była przebiegłą, podstępną, obłudną, z zapartym tchem i zasłoniętem obliczem, usiłując ogarnąć dolę całości. Cóż czynić? Jak złączyć życie nowoczesnego zachodu — z tem życiem? Wszystkiego brak, a nadsztukować niema czem. Gdy załatać dziurę najbezwzględniejszą pracą, wydrą tę pracę z rąk. Wszystkiego mało i wszystko bez miary ubogie i nędzne, żeby kraj żył, jak kraje ziemi. Wspominał, jak na świecie zapomnieli już na dobre o tej krainie. Już nie wiedziano, co to jest i gdzie. Nazwa fałszywa miejscowości, która jest i której niema. We Francyi, w Anglii, we Włoszech dopytywano się, gdzie to jest, z której strony Bułgaryi... Wygasła, zapomniana, z jej ludem zagubionym między narodami... Oto była ona, ta równina, płaska i nizka ziemia...

W Krakowie wypadło pędzić życie raczej kontemplacyjne, niż czynne. Kraków jest grodem »kraju koronnego«, który znowu jest częścią monarchii europejskiej. Nie było tu miejsca na królewiackie inicyatywy i prace, jakiemi się parają ludzie stron tamtych, ani europejskich, ani azyatyckich, — stron, które są jakgdyby przytrzaśnięte we drzwiach. Kraków leży już z tej strony drzwi, w Europie. Nienaski począł i tutaj pracować w stowarzyszeniach oświatowych i innych. Miał poparcie, środki pomocnicze, słuchaczów

i współtowarzyszów. Ale była to praca mała dla jego pasyi i siły. Czuł przedewszystkiem potrzebę stworzenia wewnętrznej mocy, ośrodka i rdzenia. Tymczasem nie było tu miejsca dla tej pracy samej w sobie. Chcąc ją zacząć, trzeba było zostać, albo urzędnikiem, albo członkiem jakiejś partyi. Inaczej zawadzało się młyńskim kamieniom, które, terkocząc, mełły ziarno bez pośpiechu, według ostrożnego rozmysłu i półsennego baczenia doświadczonych młynarzów. W życiu polskiem, które poznał i na które patrzał, tak fatalnie nie było nic spiżowego, potężnego, coby było obliczone i wykonane na moc, na opór i trwanie! Gdzież i jaki był kręgosłup narodu, rdzeń i główna siła? Opór wszędzie podobny był do owych grobelek, które biedna ludność powiśla w Królestwie buduje na gwałt, w samym już dniu powodzi, gdy żywioł zalewa wybrzeże. Raz wraz, jak grom spadała wieść o sprzedaniu przez Polaka potwornie wielkiego szmata ziemi Komisyi. Na Towarzystwo Szkoły ludowej, na Macierz Śląską — Kraków, to »serce Polski« dawał stosunkowo najmniej ze wszystkich miast galicyjskich. Nigdzie powiewu natchnienia do wielkiego zbiorowego dzieła. Ani śladu porwania się na czyn doniosły. Co pewien czas uroczystości z mszami polowemi, z kazaniem, pochodem i »bankietem« pełnym mów, po którym uczestnicy długo nie mogą przyjść do siebie. Nikt, zdawało się, nie czuł straszliwie jasnego niebezpieczeństwa, iż czas uchodzi, siła topnieje, w oczach znika grunt, wsiąka we wrogie organizmy i marnuje się żywioł polski. Nienaski zbyt dobrze wiedział, jak niezmiernie trudno jest zrobić na świecie cokolwiek dobrego dla biednych bliźnich ludzi. Sam się niejednokrotnie spracował napróżno i po ciężkim mozole widział, że jest tam, skąd wyszedł, że nic nie zrobił, albo poczynał zupełnie głupio i źle. To też daleki był od łatwej i bufońskiej krytyki życia tej dzielnicy. Przeciwnie, miał aż nazbyt może wiele szacunku dla wszystkiego, co tchnęło inicyatywą i pracą. Za przykład służyć mogło jego pokłonne zwracanie się w stronę poznańskiego. Zorganizowana praca poznańczyków, ich znakomite kooperatywy rolne, związki i organizacye, ich defensywa na wyłomie, zasłaniająca całość narodu, ciągnęła ku sobie jego duszę. Nie Galicya, lecz właśnie poznańskie zdało mu się być

Piemontem ducha polskiego. Gdy Galicya wessana została przez Austryę tak dalece, że pozostała tylko zwierzchnia patyna polska, a całe wnętrze i cała treść stała się austryacką, — poznańskie przeciwnie wyssało wszystkę treść Niemiec, całą siłę ich niezrównanej pracowitości i kultury, a jednocześnie okazuje opór przeciwko temu wrogowi. W morzu niemieckiem, w Westfalii trzyma się nanośna łacha polska i Polskę tam wiekuiście nieci, chowa, pielęgnuje. Zanadto jeszcze dziś poznańczycy są uczniami Niemców, prawie Niemcami mówiącymi po polsku, lecz tym swoim niemieckim sposobem oni mówią o Polsce całej i całą Polskę w sobie trzymają. Galicya wszystka jest »krajem koronnym«, choć taka niby polska z wierzchu. Jutro poznańczycy mogą się stać nauczycielami i instruktorami Polski całej, — mogą zaprowadzić dyscyplinę nie tylko kultury materyalnej, lecz i ducha zbiorowego, wszczepić w ospałe miliony to, co posiadają w pełni — cywilizacyę zachodu, cywilizacyę najsystematyczniejszą i w gruncie rzeczy najdoskonalszą na świecie. W Krakowie tylu było ludzi prawdziwie mądrych, uczonych, wykształconych, doświadczonych w milionie doświadczeń, — badaczów i specyalistów. Ryszard chodził do wielu z nich, zaznajamiał się, wszczynał rozmowy i pokornie słuchał. Wyszukiwał męża mocnego, mądrego i prawego, który, jeśli dziś nie działa, to czuwa i wie, — który może powiedzieć, co trzeba czynić. Lecz trafiał jedynie na ludzi mądrych, lecz zbyt wobec czegoś przebiegłych, nadmiernie ostrożnych. Zdawało mu się wciąż, że jest na zgromadzeniu starców za dni swego dzieciństwa. Tamci jednak byli bardziej pokorni. Ci w Krakowie byli nazbyt pewni swej mądrości, dumni i pyszni. Traktowali jako »romantykę« każde płonące od ognia męczarni wzywanie o ratunek. Czcili przeszłość, a raczej nie czcili jej, lecz ją »badali«, jak trupa, szukając tej najistotniejszej choroby, która sprowadziła śmierć, rozkład i zgnicie. I gdybyż ta definicya śmierci była głosem okrutnej, lecz bezwzględnej prawdy! Żeby też jedna pierś biła pragnieniem stworzenia życia nowego! Ci sami, co tak czcili i badali przeszłość, skoro przyszło do tworzenia życia teraźniejszości, okazywali się pospolitymi urzędnikami, ciasnymi członkami partyi, albo poprostu cofali się zwartym szeregiem pod skrzydła

swej »przysięgi« i zachowywali milczenie, udające polskość, a ukrywające nędzę ducha. I tak znowu było tosamo: młodzież, bieda, (największe i jedyne polskie bogactwo), bezsilne związki i bezsilne pieśni...

Architekt stawał w przecięciach ulic, kędyś na Grodzkiej ulicy, gdzie przed sobą miał rynek z jego iglicami, po prawej ręce dominikański gmach, po lewej franciszkański, za sobą zielone od patyny i czasu wieże i dachy świętego Piotra; — kędyś na Kanoniczej, na Świętego Jana ulicy i wpatrywał się w nastrzępione, prastare, bogate kształty. Jakże go serdecznie cieszył nowy dach Wawelu i widok wywożonych gruzów hańby, która sterczała tyle dziesiątków lat obok grobu mocarza, Stefana króla! Nowy dach Wawelu był to prawdziwie symbol wygrzebywania się i dźwigania w mozole z ohydnych ruin, — wśród nowych ciosów i świeżych ran leczenia zastarzałych. Jakiż widok mógł stanąć do współzawodnictwa z pięknością widoku na zamglone wieże Krakowa, na zamek tumanem przesłonięty, widziany z błoń, ponad któremi czuwa pomnik bohatera, poderwanie się ziemi ku niebu, pomnik niemy, jak polska dola, bez oblicza i formy, jedyny w świecie, a wiecznej pełen poezyi? Jakiż widok mógł iść w porównaniu z obrazem Krakowa i dalekich w stronę Tyńca skrętów Wisły, widzianym z samego kopca?

Tym większy smutek ogarniał, gdy się patrzyło na zaniedbania tego miasta, gdy trzeba było brodzić w bajorach, zalegających ulice odleglejsze od śródmieścia, — a w samem ognisku ruchu kroczyć po chodnikach nigdy nie zmywanych i nie czyszczonych, lepkich, albo pagórkowatych od zaschłego błota. Niektóre ulice były to istne, bez ujścia błotne kanały. Ludzie brnęli w nich zbrudzeni i zachlastani. Jakby na drwiny z logiki, po tych szyjach, jeziorach i mokradłach jeździły wozy z walcowemi szczotkami, zamiatające błoto, niczem w Berlinie, albo w Paryżu. Ta blaga była niby naśladowaniem Europy, stawianiem się, że i my na Kleparzu jesteśmy w Europie. Ta tylko zachodziła różnica, że gdy w tamtych wzorach błoto zmiecione ze środka ulicy do rynsztoków wymywa woda do kanałów, jak w Paryżu, albo je natychmiast usuwają, jak w innych miastach, — w Krakowie szczotka zmiatała wieczne bajoro, tu-

dzież nawozy, zostawiane na bruku przez chłopskie konięta, prastarym obyczajem obozujące gdzie się da, — ze środka ulicy nie tylko w rynsztoki, ale i na chodniki. Jak zamiatać, to zamiatać! Wały tych kompostów zostawały tam na dłużej, aż do chwili, gdy się zeschły, albo zmarzły. Wówczas je kilofami rąbali najemni nędzarze i, nie spiesząc się, taszczyli na zewnątrz. Nim się to stało, mieszkańcy wędrowali zamiecionym z gruba środkiem ulicy w obawie zapadnięcia się w istne kały miejskie na chodnikach i rynsztokach, niewidzialnych pod nagarniętym mułem. Nikt z właścicieli domów nie oczyszczał ani swej bramy, ani ścian przyziemu, ani chodnika przed bramą i domem. To też te bramy, nieraz zabytki sztuki dawnego czasu, i te chodniki były raz nazawsze przywalone mokrym albo zeschniętym brudem. Najciekawszem w tem wszystkiem jest to także, iż jednostka mieszkająca w Krakowie opodatkowana jest specyalnie na rzecz czyszczenia miasta trzy razy bardziej wysoko, niż w Warszawie i dwa razy, niż w Poznaniu. Gdy się zaś wszystkie błota w mieście zeschły od upału, a nadszedł wiatr, wówczas niosły się ulicami i placami błota latające, jakich nigdzie nie zobaczy. To też Kraków jest podobno, najniezdrowszem miastem w Europie. Stróż kamieniczny w Krakowie jest to nędzarz, mieszkający w jakiejś piwnicy, albo jamie. Chcąc znaleźć jego »mieszkanie«, trzeba się kierować w stronę kloaki, albo najbrudniejszego miejsca w podwórzu brudnej chałupy. Człowiek ów zarabia na życie gdzieś na mieście, a za prawo troglodyckiej egzystencyi w kamienicy, otwierania w nocy bramy i zarobków stąd kapiących, symuluje czasu niedospanych przedświtów pełnienie dodatkowych funkcyi stróżowskich.

Właściciele starych domów krakowskich w sposób iście bestyalski burzyli zabytki i stawiali na tem miejscu pudła nowoczesne. Przekształcali i przerabiali po chamsku domy historyczne, oblepiając rzeźbione odrzwie bram tynkiem, przerzynając na dwoje dawne, sklepione bramy, zdrapując lub niszcząc ornamenty dla zawieszenia obskórnych szyldów. Młody budowniczy doświadczał istnych tortur na widok tych przeróbek, których celem było nadanie niezrównanemu zabytkowi średniowiecza wyglądu szychowej tandety jakiegoś Pesztu.

Lecz stokroć bardziej, niż niechlujstwo i potworne barbarzyństwo, osłonięte pozorami cywilizacyi, sprowadzonej szybko i wprost z »Widnia«, czego doskonałym wyrazem i prawdziwie symbolem była owa szczotka konna, pozornie zmiatająca brudy, — uderzało na każdym kroku przychodnia z »Rosyi«, (jak łaskawie krakowscy autochtonowie nazywać zwykli kraj leżący z tamtej strony Ojcowa), — starość, nieruchomość powłoki polskiej, osłaniającej cudzą państwowość. Powłoka ta stała się iście krakowską patyną. Jedyne rodzaje przemysłu, jakie buzowały w tem mieście, był to przemysł poselski i kawiarniany, czyli cukierniczy. Nad wszystkiem panowali księża, magnaterya i różni doktorowie, tulący się pod powłokę krakowskiej patyny, gdyby nawet przybyli do tego grodu z najczerwieńszego gdzieindziej środowiska. Poza tem była masa żydów i ogrom czarnej, wynędzniałej, schorowanej nędzy, świat, złożony z typu »całuję rączki«, zgiętego tak, iż nosem się podpiera, oddychającego zgnilizną suteryn i owych niechlujnych ulic. Przychodnia, który to wszystko bezradnie obserwował, począł rozdzierać smutek. Smutek ów był tak głęboki, że przeobrażał się w nową zdolność, w organ poznania. Lecz owa zdolność pokazywała coraz częściej pęknięcie, którego wzrok żywy za żadną cenę zobaczyć nie chce. Za dnia była robota w biurze renomowanego »mistrza« budownictwa, — wieczorami w rozmaitych »kołach« i »związkach«, lecz w nocy zasiadał przy łóżku nieznajomy doradzca, zły towarzysz, cień przeklęty... Zdarzało się teraz statecznemu budownikowi, że nie mógł czytać gazet, że za nic w świecie nie był w stanie ich otwierać. Czasami znowu trudno mu było mówić z ludźmi. Co do niektórych żywił skryty zamiar, żeby takiego chwycić za bary i trząść póty, ażby mu się mózg do góry dnem wywrócił i oczy zaczęły widzieć. Zdarzało mu się również, czego dawniej nigdy nie bywało, uchodzić przed ludźmi w pola, błąkać się po mokradłach. Zdarzało się siedzieć na górze, dźwigającej kopiec, patrzeć zdaleka na zamglone miasto, na siwe mgły, kryjące odległe szlaki Królestwa, — i całemi godzinami, w głuchej zgryzocie, wewnątrz siebie czegoś płakać...

Do tych udręczeń, przesycających powietrze polskie, dołączyły się biedy osobiste. Po wyjściu z »bąka« Ryszard odebrał na poczcie warszawskiej dwa listy od panny Xenii. Obadwa były szorstkie, puste, lekkomyślne, tam i sam ocukrzone zlekka frazesem kokietującym. Posłania te były tak dalece niczem niezwiązane ze wszystkiem, co stanowiło życie odbiorcy, że gdyby nie owe igły do przebijania duszy, w niepojęty sposób działające, któremi najeżone zostały obadwa liściki, należało tylko uśmiechnąć się i rzucić je w miejsce właściwe. Lecz odbiorca chował je na sercu. Nieraz wśród najgorszych zgryzot życia przytulał do ust i rozgniatał gorącymi pocałunkami opryskliwe i czcze wyrazy. W gruncie rzeczy złośliwa obcość obudwu listów była czynnikiem nie odtrącającym, lecz przeciwnie — porywającym. Znajomość z panną Xenią, jej widok, rozmowy z nią i spacery stworzyły w duszy Nienaskiego jedyny w swoim rodzaju fenomen. Był to świat pogański, jakgdyby ziemia nieznana, wyspa nietknięta okiem i stopą człowieka, gdzie wszystko było bez miary bujne, rozkwitłe, królewskie, dzikie, w rozroście swym i rozkwicie nieprawne, niezgodne z niczem, widzianem dotąd na ziemi. Ten świat stanowił nowość i zupełny przewrót w duszy. Nienaski doświadczał rozkoszy kafra, czy azteka, brodząc na oślep i wbrew wszelkim przepisom rozumu po tym dziewiczym lądzie radości. Żadna na ziemi siła nie mogła go powstrzymać od marzeń, snów i wałęsań się tam, w czarodziejskiem, nowotnem pustkowiu. Czytając listy panny Xenii, przymierał od smutku, gdy zaznaczała w postscriptum, że było jej »troszeczkę« żal porzucać Warszawę, i gdy zarazem głosiła w krótkich słowach uwielbienie dla Riwiery. Któżby uwierzył? — cieszył się jej szczęściem i zabawą, niemal jej tryumfami i powodzeniem wśród tamtejszej »młodzieży« wielkoświatowej. Zdrowy sens, dobre zasady moralne i nieomylne doświadczenie patrzyły na ów daleki brzeg, jako na miejsce zguby jej duszy. A jednocześnie dziki wicher uczuć popychał całego człowieka w obłęd tęsknoty za tamtem wszystkiem, uznanem, jako złe. Kiedy i w jaki sposób dokonywało się to lekkie, niepostrzeżone pośliźnięcie, ten upadek? Jak to było, że człowiek trzeźwy, świadomie zaciekły w swych zdecydowanych wierzeniach, rozumny i wytrwały stawał

się antytezą samego siebie? Dość było rozwianego już niemal zapachu perfum, który się unosił z kartek listu... W uszach rozlegał się niejasny szum muzyki, grającej na krańcu ziemi. W sercu rozniecał się pół-ból, pół-rozkosz. Ona ze wszystkiem złem, które ją otaczało, przeistaczała się w zaklętą siłę — i właśnie dobra. Wszystko gasło i przemieniało się w żal, w cmentarzysko, w ruinę. W tę stronę, gdzie była, leciały oczy i nieustanne chore westchnienie.

Jednego dnia, późną jesienią w Krakowie przyniósł mu listonosz znowu pismo od tej panny. Było to już trzecie z rzędu, a stanowiło odpowiedź na długie epistoły, pełne entuzyastycznych wyznań, na kowadle rozumu młotem uniesienia kutych przekonywań, nawołujących do kultu cnót społeczeńskich. List był, jak tamte, niedługi, kpiarski, łobuzerski, a w gruncie rzeczy niegodziwy. Cynizm bezczelny i zwycięski już przez samo postawienie rzeczy wiał z tych dwu zapisanych stroniczek. Panna Xenia drwiła sobie zdrowo z wyrażeń »narzeczonego«. Mówiła mu prosto w nos, że nie ma wcale zamiaru wracać do »kraju«, do »ojczystej« Warszawy. Oświadczała, że woli raczej zostać kokotą w Nicei lub Marsylii, niż wrócić do dawnego życia koczującej panny, bezdomnej dziewicy, która latami czekać musi na zmiłowanie się jakiegoś oblubieńca! Co do owych wielostronicowych przekonywań z jego listów pisała, że możeby już lepiej te wszystkie obowiązki sam pełnił i wszelkie wielkie misye sam wykonywał, gdyż ona do tych mądrości nie ma zdrowia i zaciekawienia.

Istotna treść tego pisemka była tego rodzaju, że Nienaski uczuł się jakby spoliczkowanym. Z drgającym wciąż podziwem, który dochodził aż do zadławienia się ścisłością cytat, sprawdzał napisane raz, drugi, trzeci... Poczem zmiął kartkę i poszedł w miasto. Ten głupi list w złowrogi sposób rozszarpał w nim wszystko. Jakby przez szkła powiększające widać było poprzez niedorzeczne słowa rozwydrzonej panny istotę życia, prawdę usiłowań, niewątpliwy stosunek rzeczy. Nienaski znagła, jakby teraz była na to pora,

zadał sobie pytanie, co robi na świecie, co robi ze swem życiem, które jest jedno, a uchodzi, — »*fugge tuttavia*«... Cóż wynikło z zamysłów sprzęgania dzisiejszego życia polskiego z życiem Francyi ludowej, Włoch i Anglii, bijących taranami wielkich, wciąż wzrastających ruchów robotniczych? Tam »tajne brzemię lat« w boleściach i męczarni »wydaje płód«, który staje się cudem i »rozraduje świat«... Tu, w Galicyi i Poznańskiem przemysłu niema, więc z jakichże elementów składać »syndykaty«? W Królestwie są robotnicy różnych zawodów, lecz znowu związków zakładać nie wolno. Wzamian tego jest nieco sklepików »chrześcijańskich«, szumnie i z przesadą zwanych »kooperatywami«..

Cóż wynikło z zamysłów budowania świątyni dzisiejszego świata pracy nowoczesnej »Notre-Dame« ludu, kościoła, który przecie miał być poczęty w duchu i stworzony, jako pomnik i świadectwo tego wieku? Owszem, — robi się w biurze karyerowicza, »mistrza« na Galicyę i Lodomeryę, wyliczenia i rzuty na willę mechesa, zbogaconego w szwindlach, dokonanych właśnie na »ludzie«. Willa będzie w stylu »włoskiego odrodzenia«. I owa aryańska wieża, — wstrzymajcie się od śmiechu, miłosierni! — więcej »literatury«, niż kamienia i cementu. Cóż z projektowanych spojrzeń na całość polską w pomyśle »socyologii praktycznej«? Tworzą się w Galicyi stowarzyszenia i spółki do popierania przemysłu, po trzy tegosamego zakresu i gatunku na każdą partyę, ażeby każde miało lokal, prezesa i urządzało w trzecim terminie, bez względu na ilość zgromadzonych, zebranie dla stwierdzenia deficytu i nieobecności członków. — Zupełnie, jak w paryskiej kolonii. — Przemysłu, handlu, intenzywnej pracy zbiorowej — ani za grosz. Lud po staremu wielką rzeką płynie w poszukiwaniu »kominów«, uchodzi z ojczyzny, ażeby wykonywać wśród obcych najcięższe, najostateczniejsze trudy, palić się w ogniu wielkich pieców, kopać w najgorszych podziemiach, najzjadliwszymi gazami oddychać, zarabiać na chleb w warunkach ostatnich, bez opieki, bez znajomości języka, w pogardzie.

Nienaski szedł właśnie ulicą świętego Jana i patrzał na lśniące bajoro, oddawna nie zamiatane, gdy żebrak na rogu zaułka wyciągnął doń rękę, owiniętą w skwawioną szmatę. Skrwawiona

była, najpewniej, umyślnie dla tem większego efektu i łatwiejszego wyzysku przechodniów, spieszących do modnych cukierni.

— Ja jestem jakiś »socyalista«, czy »radykał«, a może »mason« — i dlatego to wszystko odczuwam — błoto, skrwawione podstępnie gałgany, suteryniarskie życie, choroby i tym podobne galicyjskie efekty. Urodziłem się, widać, z socyalistycznym defektem. Inni ludzie mają przecie dobre serca i tęgie głowy, a wcale tego wszystkiego nie biorą ani do serca ani do głowy. Mają jasny i dobrotliwy pogląd na życie, wysnuty z tychże widoków. Nie doznają żadnych spazmów, ani palpitacyi serca, — są silni, potężni i weseli.

Tak rozmyślał Nienaski. Postanowił jednakże oderwać się i odłączyć od tej siły i wesołości w mieście Krakowie. Niezdrową wzgardę czuł do ludzi, zajmujących się w Polsce sztuką, a nadewszystko — literaturą. Przywidziało mu się, iż ta literatura usiłuje podsunąć, wydać za żywioł i prawo rozwoju — popęd do zgnicia. Przywidziało mu się nadto, że literatura w Polsce jest to narkotyk usypiający, najdoskonalszy środek do zalewania umysłów odwarami zastoju, niemocy, upadku, znikczemnienia. Wspominał z wewnętrzną pasyą »*Existence*« Francis Jammes'a i głęboko żałował, iż niema tutaj wśród tylu »piór« ani jednego, któreby uwydatniało tę »egzystencyę« z genialną potęgą tamtego. Śmiech budziła w nim mania srok literackich, wydziobujących zewsząd na świecie kamyczki, guziczki, łebki gwoździków, haczyki, kółeczka, ząbki, kłębki »kierunków«, a przedewszystkiem nazwisk, — znoszących to do kupy, ażeby olśnić ogromem błyskotek »kultury« siostry sroki. Im więcej świecideł wykradnie i ułoży dana sroka, tem jest godniejsza podziwu, admiracyi i sławy. Te srocze kupki na nic tu są nikomu nieprzydatne. Istnieją same dla siebie, — kupki dla kupek. Przechwalają się tą literaturą pawiopapugi, a niema na całym jej obszarze ani jednej książki, którą możnaby dać do przeczytania bezstronnemu i czującemu człowiekowi z zachodu. Bo którąż to książkę podać? Wyszedłszy z ulic miasta, Nienaski zabrnął na wzgórza. Tam usiadł i, podparłszy głowę pięściami, przypatrywał się światu. Na błoniach biegały ćwiczące się gromadki młodzieży. Zarysowywał się w oczach

równy, daleki łuk Rudawy, obwałowanej i wpuszczonej do Wisły. Stały w oczach różowo-żółte frontony nowych gmachów naukowych, kliniki i instytuty wyższe. Wszystko to, — nawet nieliczne kominy fabryczek, skupiające kapitaliki i nędzeczkę, nawet leniwe obmurowania Wisły, — zaprzeczało rozpaczy, roiło się przed smutkiem, jako niby znak życia. Lecz doświadczenie znało już miarę i cenę tych zjawisk. Jeden wyraz nasuwał się wciąż, jak złośliwemi ustami szeptany, — wyraz: nawóz! Nawóz dla przyszłych ludzi, dla niewiadomych polskich następców, dla innych czasów. Prace ospałe, zaczyny chwiejne kurzyły się daleko. Czy przyjdzie kiedy wiosna? Czy będą kiedy ludzie tutejsi pili i jedli w wolności i weselu? Dziś było łatanie, reparowanie, wywożenie śmietników, osuszanie błot, robociarstwo bezimienne, pocichu, małym groszem, żeby się zaś głośny entuzyazm o tem nie dowiedział i nie wywołał licha. Ryszard patrzał w daleką nizinę, w zagłębie krakowskie, w prastare osiedzisko chrobackie. We mgle marzenia widział je pokryte czarnem budowaniem wież od sztolni weglowych, zespołem kopalń, kominami fabryk, łańcuchami osad robotniczych... Osaczały oto prastary Kraków, rodzica polskiej potęgi, jak okiem sięgnąć, ze wszech stron. Skupiały siłę ludową, wychodzącą z wioszczyn, dawały bezrolnej i małorolnej nędzy w ręce pracę, zamożność, wiedzę, siłę i moc pospólną a niezgłębioną do walki o wszystko wydarte. To było miejsce, gdzie cała Polska winna była oddawna zbić się w jedno, zewrzeć w sobie i przeciwko całym Niemcom, tyle potężnym, tyle mądrym, tyle zawziętym i tak niezwalczonym uzbroić w pancerz miedziany i w chełm bojowy. Tu wbić była winna w ziemię wszystek pieniądz swej przebogatej magnateryi, wszystką wiedzę swej inteligencyi, wszystką pracę swej chłopskiej młodzieży, najwytrwalszej na świecie, — jakgdyby nanowo Chrobrego żelazny słup. Śniło się, że oparta tutaj o nieprzebrane bogactwo swej ziemi, o swój chleb, swoją sól, swój węgiel i kamień, uzbrojona w wiedzę, w pieniądz, odkarmiona po tak długotrwałym głodzie i chłodzie, wyszła z tego zagłębia na Niemców, wszystko zrabowane z pazurów im po kolei wydzierać. Stał w marzeniu Kraków przyszły, brukowany, jak Florencya, zachowany, jak Norymberga, nowy i wciąż rosnący, jak

Warszawa, siedlisko nauk i sztuk, osaczony zalewiskiem fabryk, a piękny w swej prastarości, jak tylko on jeden...

To było w marzeniu. Świadomość perswadowała zbyt nieomylnie, żeby jej nie wierzyć, iż magnaterya polska nie da ani szeląga na stworzenie przemysłu wokół Krakowa. Toby wzmocniło lud, podźwignęło stan robotniczy, pchnęło na obszary galicyjskie kwestyę socyalną. Raczej przeszkodzić wszystkiemu! Raczej sprzedawać w ręce Prusaków bezcenne tereny węglowe, gdyż oni kupują je na to, żeby ten przyszły rozwój zatamować i zniweczyć dla dobra śląskich kopalni. Magnaterya zatrzyma podawnemu góry swego złota w bankach angielskich i zagranicznych. Niemcy przyjdą po resztę tej ziemi, wykupią przyszłe tereny pracy polskiej, osiądą pradziadowisko chrobackie i w niewolnika, w liberyjnego lokaja swej potęgi odzieją i zamienią mieszkańca tych wszystkich Czarnych-Wsi.

Patrzał w ohydny los swój, — źdźbła tlejącego w tym polskim nawozie. Czyn, — to znaczy spalić się, jako źdźbło, wespół ze wszystkiem, — przemienić się w ciepło, któreby ogrzało tę zimną, martwą, opuszczoną ziemię.

Ukazywała się prawda pierwsza... Nie wykupi już nikt ziemi polskiej, którą nabyli cudzoziemcy od polskich panów. Blizko pięćkroćstotysięcy morgów sprzedano jej w poznańskiem. Chwiał się byt Macierzy Śląskiej, oczywiście, dla braku funduszów. Ażeby powstrzymać jej upadek, trzeba było sześćdziesięciu tysięcy koron. Opodatkowywali się ze swych pensyek nauczyciele gimnazyalni, profesorowie uniwersytetów, składał swój grosz robotnik i chłop śląski. Przyszedłże którykolwiek z tych, co za sprzedaną ziemię i przyszłość polską otrzymał stos pieniędzy, — z pokutnym darem, dla odkupienia dusz ludzi od niemieckiego nabywcy? Uderzyłoż współczuciem dla Polski którekolwiek z tych zdradzicielskich i kamiennych serc?

Ukazywała się prawda druga. Żelazne pierścienie kolonii niemieckiej osaczyły już Gniezno i Poznań. Przychodzi kolej na Kraków. Tutaj zostanie wbity żelazny hak tej kuny! Cóż na to może poradzić samotny niewolnik? Jęk bólu, to jedyna jego pociecha, jedyna ulga w tej gorzkiej mądrości po szkodzie.

Ukazywała się prawda trzecia. Już nikt nie wykupi przestworów ziemi ze skarbami węgla, którego starczy na pięćset lat dla zaspokojenia potrzeb całej Austryi. Już nikt nie podejmie i nie stworzy pierścienia pracy polskiej, świadomej i potężnej, mądrze zaczętej i planowo wykonanej na pokolenia, jak to czynią Anglicy i Niemcy. Cóż ma za prawo do mieszania się w te sprawy samotny niewolnik? To sprawa panów i ich własności.

Ukazywała się prawda inna, ów organ, który kulturę polską miał pchnąć w ciemne miliony chłopstwa... Gdyby i dziś znaleźć organ taki, z łona społeczeństwa dobyty, gdyby, jak ongi Żółkiewski, wyżebrać, wyściskać z kolan, jak dziś Osuchowski wymodlić i wyskamlać organ taki, to ktoś potężniejszy, niż zbiorowy entuzyazm, przeciwko niemu skonfederuje się z kim trzeba i przy obcej, zawsze chętnej pomocy wszystko zadusi.

Skąd wziąć te siły, żeby z ich pomocą przedsięwziąć najważniejszą z prac, tę, której konieczność tkwi, jak drzazga z oszczepu wroga w rozdartym boku, — walkę o człowieka nędzarza, o zasłonięcie prześladowanego, o podźwignięcie wdeptanych w ziemię przez buty bogaczów? Jaką siłą i mocą złączyć szlachetnych w ojczyźnie w wielki obóz defenzywy narodowej i ofenzywy społecznej? Tyle już było doświadczeń, tyle nędzarskiej krwi, łez, hańby, zdrady! Męczeństwo i szpiegostwo, przegrana i głos podłości, oszukańczy, udający, jakby nie wiedział, iż to jest walka o świętość, — przelatujący od krańca do krańca pisarstwa polskiego... Zapomnieć, że mkną nocami pociągi, wiozące lud z kraju do Oświęcimia, polską siłę, która daje się dobrowolnie Niemcom! Zapomnieć, że nocują w polach, czekając na łaskę przepustki na owe »Saxy«, na łaskę, która, — o, hańbo! — społecznym jest zyskiem polskiego narodu! Do pioruna z tem wszystkiem! Uciekać! Uchodzić dokądś, jaknajdalej!

Zatopić się, — ależ tak! — w marzenia, właśnie w marzeniach żyć, oddychać, widzieć i słyszeć! Do dyabła z tą cuchnącą rzeczywistością! Z tą mocną i wesołą siłą bajora! Być bohaterem i oddychać »bohaterszczyzną«! Paść duszę widokami bezgranicznymi! Dzień, dwa, trzy, cztery widzieć tylko świat swój, we-

wnętrzny. Pracować w duchu, jak cyklop, — stwarzać pracę i wiedzę dla tysięcy, — dawać ze siebie jak ze źródła, wodę życia milionowi! To śmieszne! To — patos! Ależ śmieszne dla stu tysięcy kup żywego robactwa! Śmiej się, kołtunie, który się nazywasz tak, czy inaczej, który tworzysz politykę, sztukę, literaturę!

Ścigany przez takie myśli, uciekł z miasta. Przerwał roboty, spakował tłomoczek wędrowny i pojechał w stronę gór. Nie zatrzymując się nigdzie, kupił w sklepiku podgórskim żywności na kilka dni i ruszył sam. Szedł bezdrożami, zrazu wśród dolin, wzgórz i lasów, po grzebieniach osypisk, między ściany skał, których przezwisk nie znał, — ścieżką, co sama jedna z nim pozostała. W dolinach mżył i zacinał deszcz, wałęsał się gęsty tuman. Wysoko leżały już płytkie śniegi i ścieżka raz wraz pod nimi ginęła. Umiał ją jednak znajdować i doprowadzony został do schroniska w pustkowiu. Drzwi nie były zamknięte — i miły był wygwizdanemu przez życie chłód ścian wygwizdanych przez najwścieklejsze wichry. Narąbał w pobliżu gałęzi, rozpalił ogień i zgotował wieczerzę. Zawarł drzwi i poszedł spać, nim noc zeszła. Samotność stała się nie tylko ujściem z wszelkiego smutku na świecie, jedynym przesmykiem, który jeszcze dokądś prowadził na obraz owej ścieżyny w górach, — lecz także nieodzowną koniecznością, pewnym rodzajem odwetu. Nic w duszy nie zetlało i nie zgasło, lecz można było na wszystko miotać przekleństwa z wyższa, z wysoka. Słuchał, jak wiatr górski, waląc się z gór w doliny, bije w ściany, siepie się z dachem i gwiżdże w węgły, — jak się zaczepia o rysie, podsadza, żeby dźwignąć przyciesi i chce precz stąd wymieść to ludzkie sklecenie. Była w tem rozkosz, że tu już niema innych zamysłów, skleceń, wysileń, — i że choć jedna w Polsce moc, moc wichru się objawia. To też sen stał się twardy, jak u niemowlęcia po długim krzyku.

Nienaski miał zamiar siedzieć w tem schronieniu dłużej, lecz nazajutrz piękne słońce cichego ranka wywabiło go z chałupy. Skoro świt, poszedł dalej, to znaczy wyżej. Chciał odbyć wycieczkę i wrócić na noc w tosamo miejsce. Lecz nie znał ścieżek i przesmy-

ków, które zresztą schowane były pod śniegiem świeżo nawianym. Sunął po wierzchu starych zwałów, po zlodowaciałych skorupach, rąbiąc stopnie, gdzie było stromo. W południe szczelinami międzyskalnemi wyszedł między wysokie wierzchołki. Trudno już było wrócić tąsamą drogą. Wahał się, co robić, lecz w gruncie rzeczy był zadowolony. Chcąc się ratować, wstępował wyżej. Trafił na jakoweś rąbania po skałach i szedł za nimi. Pod zachód słońca znalazł się niemal u szczytu granitowego trzona turni. W pobliżu rozpadliny, w której głębokości taiło się dzikie, czarne jezioro, trafił na skalną pieczarę. Była to wnęka w litej ścianie góry na jakie pięć kroków głęboka i mająca ze cztery łokcie wysokości. W tej grocie mogłoby znaleźć nocleg pięć osób. Przemokły powyżej kolan, ziębnięty i strudzony wędrowiec wstąpił do tej koleby z uczuciem ulgi. Chroniła od wiatru i zrywającej się raz wraz śnieżnej zamieci. Pośrodku widać było ślady węgla. W głębi pod ścianą leżało ścielisko z kosodrzewiny. Ryszard narąbał jej gałęzi, które skąpo wprawdzie, lecz jeszcze tam i sam świstały w wichrze po szczelinach granitu, i z trudem rozpalił ognisko. Nakładł w kociołek lodu ze śniegiem i zgotował ukropu. Posilił się tem, co ze sobą przyniósł. Poczem wyszedł na zrąb skalny i patrzał w oślepieniu zachwytu na jezioro w przepaści. Leżało w dookolnych skałach małe, przedziwne, odmienne, powab w dzikości, słabość w przemocy, niebiańska lutnia, upuszczona z wyżyn. Wiatr mknął po jego barwie, przebierał łagodne fale i szorstkie, szarpane piany, uderzał w szczerby skalne i wiekuistej ciszy gór grał na tej lutni pieśń o wiekuistej odmianie. Ciemne mgły zasłaniały je grubą oponą. Podmuchy zawzięte niweczyły jego kolor, by za chwilę odlecieć i znowu ukazać się oczom. Z głową o kamień opartą włóczęga przypatrywał się, jakoby wewnętrznemu widokowi, wodzie w otchłani. Pewna myśl padła weń z tego widoku, — czy sama ze swej, wiecznie żywej przyczyny. I to samoswoje w górach jezioro nie było obrazem martwej wody... Było nieme, obojętne, piękne, dalekie, jak tamta... Niby przez szybę przeźroczystą tej zobaczył, jak tamta jest z kimś inszym, nieznanym, niewiadomym, jak oczy jej patrzą w czyjeś oczy, a uśmiech w czyjś się uśmiech zatapia...

Gdzież to jest, gdzie się to dzieje? Poprzez tyle ziem, gór rzek, narodów, usłyszał głos jej i śmiech... Patrzał wskróś tego szkliwa rozpaczy — i przybliżyło mu szkliwo na jedno mgnienie źrenicy widok twarzy. Przez szczęsną chwilę oczy pełne smutku i zamyślenia spojrzały w jego oczy. Usta o barwie wiosennej róży uśmiech duszy, — skarb jego serca, — odsłoniły. Wyciągnął ręce z obłędnym krzykiem... Wiatr latający po dolinach i szczytach rozwiał obraz. Bielmem ślepoty zawlokły się przenikliwe oczy. Daremnie szukać upartemi myślami zwiewnego przywidzenia! Pod nawisłą powieką inny snuje się widok. Długie ulice Paryża. Rojowisko wielkich bulwarów, natłok ludzki bez początku i końca. Słychać głosy, ochrypłe nawoływania, wrzaski i szepty, szlochy i śmiechy. Niegdyś... W dżdżystą i wietrzną noc ten nad uchem zasłyszany błagalny jęk smutnej ulicznicy:

— *Viens chez moi... Cheri! Ecoute... Je serai bien cochonne... Viens chez moi...*

Poczęło wyć bezrozumne, wewnętrzne zwierzę obłąkania. Czyliż dopuści Bóg? Jej młode oczy, jej czyste serce! Czyliż zdrowie i radość, bijące z wiecznie nowego źródła młodości zamienić się mają na ten błagalny głos? Jakaż siła powstrzyma dziewicze męstwo, hazard niedoświadczenia, wytwór okrutnych młodych lat? Zawichrzył się obłęd żalu, ogarnąwszy wszystkę skrytą piękność tamtej duszy, — jej czułość i delikatność, bogactwo słodkiej opieki, co się nad szczęśliwym, jak niebiosa roztoczyć mogła. Ta świadomość, która jest tylko umysłem, mówiła: — Chciałeś duszę niepodległą i niepojętą, rosnącą w siłę i dzikość, posiąść i okiełznać? Chciałeś pognać zwyciężoną chimerę tam, dokąd wola? Chciałeś wprządz do pługa na polskim odłogu cudownie piękną strzygę nocną, która z pomiędzy gwiazd wytrysła i w promieniach księżyca zbiegła ku ziemi? Przekupniu idei, wracaj ze swą uzdą do pustej stajenki i powieś się na uzdy rzemieniach!

Splotły się dwie przegrane, dwie niemoce, jak dwa rzemienie, w warkocz kańczuga. Poczęła nimi przeklęta moc rznąć poprzez ślepie. Aż wygoiła przecie łzy! Zlatując niżej, niżej i aż na samo dno głębokiej niedoli, wędrowiec postrzegał jedno, że złą wybrał

drogę, gdyż nie było na niej poratowania. Wisiał nad nicością, sam zwolna przekształcając się w lity kamień, w skałę nędzniejszą od tej, na której leżał, bo przegryzioną od żalu. Lecz to szczęście istnienia, które jest wyższe nad umysł, jak anioł bezsenny czuwało. Ocuciło myśli rozpierzchłe, podźwignęło głowę zwisłą, jak bulwa kamienna. Westchnienie ku czynom nowym zastąpiło bezsiłę w sednie woli. Pewien widok niejasny, zdjęty z niestałości zjawisk, zarysował się w przstworzu wyobraźni. Pewna jakość zamiaru, ni to łyk powietrza zdrowego w zatęchłym lochu, wzmocniła duszę. Człowiek jak ze snu twardego podźwignął się z krawędzi skalnej. Cofnął się w głębokość jaskini. Zzuł buty do cna przemoczone, suszył mokre szmaty i odzież nad węglami, które już okryła opalowa perzyna, rozcierał zdrętwiałe nogi. Jakże to długo leżał na urwisku, skoro gałęzie na popiół zetlały! Błękitny, wysmukły pień dymu z przygasłego ogniska płynął do góry.

Przed nadejściem nocy Ryszard zrąbał nowy zapas gałęzi i świeżą ich warstwę rozpostarł, kładąc trzonki nazewnątrz a spławy ku środkowi na dawnem posłaniu w głębi koleby. Było wzniesione nad granitowym poziomem, dość wygodne, sprężyste i uginające się pod ciężarem. U wejścia do groty rozpalił duże ognisko, a gdy się utworzył stos węglowego żaru, zostawił na noc niezgaszony. Zawinąwszy się ciasno w okrycie, z torbą pod głową, w przenikliwem zimnie zadrzemał.

W głębi nocy przeszyło go gwałtowne uczucie. W stopy nóg, pomimo iż były zwrócone do tlejącego ogniska, wbijał się co pewien czas długi sopel, ostry kolec lodu. Po każdem jego wrażeniu się w głębokość pięt następowało wtargnięcie do organizmu śmiertelnego lęku, popłochu obcego całemu krwiobiegowi i wszystkim pracującym spokojnie ośrodkom nerwowym. Włókna mięśniowe skręcały się ruchem gwałtownym i trzęsły od skurczów. Wszystka cielesność doświadczała rozpadu niejako na dwie połowy. Myśl wytryskująca z mózgu była, jak błyskawica płochliwa, przez mgnienie nad otchłaniami. Nienaski wciąż spał jeszcze, a raczej nie mógł się ocknąć, choć czuł, że dzieje się coś złego. Zdało mu się, że jest nad morzem w Normandyi, w rybackiej chałupie. Przywidziało mu się,

że jakowaś ciemna zmora siedzi w nogach posłania, między stopami a ogniem.

— *Frisson!* — jęknął, tuląc się w sobie i z odrazą patrząc na gościa.

— Tak. To ja! — odrzekł tamten. — Widzisz. Przyszedłem.

Ryszard poczuł w sobie zemdlenie wszelkiej siły, strach, dygotanie serca, duszność. Przychodzień wbił nanowo szydło lodu w obie pięty z kolei. Poleciało mroźne zimno wzdłuż lędźwi, rozgałęziło się szybkimi w ukos promykami po krzyżu, mknęło po skórze czaszki. Każdy włos na głowie drżał z trwogi.

Ryszard zapytał, dzwoniąc zębami, zwijając się w kłąb tak, że kolana dosięgały nosa, — wśród drętwienia członków:

— Czego chcesz?

— Przyszedłem do ciebie. Chcę ci poświecić latarką.

— Widzę!

— Świeci się w kościach twej czaszki. Prawda? Widno?

— Błyska się.

— Jak po błyskawicy w ciemną noc, widać, co gdzie jest. Prawda?

— Już ciemno.

— Szkoda, że prędko gaśnie! Lecz cóż począć? Tak zawsze — im większe światło, tem krótsze.

— Kto ty jesteś?

— Sam mię nazwałeś. To ja, Wielki Dreszcz, nauczyciel prędkiego i dokładnego spojrzenia.

— Puść mię!

— Gdy odejdę, osieroci cię jedyny przyjaciel, nieomylny tłómacz. Co jest złem jedynie, co pod różnymi pozorami w złe się obraca, znowu będziesz poczytywał za to, czem nie jest. Znowu będziesz wierzył w święte swe głupstwa.

— Opuść mię!

— Tyleś śmiesznie przecierpiał! Szkoda cię. Zadużo śmiechu spłodziłeś. Zadużo było śmiechu za twemi plecami, gdyś się odwrócił.

— Śmiech czy pochwała dla mnie jednaką ma wartość. Czyniłem dla swej wewnętrznej potrzeby.

— Ach, wspomnij tylko wszystko! Czyż wszystko dla wewnętrznej potrzeby? Zaświecę ci, żebyś dobrze przypomniał! Cokolwiek wszcząłeś, przecie się w proch rozsypało. Z uciechą po prochu deptali ludzie. Wejrzyj w środek każdego zdarzenia. Sprawdź! Ilekroć co »dobrego« wszcząłeś, dla nich, dla braci, cóż zostało »dobrego«?

— Dobre było to, co leżało w mojej duszy. Łzy szczęścia głupoty, gdym dobrze czynił.

— Czyliż jeszcze nie masz dość tej nędznej, nędznej uciechy, egoistycznej samoobłudy, baranku na kwietnej łące, który słuchającym w półokrąg wilkom wieścisz w zachwyceniu o cnocie wstrzemięźliwości? Wejrzyj na ich czyn, na istotę sprawy, — nie na twój zysk duchowy, na twą cnotę, którą się cieszysz nie gorzej, niż wilk zasyceniem głodu, gdy rozdziera wieszczącego baranka!

— Jużem widział i wybrałem śmierć. Widzisz, że jest jeszcze ta pociecha.

— Ja wiem. Patrząc na twój niemy trup, przemoc z dumą zarzuci gronostajowy płaszcz na ramię. Moc i sława jest przeciwko krzywdzie i prawdzie. W biały dzień dokonywuje się »bezprawie«. »Dana jest szatanowi wszystka moc i sława królestw świata, a komu chce, dawa je«. Tak się spełniło. Śmiej się — i wstań! Zaświecę ci... Wstań!

W istocie straszliwe światło przeleciało w mózgu, w szpiku pacierzowym, w kościach nóg i rąk. Wszędzie na powierzchni skóry drżało, jak drobne odpryski żywego srebra. Śpiący szamotał się, zbierając swe męstwo cielesne. Borykał się z mrozem w samym sobie. Zaciskał zęby, żeby się nie dać uwieść. Chciał wyplunąć w ślepie poszeptnemu niemoc swoją. Lecz on, zgadując zamiar, rzekł:

— Śmierć? Zobacz złe w samem sobie. Zobacz śmierć!

Ścisnęło się serce, jak mały ptaszek pod listkami gałęzi, gdy strzela piorun, z trzaskiem walą się gromy, migota jasna błyskawica, a wielkie sosny w drzazgi się sypią. Przypadł na duszę postrach ostatniej minuty, przed którego wysłowieniem język zamiera.

Cuchnący smród własnego zgnicia zadławił wszelkie czucie. Zgasło spojrzenie, patrząc na niebyt. Żal bezsilny zatrzepotał się nad nicością i runął w cuchnącą rozpalinę pod sobą:

Wylew potu, zrazu skąpy, później obfity coraz bardziej, ocucił ciało. Odeszła zmora. Nastał głęboki, twardy, niewidny sen.

Nazajutrz Ryszard obudził się dopiero wtedy, gdy jasne słońce zaglądało do wnętrza. Głowę miał ciężką i bolesną, w oczach piasek, w pulsach pęd krwi, duszność w sercu. Leżał bezwładnie, przypatrując się myślom nowym, które się nastręczały licznym zastępem. Rozważał:

— Czemuż to światu, bogaczom polskim, narzucać to, co jest widziadłem mojej tylko duszy? Jeżeli chcę mieć świat takim, jak chcę, powinienem uczynić go takim, jak chcę. To nieprawda, iż go takim uczynić nie można! Powinienem narzucić mu się na tyrana, odcinać z ramienia łeb hydrze, ciągnąć wszystko w kierunku swoim.

I jeszcze:

— Jeżeli świat jest tak zbudowany, że na jego powierzchni może istnieć prawnie miliarder obok i na karkach miliona nędzarzy, to czemuż nie korzystać z tego sobaczego bezprawia? Czemuż nie staję się miliarderem i nie walę mych bogactw w kupno ziemi poznańskiej, w tereny krakowskiego węgla, ażeby je posiąść i darować na wieki tym, do kogo należą? Dziesiątki tysięcy szkół mogę trzymać w dłoni swojej i mogę słyszeć na Śląsku śpiew polski setek tysięcy dzieci mego narodu. Są do wykonania czyny Chrobrego, czyny Kazimierza króla i Stefana wodza! Jest do zmycia hańba, są do rozsunięcia granice Polski, jak daleko jej duch sięgnie!

I jeszcze:

— Żebrać? Żebrać u tych nikczemnych? Żądać bez skutku wyrzeczenia się bogactw od tych? U nich skamlać o miłość dla kraju? Patrzał w myśl nową, — zdobycie olbrzymiej fortuny, — i śmiał się ze siebie do rozpuku. Oto dokąd przyszedł! Istna jaskinia waryata. Co lepiej? Zamknąć swą duszę na rygle w celi kryminału, zacząć być Deperdussen'em, panem Granowskim w Paryżu, iść na giełdę w Wiedniu, między sługusów kapitału? Czy rzucić się z tej skały w wieczną ciszę nizkiego jeziora?

Gdy słońce wytrysło z poza szczytów, zwlókł się ze swego legowiska i szukał w popiele węgli jeszcze tlejących. Odnalazł je i rozdmuchał. Zimno zewnętrzne, przenikające aż do kości, i wewnętrzny mróz febry zmusiły go, — gdy trawy i nikłe kosówki już w okolicznych szczelinach były wytrzebione, — do zniweczenia własnej pościeli. Jednę po drugiej przenosił gałęzie i palił na stosie. Gdy się dobry ogień rozniecił, mógł przygotować jaką taką strawę. Spożywszy ją, wyjrzał z pieczary. Czarująca pogoda stała nad niezliczonymi szczytami, nad czarną pianą granitów. Dzikie, potargane okrucieństwa i klęski stały się tego poranka łagodnemi formami radości. Niebieskawa pół-mgła przyprószyła dalekość. Młody śnieg, który był przysuł góry, gasł w słońcu. Czarne ramiona, żebra i biodra skał zrzucały ze siebie lekką jego bieliznę. Sinemi barwami nakryte były przepaście. Po gzemsach wysokich granitów, po ich zrębach, uskokach, schodach, piłach, po bukietach nastrzępień, piór i zębów podniebnych sunęły teraz złote listwy i linijki słonecznego blasku. Zsuwały się zwolna, coraz niżej, aż zawisły nad ścianami stromych ścian, gdzie błądziły potężne widma, kształty niewiadome, czy cienie kształtów. Od połysku słońca coraz czarniejszy był mrok w szczelinach między górami.

Gdy Nienaski zapatrzył się w ów świat, myśli jego popadły w kluby i łożyska, któremi płynęły od najwcześniejszego dzieciństwa. Łaskawy, dobrotliwy obłęd... Ujrzał znowu swoją drugą istotę, innego siebie. Jak zawsze, tamten był wyższy, doskonały, czynny. Gdy rzeczywisty doświadczał, łamał się i płakał, — tamten drugi nie płakał nigdy, albowiem wiedział i czynił. Był to władca świata i władca dusz, krytyk, nauczyciel, rzemieślnik. Był odkupicielem, wodzem i twórcą szczęścia na ziemi. On to zabudowywał wybrzeża Baltyku i Polskę całą, niweczył chałupy i stawiał domy. Niszczył choroby i wznosił kościoły ludzi zbratanych, wolnych, potężnych i pięknych. Znajdował środki, które rujnują królestwo szatana. Przeżył straszliwą chwilę Hunna, patrzącego na zniweczony Babilon podłości. Zużytkowywał siłę morza, rozpętanego w burzy, które się pieni nadarmo, i moc wiekuistych rzek, które płyną bez użytku. Uprawiał role rozczynami nieznanych materyi, iż dawały podwójny uro-

dzaj. Mocą wynalazków rozwiązywał kwestyę głodu i bogactwa, ułomności i piękna, rozumu i głupoty. Niszczył walkę i wskrzeszał religię przez zdruzgotanie podstawy grzechu bratobójstwa. Te myśli, czyli »marzenia o cudzie«, a najwłaściwiej »mrzonki« były w istocie snami duszy o Bogu, przebywaniem u podnóża na Jego wysokościach. Wykład tego gaworzenia duszy, która się spowiada samej sobie, nie wiedząc, co i po co czyni — jest tu na nic. Jednak obraz duszy człowieka, z pominięciem wykładu tej świetlistej filozofii, jest niewidoczny, zamazany, ułamkowy, niezupełny i chybiony. Wykład o tej duszy, bez ujawnienia tamtej wiedzy wewnętrznej, jest jakgdyby rysunkiem futurystycznym bez wyjaśnienia i wykładnika, co oznacza intenzywność barw, dziwactwo, nagromadzenie i szorstkość kształtów. Wszystko, co wykwitło w myślach Ryszarda, tak zwanych, trzeźwych, i wszystko, co się objawiło w uczynkach, było tylko odgłosem tamtego, nigdy nieprzerwanego snu. Jego prace były jedynie strzępami tamtych prac, wdrapywaniem się kaleki na szczyty tatrzańskie. Pasye i wysiłki całego życia okazywały się, jak rysunek nieudolny, wykonany przez głuptaka i nieuka, zachwyconego arcywzorem malarskiego tworu. Wszystko »tamto« było zawsze oczywiste w biały dzień, zrozumiałe i napozór blizkie, jak łańcuchy Tatr o tym poranku. Uczynki wykonane były w istocie nędznym noclegiem w pieczarze, gdy febra trzęsie i rozpacz pcha, strudzone ciało. Teraz przecie, gdy cichemi oczyma patrzał w nawałę górskich potworów, zabiegał tamtym myślom naprzełaj i samemu sobie zadawał nagle pytanie: czyli ów wieczny sen życia o geniuszu, o mistrzu dobroczyńcy we własnej utajonym duszy, nie jest codziennym objawem tajnego instynktu arystokracyi gminno-człowieczej? Nie mógł przed samym sobą zaprzeczyć, że w nienasyconem pragnieniu narzucenia ludziom szczęścia, w pasyi wytępienia chorób, łez, prześladowań, zbrodni, barbarzyństwa, w żądzy zdławienia przemocy i jej ofiary — niedoli, — kryła się w głębi duma, czaił głód istotnej a wiekuistej sławy. Musiał dostrzec tę prawdę, bo instynkt arystokracyi dawał się przecie widzieć, nie tylko tam, gdzie się objawiał, jako śmieszne głuptactwo kodeksów towarzyskich, z racyi urodzenia lub bogactwa ukutych, lecz i tam także, gdzie się krył, —

więc w manifestach komunistycznych, co wywyższały pracowników, dziś poniżonych, kosztem panów i bogaczów, którzy strąceni zostaną w przepaść i okryci wzgardą wieczną. Instynkt ten ukazywał się wyraźnie i wszędzie. W formie nadętej pompy można go było widzieć przecie, gdy usiłuje ukryć swą nagość szatą wzniosłości u uczonych, artystów i poetów, którzy metody swego tworzenia poczytują za nieomylne, za jedyne i doskonałe, a dzięki ich zażywaniu panoszą się ponad czernią i przeciwnikami. W postaci zrozumiałej był u wynalazców, gardzących wszystkiem, co było. W formie podniosłego samotnictwa przejawiał się u duchów płonących i niespokojnych, co to potępiają leniwców i ospalców, siebie i pasye swe z wyniosłą dumą obnosząc wśród tamtych. W postaci ordynarnej był u ordynarnych bałwanów świata, którzy pielęgnują w sobie tępy kult swojej osoby, swych nałogów, nawyków, prawd uznanych i obyczajów, zbijają się w bandy, kliki, grupy, spółki, żeby uprawiać arystokratyzm bytowania, zasiadania i leżenia. Najwyraźniej instynkt ów jaśniał u bandytów, zbójców i łotrów, gdy pokazują i wywyższają swe szelmostwo ponad zbrodniczość skrytą, lub małej miary i gdy z męstwem proklamują na szafocie wielkość swego cynizmu. Pospolity arystokratyzm widać było u ludzi wszelkiego rodzaju szybkiej karyery i fachowców uprawnionego próżnowania, którzy głęboko gardzą światem podwładnym, pracującym i twórczym. U »panów«, z których każdy w tej, lub w innej zagadkowości dewizy gotów jest twierdzić o sobie: »*Roi ne puis. Duc ne daigne. Rohan suis*«. U kupców, wywyższających się ponad przeciwników. U przemysłowców, u wszelkiego rodzaju specyalistów, gardzących dyletantami. U łyków, brzydzących się chłopami. U chłopów, mających w głębokiej wzgardzie »kaszkieciarzy, łyków i gulonów«. U egoistów, drwiących jawnie, lub obłudnie z tkliwców. U miłosiernych, którzy głęboko i świątobliwie potępiają grzeszników, albo się nad nimi z wysokiej góry swej doskonałości dobrotliwie litują. I tak bez końca. Lecz Nienaski widział również, że sformułowanie siebie i człowieka, jako arystokraty, jest błędne. Kto utworzy sylogizm z takim wynikiem, nie zna człowieka, z pod którego stóp wytrącony został podnóżek prawa do bratobójstwa. Dla tego też i swe nieprze-

rwane widzenie rzeczy zbawienia miał prawo traktować nie jako pospolity pęd arystokracyi, lecz raczej, jako ogień duszy, dążący w górę, a raczej, jako życie naturalne tej duszy. To przestrzeganie metod, przebiegu i fenomenów zbawienia świata za pomocą narzuconej siły, środkami gwałtownego przymusu, przygotowanie i wykonanie przebicia złego osinowym kołem, dawało mu chwile szczęścia wyniosłego ponad wszystko, obłąkanego w sobie, euforii niebiańskiej.

Po tym dniu tak ciepłym przyszła niespodzianie noc straszliwa od rozbestwienia burzy, ciskająca między łańcuchy granitów bałwany śniegu i zamurowująca wszelki przesmyk zwałami. Zapałki zwilgły, wyczerpała się żywność i spirytus do maszynki. Wicher wtargnął do pieczary i śniegiem zniweczył wszelki ślad ognia. Nazewnątrz koleby trzeba było trzymać się rękami garbów skały, żeby się nie dać piekielnym podchwytom tej tatrzańskiej wszechpotęgi. Czołgała się chyłkiem z węgierskich dolin i, wpełznąwszy na szczyty, jak upust otworzony spadała w próżnie dolin, z których passat północy wyssał niemal wszystko powietrze. Tam w dole były to wystrzały ciepłego wichru, który się w locie swym z wyżyny gór na dno długich dolin ogrzewał. W górze, na przełęczach był to huragan śmiertelnego zimna. Zatuliwszy się w najgłębszą szyję koleby, Nienaski doczekał późnego świtania i postanowił uchodzić. Tę ciężką sprawę przedsięwziął nie bez myśli o możliwości katastrofy w zaspach i lawinach. Szedł w lotnej perzynie śniegu, niemal fijołkowego koloru, do pasa, a nieraz po pachy w nim zanurzony, szukając nogami znajomego gruntu. Około południa wybrnął z koliska skał i dotarł do bocznego grzebienia, który wrastał w gołogóry, lecz w niższej swojej postaci był już gąszczem kosodrzewia i lasem niskich świerków okryty. Włóczęga mknął coraz śmielej, kijem szukając gruntu.

Było pełne południe, gdy zbiegł w leśne regle, szarpane od wichru, lecz jakże zaciszne po tamtem wiatrowisku, skąd przybył!

Osypiska skał były odarte ze śniegu, który za to sąsiekami uwalił się dookoła świerków, miotanych na wsze strony od burzy. Ryszard, nie wiedząc nic o drodze, ani nawet o kierunku, brnął środkiem lasu, gdzie było najzaciszniej. Niespodzianie na stromem zboczu puszcza się urwała. Na tym skraju leśnym byli ludzie. Jedni z nich ścinali olbrzymie smreki, sędziwymi obczepione porosty, — inni odziabywali gałęzie zwalonych pniów. Ci darli korę z trzonów, a tamci spuszczali białe ciała drzewne z pochyłości spadzistej, dołu, ku jakowejś drodze w nizinie. Górale, pracujący w tej porębie, były to chłopy wysmukłe, mocne, zwinne. Zdawało się, że wicher dodaje im życia, a zimno ognia. W krótkich, bez rękawów kożuchach, odętych śniegiem i obmarzniętych wzdłuż futrzanego obramienia, w kierpcach i onuczkach do cna przemoczonych, w obcisłych portkach, mokrych do kolan, zwijali się, jak półdyabla między pniakami, kurząc swe krótkie, ale za to cuchnące fajeczki. Siarczyście mocny zapach »chabryki« rozchodził się daleko po lesie, fruwał wraz z poświstami wiatru, a nosił nad dolinami. Widok tych ludzi był dziki i okrutny, jak same góry. Praca ich ostra, chropawa i sroga, jak nieprzejednane turnie i krzesanice, a piękna, jak górskie jeziora. Patrząc na nich zdala, Nienaski, nie wiedzieć czemu, myślał, że taksamo musieli wyglądać, tak wychodzić z lasów na wroga, takie mieć mniej więcej wojenne statki żołnierze Mieszka i Bolesława Chrobrego. Tak tam musieli iść z puszcz, żeby się pierś o pierś szarpać z Niemcami, zakutymi w żelazo...

Gdy się ku nim zbliżył, ciekawie go oglądali, cepra, co sam, w taki czas szedł z wyższa. Zimno dyabelskie na spółkę z wiatrem nie dawało tu stać w miejscu. Trzeba było albo robić na rozgrzewkę, albo uchodzić do jakiej dziury, gdzie się dym kurzy. Wędrowiec nie miał nic, czemby mógł poczęstować tych ludzi. I oni nie mogli mu niczego użyczyć, prócz dobrego słowa i wskazania drogi. Tak się też tam rozstali. Poszedł, według ich rady, na lewo, głębią lasu. Trafił na zapowiedzianą perć między korzeniami — i zmykał w dolinę. Wnet w zboczu skalistem znalazł coś w rodzaju drogi, szlak dwukołowy w głazach. Było tam ciszej od wiatru, za zwartym, wysokim lasem. Droga zbaczała na prawo i na lewo, wciąż stromo

spadając z góry. W pewnem miejscu znowu wtargnęła w las głęboki i rzuciła się jeszcze bardziej spadzisto ku rzece, daleko kędyś w głębiach boru szumiącej. Wśród drzew, między któremi ta kamienista perć się kryła, Nienaski usłyszał uderzenia młota, czy siekiery. Poszedł naprzód i zobaczył przed sobą człowieka, rozbijającego złomy kamieni, przegradzające tę drożynę. Człowiek ów tak był pogrążony w swej pracy, że przechodnia nie dostrzegł. Walił w głaz z ramienia, olbrzymiemi ciosami, z dołu — w tył wyrzucając stylisko i łbem młota zakreślając wielkie kręgi. Był to starzec o potężnej, niemal olbrzymiej postawie, rozrosły, jak buk. Kręte, siwe włosy głowy i gęstej brody wysuwały się kłębkami z pod czapki z grubego sukna w kształcie czepca, wdzianej na głowę i uszy. Na sobie miał długą, rudo-szarą sukmanę z najordynarniejszego sukna, którą na biodrach przepasał postronkiem; — na nogach buciska z twardego juchtu, jakie noszą polscy chłopi w dolinach. Rozchełstana sukmana ukazywała oszewkę zgrzebnej koszuli, rozerwaną, czy rozpiętą dla łatwiejszego w pracy oddechu. Gdy Nienaski zbliżył się do tego kamieniarza, tamten spoczął z rękoma wspartemi na stylisku. Przypatrywał się. Krople potu spływały z jego czoła na policzki.

Zastanowiło Ryszarda spojrzenie tego człowieka i jego potężna twarz. Teraz dopiero zauważył, że to jest zakonnik. Starzec przywitał go łagodnem skinieniem głowy i uchylił się z grzecznością, żeby zrobić miejsce dla łatwiejszego przejścia. Ale Nienaskiego coś zatrzymało przy tym starym człowieku. Było bardzo przyjemnie patrzeć w jego wielkie, siwe oczy, w twarz cichą a niezgłębioną, obcą przecie zupełnie, pierwszy raz widzianą, a tak nadzwyczajnie bliźnią. Coś zagadał do tego pracownika o zimnie, wietrze, drodze, o tem, jak się idzie do wsi najbliższej...

Zakonnik odpowiadał spokojnie i uprzejmie. Udzielał objaśnień i ściśle informował, jakie jest najbliższe przejście, — językiem prostym, a przecie zdradzającym staranne wychowanie. Wędrowiec prosił go o pozwolenie wytchnięcia przez chwilę na sąsiednim kamieniu. Starzec oczyścił ze śniegu ów kamień połą habitu i przypatrywał się twarzy przechodnia. Po pewnym czasie odezwał się:

— To pan na naszą pewnie z węgierskiej strony?

— Nie. Ja tu w nasze góry chodziłem.

— Zły czas na góry. Zawieja, bezdroże, bieda.

— To też z wielką uciechą patrzę na drogę, co ją brat muruje... Bo z zakonnikiem mam honor?...

— Ja tu z pobliskiego klasztoru. Samem zaś tylko tyle, że człowiek z tego klasztoru.

— Sam tu brat tak się oto mocuje z tymi głazami?

— Siły we mnie dość, trzeba ją przecie na coś wydać. To się też bierzemy za bary ze skrzyżalami.

— I któż mocniejszy? — uśmiechnął się Ryszard.

— Mocniejszy? Juścić zawsze człowiek. Ale i one mają w sobie nie lada władzę.

— I dawno już brat tę drogę prowadzi?

Zakonnik uchylił się i kaszlał, jakgdyby nie dosłyszawszy pytania. Nienaski zrozumiał, iż nie należy pytać go o to. Spojrzenie w dół ukazało mu znaczną nową przestrzeń płaskiemi taflami wybrukowanej drogi, aż do zakrętu. To też nie dopytywał się więcej.

Zakonnik, dla odsunięcia tej kwestyi, począł mówić:

— Wyżej, w skałach wiatr musi być srogi.

— Bardzo.

— Przepraszam, że się przymówię niepytany. Pan z gór wraca w taki czas, a odzienie przemoczone do pasa. Czyby nie pospieszyć do wsi, żeby zaziębienie nie chwyciło?

— Już chwyciło, więc wszystko jedno. Wnet pójdę, tylko żem i ustał trochę.

— A czy też, czego Boże broń! nie z osłabienia, albo głodu?

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to i to się przyczyniło.

— Mam ci ja tutaj kromkę... — westchnął troskliwie starzec, — ale to bardzo a bardzo prostackie pożywienie.

To mówiąc, poskoczył żwawo ku sąsiedniemu drzewu i w obudwu dłoniach przyniósł coś zawiniętego w białą, zgrzebną szmatę. Była to skiba czarnego chleba i róg zeschniętego sera. Nienaski zaprzeczył ruchem głowy.

— Jakto? Mam bratu zjadać pożywienie przy takiej robocie?

Nigdy! Gdyby brat każdego włóczykija, co się w górach wałęsa popróżnicy, pasł swoją racyą, toby i robota ustała...

— Już ja tam z moją tuszą obstoję. Jest z czego chudnąć. Niech-że też pan nie pogardzi, choć to i czarny... Wjeść się, to on dobry naprawdę! A co do sera, to drugiego tej smakowitości na świecie nie znajdzie.

Było coś pociągającego w tem zaproszeniu. Poprzez duszę Ryszarda przemknęło się i zgasło ni to widzenie i odczucie troskliwości matki, ni to żywa jawa opieki ojca. Wzwyczajony do stołowania się w jadłodajni, do płatnej usługi, lub zdawkowego, towarzyskiego ugrzecznienia, przez chwilę czuł tchnienie i woń miłości. Pomyślał, a raczej czuł, w głębi siebie ojca i matkę. Zakonnik swemi wielkiemi rękoma rozłamał partykę chleba. Skóra tych rąk od roboty w kamieniu zgrubiała, jak jucht, a spękała się i łuszczyła, nie inaczej, niż kora starego drzewa.

Mówił wesoło:

— Żeby żadnej krzywdy i racyi do wymówek nie było, — po sprawiedliwości. Tu chleba tyle, tu tyle. Tu sera tyle, tu tyle. Będzie zgoda?

— No, musi...

Spożywali w milczeniu dziwnie — przedziwnie dobry chleb i ser, aż do ostatniej kruszyny. Wtedy zakonnik znowu troskliwie zagadnął:

— Moja rada — nie zwlekać! W tak przemoczonem odzieniu nie strzyma! Ziąb chwyci, dreszcz opanuje — i bieda!

— Jabym już może i wytrzymał teraz, bo najgorsze ziębienie przeszło, żeby mi oto brat dał się rozgrzać.

— Gdybym to mógł czem! Nic tu nie mam! Na miły Bóg! Taka rzecz, jak przeziębienie, to gorzałki tęgiej kieliszek, — choć to i grzech, a przecie — jedyne! Ale tego tu u nas ani zbyli! Chybabym zbiegł w doliny do propinacyi, ale to będzie tam — nazad godzina czasu. Nadto niemam rozkazu takiej rzeczy użebrać, a grosza przy duszy nie posiadam, jako klasztorny człowiek...

— Et, tam wódka! Gdyby mi brat pozwolił młotem popracować z godzinę, tobym się może i rozgrzał...

— Młotem? — zaszemrał starzec między zdumieniem a radosnym uśmiechem. — Jużci on tam grzeje najtężej, to jest święta prawda, ale ja nie mam prawa młota odstąpić. Starsi mi nakazali robić, to muszę już ściśle, bez wyręki.

— Starsi? — uśmiechnął się Nienaski.

— Takie prawo!

— Jeżeli tylko o to idzie, to już ja winę i karę wezmę na siebie. Jestem warchoł i ze swego warcholskiego urzędu sprzeciwiam się wszelkiej starszyźnie. Powie się, żem bratu przemocą z rąk młot wydarł, a to będzie szczera prawda, bo tak właśnie czynię!

To mówiąc, pochwycił w ręce stylisko i z dziwną rozkoszą zaczął walić z ramienia w głaz najbliższy. Wnet granitowa bulwa rozpadła się na kilka odszczepów. Stary pracownik patrzał z uśmiechem i mruczał:

— Przecie nie tak szparko, bo ramię stanie.

— Brat jest, z wymowy sądząc, Litwin chyba... — mówił Nienaski w chwili spoczynku.

Kamieniarz przestąpił z nogi na nogę i zasromał się niezgrabnie. Gdy mu ten wyręczyciel w pracy podawał rękę do uścisku, wyciągnął swoją nieśmiele i nieumiejętnie. Widać było, iż zupełnie już odwykł od tego towarzyskiego gestu.

— W klasztorze zapomina się, skąd tam kto... — rzekł cicho.

— Tu przecie las, nie klasztor. Ja się nazywam Ryszard Nienaski.

Wielki starzec jakoś śmiesznie przykucnął i kiwnął się, wymawiając swe światowe nazwisko:

— Na świecie niegdyś... nazwisko... Wolski. Ksiądz zawieszony w urzędzie, włóczęga... Tu mię odróżniają od innych imieniem Tytus.

— Bracie Tytusie...

— Zaszczytby to był dla mnie być bratem zakonnym w regule, ale nie jestem. Przepraszam, że sprostuję...

— Jakże mam mówić?

— Tytusie... — pouczył go starzec ze słodkim naciskiem.

— Niby tak wprost: »Ty Tytusie«... Jeżeli mi, Tytusie, będziesz mówił po imieniu, — Ryszardzie, — dobrze. *Si non, — non!*

— Nie mam na to prawa, ani pozwolenia.

— W takim razie stanie na dawnem: bracie Tytusie... A brat mi będzie mówił: »bracie Ryszardzie«...

Zakonnik nic nie odrzekł. Pokornie milczał. Ale to jego milczenie było raczej protestem, niż zezwoleniem. Ryszard chciał nanowo zabrać się do roboty. Ów Tytus wskazał mu oczyma bryłę okrągłą, zapewne przez lodowiec przed niezmiernością czasu w tem miejscu zostawioną. Z westchnieniem nadmienił, iż tę trzeba zepchnąć na drogę i łupać. Przystąpili do niej wraz i podsadzali się obadwaj. Ale głaz był olbrzymi i wrośnięty w ziemię. Dźwignęli go znowu ramionami i ruszyli z miejsca. Starzec sapał. Nienaski był tak blisko, że niemal słyszał, jak w tem mocnem ciele tętna biją. Czuł w przeczystem powietrzu odór jego potu. Znowu mętne wspomnienie z dzieciństwa wionęło niby prędki sen. Jakiś czas wiosenny, na wsi. Wieczór się zbliża. Łagodny, błękitnawy zmierzch nad nieskoszonemi łąkami. Kwiaty, trawy... Smolichy, złocienie, liliowe dzwonki, miodownik, mietlice... Szumią wody dwu żwawych rzeczułek, pędzących od pogródek i upustu czarnego młyna. Nieznany, krępy wieśniak, Józef Michta, kosi pierwszy w tych trawach. Śmieje się do »paniczka«, ostrząc błyszczącą kosę, czemsi mu grozi. Zmierzch coraz gęstszy. Zapach tamtejszy... Oto wziął Józwa paniczka na ręce, posadził na prawej, a w lewej niesie kosę błyszczącą. Tak ciemno, że ledwie to ostrze widać... — Jeszcze też paniczek nie był w chłopskiej garści — he? — powiada z udaną grozą.

Tensam to zalatuje odór potu i tasama znowu śmiesznie dziecinna miłość człowieka... Gdzieżeś to teraz, Józwa? Gdzieś ty, błękitny, woniejący, czarodziejski dzieciństwa wieczorze? Przewinęło się widzenie. Znikło.

Jeszcze raz podparłszy wantę ramionami, stoczyli ją na drogę. Tytus obtarł pot z czoła i twarzy szczerze po chłopsku, rękawem koszuli.

— Sambym jej nie był dał rady... — wyznał z upokorzeniem.

— Dźwignię trzeba mieć, drąg żelazny!

— Gdzież tu i do czego takie słowo »dźwignia« przypasować? Drąga żelaznego mi nie dają. A dla czego? A dla tego, że niema. Brat przełożony sam żebrał, kołatał w sklepach. Obiecują. I tak w koło. A ja rękami spycham. Spychać spycham, ale rzecz wolno idzie. Mówią dzień dnia, że na wielkie śniegi droga ma być het precz gotowa, bo będą bracia drzewo na zrąb wozić. Ja robię. Żebym to miał tę pańską »dźwignię«!

— Gołemi rękami, toby tu przecie sam dyabeł nie porozszczepiał tych głazów.

— Lepiej takiego słowa nie wymawiać... — z łagodną naganą rzekł Tytus.

— Bo brat pewnie i wierzy w istnienie dyabła...

— Święci pustelnicy, którzy nie mieli na duszy żadnej krzywdy, którzy odpokutowali najdrobniejszą zmazę grzechu, wierzyli, że on czyha. Cóż ja? Proch...

— Ale czy brat sam wierzy?

— A pan?

— Musiałbym chyba dostać jakiego obłąkania. Pocóż zresztą? Dość popatrzeć na niewzruszone złe przez wieki i na wieki między ludźmi ufundowane, na nikczemne krzywdy, które człowiek stwarza i nazywa cnotami, na podłości i oszustwa, z których bezczelne a wieczyste prawa są ukute... To wszystko zbieram w jedno i nazywam szatanem.

Zakonnik surowo milczał. Wyniosła groza jaśniała w jego bladej, stężałej twarzy. Głosem cichym, a pewnym i mocniejszym, niż najdonioślejszy krzyk odezwał się:

— Bóg czuwa nad światem.

Nienaski zwrócił się ku niemu i gadał:

— Czytałem wykaz, że w jednem tylko niewielkiem mieście angielskiem dwadzieścia tysięcy rodzin posiada do spania jedno tylko łóżko. Dzieci śpią ze starymi. Państwo, do którego należą te rodzinne łoża, pokonało lądy i wszystkie tafle wód nazywa swoimi, a więc mu nie brak pieniędzy. Zagarnia pod swe stopy koczowników, rybaków, pasterzy, rolników, białych, czarnych, żółtych... Ten tryumf, ta wiekuista pycha, flegma, spokój — i dzieci rzucone na

łup grzechu, zbrodni dorosłych, — nie jest to oblicze szatana? A w Krakowie! Policya podgórska w trakcie »obławy« znalazła w cegielni Płaszowa śpiących jedenastu chłopców, w wieku od dziesięciu do czternastu lat. Chłopcy ci byli włóczęgami, a za miejsce noclegu obrali sobie cegielnię. Spali w komorze obok pieców, w śmieciach, poprzykrywani łachmanami. Po przesłuchaniu kilku z nich aresztowano za kradzież. Resztę wypuszczono na wolność. »Na wolność«. Słyszysz, ludzki gatunku, — na wolność? A w Warszawie! W dzielnicy za-łazienkowskiej...

Tytus posłusznie kiwał głową i pochylał się korpusem ciała. Twarz jego była blada i ruchoma. Każdy gest Ryszarda, każde słowo jego uniesienia odbijało się w nim i wyrażało, jakgdyby w lustrze. Oczy potwierdzały przytoczone wersye, usta naśladowały ruchy ust tamtego w sposób dziwnie posłuszny. Zdawaćby się mogło, że to ciało samo powtarza ruchy duszy, która jest nazewnątrz, a wcieliła się w osobę drugiego człowieka.

— Bandy wyrostków, wśród których wszystkie zbrodnie świata szerzą się, jak płomień, a mają w sobie doskonałość i finezyę nauki! Nory mieszkalne, gdzie ludzie czekają śmierci, jako wyzwolenia...

— Chińska dzielnica w San-Francisco... — zaszeptał Tytus. — Raz w nocy, obok teatru bokserów w New-Yorku policya wyrwała mię z rąk chłopców, z rąk dzieci prawie, które, wciągnąwszy mię w zasadzkę... W Paryżu dzielnica za Moufetard...

— To brat byłeś w Ameryce? — zapytał Nienaski.

— Byłem... — odburknął Wolski niechętnie. Jakby dla odtrącenia tej kwestyi, pochwycił znowu swój młot i zaczął pracowicie łupać głazy. Ryszard czuł, że odrywa tego człowieka od drogi spokoju, że go swem gadaniem napastuje, kusi, nęka, nie gorzej od dyabła. Lecz dzika ekstaza trzęsła go bardziej, niż wewnętrzna febra. Oto znalazł nareszcie, pierwszego na świecie, w którym czuł serce, pękające pod słowami bardziej, niż kamień pod młotem. Wiedział, że go słyszy dusza i że temu jednemu wszystko może powiedzieć o swej krzywdzie wewnętrznej. To też ciągnął jeszcze:

— Miliardy macie w ręku, władzę jawną i tajemną, a do cze-

góż ona służy? Wasze tyary, mitry tkane brylantami, wasze kapy, ciężkie od pereł...

Tytus patrzał na niego zgasłemi oczyma, w których malował się głęboki przestrach.

— Jesteście, — wołał Nienaski, — jak owa figa, którą Chrystus spotkał, wychodząc z Betanii, figa, na której, gdy łaknął, nic nie znalazł, oprócz liścia. I przeklął ją, — aż uschła. Gdyby dziś przyszedł na tę ziemię i przemierzył ją swemi krwawemi stopami, widząc was, nie znalazłby nic prócz obfitego i wspaniałego liścia, w którym nie rodzi się już nic dla świata, — powiedziałby wam pewnie taksamo, jak wówczas jej: — »Niech już więcej na wieki nie je owocu nikt z ciebie!«

Tytus uśmiechnął się pokornie i smutnie. Milczał. Jął okrzesywać połupane skrzyżale, nadając im, ile możności, formę płaską. Ryszard odszedł o parę kroków wyżej i począł rozmiażdżać uderzeniami głaz większy od poprzedniego.

Szybki zmierzch górski zapadał, przyspieszony przez zwały chmur, gnanych przez wicher. Pociemniały dalekie szczyty.

Z mroku odezwał się Tytus:

— Już pora zejść z roboty.

— Prawda, — już ciemno.

— A możebyście, pomocniku miły, zechcieli wstąpić i spocząć pod cieniem bogatego liścia owej »przeklętej figi«?

— Gdzeż to?

— Niedaleko stąd, w klasztorze.

— Dziękuję. Muszę się osuszyć, ogrzać, wyspać, gdyż czuję w sobie jakąś niemoc, może chorobę.

— To właśnie miałem na myśli, ogrzać się i wyspać...

— A do wsi stąd daleko?

— Kawałek drogi spory i żmudny.

— Gdybym dostał w waszym klasztorze jakietakie legowisko...

— Nie odemnie to zależy, ale się wstawię.

Szli przez głębię leśną w mroku, zupełnym już omackiem. Wicher huczał górą po szczytach drzew, a w dole lasu ciągnęło ciepło, jakby oddech zagrzany. W ciemności Tytus mówił:

— Szukałem i ja na nędze świata sposobów. Kołatałem, może nawet biłem we drzwi pięściami...

— Doprawdy?

— Podnosiłem ów głos zuchwałego bólu, który w pańskich słyszę żądaniach.

— I cóż? Nie przedarł się ten zuchwały głos przez bagnety żołnierzy, które strzegą dostępu do ucha namiestnika Chrystusa na ziemi?

— A czyż gdziekolwiek na ziemi lepiej? Wódz niemieckiego socyalizmu, August Bebel, umierając, zapisał milionowy majątek swemu spadkobiercy, choć przecie przez całe życie przeciwko takiemu właśnie spadkobraniu wojował słowem.

— Niemiec!

— Niemiec? I cóż to za wytłomaczenie? Krótko powiem: nie znalazłem na ziemi dla siebie innej drogi, tylko tę, na której spotkałeś mię, panie, — i innej roli, tylko tę: tłuc kamienie.

— I to jeszcze nie zupełna prawda! Ktoś »starszy« posłał tam »brata«, na tę drogę, ktoś »bratu« kazał tłuc kamienie.

— Nie. To nie jest tak.

— Jakże?

— Jeszcześ jest, panie, w sile lat. Nie wiesz, co jest zespół myśli, które zostały przeżyte, wyciśnięte z życia. Nie umiem mówić zrozumiale, ani wyraźnie, ani obrazem. W grono tych myśli starych, które rozpacz wewnętrzna pożerała i którą paliła raz wraz widokiem rozpacz z zewnątrz przychodząca, weszła łaska Boga miłości, która jest skarb nad skarby. Pokora.

— A wiem, wiem!

— Panie! Albo wiesz w istocie i wtedybyś od niej nie uchodził naprzód ani wstecz, — albo nie wiesz rzeczy samej, tylko imię.

— Znam jej istotę i, przepraszam za szczerość, — nazwę ją po imieniu. Jest to egoizm. Życie jądra orzecha za skorupą.

— Czyliżby taki owoc wydała ta miłość, z której, jakoby z żywej gałęzi, zmoczonej łzami, wyrosła miłość moja?

Głos ten był spokojny i rozważny, a brzmiał w ciszy lasu, jak skarga bolesna. Nienaski perorował głośno:

— Pewien genialny pisarz Francis Jammes mówi: »Wiara daje mi szczęście, z którem nic na ziemi porównać się nie może, a więc wierzę«.

— Jammes... — radośnie zagadnął Tytus, — ten, co opisał przygodę zajączka ze świętym Franciszkiem?

— Tensam. Wiara daje mu szczęście, a więc wierzy. Gdyby zbytek jemu, lub komukolwiek, dawał szczęście, z którem nic na ziemi porównać się nie może, zbytek byłby dobrem. Nie jestże to egoizm? Jestem w posiadaniu prawdy, gdyż bezpieczeństwo, które stało się udziałem mej duszy, jest tak dobre! Doskonalenie swej duszy, czystość, jasność, ukojenie, spokój, zatoka cicha. Wy pływajcie, nierozsądni żeglarze, po dzikiem morzu, ja stąd, z zatoki mojej spokojnie i z modlitwą na ustach oglądać będę wasze błędne drogi na grzbietach szalonych fal. Jeżeli który pochłonięty zostanie, jego to wina. Czemuż do zatoki cichej nie zawija?

— Bóg, który wszystko waży i pamięta, dał mi w niezgłębionem miłosierdziu swojem łaskę ujrzenia męża, co duszę swoją położył w dzieło prawości, co się mocą wewnętrzną wydźwignął ponad moc szatańską...

— Jest taki? Któż to?

Zakonnik umilkł. W ciemności słychać było jego niezgrabne stąpanie, iście dziadowski chód — i głos uprzejmy, kiedyniekiedy udzielający rad:

— Tędy... Na prawo... W lewo się teraz weźmy...

Nienaski szedł na oślep, nic nie widząc. Nareszcie w szczerym lesie i zupełnej ciemności dały się słyszeć głosy, rżenie konia, szczekanie psów. Wicher przygłuszał te dźwięki. Raz zdawało się, że przylatują zdala, to znowu były tuż, jakby o parę kroków. Raptem przed oczyma Ryszarda zjawiły się wysokie masy ciemności jeszcze grubszej, niż leśna. Wpatrzony w nie, rozpoznał kształt dachu. Po chwili, idąc tuż za zakonnikiem, minął bramę i znalazł się na dziedzińcu, otoczonym ze wszech stron. Można to było dostrzec, bo w jednej połaci tego okólnika, w jakiemś podcieniu, którego strona wewnętrzna była otwarta, świeciło się. Duże ognisko ukazywało wnętrze tej budowli i znaczną część podwórza. Ludzie snuli

się żywo i na wsze strony dookoła ognia, biegali wewnątrz. Ktoś prowadził za uzdę rosłego konia. Żywe i ogromne oczy zwierzęcia, wpatrzone w daleki płomień, lśniły jak brylanty, a nozdrza raz wraz wydawały płochliwe chrapanie. Dziedziniec był niewielki. Stajnia mieściła się obok ludzkich części osiedla, gdyż wszystko było razem, po chłopsku. Tyle w tem wnętrzu sprawiano ruchu i bieganiny, że czyniło to wrażenie tyłów jakiegoś sklepu, składu, czy towarowej stacyi. Brat Tytus przyprowadził Nienaskiego bliżej do ogniska i poprosił, żeby przez chwilę zaczekał. Sam prędko żnikł w najbliższych drzwiach. Przybysz patrzał na ogień z dziwną radością i prawdziwie pożądliwem upragnieniem. Było to palenisko szerokie na kamiennym trzonie, stojącym pośrodku dużej izby z otwartą ścianą. Dym wywalał się popod dach i płynął w górę, jak szeroka, wywinięta fala. Nad ogniskiem wisiał na tęgim haku wielki żelazny kocioł, a w nim perkotała głośno jakaś strawa. Człowiek w takiejsamej, jak Tytus, zakonnej sukmanie i z takąż czapką, w kształcie czepca, na głowie, stał przy kotle i sporą kopyścią raz wraz mięszał zawartość. Ktokolwiek przechodził przez tę pół-sień, był odziany taksamo, jak Tytus i ów kotłowy.

— A więc zakonnicy... — myślał Ryszard. Nudziła go ta przygoda. Przewidywał jakoweś nieprzyjemne zetknięcia, może jakie zasadnicze rozmowy. Namyślał się, czyby nie czmychnąć pocichu. Lecz żal mu było owego starca, Tytusa. Został. Wtem z za ognia wyszedł Tytus w towarzystwie drugiego człowieka. Był to starzec, również wysoki i tęgi, lecz inny. Waląc o klepisko tej izbicy kulą nogi przyprawnej, sztykutał ku gościowi. Tytus wskazał mu Ryszarda i nadmienił, że cela obok niego jest teraz wolna, bo brat Nikodem w mieście. Ów starzec patrzał w twarz Nienaskiego. Uchylił swego sukiennego czepka na siwej głowie, mówiąc:

— Prosimy... Tylko, że tu u nas po prostacku. Żadnych wygód. Ledwie dach. Jeżeli łaska, niechże pan wstąpi i ogrzeje się. Ogień jest, łoże jakie ta jest, to jest...

— Dziękuję. Jeżeli w czem nie przeszkodzę, tobym się ogrzał chętnie i wysuszył ubranie.

— Ano ogień się pali...

— Pozwoli brat, że mu przedstawię, kim jestem. Nazwisko moje Nienaski Ryszard, z fachu budowniczy.

Stary zakonnik podniósł głowę i jakoś z góry patrzał na tego gościa. Wargi jego szeptały:

— Nienaski, Nienaski... A czy przypadkiem nie pana Olesiów syn?

— Mojemu ojcu Aleksander było na imię.

Mgła zadumy głębokiej przyćmiła stare, niezłomne oczy starca.

— Olesiów... — szepnął do siebie, kiwając głową. — Panie mu świeć, żołnierzykowi! Czysty był, wesoły. Nic ta brudnego nie poszło za nim...

— To brat znał mego ojca?

Zakonnik nie odpowiedział. Senne jego wejrzenie spoczywało na Ryszardzie, gdy od niechcenia pytaniem pytanie odparł:

— A dziada pan nie pamiętasz?

— Nie.

— A matka żyje?

— Matka moja dawno umarła.

Starzec począł śmiać się dziwacznie, częstotliwie. Gadał między wyładowaniami niemiłemi owych chichotków:

— Dusze czystych chodzą za nami, koło nas. Ani ta kto wie, gdzie go duch pamiętny pośle. Jak ten Oleś z Sybiru wrócił, była tam jedna pracownia, gdzie my się spotykali. Przelotnie, przelotnie, bo ta ja wtedy byłem w smutku. Dyabeł mię pędzał, a nie wiedziałem, jak się obronić. Działy się rzeczy koło mnie, we mnie, ze mną... Wszyscy się śmiali. A on się wtedy nie śmiał ten pan Oleś... Może i wiedział, że gdym był słaby, wtedym się stawał mocny...

Śmiejąc się do siebie, zakonnik odszedł i znikł gdzieś w ciemności. Ryszard zawiesił płaszcz na drągu, który był blisko ognia, ściągnął przemoczone buty i podsunął je ku palenisku, — sam wreszcie począł się opiekać ze wszech stron. Wnet ubranie dymiło się i schło forsownie. W trakcie tego miał możność przypatrzenia się strawie w kotle. Były to ziemniaki oskrobane, gotujące się na zupę »kartoflankę«. Warzono jej dużo, jakby dla stada ludzi. Do kaduka!

jakże pachniała owa kartoflanka... Zdawało się, że smak tylko dla kosztowania tego specyału istnieje, a kiszki tylko na taką zupę czekały od dawna. Ludzie w bezbarwnych habitach i sukiennych czepcach, przepasani postronkami, od których ku ziemi zwieszały się węzły różańców, gromadzili się w tej szopie, przychodząc, widać, od różnych ciężkich zajęć, bo jedni z nich byli ośnieżeni i okryci bryzgami błota, jak drwale, czy kopacze ziemi, — inni wracali jakby od młocki, czy wiania zboża, — jeszcze inni z narzędzami pracy, z heblami, ośnikami, świdrami, siekierami i piłami. Składali swe statki porządkiem wzdłuż ścian tej szopy i zasiadali na ławkach ruchomych w pobliżu ognia. Każdy z nich, wchodząc, pozdrawiał obecnych słowem bożem i zajmował swe miejsce. Wszyscy przelotnie spoglądali na Ryszarda, lecz bez natarczywej ciekawości, raczej w roztargnieniu i jakby przez pomyłkę. On przyglądał się im bardziej pilnie, niż oni jemu. Byli to ludzie najrozmaitsi: starzy i młodzi, o postawach dorodnych i pokracznych. Przeważali jednak jacyś szpetni, ordynarni, pospolici. Możnaby utrzymywać, że w przeważnej większości wyglądali, jak rataje, parobcy, czeladź niskiego rzędu, czasem, jak zdruzgotani apasze, wśród których tam i sam zaplątał się jakiś typ »z wyższa«. Twarze ospowate, czerwone jakby od wódki, obrzękłe, jakby od choroby, porysowane krostami i bliznami ukazywały się z za ognia, gdy nowi przybysze nadciągali ze dwora. Rozmowy wśród nich nie było. Pogwar niechętny, przerzucanie się najniezbędniejszem słowem z musu zastępowało rozmowę. Głód, znużenie i senność malowały się w tych parobczańskich figurach. Zebrani już byli, widocznie, wszyscy, gdy starzec-zwierzchnik, który był niedawno rozmawiał z Ryszardem, powrócił i znalazł się w rzędzie innych. Wówczas jeden z braci rozdał szybko gliniane miski i krótkie warzechy. Nie pominął i gościa. Wszyscy stali w półkole, gdy ktoś w tym tłumie wygłosił krótką modlitwę.

Nienaskiego ogarnęło przelotne wspomnienie kryminału, różnych pospólnych noclegów... Żeby ze siebie to otrząsnąć, zanurzył z kolei po innych warzechę w kocioł i wyłowił pełną miskę kartoflanki. Gonił za gąszczem i sięgał głęboko, czy czasem na jaki kąsek nie trafi. Lecz nic z tej nadziei! Była to w sumie przednia zupa, kaszą

zasypana, w której gdzieniegdzie rozgotowany teraz na dobre grzyb suszony pływał. Bractwo chlipało warzę z wielkim a wielkim apetytem. Świadczyło o nim zgodne prostackie ciapanie wargami. Z pustego kotła buchała ciepła para. Te i owe źrenice pożądliwie przenikały opar, badając, czyby się jeszcze drugiej półmiseczki nie dało wyłowić. Lecz kocioł był pusty. Ognisko pod nim przygasił brat-kucharz i bracia, pożegnawszy się nawzajem słowem bożem, szybko się rozeszli. Na placu został starzec-zwierzchnik, Tytus i Nienaski.

— Bracie Tytusie, to tam pokażesz Nikodemową celę. Przepraszamy za pościel, której, poprawdzie, wcale niema. Czem chata bogata... Jak to u zakonników... A przecie daj tam opończę do okrycia. Rzeczyby najlepiej zostawić przy kominie. Choć ogień zgaszony, to i tak wyschną do rana. No, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków... — rzekł brat Tytus. — Prośbę mam...— westchnął natrętnie za odchodzącym.

Starszy zadarł głowę według swego zwyczaju i patrzał uważnie na petenta.

— Cóż tam powiesz? — spytał.

— Chciałem jutro zrana godzinę, a jeśli będzie łaska, to i dwie porozmawiać z gościem naszym.

Przewodnik zamyślił się. Jego zgrzybiała, siwą szczeciną obrzucona, przepotężna, iście lwia twarz, o wyrazistych oczach zwróciła się w stronę obudwu. Świdrował Ryszarda nawskróś oczyma. Potem przyparł Tytusa:

— Cóż cię tak znowu znagliło?

— Muszę się rozmówić.

— Znowu cię nosi?

— Lękam się, że mię poniesie, jeśli wszystkiego nie usłyszę i sam, własną mocą nie odeprę.

— Śmiesznyś ty wciąż dla mnie, stary dzieciuchu! Pana Jezusa może oburącz trzymać za stopy, a on rozmowę musi staczać z przechodnim panem. Ady gadaj-że, gadaj, — choć i trzy! — dorzucił z gniewnem podniesieniem głosu. Stukając głośno butem zdrowej nogi i waląc w ziemię drugą nogą przyprawną, żelazną,

odchodził w kierunku małych drzwiczek. Przed tem to wejściem zatrzymał się i odwrócił. Stał tam przez chwilę, zwrócony do obudwu wspaniałym profilem. Spytał:

— A pan może i nie chce wcale tej twojej rozmowy?

— Owszem, bardzo o nią proszę... — rzekł Nienaski.

Wówczas stary człowiek machnął ręką. Pochylił się bardziej i zgarbił. Po chwili cichszym i pokornym głosem mówił do Tytusa:

— To mi tam powiesz, bracie Tytusie, jutro, co uradzicie. Bóg z tobą, bracie.

Ryszardowi zrobiło się nieprzyjemnie i wstyd wobec tych starców.

— Przepraszam, — rzekł do przewodniczącego.. — Jeżeli tak... Gdyby ta rozmowa miała stanowić przykrość dla kogokolwiek, to może jej lepiej zaniechać... Nie chciałbym być poczytywany za pyszałka.

— Nic się nie niepokój, dobry panie. Tytus i ja — proch jesteśmy przed Panem...

I znowu ta ich ciągła pokora wydała mu się jakąś odmianą, czy transformacyą — obłudy. Zamilkł. Kulawy starzec odszedł. Tytus poprowadził swego gościa do innych małych drzwi i szedł przodem na ciemne schodki. Weszli na ciasny korytarzyk, gdzie było ciepło, rozchodzące się z niewidzialnego pieca czy komina.

— Oto tu, — rzekł Tytus, świecąc w ciemności siarczaną zapałką. Celki nasze są małe i niskie. Pościeli nie mamy. Ale jest tam opończa brata Nikodema.

Nienaski miał przed sbą otwór nie podobny do drzwi, ani do okna. Była to dziura na połowę wysokości człowieka. Ukląkł tedy na ziemi i wczołgał się do wnętrza. Tytus podał mu stoczek zapalony, lecz prosił, żeby go zgasić, ile możności najprędzej. Nienaski był posłuszny, tembardziej, że głowa go bolała i gorączka darła coraz wyraźniej. Ta sucha cela wydała mu się królewskiem łożem po kolebie w skałach.

Życzył tedy Tytusowi dobrej nocy, zapewnił, iż mu jest wybornie i rozglądał się przez chwilę dokoła. Był w niszy podłużnego kształtu, przypominającej wnętrze trumny. Na długość starczyło

miejsca tyle, co w trumnie, czyli na dorosłego człowieka. Na wysokość było go więcej, bo można było obracać się wewnątrz swobodnie i siedzieć, dosięgając głową powały. Zamiast posłania były w tej celce zwyczajne deski, z deską pochyłą pod głowę. Nie było również okna. Ażeby jednakże człowiek żyjący tam nie udusił się z braku powietrza, przy wezgłowiu belka była nawskróś przepiłowana dwoma ukośnemi rznięciami, a romboidowy jej odcinek osadzony na tyblu, który pozwalał obracać to niby-okno. W razie zaduchu w celi zakonnik mógł odemknąć sobie naraz dwa otwory, popychając ręką ów ukośny kawał belki, który w czasie wielkiego zimna, lub wichru szczelnie do swego macierzystego miejsca przystawał i otwory zamykał. Celę od celi przedzielała ścianka z grubych tarcic. Wszystkie one stanowiły rodzaj pawlacza, wzniesionego w połowie owej izbicy otwartej, gdzie strawę warzono.

Nienaski zawinął się w grubą gunię, czy bundę, którą był znalazł w tem grobowisku, uchylił nieco okienka, żeby mieć oddech na świat... W nocy sypał bardzo gęsty i obfity śnieg, który zalepił otwory w przecięciach belki. Było jeszcze ciemno, gdy w klasztorze poczęto ruszać się, tupać nogami w grubych i podkutych butach, zstępować ze schodków, które trzeszczały, mruczeć modlitwy i śpiewać pieśni. Ryszard czuł wciąż w sobie chorobę, lecz że rzeczy swe przemoczone zostawił przy ognisku, trzeba było w opończy biec po nie na bosaka. Tymczasem z przyjemnem zdumieniem zastał te rzeczy złożone przy wejściu do celki wysuszone do cna i oczyszczone starannie. Wzruszyła go ta grzeczność. Co tchu ubrał się i wysunął nazewnątrz, żeby za nią podziękować, jak się domyślał, Tytusowi. Gdy ze schodków zlazł do dolnego podcienia, zobaczył zakonników, sunących dokądś parami. Zmierzali do małej budowli, która zamykała otwartą przestrzeń. Nienaski wszedł za nimi we drzwi otwarte i spostrzegł, że to jest kaplica. Szary zmierzch przedświtu późnej jesieni w górach jeszcze panował, lecz można już było odróżnić przedmioty. Mało ich było w tej świątyńce. Była to izba prosta, pospolicie sklecona, jak wszystko tutaj. Rzucał się w oczy tylko ołtarz w głębi. Zapalono świece, osadzone w lichtarzach z wycinanemi ozdobami z kolorowego papieru. Wtedy uwidocznił się

obraz w ołtarzu. Był tam wymalowany na płótnie wielki czarny krzyż, a na nim przybite ciało Chrystusa. Nienaski począł wpatrywać się w to malowidło i przyszedł do wniosku, iż jest to dzieło niezrównanego artysty. Było coś nad wyraz prostego, jakby odartego z rzeczywistości, w tem dziele, a zarazem była to pełnia idei, krzyk o męce Chrystusa. Ciało czarne, chude, zabite przez boleść zalewała krew. Zwisająca na bok głowa była jasnym dowodem, żywem świadectwem, czem jest pokonanie świętości na ziemi. Ani jeden rys nie podkreślał w tym utworze realizmu zjawiska, a co w nim było realnego, mówiło o prawdzie męczarni samej w sobie pełnią wyrazu i pełnią poezyi. Gdy słaby blask dnia przedostał się poprzez szyby okienne i wstąpił do tej świetlicy, ukazywała się coraz wyraźniej ta ciężka głowa i jej bohaterskie usta, bolesne, zastygające oczy, a nawet w śmierci pełne świętego uniesienia. Nienaski zapytał Tytusa, który klęczał obok i odmawiał wraz z innymi chóralne modlitwy, — kto malował ten obraz? Wielki kamieniarz wskazał oczyma brata-przewodnika. Ten klęczał pośrodku izby. Z pod zakonnej sukmany wyłaziła teraz jego sztuczna, żelazna noga. Nienaski spytał jeszcze Tytusa, wskutek czego ów brat przewodniczący stracił nogę. Tytus odpowiedział z pośpiechem, jakby dla corychlejszego przerwania tych niewczesnych indagacyi:

— W powstaniu.

Wnet skończyło się krótkie nabożeństwo i gmin zakonny wypłynął z kapliczki. Jedni z braci zabierali ze sobą narzędzia ciesielskie i dokądś odchodzili, — inni poczęli krzątać się około gospodarstwa. Tytus wziął swój młot, mniejszy, kończysty młotek kamieniarski i brnął w śniegu pod górę. Ryszard udał się za nim. Wiatr ustał. Świeżo spadłe śniegi leżały na nieruchomych świerkach. W pałąki gięły się gałęzie od ciężaru grubej okiści. Nieskalane pokłady białego puchu jaśniały w błękitnem świtaniu. Za górami stał już poranek, lecz tu w tej puszczy ledwie — ledwie brzask się niecił. Tytus i Nienaski wyszli w górę do wczorajszej roboty, teraz zasypanej i przykrytej ogromnemi czapami śniegu. Zakonnik zostawił w tem miejscu swe narzędzia i ścieżyną niewidoczną poszedł wyżej, kopiąc się w miękkiej, błękitnawej ponowie. Wszystko powietrze było

tak przeczyste, tak ciche, tak jakoś lotne, iż zdało się, jakoby człowiek był ptakiem... Rozłożyć skrzydła w lodowatej przestrzeni i uchodzić w górę z tej ziemi! Mijali ciche kościoły, — świerki otulone w czarujące kapy z brylantów, — międzydrzewne groty i wnęki, pełne fioletu, pełne fantasmagoryi i snów o dziwach, — kopce, na których czubach spoczywał ledwie dostrzegalny róż zaranka. Nim się napatrzyli i otrząsnęli z zachwytu, z rozkoszy widoku, którą obdarzało to świtanie, las się rozchylił w prawo, rozchylił w lewo. Daleko, w błękitach, które opadały z wyżyn, stały kolosy gór, zasute jasnym, młodym śniegiem. Tytus zatrzymał się i długo patrzył na to nieporównane widziadło. Nienaski przyzostał o parę kroków. Spoglądał na góry, lecz myślał nie o nich. Możnaby powiedzieć, że myślał tym widokiem o zawikłaniu swego życia w życie świata. Co robi na tej ziemi? Czem tu jest w biegu rzeczy?

Wtem starzec, stojący w śniegu, osunął się w ten puch, jakby w nim usiadł. Nienaski dorozumiał się, że ukląkł. W ciszy słyszał jego mamrotanie, radosny, uniesiony szloch:

— Bądź błogosławiony za widok, za widok tej jutrzenki! Bądź błogosławiony za wzrok, niepojętą siłę, — za płuca do oddychania cudem powietrza, — za czystość Twojego ranka dla moich płuc! Dziękuję Ci, iż widzę, jak Twoje słońce wschodzi! O, Boże! Daj mi siłę w rękach, w nogach... Jeszcze, jeszcze! Nie daj mi stanąć! Niech wszystkie oczy ludzkie widzą Twe słońce, niech każde płuca oddychają czystością tego poranka. O, Boże!

Było w tej cichej modlitwie wzywanie tak przejmujące, wola tak niezłomna, miłość tak ekstatyczna, że Nienaski wzruszył się, a nawet wstrząsnął. Przeciw woli swej, — patrząc na tę starość, w której palił się ogień tak żywy, powtarzał płomienne słowa:

— Jeszcze! Jeszcze!

Po długiem milczeniu zauważył, że Tytus wstał z klęczek i schodzi. Rzekł do niego:

— Nie chciałbym narzucać się bratu...

— Broń boże!

— Pragnąłem zapytać o pewne szczegóły...

— Służę najchętniej!

— Brat wspomniał w kościółku, że starzec-przewodnik jest to malarz. Jest to niezwykły malarz. Jakie jest jego nazwisko?

— Niema tu nazwisk, a brat-zwierzchnik nie jest już malarzem. Był nim niegdyś. Dzisiaj porzucił to bawidło ludzi światowych.

— Wielka szkoda! Jest to nadzwyczajny artysta.

— Przepraszam, że się tak wyrażę, ale ta opinia o malarstwie brata starszego, — są to umówione wyrazy...

— Nie będę tego odpierał, bo to nie jest dla mnie ani zasadnicze, ani ważne. Dla mnie jest tak, dla brata — nie.

Oto i wszystko.

— Właśnie... To są umówione wyrazy między pewnemi grupami ludzi. Dodam tylko jedno. Jeżeli brat przewodniczący jest takim »artystą«, jak pan mówi, tem większa jego zasługa, że swój artyzm bez żalu odrzucił. Na żaden już obraz nie spogląda, on, taki malarz, jak to pan mówi. Raz tylko wziął pędzel do ręki, ażeby stworzyć obraz Zbawiciela do tutejszej kaplicy. Umiał malować, więc wziął się do tego. Jedni z braci piłowali deski, drudzy je heblowali, ci robili świdrem, a ci siekierą, ci murowali, a tamci przybijali gonty. Co który umiał najlepiej, albo do czego najbardziej był zdolny — to robił. On umiał malować, więc na ogólne, natarczywe żądanie braci, stworzył wśród twardego postu i żarliwych modlitw wizerunek Zbawiciela. Poza tem jedynem zdarzeniem, już nigdy nie maluje.

— Zakopał w ziemię talent.

— Nie! To, co mogłoby być tylko zbytkiem, uciechą, zabawą, — zabawą wśród tylu nędz! — rozrywką smakosza, przedmiotem martwej kontemplacyi duchowego leniwca — zakopał w ziemię. To, co było istotnie potrzebne, owoc swego geniuszu ukazał w tem jednem dziele. A zresztą — tak uczynił. Poświęcił swój ziemski talent dla Boga.

— Nie rozumiem, czy może być na cokolwiek użytecznem zniweczenie takiej zdolności.

— Powiedział ten poeta, — pan pamięta lepiej, niż ja: »Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy«...

— Zawsze jest czas na żałowanie takiej róży!

— Lasy płoną! — jęknął brat Tytus. Zamilkł w smutku. Słońce coraz jaśniej, widoczniej pozłacało gzemsy ośnieżonych szczytów. Zakonnik, brnąc w śniegu, zeszedł jeszcze niżej, odnalazł pień ściętego drzewa i strzepnął z niego śnieg połą odzienia. Prosił towarzysza, żeby usiadł. Lecz Nienaski znalazł dla siebie głaz, który leżał obok. Wtedy zakonnik usiadł na pniaku. Jego potężna figura podobna była do skalnego złomu. Począł mówić nieśmiało:

— Ciężkie mi pan wczoraj zadał pchnięcie...

— Czemże to?

— Łaskawem twierdzeniem, iż pokora nasza zakonna jest to egoizm. Chciałbym, ażeby pan posłuchać raczył usprawiedliwienia. W krótkich słowach radbym opowiedzieć pewien żywot. Nieudolnym moim językiem radbym wyrazić glossę o pewnem zmaganiu się i walkach życia. A jeśli pan raczy cierpliwie wysłuchać, chciałbym prosić o powtórzenie wyroku, albo o jego odwołanie. Będzie to dla mnie ważne słowo.

— Bracie Tytusie! Mówię, co czuję o ludziach i o sobie, szczerze i otwarcie...

— Rozumiem. Oto ten głos.

— Słucham!

— Był onego czasu człowiek bardzo piękny, dostojny, oświecony i ogładzony w towarzystwie ludzi zamożnych. Urodził się i wychował na pana. Oprócz tego był artystą. Zdarzyło mi się widzieć jego obraz z czasów młodości. To dzieło młodzieńcze nosiło nazwę — »Ogród miłości«. Kto na nie patrzał, musiał pomyśleć o swych latach szczęśliwych, o marzeniach wiośnianych, musiał ujrzeć swą młodość. Jest w tem malowidle jakgdyby młodość wszystkich ludzi na całej ziemi, szczęście porannych dni rodu ludzkiego, w niepojęty sposób zebrane i okazane w jednym widoku. Martwe farby tchną tam widokiem kwitnących drzew, pachną kwiaty... Lecz nie o tem mam mówić. Ów piękny młodzieniec, któremu szczęście dawało klucze od wrótni ogrodu miłości, poszedł z innymi na pole bitwy. Był ciężko poraniony, a nawet stracił nogę.

— A! — domyślił się Ryszard.

— Gdy zaś przyszło nieszczęście najgorsze, najokrutinejsze *vae victis!* — wziął w swą duszę tak dużo pospólnego cierpienia, iż stracił coś więcej, niż nogę, niż część ciała, bo rozum.

— Jakto? Doprawdy?

— Tak ludzie mówili w mądrości swojej. Święty Paweł zapewnia koryncyan, iż »moc boża wykonywa się w słabości«. Tak i ten człowiek »znalazł upodobanie w niemocach, w potwarzach, w prześladowaniach, w uciskach dla Chrystusa«. Gdzie wtedy był. Co robił? Wspominają, że tułał się pozagraniczu obdarty, zdziczały, zabity na duszy, nieprzystępny. Przedtem, czy potem, bo nigdy od niego samego relacyi nikt nie słyszał, a ludzkie relacye w takich sprawach są zawodne, — wstąpił do zakonu jezuitów.

— A — do jezuitów!

— Odbywał nowicyat, zdaje się w kraju. Następnie udał się sam, czy z polecenia swej władzy, do Rzymu. Jakie tam przeżył walki, jakie męki i złamania duszy, nikt nie wie. Miarą wszystkiego jest to jedno, iż porzucił ów zakon. Wówczas zapewne przyszedł nań najgłębszy smutek. »Dany był bodziec jego ciału, posłannik szatana, aby go policzkował«... Człowiek ten tyle złego zobaczył wówczas na świecie, a nawet w sobie, iż mu się złe wszystko przedstawiło w obrazie szatana. I zdało mu się, że szatan w jego ciele, w jego krwi, w jego sercu obrał sobie mieszkanie. Zdało mu się, iż źródło i przyczynę przyczyn wszystkiego złego na ziemi nosi w sobie. I gdyby to źródło zniszczyć, zniszczyłoby się złe na ziemi i panowanie na niej szatana. To też pewnego dnia ten czołwiek pchnął się w piersi sztyletem, sądząc, iż zabija szatana...

Grube, sękate ręce zakonnika, gdy to mówił, ścisnęły się i zatrzęsły trwożnie, jak piąstki bezsilne rocznego dziecka. Twarz jego była pełna grozy, a oczy pełne łez. Mówił dalej:

— Odratowano... Uderzenie ostrza minęło serce. Rana dała się zagoić. I ta myśl nieszczęśliwa odeszła, jakby wypłynęła razem ze krwią z przebicia. I znowu nikt nie wiedział, gdzie ten człowiek jest, co ze sobą czyni, gdy ze szpitala wyszedł. Pewnego zaś czasu, w zimie zjawił się w kraju i wszedł w stosunki koleżeńskie z dawnymi towarzyszami sztuki. Mieszkał pospołu z nimi w malarskiej

pracowni. Izba ta mieściła się na ostatniem piętrze wielkiego hotelu. Było tam zimno i pusto. W tej wielkiej pustce raz wraz nocował ktoś z emigrantów bezdomnych, który wrócił z daleka, albo który z sybiraków...

Pracownia. Zimowe noclegi. Poranki. Niejasny cień ojca, najdroższe jego tchnienie, coś jakby daleki — daleki szmer jego mowy— przepłynęło przez ciało Ryszarda. Głos wewnętrzny pytał się nieśmiało: o kim to on opowiada, o jakiej to pracowni? Tytus, nie wiedząc, jakie struny w słuchaczu poruszył, mówił dalej:

— Malarze schodzili się do pracowni za dnia i wykrzykiwali o swoich tam mniemaniach farbiarskich, poglądach, walkach starciach. Ów człowiek samotny słuchał, co mówią, ale nie mięszał się do ich rozgwaru. Posłuchał — posłuchał, roześmiał się i bez pożegnania odchodził. Na swej drewnianej nodze, w dziwnem odzieniu, jakby w żydowskim chałacie, czy ukraińskiej bundzie, postronkiem przepasany wałęsał się po zaułkach wielkomiejskich. Zarabiał na życie dźwiganiem ciężarów, noszeniem pak do sklepów, posługiwaniem na towarowym dworcu kolei. Jednakże, gdy przybył do pracowni zrana, pod nieobecność kolegów, i gdy nikogo nie zastał, zamykał na klucz tę izbę, rozkładał na podłodze wielkie arkusze rysowniczego papieru, przez innych zostawione i, leżąc na ziemi, coś w tajemnicy rysował. Kilkakroć przez dziurę od klucza podpatrywali go przyjaciele. Nie przerywali mu, gdyż czcili jego »wielki a zmarnowany« talent. Lecz skoro tylko rozległ się szmer, dały słyszeć szepty, odgłos stąpania, ów człowiek darł rysunek w drobne strzępy. Darł go zresztą i bez tych oznak nadejścia ludzi. Rysował pewnie męczarnię swej duszy, a któż ją, dobry panie, oddać potrafi? Jeden wszakże z tych rysunków ocalał?

— Jaki też jest?

— Kuszenie Zbawiciela przez szatana.

— Gdzie się ten rysunek znajduje?

— Jest w pewnem miejscu.

— Tylko ten jeden?

— Ten jeden. Ocalił go przypadkiem brat Daniel, najstarszy w klasztorze, który teraz jest bardzo chory. Gdy koledzy malarze

wpadali do pracowni, ażeby ujrzeć, co też zrobił, popadał w gniewny szał. Niszczył wówczas wszystko. Zresztą, coraz rzadziej pokazywał im się na oczy. Widywano go tylko przelotnie. Wiedziano, że »waryuje«, to znaczy, że chodzi nocami po najdalszych przedmieściach, po zaułkach, po krańcach, że podnosi z rynsztoków opuchlaków, nędzarzy potyfusowych, głodomorów, kostniejących z zimna, pijaków w delirium, wyrzuconych na bruk ze szynków, łajdusów, wyrzuconych z burdelów, nędzę bez nazwy i kierunku swej zbrodni, zdychającą na ziemi. Wiedziano, że zaczepia po gliniankach, wystygłych cegielniach, szopach w polu i rowach starych wałów kanalię, zmawiającą się na zbój. Widywano go w towarzystwie takich oto ludzi, prowadzącego ich dokądś, zmierzającego na ich czele w jakimś kierunku. Nie było wówczas pogotowia ratunkowego, ani przytułków noclegowych. Było tylko jego obłąkane serce. Zrazu myślano, że może w obłędzie przystał do zbójów i dał się namówić do zbrodni. Później przekonano się, że to jest tylko święty oprawca, zbierający ludzką padlinę, Chrystusów ceklarz, który się głupim stał dla miłości człowieka. Więc też o nim zapomniano wprędce wśród długich i namiętnych sporów o rodzaje sztuki.

Tymczasem znowu się począł ukazywać w pracowni. Ale już nie sam. Chodziło za nim dwu, czasem trzech taksamo odzianych, jak i on, w sukmany, w podobizny sybirskich brodiażek, przepasane powrozami. Byli to nawróceni przezeń zbóje, odratowani samobójcy, podźwignięte z kałuży opuchlaki. Przesiadywali w kościołach, wspólnie zarabiali na życie dźwiganiem ciężarów i wspólnie podejmowali z rynsztoków następców swoich. W malarskiej pracowni jeden kąt zajęli na swój specyalnie użytek. Ze starych pak po obrazach zbili gwoździami ołtarz, z dwu patyków wystrugali krzyż, a zawiesiwszy to miejsce malarskie draperyami, ufundowali pierwszą kaplicę. W przeciwległym końcu pracowni stały, lub leżały nagie modelki, pozujące malarzom, słychać było wrzaski i śpiewy, — na stalugach wisiała porozwieszana bielizna i spodnice. Tutaj, w kącie zakonnym, odprawiało się żarliwe nabożeństwo, brzmiały pieśni i litanie...

Teraz już Nienaski nie miał wątpliwości. Znał dobrze tę całą

historyę, lepiej, niż narrator. Umiał ją na pamięć. Słuchał jednak z przykniętemi oczyma, jakby nie wiedział o niczem. Lecz przed wzrokiem, cofającym się dalej a dalej, miał swe żelazne łóżeczko, otoczone balustradą z zielonej sznurowej siatki, — widok małego pokoju... Niski sufit z wymalowanym tłustym amorkiem, z którego brzuszka wybiega hak starej lampy wiszącej. Klosz zielony z wierzchu, matowy z dołu, wieczny kopeć na ciałku i twarzy tego pulchnego amorka... Stolik ojcowski i stary, poczciwy kochany fotel... To ojciec w dobrym humorze opowiada historyę o nabożeństwie w pracowni, o modelkach, których majtki i koszule wiszą na stalugach... Malarze drwią, dowcipkują, puszczają niezrównane kawały, modelki zanoszą się od śmiechu na widok nabożeństwa »mnichów«, z których jeden jest »niespełna rozumu«, na drewnianej nodze zdziwaczały malarz, a dwaj inni, to jakieś wywłoki, czy ex-bandyci z rowów, albo glinianek mokotowskich. Jeszcze w uchu brzmi litewska ojca wymowa, jego srebrzysty śmiech, przepuszczony przez te łzy natrętne, co mu zawsze w śmiechu przeszkadzały, kapiąc w najniewłaściwszem miejscu z oczu na brodę, siwemi nićmi przetkaną. Ta klechda domowa, ta wieczorna, przedsenna »skazka« na dobranoc o malarzach-współpowietnikach i o mnichu na szczudle, — zatracona w wirze życia, a teraz z zewnątrz podana — jakże się sercu nagodziła! Perła zagubiona, która się oto znalazła... Przytuliło się do samotności serca podanie, jak rzecz swoja własna, dopasowała się doń i zrosło z niem w jedno rodzone.

Brat Tytus ciągnął dalej:

— Tam to, w kącie pracowni zaczął się i powstał nowy zakon, a związał pierwszy klasztor.

— Pierwszy? A czy jest ich już więcej?

— Zakon jest jeden, lecz ma wiele domów, w każdem prawie większem mieście.

— Co to jest za zakon i na czem polega jego reguła?

— Najgłówniejszem jego zadaniem jest walka ze złem, wydzieranie dusz ludzkich z zepsucia, a ciał z upadku. Dążeniem głównem jest powracanie tych dusz niebu i anielstwu. Zadaniem niejako ziemskiem jest to, co czynił założyciel od samego początku:

zbieranie opuchlaków i wyrzutków. Z darów ludzkich zakon tworzy przytułki najprostsze, krótko mówiąc, szopy noclegowe i trzyma ich drzwi otworem dla każdego nędzarza i bezdomnego, kto wejść zechce. Każdy kto wejdzie, dostaje, jeśli jest głodny, miskę zupy najprostszej, ale pożywnej, — i nocleg. Nocuje, dopóki można, bezpłatnie. Nikt go o nic nie pyta i niczego mu nie narzuca, nawet pomocy religijnej. Dopiero po kilku dniach gość otrzymuje propozycyę pracy. Zakon prowadzi warsztaty: wyplata krzesła, oprawia książki, trudni się stolarszczyzną i mularką. Skoro przychodzień chce pracować, zarabia i ma wolę po temu, przyjmuje się go w poczet braci. Każdy człowiek może zostać bratem i niejeden, którego świat podeptał i splugawił, żyje tu w braterskiem kole, a niejeden umarł *in odore sanctitatis*.

Nienaski spytał:

— Zakon posiada jaki majątek?

— Nie posiada żadnego. Jest to zakon żebrzący.

— Och! — wykrzywił się z odrazą.

— Żebrzący w taki sposób: ma się prawo otrzymać w naturze tylko tyle, ile trzeba na przeżywienie braci w ciągu dnia.

— I to jeszcze!

— Jeżeli kto ofiaruje na rzecz klasztoru funt cukru, — brat żebrzący nie ma prawa wziąć całego funta, jeżeli go nie potrzeba w całości na jeden dzień.

— Więc bierze dziś ćwierć funta, przypuśćmy, nazajutrz przychodzi po drugą ćwiartkę, pojutrze po trzecią?...

— Zawszeć to lepsze, niż gromadzić zapasy, śpiżarnie i majątek. W ten tylko sposób można się zawarować od niebezpieczeństwa posiadania, no, i od zarzutu, że się jest jednym z przebogatych liści przeklętej figi...

Słowa te wypowiedział zakonnik cicho i z wyrzutem, którego zresztą wnet się zawstydził.

— A wszakże brat wspomniał o posiadaniu szop? Wreszcie tutejszy klasztor jest przecie »własnością« zakonu?

— Tak jest. Ten jest wspólną własnością braci. Zajmuje on tylą przestrzeń, ile ogarnęły zabudowania. Zbudowany jest całko-

wicie własnemi rękoma braci, bez użycia najemnika. Wreszcie jest to właściwie lecznica braci, którzy pracują w mieście wśród przeróżnych chorób i sami w chorobę popadli.

— To bracia sami zbudowali to wszystko?

— Tak jest.

— Bardzo — bardzo liche jest to budowanie.

— Doprawdy?

— Mówię, jako specyalista... — uśmiechnął się Nienaski... — Jestem z zawodu budowniczym.

— Cóżby to była za łaska!... — westchnął Tytus.

— A co?

— Gdyby pan zechciał bratu przewodnikowi poradzić. Bo właśnie teraz zakłada tutaj nowe warsztaty, chce wybudować całą nową połać izb. Ale miejsca równego już niema. Trzebaby wznosić na podmurowaniu i nad urwiskiem.

— Jestem do wszelkich usług!

Zakonnik powstał i z radosnym uśmiechem skłonił się.

Ryszard czuł oddawna wielką do niego sympatyę. Teraz za ten uśmiech jeszcze go bardziej polubił. Zawołał:

— Ach, wy klerykały! Wy, słudzy! Wy, żebracy! Żebrzą! I ten bajeczny funt cukru na raty!

— Mądry jest ten i zna naturę człowieczą, kto to ustanowił między braćmi!

— Żeby stać pode drzwiami bogacza i czekać na kilka kawałków cukru! Bodaj to!

— Kto umie patrzeć, dojrzy, gdzie istota rzeczy. Kto ma serce, poczuje w niem boleść na widok zakonnika, który w milczeniu stać będzie, jak wyrzut, jak rachunek sumienia, u jego drzwi.

— Nie poczuje żadnej boleści! Zdrowo się naśmieje po swoim zdrowym obiedzie!

— Niezmierzona jest moc dobrego poczynania. Przez dobre poczynanie zły świat staje się siedliskiem dobra.

— Raczejbyście krucyatę przeciwko zbrodniom świata podnieśli, bo widzę w was ducha sprawiedliwego i mężów boskiego męstwa!

— Nie można złego złem naprawić.

— Cóż tedy chcecie, żeby wszyscy ludzie na wasz wzór mnichami zostali?

— Wszystko jedno, czem kto jest na tym świecie. Nie o to chodzi, czem kto jest tutaj, lecz o zbawienie wieczne.

— Wiem, wiem! — odpalił z brutalnem śmiechem. — Tu umieraj, nędzarzu, w gnoju i nic sobie nie rób z tego, albowiem tam zasiądziesz na tronie. Wspierają was też bogacze za tę naukę, szopy wam dają, ażeby nędzarze nie cuchnęli na ulicach. Swą mową pokorną wspieracie istniejący porządek rzeczy! Pomagacie bogaczom! Boicie się, ażeby ich nie zubożyć o cały funt cukru, żebrzecie tylko o ćwierć funta!

— Wspierają nas nie tylko ludzie bogaci, ale i pierwszorzędne umysły i subtelni poeci. Dzisiejsi pisarze Francyi, którzy widzieli niejedno i wszystkiego się z najlepszych źródeł bez przeszkody uczyli, Huysmans, Paweł Claudel, Verlaine, Jammes...

— Jabym sądził, że oni z wydatną pomocą nie przybywają. Są to prędzej poganie, pociągnięci ku kościołowi przez żądzę nowości, przez perwersyę snobizmu, który każe trzymać się tej mody nowej, a nie przekraczającej wcale granicy wygodnego burżujstwa. Opchawszy się wszelkich satanizmów, przeżarci w młodości przez wszelkie kurwiarstwo ducha, jakie się tylko da pomyśleć, naraz spostrzegają coś bajecznie nowego: spowiedź, czystość małżeńskiego pożycia, chodzenie na mszę z książką nabożną i zakaz wszelkiego myślenia, działania. Paul Claudel, jedyny zresztą nasz przyjaciel na świecie, w swem »Magnificat«, trzeciej wielkiej odzie, błaga Boga, ażeby go nie zostawiał z Wolterami, Renanami, Micheletami, Wiktorami Hugo »*et tous les autres infâmes...*« Albowiem »*leur âme est avec les chiens morts, leurs livres sont joints au fumier*«. Gdy my wędrujemy przez różne więzienia, kazamaty ducha i ciała, ci ludzie wędrują przez najrozmaitsze »Parisiany«, »Monica« i »Maxim'y, a potem lękają się Micheletów...

— Nie wiedziałem, że oni nic nie są warci.

— Należałoby zapytać, czy wyrzekli żywe słowo, słowo z Ewangelii Chrystusa poczerpnięte, słowo tworzące, do boleści

świata? Czy pomogli do zniszczenia nędzy ducha i ciała. Ach, ja ich znam! Pisarze i literaci! Sztukmistrze! Uczynili z cudownego narzędzia, z boskiej lutni środek utrwalenia niedoli ludzkiej. Wszystko, co jest głosem męczarni świata w dziełach artyzmu, przezywają tendencyą, a swoją tendencyę, cuchnącą z każdego wiersza, z każdego wyrazu, utożsamiają z najczystszą sztuką. Gdyby mówili wprost, w pospolitej broszurze, byliby zwyczajnymi pochlebcami kapitału i salonu, napastnikami i zazdrośnikami, fałszerzami nadętymi od pychy bez granic, gorszycielami kobiet i poczciwców. Gdy mówią przez zasłonę sztuki, są oto beinteresownymi twórcami.

— Pan to lepiej wie odemnie, prostaka.

— Nie mówmy tak!... Kędyś w zakątkach Polski, w starych skrzyniach kaszubskich, na Chełmszczyźnie, w Podlasiu, we wsiach Litwy, Białorusi, Podola książka polska to książka katolicka. Olbrzymią siłę ma w męczeńskiem życiu narodu ta polska wiara. Co o tem mówić! Kto tego nie rozumie, ten nic nie rozumie! Polska i ta wiara zrośnięte są, jak Lelum i Polelum w tragedyi.

»Przykuty do mnie za twą lewą rękę, tyś niewolnikiem mojej ręki prawej, ty cały jesteś moją ręką prawą: ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał...« Gdy jeden ma cisnąć toporem i odciąć ojca powieszonego za włosy, w drugim tak serce drży. Może kiedyś szczęśliwy los rozerwie te łańcuchy i każdemu z tych braci da wolność. Dziś to Lelum-Polelum.

W trakcie tej rozmowy Nienaski czuł, że go choroba rozdziera. Mocował się z nią do ostatka, lecz spostrzegł wreszcie, że nie da rady. W głowie mu się mąciło, zimno na przemiany z duszącym żarem przejmowało go od stóp do głów. Powiedział o tem bratu, że musi albo wrócić do celki nocnej i położyć się, albo jechać do jakiego szpitala. Tytus zakrzątnął się natychmiast i przeprowadził go do klasztoru. Tam uradzono, żeby go umieścić na dole, w izdebce z oknem, łóżkiem i piecem, przylegającej do kaplicy, gdzie były zgromadzone, jak się okazało, najcenniejsze rzeczy klasztorne, dokumenty urzędowe, jedyna książka całego osiedla — Żywot świętego Franciszka z Assyżu, — pudełko z zeschniętemi farbami i poszczerbionemi pędzlami, oraz tym podobne. Chorego rozebrano

i troskliwie położono do łóżka. Tam to zaczął zwyciężać swą gorączkę...

Leżał około dwu tygodni. Gdy zaczął wstawać, okazało się, że jego znajomość sztuki budownictwa bardzo się przydała. Pracownie miały być zbudowane nad urwiskiem. Trzeba było wgłębić się fundamentami w skałę litą, podeprzeć przyszłą budowlę skarpami i dopiero na takiem podmurowaniu kłaść przyciesi zamierzonego domostwa. Nienaski oświadczył, że trzeba koniecznie zrobić plan muru i całej budowli. Rzucono się do poszukiwania materyałów niezbędnych. Nie było na czem rzutować — i czem. W pudełku brata przewodnika znalazły się resztki węgli rysowniczych i jakieś wspomnienie ołówka, lecz nie było papieru. Zaniepokojeni bracia roili się, jak mrówki po całym klasztorze, szukając wielkiego arkusza, lecz, oczywiście, nie mogli go zdybać. Myślano już o wyprawie do miasta i jeden z braci był wybrany do drogi, choć nie było pewności, czy znajdzie tam potrzebny materyał, — gdy przewodnik przypomniał sobie, że ma taki papier. Posztykutał walecznie do celki ciężko chorego brata Daniela i tam, pod rozmaitemi rzeczami, pod stosem aparatów należących do kapliczki, w głębi obrusów, desek i złamanych sprzętów wynalazł rulon zwinięty kartonu w wielkim rozmiarze. Z tryumfem i radością przyniósł tę zdobycz do izby architekta i rozwijając ją zewnętrzną stroną, pokazywał, że jest to doskonały Watman. Nienaski zgodził się, iż papier jest bardzo dobry, dostatecznej wszerz i wzdłuż wielkości, żeby na nim plan sporządzić.

Nim oddać ten materyał do użytku, starzec zwrócił się do jednego z braci:

— Skocz-no, bracie Walusiu, do brata kuchty, niech nam da sporą skibę chleba. Trza będzie zetrzeć...

— Co znowu zetrzeć? — spytał Ryszard.

— Tu mazaninę na drugiej stronie...

— Czyją mazaninę, jaką?

— Jednego człowieka z dawnych lat... — odpowiedział zakonnik.

— A nie! — zakrzyknął Nienaski. — Za wyrysowane plany musi być, jakieś honoraryum.

— A no, to już i po radości!...

— Niech mi będzie wolno obejrzeć, co tam jest z drugiej strony tego papieru, — oto moje honoraryum.

— Nic tam ciekawego niema! — odburknął starzec. — Stare rzeczy, smutne, niezrozumiałe. Zresztą nie mam pozwolenia na pokazywanie tych bazgrot.

— A no, to nic z planu!

— Masz ci!

— Zobaczę rysunek i plan zaraz zrobię.

— Idźno, paniczu, z temi żartami! Plan jest rzecz koniecznie potrzebna, pilna, a to są fanaberye i szkodliwe smutki.

— Tem bardziej godzi się wypłacić fanaberyą honoraryum za dorzeczność.

— Nic z tego! Zetrzemy pięknie mazaninę chlebem i na tem miejscu zaczniesz sobie, paniczu, wywodzić pomiary. Będziemy mieli wzór, jak budować.

— Kompromis. Brat mi wręczy rulon, jak jest, a ja go sobie sam oporządzę. Co trzeba będzie zatrzeć, zetrę, co będzie potrzebne, zostawię. Może mi właśnie mazanina na tło posłuży. Taki tu zrobimy palimpsest, na co w klasztorach zawsze były majstry.

Zakonnik patrzył na niego wypukłemi oczyma, w których dziwne, niespokojne, groźne stany duszy przebiegały z szybkością. Namyślał się. Wreszcie z jakiemś uczuciem wstydu, żalu, czy gniewu cisnął papier i oddalił się.

Nienaski zgadł. Był to ów rysunek, o którym wspomniał Tytus: — Kuszenie Chrystusa na puszczy Jerycha. Budowniczy przytwierdził papier gwoździkami do bierwion ściany, zamknął drzwi i z kąta swego zakamarka przypatrywał się utworowi. Nigdy jeszcze w życiu żadne dzieło sztuki nie rzuciło nań takiego uroku. Oczy szatana wszechwiednie mądre, dosięgające dna rzeczy, a jednak smutne, patrzyły z ukosa, z kątów powiek ciężko nawisłych w białego Chrystusa. Włosy szatana były długie i siwe, pasmami spływające. Twarz jego stara, strudzona, — snać niezgłębione cierpienia,

furye i tortury duszne ryły ją i wykrzywiały przez nieskończoność. Korona, którą zdejmował z głowy, ciągnęła uwikłane w jej przegubach włosy, — co do kształtu przypominała koronę jednego z królów we fresku Benozza Gozzolli'ego w kaplicy florenckiej pałacu Riccardi. W kształcie, w przepychu, w bogactwie, w ozdobności, w majestacie i ciężarze tej korony, pod którym uginała się ręka przebiegła, beznadziejnym podająca ją gestem, była wymowa, której słabe nie odda słowo. Chrystus stał pewny swej świętości przez niewiadomość o niej, zawstydzony w sobie i pokorny, istny młodzieniec, w którym boskie serce uderza. Płaszcz, który ciężko spadał z nagich ramion dyabła i wlókł się po ziemi zwojami fałdów, miał w sobie coś nieskończenie zrozumialej, niewątpliwiej, a krócej mówiącego, niż wykład najściślejszy. Był to prawdziwie obraz i wyraz władzy, panowania, mocy rozkazu, żelaznej woli, która się stała kamienną dumą i zardzewiałą pychą, — a która się wije w fałdy pod ciężarem wyciśniętych przez się łez. Był to wizerunek majestatu, który się zamienił na ciężar, palący ramiona. Ten niewysłowiony rysunek — zaiste odtwarzał — kuszenie. Młodzieniec w czarnym otworze pieczary — była to niewątpliwie największa świętość ziemi. Spojrzenie boskich oczu zostało wydobyte jakiemiś dwiema skrzywionemi kreskami. Tylko człowiek w szaleństwie natchniena, z włosami zjeżonemi od śmiertelnego zimna wizyi, mógł środkiem tak niepojętym, jedynym, pierwszy i ostatni raz użytym, palcami, które kurczył i rozginał podszept Boga — wyrazić wzrok Chrystusa. Stał tam Jezus, »zawiedziony na puszczę od ducha, aby był kuszony od dyabła«.

Kusiciel do Niego mówił:

— »Jeśliś jest Syn Boży, rzecz, aby te kamienie stały się chlebem«.

I pokazał artysta kamienie, o których głosiło słowo złego, — urwiste skoki przepaści, bryły i skalny miał, lecący w próżnię bezdenną. Słowo jego »kamienie«, których nigdy w chleb zamienić nie da, ukazywały swój materyalny ciężar, który się walił na duszę.

Nienaski czuł w sobie szczęście i smutek zarazem, to jest to, co sprawiał w nim zawsze widok arcydzieła. Lecz tutaj było jeszcze

coś więcej. Od tego widoku zaczęła się w nim pasować najgłębsza i najistotniejsza walka. W jego to sercu działo się to narysowane zdarzenie. Usiłował odchylić się od tego pogranicza zachwytu przez rozpatrywanie technicznych cech dzieła. Stwierdzał, jak twarze rysowane są z pozoru najprościej, najprymitywniej, niemal bez cieniów, nikłymi zaciągami wiotkiego kanta w węglu, albo poślizgnięciem ostrego zakończenia. Jakże to oddane zostały te oblicza, te włosy, ręce i nogi! I nie dla tego, ażeby podobizną niezrównaną rąk i nóg zaświecić, lecz przeciwnie, ażeby przez doskonałość rysunku zewnętrznych szczegółów oddać wnętrze istotnej sprawy ducha. Zachwyt nie malał, nie wyczerpywał się, lecz wzrastał. Ryszard zatonął i zapamiętał się w tym rysunku. Nie słyszał, że uchyliły się drzwi bez klamki, zamykane na starosłowiańską zakrętkę. Brat przewodniczący stanął we drzwiach. Ujrzawszy swój rysunek na ścianie, począł sykać i niecierpliwie kołatać w podłogę żelazną nogą. Żylaste jego ręce oparte były na lasce, postać zgarbiona. Wielkie oczy zwolna zawściągały się mgłą, gdy patrzał na ten swój dawny, zapomniany rysunek. Błysk marzenia artysty przeleciał w nich, jak piorun w chmurze — i zgasł. Jakby dla odtrącenia od siebie wspomnień, które ta rzecz wzbudzała, zakonnik rzekł:

— Patrzaj-że, czy to nie dziwne, żeś to ty znalazł te dawne smutki, Olesiów chłopiec? Zetrzyj to już! — prosił pokornie...

Dzięki staraniom braci, a nadewszystko dzięki nieustannej pieczy Tytusa, Ryszard szybko wyzdrowiał. W tym czasie wykończył szczegółowy plan nowej budowli. Pewnego dnia bardzo rano zbudzony został przez niezwykły ruch w klasztorku. Słyszał w otwartej izbicy jakgdyby przytupywanie wesołe, śmiechy i rozmowy ożywione. Dziwiła go ta zmiana dość cmentarnego naogół nastroju braciszków. Był już dobrze wypoczęty, więc wstał, ażeby się dowiedzieć, co to ich tak raduje. Gdy wyszedł, ujrzał prawie wszystkich zgromadzonych w dużej izbie. Śmiali się, mieli twarze rozradowane, tupali nogami na tęgi mróz i zacierali ręce, jedni mniej, drudzy więcej w miarę temperamentu, lecz wszyscy z uciechą.

Zaciekawiony, spytał pierwszego z brzegu, czy się w zakonie stało co radosnego. Człowiek zapytany był potwornie dziobaty, gruby, z ordynarną twarzą. Zasromał się, jak parobek, i ociągał z odpowiedzią. Dopiero drugi, stojący obok, blady, z zamkniętemi oczyma, wyrzekł z głęboką uniżonością:

— Cieszymy się dziś w klasztorze bardzo a bardzo, bo nam się przytrafiło radosne wydarzenie...

— A co też takiego? Czy i ja mógłbym o tem wiedzieć, czy też to jest tajemnica?

— Tajemnicy żadnej niema. Mieliśmy tutaj brata ciężko chorego, starca, jednego z pierwszych w naszym zakonie, imieniem Daniel. I oto dziś brat Daniel odszedł.

— Odszedł?

— Brat Daniel spoczął w Panu.

— Stąd taka uciecha?

— Stąd uciecha między nami. Już jeden z pomiędzy nas spoczywa u nóg Chrystusa Pana, mówi za nas...

— Więc nikt go tu nie żałuje, a wszyscy się cieszą?

— I czegóż miałby żałować on, albo my? Żałować tej ziemi? Nie cieszyć się, gdy on na nas stamtąd już patrzy, a my możemy polecać mu potrzeby nasze? Brat Daniel był bogobojnym sługą Pana, jaśniał cnotami i zasnął w Panu.

Brat dziobaty, który przysłuchiwał się tej rozmowie, podzielał radość ogólną, lecz czynił to, jak sołdat, spełniający fenomeny mustry. Mimo to jednak jakiś przebłysk, pewien uśmiech wybijał się na jego twarzy, niby lśnienie słoneczne na bryle piaskowca ordynarnie ciosanej.

Nienaski uczuł wstrząśnienie odrazy, poryw do życia i nienawiść do tej czci śmierci. Cofnął się do swej izdebki, spakował rzeczy, zarzucił torbę na plecy i poszedł żegnać ojców. Gdy się zbliżył do Tytusa, ten zmierzył go oczyma i uśmiechnął się boleśnie. Pokiwał w milczeniu głową. Nie wyrzekł słowa. Gdy Ryszard żegnał przewodnika, starzec przytrzymał go za rękę:

— Idziesz! Myślałem, że zostaniesz z nami...

— Nie, idę w świat.

— I cóż to będziesz robił w tym świecie?

— Pieniądze.

— Pieniądze? — zadziwił się bardzo. Starcza bezradność wyraziła się w ruchach jego rąk i obwisłości szczęki.

— Pieniądze... — przepowiedział sobie, jakby dla utwierdzenia się w tem, że dobrze słyszał. Wnet skulił się i skurczył w sobie z należną pokorą.

Gdy Nienaski wyszedł za bramę i śpieszył w doliny, obejrzawszy się, zobaczył dwu starców, Przewodnika i Tytusa, w błękitnem świtaniu poranka. Dawali mu jakoweś znaki. Pewnie krzyżem żegnali.

Zakopane, 1913 roku.

UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO:

ANDRZEJ RADEK CZYLI »SYZYFOWE PRACE«. Powieść. Wydanie nowe. 1910. Kor. 4·—.
ARYMAN MŚCI SIĘ. — GODZINA. Wydanie drugie 1911. Kor. 2·40.
DUMA O HETMANIE. Wydanie trzecie. Inicyały i okładka E. Okunia. 1909. Kor. 5·20.
DZIEJE GRZECHU. Powieść. 2 tomy. Wydanie trzecie. 1911. Kor. 7·80.
LUDZIE BEZDOMNI. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911. Kor. 5·20.
OPOWIADANIA. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela. — Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910. Kor. 3·50.
O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków 1912.
POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. wieku. 3 tomy. Wydanie nowe. 1912. — Kor. 7·80.
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie nowe. 1911. Kor. 2·60.
PROMIEŃ. Powieść. Wydanie czwarte. 1910. Kor. 2·60.
SEN O SZPADZIE. Kraków 1914.
SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Zakopane 1916.
SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907. 20 hal.
SUŁKOWSKI. Tragedya. Wydanie drugie. 1910. Kor. 6·—.
URODA ŻYCIA. Powieść. 2 tomy. Wydanie drugie. 1912. Kor. 9·—.
UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu. — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie czwarte. 1910. Kor. 2·60.
WIERNA RZEKA. Klechda. 1913.
ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907. 16 hal.

UTWORY MAURYCEGO ZYCHA:

ECHA LEŚNE. 1905. Kor. 2·—.
ROZDZIÓBIĄ NAS KRUKI, WRONY. Wydanie trzecie, z rysunkami. St. Janowskiego. 1905. Kor. 4·—.
SŁOWO O BANDOSIE. 1908. Kor. 1·25.

UTWORY JÓZEFA KATERLI:

RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910. Kor. 4·—.



